

Rafał Dębski



**GWIAZDOZBIÓR
KATA**

Wydawnictwo Dolnośląskie



Rafał Dębski
Gwiazdozbiór kata

2007
Trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2007

Okładka:

Sławomir Maniak

Wydawca:

Wydawnictwo Dolnośląskie

ISBN: 978-83-7384-643-2

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Na lodowym archipelagu nieba

W drodze ku gwiazdom

Właściwie do końca nie wiem – chciałem tego czy nie? Przemyślenia przyszły potem. Zbyt późno, żeby cokolwiek zmienić. Zresztą w zasadzie i tak nie miało to większego znaczenia. Jeden raz więcej czy mniej... Miasteczko płonęło, ludzie z krzykiem biegali po ulicach.

–Zaraza! Zaraza!

Pomyśleć tylko, że tym razem nie miałem najmniejszego zamiaru nieść zniszczenia. Nie tutaj, a na pewno nie w tym momencie. Zapewne po moim odejściu zmarłoby kilku, może kilkudziesięciu ludzi, może nawet połowa mieszkańców, bo moi mali przyjaciele są wszędobylscy i sięgają tam, gdzie ja nie mogę dotrzeć. Jednak samo miasto by ocalało, nie uległo pożodze. Ale stało się, co się stać miało. Bóg potrafi być złośliwy. A może to wcale nie Bóg, tylko okrutny grymas wiecznie wykrzywionej twarzy złośliwego losu? Może Boga wcale nie ma? A jeśli nawet jest, ma w głębokiej pogardzie marną egzystencję swego najdoskonalszego dzieła? Dzieła, które potrafi posunąć się do najgorszych zbrodni i największych okrucieństw, aby zapewnić sobie powodzenie, sławę i władzę, owe marne namiastki boskiej potencji.

Zaczęło się jak zwykle. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie pozwoli obcemu przejść spokojnie, przepłynąć niezauważonym przez swój skrawek egzystencji.

–Nie podobasz mi się, człeku.

Powiedział pacholek straży miejskiej. Rzecz jasna w pierwszej chwili nie odgadłem, kim jest – w szarej opończy, z krótkim kordem przy boku wyglądał na zwykłego zabijakę. W każdym ludzkim skupisku bywają tacy prawie bohaterowie, miejscowe zuchy, dbający o reputację pierwszej pięści albo pierwszej szabli. Poza tym nie spodziewałem się, żeby w takiej mieścinie rajcy utrzymywali straż. Widać jednak magistrat opływał tu w jakieś niespotykane dobra, których postanowił strzec na wszelkie sposoby.

–Odejdź – odrzekłem spokojnie. – Nie wyprowadzaj z równowagi spokojnego człowieka.

Wtedy szarpnął mnie za ramię. Chwyciłem natarczywą dłoń pod nadgarstkiem,

wbiłem mu kciuk między kości tak, aby – nie wyrządzając krzywdy – zadać jak największy ból. Jęknął głośno. Wówczas zaniepokojony karczmarz wyjął, z kim sprawa. Wiele mnie to nie obeszło. Zbój, charakternik czy ratuszowy sługus, co za różnica?

–Nie szukam zaczepki. – Rozwarłem palce. – Daj mi spokój.

Odskoczył dwa kroki i zaczął rozcierać obolałe miejsce.

–Czego tu szukasz? – warknął. – Dlaczego, posilając się, nie zdejmujesz rękawic?

–Nie twoja rzecz. Czy wasze prawa zabraniają człowiekowi zjeść i napić się, gdy mu przyjdzie ochota i jak mu wygodnie?

–Nie każdy może poczuć się w moim rewirze wytęsknionym gościem. Czego chcesz, gadaj?

–Daj człowiekowi spokój – wtrącił się znowu karczmarz. – Spokojny jest. Od południa tu siedzi, a mamy wszak już dobrze pod wieczór. Płaci gotowizną, awantur nie wszczyna, palki nawet nie zalał. Zajmij się lepiej Błażejem. Leży pod ścianą i jak przez chwilę chociaż nie womituje, to zaraz beka i pierdzi. Zaś gdy go chcę ruszyć, łapami wymachuje, a nawet w takim stanie siły ma niby niedźwiedź.

Strażnik skrzywił się niechętnie.

–Sam się zajmuj pijakami, skoro masz arendę na wyszynk. Mnie ten tutaj ptaszek się nie widzi. Na odwach z nim trza będzie pójść, niech przed władzą zeznaje skąd, dokąd i po co. Może to zbiegły niewolny chłop? A może rozbójnik jakowyś? Na niewiniątko nie patrzy, raczej jakby niejedno życie miał na sumieniu. Dziwnie czarniawy, może turecki albo wołoski szpieg? Widziałeś jego oczy? Jakby śmierć zamieszkała na dnie źrenic.

Nie pomylił się. Niejedno życie mam na sumieniu, tego się ukryć nie da. Ale nie do końca miał w swych podejrzeniach rację strażnik-poeta. „Jakby śmierć zamieszkała na dnie źrenic”. Ładnie to powiedział. Nie tylko ładnie, ale to właśnie najbliższe było prawdy. Mieszka we mnie śmierć. Nie na darmo wybrałem swego czasu trudną ścieżkę wtajemniczenia, zostając uczniem Mistrza Czarnej Śmierci.

–Nie bój się – prychnąłem pogardliwie – nie tobie niosę zagładę, nie dla ciebie ciemność, którą we mnie dostrzegłeś.

–Ja niczego się nie boję – uniósł dumnie brodę.

Był zabawny. Właśnie tak zabawni potrafią być ludzie zadufani we własną siłę i powagę urzędu. Nie wytrzymałem. Odchyliłem głowę i wybuchnąłem śmiechem.

Co się stało, Jakubie?

Blanka ocknęła się z odrętwienia. Odpoczywała. Jak zawsze kiedy podejrzewała, że czeka nas moc roboty, odpływała daleko, by karmić się ukrytymi w zakamarkach umysłu wspomnieniami i prawie zapomnianymi bądź niedokończonymi snami.

Dlaczego się śmiejesz?

–Z ludzi, ukochana. Są tacy mali w swej wielkości – rozmyślnie powiedziałem to głośno.

–Do kogo gadasz? – Pacholek przyskoczył do mnie. – I co to ma znaczyć? Kto jest mały?

–Idź w swoją drogę, nieboraku. Po co ci kłopoty? Po co narażać życie? Może ono

nikomu poza tobą niepotrzebne, ale po co je zaraz tracić?

W dłoni tamtego błysnęło ostrze. Długi, wąski puginał. Niegdyś takie rożny służyły do dobijania przeciwnika zakutego w blachy, bo łatwo je było włożyć w szczeliny zbroi. Karczmarz odszedł do swoich zajęć. Wolał udawać, że nic nie widzi. Zrobił swoje, stanął w obronie gościa, na ile mógł, a przede wszystkim na ile było bezpiecznie. I wystarczy.

–Wszyscy jesteście tacy sami – wycedził mój prześladowca. – Przychodzicie, żeby kraść i zabijać, nie szanujecie władzy.

Uważaj, kochany.

Ostrzeżenie nie było potrzebne. Nie zamierzał mnie pchnąć. Nie mógł znaleźć w sobie dość odwagi. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma do czynienia ze zwyczajnym włóczęgą.

–Idziemy.

–Nie zrobiłem nic złego.

–To się okaże po rozmowie z kapitanem.

–To nawet kapitana straży tu macie? – zdumiałem się. – Mieścinę byle krowi placek przykryje, koń jak stanie zadnimi nogami na jednych rogatkach, łeb mu wystaje za drugie, a taka szarża dowodzi?

Tego mu było za wiele. Mogłem kpić z niego, z jego matki nawet i całej rodziny, ale nie z miasta, któremu służył. Nie z dowódcy, którego miał pewnie za równego Bogu. Są tacy ludzie. Muszą być częścią czegoś większego, inaczej gubią się i czują się nieszczęśliwi.

–Już! – Chwycił mnie za końce palców i łokieć, wykręcił rękę do tyłu. Czubek puginału, którego nie wypuścił, zakłuł mnie w plecy. – Za obelżywe słowa dostaniesz należyłą odpłatę. A pewnie wydamy cię w ręce starosty jurydycznego. Już on sprawdzi, czy jakie ortyle nie zostały za tobą wystawione!

Nie mógł wiedzieć, że to się stanie. Zapewne ten, kto go uczył, powiedział, iż z takiego uchwytu nikt nie jest się w stanie wyzwolić. Nie mógł też wiedzieć, że w akademii szkolono nie tylko w umiejętnościach zadawania cierpień i śmierci, ale nakładano także żelazną dyscyplinę na ciało. Bez trudu się skręciłem. Stawy cichutko zatrzeszczały. Zanim pojął, co się dzieje, stałem przed nim, a jego własny puginał napierał sztychem na chodzącą nerwowo w górę i w dół grdykę. Poczulem ruch pod płaszczem na ramieniu. Twarz strażnika wydłużyła się.

–Tfu – splunął.

Pyszczek szczura znalazł się na wysokości jego oczu. Ruchliwy nos łowił zapach strachu.

–To on! – wrzasnął strażnik miejski. – To ten przeklętnik, co o nim powiadają, że roznosi chorobę! Szczurzy ojciec!

Kątem oka zauważyłem zbliżającą się postać. Puściłem zbrojnego, obróciłem tyłem do

siebie i pchnąłem tak mocno, że odbił się od ściany. Karczmarz wzniósł wielki tasak. Odskoczyłem, ale mordercze cięcie zawadziło moje ramię tam, gdzie zasiadł szczur. Zwierzę prędzej niż ja zorientowało się w położeniu i zanurkowało pod kaptur.

Jednak ze mnie ostrze wytoczyło fontannę krwi. Obryzgała twarz karczmarza czarną mazią. Próbował ją natychmiast zetrzeć, ale była lepka jak smoła, a może raczej gęsty syrop zmieszany z sadzą. Patrzyłem z ciekawością. Od chwili przemienienia nie widziałem jeszcze własnej krwi w takiej ilości. Drobne nacięcia, kiedy upuszczałem posoki, aby nakarmić szczury, spływały czernią, jednak nie sprawiała wtedy wrażenia tak ciemnej, jakby coś wyssało z niej całe światło. Dopiero w takiej masie dostrzegłem, iż była identyczna z tą, która płynęła w żyłach Mistrza Czarnej Śmierci. Doskonale pamiętam to okropne doznanie, kiedy rozplątałem pierś nauczyciela. Jakbym rozpruł worek pełen mokrej sadzy. Coś podobnego musiał teraz odczuwać karczmarz. I miejski pacholek... Nie. Ten już nic nie czuł. Leżał bez ruchu, a z brzucha sterczała rękojeść puginału. Wszedł w trzewia skosem, na tyle długi, by bez trudu dojść serca. Zbir nie miał nawet tyle doświadczenia, by przy zderzeniu z przeszkodą odprowadzić ostrze w bok lub zgoła je porzucić. Błazej pod ścianą wyrzucił z siebie na podłogę kolejną porcję wymiocin. Ludzie w karczmie zamarli, a potem rzucili się do drzwi. Zapach krwi sprawił, że przyczajone szczury zaroily się, wypełzły ze wszystkich zakamarków – zarówno te jeszcze pozornie zdrowe, jak i wyraźnie zarażone, nawet takie, które ledwie powłóczyły łapami. Karczmarz wrzasnął na całe gardło, padł na ziemię, zaczął się wić w konwulsjach. Z nabrzmiąłych nagle wrzodów pociekła cuchnąca ropa.

Ludzie uciekali z wrzaskiem, nieśli wieść o straszliwym wydarzeniu współmieszkańcom. Fala szczurów wylała się na ulice. Strzał z samopału. Pewnie jakiś szlachcic albo bogaty mieszczanin zabił któregoś z mych towarzyszy. Maleńkie ciało rozprysło się po uderzeniu kuli na wszystkie strony. Znałem ten widok. Miałeś szczęście, mały braciszku. Twoje męki zostały skrócone. Wiedziałem, że niektórzy będą jeszcze strzelać lub siec szczury szablami. Inni zechcą uciec z miasta, ale to wszystko na próżno. Zaraza zetnie ich z nóg nim dobiegną do najbliższych osiedli. Bo to nie jest zwyczajna choroba... Została okiełznana i wyhodowana przez wielkich mędrców, największych lekarzy. Tylko najwybitniejsi uzdrowiciele potrafią stworzyć coś, co zabija w sposób doskonały. Kiedym opuszczał akademię po zabójstwie Mistrza Czarnej Śmierci, byłem przekonany, iż wynoszę z niej zwyczajne choróbsko. Te wszystkie ubrania, które zakładano ku ochronie przed wejściem w najgłębsze podziemia, gdzie było królestwo Czarnej Śmierci, te pachnące ostro płyny, którymi splukiwano się po wyjściu stamtąd, mikstury podawane do picia, skórzane maski wypchane niesłychanie drogim jedwabiem, nasączonym odkażającą driakwią... Wiedziałem, że przebywałem w dziedzinie śmierci, ale nie miałem do końca pojęcia, jak groźnej. Dopiero gdy wyszedłem...

Pamiętam, ukochany. Tamten kupiec, który zastąpił ci drogę. Ledwie go tknąłeś, pokrył się liszajami i czyrakami. Nie miałeś rękawiczek. Jakże on krzyczał, jak wił się w bólach!

Tak, Blanko. Dopiero po czasie nauczyłem się, że muszę okrywać dłonie skórą, jeśli nie

chcę, by ludzie marli jak muchy pod byle dotknięciem.

Uwielbiam tę twoją moc, Jakubie. Kocham chwile, kiedy jej używasz. Jesteś

wtedy panem życia i śmierci. Bardziej nawet panem śmierci – i dobrze, bo to piękna niewiasta... Wtedy czuję się jak w czasach, kiedy brałaś mnie w objęcia, wchodziłaś we mnie zachłannie, dawałaś nieziemską rozkosz. Cieszę się, że i to miasteczko pogrążył w rozpacz.

Wiem, mogę przecież bez trudu odgadnąć twoje spełnienie. I mnie wówczas potrafią dopaść spazmy. Tylko nie wiem do tej pory, czy to ja jestem ich źródłem, czy jedynie odbijam twoje silne doznania na kształt zwierciadła.

Ludzie nie zasługują, żeby spotykało ich dobro. Tylko tego, który niesie zniszczenie, potrafią uszanować. Nie ubiczują i nie ukrzyżują największego ze zbrodniarzy. Jego uczynią panem, pochylą przed nim karki. Najgorszą zaś kaźń zadadzą niewinnym.

Jednak chcą czuć się sprawiedliwi. Dlatego wynajmują katów. To na małodobrych spada odium tłumu, oni stają się przedmiotem pogardy. A ludzie patrzą na tortury, chłoną widok krwi. Mężczyźni krzyczą podnieceni, kobiety mdleją z rozkoszy. Gdyby nie wstyd i lęk przed napiętnowaniem, oddałyby się w tej chwili pierwszemu lepszemu. Widziałem to wiele razy. Tłum zawsze budzi we mnie odrazę. Dlatego nie żał mi ludzi.

Chodź popatrzeć. Chcę to przeżyć jeszcze raz.

Ale przecież nie chciałem robić tego właśnie tutaj – niechby sobie senne miasteczko żyło. Zamierzałem jedynie posilić się i odpocząć.

Naprawdę? Perlisty śmiech. Zawsze kiedy się śmiała, nadciągał okropny ból głowy. Naprawdę? Przecież uczyniłaś wszystko, aby cię zmusili do czynu. Nawet pozwoliłaś rozerznąć sobie ramię...

Nie pozwoliłem! Byłem zbyt powolny...

Chcesz oszukać siebie czy mnie? Zdajesz się czasem zapominać, że w wielu sprawach jesteśmy jednym. Znam twoje najskrytsze zamiary, dzwonią tuż koło mnie ulotne myśli, strzępy obrazów i wspomnień.

Co chcesz przez to powiedzieć, Blanko?

Nic więcej niżli to, że twoja powolność wynikała z ukrytej chęci przywołania szczurów.

Zapewne masz słuszność. Przecież mogłem chwycić karczmarza za rękę, zasłonić się, wytrącić mu tasak. A uczyniłem rzecz najmniej w takim położeniu rozsądną. Próbowałem się odsunąć. Tak, na pewno jest sporo racji w twoich słowach. W końcu jesteś ze mną bliżej niż żona z mężem. O małżeństwie zwykło się mówić, że są jednym ciałem. A co ojcowie kościoła powiedzieliby o takim związku jak nasz, Blanko? Zaśmiałem się. Dla nich to byłby doskonały pretekst, aby wydać nas w ręce inkwizytorów.

–Giń, psie!

Do karczmy wtargnął szlachcic z głową podgoloną zgodnie z najnowszą modą. Błysnęła szabla. Blanka zamilkła, odpłynęła, a ja odwróciłem się ku przybyszowi. Zawahał się na мгnienie oka, widząc martwego pachołka i dogorywającego karczmarza. To wystarczyło. Już

miałem w dłoni tasak, już nim zawinałem i wypuściłem spomiędzy palców. Tamten

był szybki i doświadczony, musiałem to przyznać z mimowolnym podziwem. Odbił zastawą broni ciężki tasak. Narzędzie ześliznęło się z bezradnym brzękiem, lekko tylko rozcięło w przelocie skórę dłoni. Szlachcic natychmiast ruszył ku mnie. Stałem spokojnie.

–To koniec, panie bracie – rzekłem cicho.

–Ja ci...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Zabrudzone posoką ostrze zrobiło swoje. Szlachciura padł, nim uczynił następny krok. Zanim dotknął klepiska, cały był już pokryty owrzodzeniami. Zawył rozpaczliwie. Ból był nie do wytrzymania, niezwykły, nie z tego świata, jakby szatan uchylił drzwi piekła. To wiedziałem, bo podczas przemienienia musiałem przeżyć chorobę wraz z jej wszystkimi objawami i z całym cierpieniem. Potem oczyścił mnie ogień w czeluści wielkiego pieca. Wtedy właśnie moja krew stała się czarna. „Musisz zostać wypalony – powiedział Mistrz Czarnej Śmierci. – Kiedy wewnątrz zostanie tylko popiół, będziesz gotów. Gdy krew przybierze kolor sadzy, to znak, że zapanowałaś nad Czarną Śmiercią.”

Chodźmy, mój jedyny. Chcę posłuchać, jak grasz.

Wydobyłem flet. Najwyższa pora. Zgiełk na ulicach, łuny pożarów w oknach. Wyszedłem przed karczmę. Zwłoki na kamieniach, tu i ówdzie ludzie dogorywają, inni biegną wśród szczurów wyglądających jak wielki, ruchliwy dywan. Przyłożyłem instrument do ust. Tęskna melodia nie mogła przebić się przez wrzawę. To znaczy nie mogli usłyszeć jej opętani przerażeniem ludzie, ale doskonale słyszały ją zwierzęta. Znieruchomiały. To sprawiło, że ten i ów człowiek zatrzymał się, zaskoczony. Muzyka wznosiła się na coraz wyższe tony. Wokół powoli zapadała cisza. Mistrz Czarnej Śmierci często powtarzał, że dostałem dar od Boga, a moja gra jest wyjątkowa, potrafi czarować. Nieraz już się przekonałem, iż działa nie tylko na szczury. Ruszyłem między nieruchomymi postaciami. Kłębki futer rozstępowały się przede mną i zamykały szyki za moimi plecami. Potem ruszały z wolna. To miasteczko przestało już istnieć. Pozostanie w nim jedynie ogień i zaraza. Jeśli ludzie będą dość mądrzy, pozwolą płomieniom wypalić chorobę, a ciała zmarłych obsypią wapnem. Jeśli nie... każdy, kto tu wejdzie, zginie po krótkim czasie.

Cudownie. Tego mi brakowało. Tak rzadko grasz ostatnio.

Co znaczy dla Blanki ostatnio? Nigdy nie potrafiłem z nią uzgodnić, jak odbiera upływ czasu. Były chwile, kiedy z jej słów wynikało, jakby ostatni miesiąc był ledwie mgnieniem oka, a czasem miałem wrażenie, że między południem a wieczorem upływa dla niej więcej niż kwartał. Przecież grałem nie dalej jak wczoraj.

Wyszliśmy za miasto. Ogień, krew i płacz. Marne ludzkie robaki pełzają w poszukiwaniu ratunku. Ale na ratunek nikt nie pośpieszy. Jak zawsze zostanie pokryta gnijącymi ciałami pustynia. Nawet wilki, lisy i kruki nie przybędą na żer. Wyczują odór Czarnej Śmierci i ominą przeklętą ziemię.

Rzeka toczyła leniwie fale. Kropelki deszczu znaczyły powierzchnię delikatnymi kóleczkami. Spływały po kapturze, próbowały wcisnąć się pod odzienie, dotrzeć do twarzy.

Musimy?

Musimy. Wiem, że nie lubisz przechodzić przez rzeki. Nie umiałaś pływać, topiłaś się podczas jakiejś przeprawy. Nie masz się teraz czego bać, ale lęk jednak pozostał. Niepotrzebny, dziecinny, ale właśnie to w tobie ukochałem. Mimo zbrukania życiem, mimo wszelkiego plugastwa, jakie cię otaczało i w jakim żyłaś, pozostałaś w głębi duszy niewinnym dzieckiem.

Zdjąłem buty. Bardzo lubię dotyk piachu, który wciska się między palce, lubię wyczuwać pod stopami kamyki i muszle, śliską roślinność. Zatrzymuję się na płyciźnie, stoję bez ruchu i czekam, aż małe zaciekawione rybki zaczną skubać włosy na moich łydkach. Mogą dotykać mnie bezkarnie, bo płynąca woda ma właściwości oczyszczające. Rzeki mają w sobie niezwykłą moc. Upiory i demony podobno nie są w stanie ich przekroczyć.

Wszedłem do kolan, przystanąłem. Obejrzałem się. Szczury kłębiły się na brzegu, niezdecydowane. Za każdym razem to samo. Uśmiechnąłem się. Dopóki stoję, będą się wahać. Potem pójdą, a raczej popłyną za mną.

Błagam, Jakubie, kochany mój, miejmy to wreszcie za sobą.

Westchnąłem. Niech będzie. Skoro tak bardzo prosisz... Na końcu kija, który spoczywał na moim ramieniu, kołysały się buty i worek z sucharami. Uniosłem go wysoko. Wszedłem głębiej. Woda sięgnęła brzucha, potem połowy piersi. Krople deszczu zgęstniały i zgrubiały. Zaczęła się prawdziwa jesienna ulewa. Powinienem marznąć, jednak odkąd obudziłem się po przemianie, kaprysy pogody nie robią na mnie wrażenia. Usłyszałem plusk. Takiego hałasu nie robi deszcz. Wokoło zaroilo się od małych ciał. Pyszczki wysunięte nad wodę, łapki w zapamiętałym ruchu. Szczury potrafią doskonale pływać. Nie przepadają za tym, ale potrafią. Z tych, które są teraz przy mnie, niektóre nie dotrą do drugiego brzegu. Bardziej chore i osłabione odpadną, utopią się, spłyną w dół rzeki. Może sprawią, że ktoś umrze, bo domowy kot albo pies zje zarażonego trupa, a może po prostu użyźnią kawałek ziemi albo będą stanowić żer dla wodnych drapieżników i trupojadów.

Wszedłem na piaszczystą łachę. Kępa drzew opodal powinna dać schronienie przed deszczem. Tam osuszę z grubsza nogi, owinę stopy onucami i wzuję wysokie buty. Otrzymałem je od Mistrza Ludwika. Po zajęciach post mortem ofiarował mi je jako nagrodę za noc spędzoną na samotnym oglądaniu rozkładających się zwłok. Woląłem nie dociekać, z jakiej, a raczej czyjej skóry zostały zrobione. Były bardzo miękkie, wygodne, nie powodowały odcisków czy odparzeń nawet po najdłuższym marszu. I, co bardzo ważne, nie wymagały natłuszczania ani uciążliwego czyszczenia.

Gdzie zmierzamy, najdroższy? Co postanowimy?

To było dobre pytanie, ale zadane nie w porę. Co tu dużo gadać – pytanie, dokąd zmierzamy, zawsze było nie w porę. Nie wiem. Najpierw chciałem pójść na południe, gdzie Kraków, dalej Praga, same gęsto zaludnione ziemie. Jednak nogi niosą zgoła gdzie indziej. Nie chcę patrzeć na ludzi. Pragnę być jak najdłużej sam.

Rozmyślenia przerwało wilgotne dotknięcie. Duży szczur stał przy mnie, patrząc ciemnymi, mądrymi ślepiami.

–Już czas, przyjacielu? – uśmiechnąłem się do niego. – Oczywiście, czas.

Przyprowadź swoich.

W akademii upuszczając krwi do spodeczka, a zaprzyjaźnione szczury posilały się, pijąc z naczynka. Nie żeby zaspokoić głód trzewi, ale głód przywiązania. W drodze nie miałem jednak ochoty na uczelniany rytuał. Poza tym wypełnianie obrządku zbyt by przypominało czas spędzony na naukach. Wołałem żyć tak, jak teraz. Wyjąłem niewielki pakunek. Rozwiązałem taśmę. W środku spoczywał niewielki nóż o klindze wyostrzonej niby narzędzia królewskiego cyrulika. Przeciągnąłem ostrzem w poprzek przedramienia i położyłem się na ziemi. Czułem delikatne języczki liżące ranę. Zwierzątka podchodziły po kolei, według starszeństwa w stadzie, żaden nie upił więcej niż przepisana kropla czy dwie. To była jedna rodzina. Pozostałe muszą czekać na swoją kolej, każdy klan innego dnia.

Łaskoczące, delikatne języki sprawiły, że nadleciało wspomnienie pierwszego dnia w Bieczu.

–Od dziś to będzie twój dom. – Bartosz rzucił tobolek na pryczę. – Nie patrz tak. Każdy nowy dostaje podobną celę. Nie ma się na co oburzać. Od chwili, kiedy Mistrz Wojciech wprowadził cię przez klauzurę, musisz poddać się naszym obyczajom.

Jednak mnie nie w głowie były skargi, bowiem w tej chwili rozległ się triumfalny pisk. Ujrzałem stado szczurów skłębionych na mojej sakwie. Było ich ze dwadzieścia, albo i więcej! Postąpiłem krok naprzód, chcąc je odegnąć, jednak powstrzymała mnie dłoń Bartosza.

–Zostaw! Nie wolno płoszyć szczurów! Masz w torbie jedzenie? Nie wolno trzymać w celi własnej spyży ni napitków!

–Nie wiedziałem...

–Teraz już wiesz! W pomieszkaniu masz oddawać się rozmyślaniom i nauce. A te stworzenia dopilnują, żebyś nie miał innych pokus.

Z odrazą obserwowałem lśniąca szare futerka i łyse różowe ogony. Ostre zęby bezlitośnie cięły skórę sakwy.

–I nie patrz na nie z takim obrzydzeniem. Szczur to najlepszy przyjaciel kata. Jeszcze się o tym przekonasz.

Zwierzęta dotarły wreszcie do chleba i kawałka wędzonej słoniny. Zagryzłem wargi. Dopiero teraz, patrząc, jak uczują, uświadomiłem sobie, jaki jestem głodny. Od poprzedniego

wieczora nie miałem nic w ustach. Nie było czasu na jedzenie.

–To dzięki nim akademia jest bezpieczna – ciągnął mój przewodnik. – To one sprawiają, że władza musi nas tolerować, a spora część podatków sływa do kasy Zgromadzenia.

–Nie rozumiem...

–Zrozumiesz. Już niebawem, kiedy nadejdzie czas ofiary. A teraz powinieneś zapoznać się bliżej z podopiecznymi. Musisz pozyskać ich miłość, a w tym celu nie można żałować niczego, nawet krwi. Przede wszystkim krwi...

Rozejrzał się po pomieszczeniu.

–Co znaczą twoje słowa? – spytałem.

–Niepokoisz się? – Przywołał na twarz lekki uśmiech. – Ten, kto ma szafować

cudzą posoką, musi się najpierw nauczyć upuścić własnej. O, jest!

Podszedł do stolika w rogu, przyniósł stamtąd niewielką miseczkę. Potem sięgnął do mieszka ukrytego w fałdach szaty. Powoli, obserwując mnie uważnie, rozwijał lśniąca skórę. W tej samej chwili, w której zobaczyłem niewielkie ostrze, doleciał mnie dziwny i ostry, ale przyjemny zapach nieznanymi ziół.

–Podwiń rękaw – rozkazał.

Cofnąłem się pół kroku. To już drugi raz w ciągu jednego dnia ktoś wydobyl przeciwko mnie broń!

–Nie pamiętasz, co mówił mistrz na klauzurze? Masz mnie słuchać we wszystkim! Nie uczynię ci wszak krzywdy. Gdyby chodziło o twoją śmierć, czyż nie pojmalibyśmy cię tuż za bramą i nie dokonali swego?

Miał słuszność. Jednak to nie zmniejszało mego niepokoju. Posłusznie podwinąłem rękaw.

–Wspaniale żyły – mruknął z podziwem. – Jak postronki. A mięśnie niby wielkie węzły. Gdzieś się tak wyćwiczył?

–Mistrz Eustachiusz nie szczędził mi ćwiczeń. Zawsze powtarzał, że ten, kto para się katowskim rzemiosłem, musi mieć sprawne ciało.

–Mistrz Eustachiusz. – W jego głosie znowu zabrzmiał podziw.

–Miałeś wiele szczęścia, żeś go napotkał. U nas legendy o nim opowiadają. Ponoć tak jest sprawny, że potrafi oskórować skazańca bez uronienia kropli krwi... A właśnie – ocknął się z zamyślenia.

–Krew! Szczury muszą się jej napić. Musisz im dać spróbować twej posoki, aby cię przyjęły.

Wzdrygnąłem się.

–No już, Jakubie! Ja potrzynam naczynie, a ty sam dokonaj nacięcia. Nie bój się, brzeszczot jest czysty, wygotowany i przelany najmocniejszą okowitą, żeby rana się nie paprała. Uważaj, jest bardzo wyostrzony!

Ujął miseczkę i podstawił pod moje wyciągnięte ramię. Posłusznie przeciągnąłem nożykiem po skórze. Rzeczywiście był ostry. Otworzył ranę o wiele większą, niż zamierzyłem. Siknęła krew, osiadając na twarzy Bartosza.

–Przepraszam...

–Nie szkodzi – uśmiechnął się, oblizując z warg mokrą czerwień. Zadrżał przy tym, jakby przeszedł go dreszcz niepohamowanej rozkoszy. Nagle zeszywniał, spoważniał i spojrzał na mnie z dziwnym błyskiem w oczach. Z niechęcią? To było coś więcej niż niechęć.

Pomyślałem, że chyba nie dam rady go polubić. Było w nim coś, co przywodziło na myśl bród i odór lochów. Krew spływała do naczynia. Kiedy wypełniła je do połowy, Bartosz podał mi pas lnianej materii.

–Opatrz nacięcie. A potem postaw miskę na ziemi i zobacz, co się zdarzy.

Ciasno owinąłem ranę. Czulem, jak krew nadal sączy się z podciętej żyły. Wziąłem naczynie i postawiłem na podłodze. W tej samej chwili szczury przerwały buszowanie w zmasakrowanej torbie. Oczekiwałem, że rzucą się gwałtownie na nowy łup, jednak zamiast tego spojrzały na mnie małe, mądre ślepia. Ze zdumieniem obserwowałem,

jak po kolei zeskakują z pryczy i podchodzą do miseczki. Każdy wypijał tyle, ile mu się należało, tak aby starczyło dla wszystkich. Kiedy ostatni skończył wylizywać naczynie, Bartosz otworzył drzwi.

–Teraz już jesteś bezpieczny. Wystarczy, że od czasu do czasu, przynajmniej raz na pięć niedziel, ofiarujesz im nieco posoki, by cię kochały i w razie potrzeby ostrzegły przed niebezpieczeństwem.

Powinieneś mieć broń, Jakubie.

Blanka swoim zwyczajem wtargnęła w myśli bez uprzedzenia. Obrazy znikły.

Nigdy nie wiadomo, kogo napotkamy.

Wiedziałem, czego się boi. Że stanie na naszej drodze ktoś, kto znał mnie z akademii, nie daj Boże jakiś ocalały mistrz albo starszy czeladnik, który będzie wiedział, co grozi z mojej strony i może mieć pojęcie, jak sobie ze mną radzić. Jaką broń, Blanko? Topór czy miecz o równej, ciężkiej głowni? Jak z tym podróżować, utrzymywać ostrze w czystości? Szablą ani innym rycerskim orężem nie umiem się posługiwać.

Chodźmy do jakiejś wsi. Dawno nie widziałam strachu i pożarów. Brak mi już tego. Od wizyty w tamtym miasteczku minął ponad tydzień.

Dobrze, kochana, jeśli tylko zobaczymy dymy z chałup, natychmiast skieruję tam kroki. Zagram na flecie i poprowadzę szczury niby karne, wyćwiczone wojsko.

Założyłem buty, podniosłem się ciężko. Zwierzęta wpatrywały się we mnie błyszczącymi oczami. Czekały. Czasem ogarniało mnie poczucie, a nawet przekonanie, że lepiej ode mnie wiedzą, dokąd zmierzam. Oczywiście to niemożliwe. Przecież od opuszczenia akademii nie przeżył żaden, który by pamiętał Biecz. Jedne umarły, inne się narodziły, a prawie wszystkie, które mi obecnie towarzyszą, dołączyły po drodze.

Baleś się ich na początku, pamiętasz?

Na początku? Może to nie był strach. Z pewnym obrzydzeniem oddawałem krew. A potem otrzymałem nakaz dostarczania kilku sztuk raz na miesiąc dla potrzeb Mistrza Czarnej Śmierci. W mrocznych podziemiach, gdzie królowała zaraza, szczury nie rozmnażały się, a w każdym razie umierały zbyt szybko, aby dać początek następnym pokoleniom, dlatego trzeba było tak dużo ich poświęcać. Tu, na jasnym świecie, działa się trochę inaczej. Choroba pożerała je wolniej. Marły w takich samych męczarniach jak pobratymcy w dziedzinie Mistrza, ale żyły zauważalnie dłużej. „Szczur to najlepszy przyjaciel kata”. Jedne z pierwszych słów, jakie usłyszałem po przybyciu do Bieca. Od nich rozpoczęła się moja tamtejsza edukacja. Minęło sporo czasu, zanim zrozumiałem ich sens, tym bardziej że mój dotychczasowy opiekun, przyjaciel i nauczyciel, Mistrz Eustachiusz, nie korzystał z usług gryzoni.

–Tylko wy mnie nie zdradzicie – rzekłem, patrząc na ruchliwe pyszczki. – Tylko na was mogę polegać bez zastanawiania się, czy potrzebna będzie odwdzieka. Wystarczy wam przymierze krwi. Ale dawniej nie było ono z mojej strony zarazem morderstwem. Dzisiaj pijecie czarną posokę, nie wiedząc, iż razem z przyjaźnią otrzymujecie śmierć.

Na mnie też możesz polegać. Blanka powiedziała to z pretensją. Ja też nigdy cię nie zdradzę.

Ty to co innego, moja miłości. Jesteś we mnie. Znasz wszystkie myśli. Nie wszystkie. Są miejsca, w które nie potrafię zajrzeć, choć bardzo się staram. Tak. Wtedy dopadają mnie zawroty głowy, zdarza się nawet omdlewać. Może lepiej nie szperać po takich zakamarkach.

Są moje! Tyle mi zostało świata, ile znajdę go w tobie i widzę przez ciebie! To prawda. Masz go jedynie tyle. Ja jestem twoim światem.

Czasem zdaje mi się, że bardziej kochasz szczury niż mnie!
To nie jest tak. Muszę o nie po prostu dbać. Bez mojej uwagi stałyby się zwyczajnymi zwierzątkami. Rozeszłyby się po okolicy, niosąc śmierć ludziom i nieostrożnym drapieżnikom. Nie chcemy chyba, aby ciemna pani chadzała bez naszej wiedzy?

Nie chcemy. Zagraj, Jakubie. Spraw radość im i mnie.

**** * ****

Dziecko leżało przykryte wyschniętą trawą. Minąłbym kopczyk obojętnie, biorąc go za jeszcze jeden wzgórek, jakich pełno było na łące. Ale szczury natychmiast wytropiły zapach człowieka. Zakłębiły się wokół ciała, sprawiając, że się nim zainteresowałem. Było sine, pokryte krwawymi wybroczynami, skóra w wielu miejscach uszkodzona i popękana. Nie pocięta nawet, ale popękana od potężnych uderzeń. Ktoś znęcał się nad nieszczęsnym chłopczykiem długo i boleśnie. Nawet tak zatwardziałe czarne serce jak moje musiało się na ten widok poruszyć.

Kto to zrobił?

Wyczułem w głosie Blanki równie silne emocje. Załkała.

Nie wiem, najdroższa. Na pewno ludzie. Tylko oni potrafią być tak okrutni.

Znajdźmy ich.

Znajdźmy, ale jak? Przecież martwy nic nie powie. Poza tym to tylko maleńkie dzieciątko. Nawet gdyby umiało mówić...

Zapytaj go! To było stanowcze, nie znoszące sprzeciwu żądanie. Wejdz w jego umysł i dowiedzmy się.

To nie takie proste. Nie mam narzędzi, ziół, wywarów... Poza tym nawet największy kunszt małodobrego nie wyrwie zeznań od trupa.

Masz mnie!

O czym mówisz, ukochana?

Spróbuj, zapytaj dziecka. Dotknij go, to może wystarczyć. Może potrafię się z nim porozumieć.

Tak... chłopiec jest martwy i ty także przecież nie żyjesz... To niemożliwe, ale... W akademii, gdym patrzył na mistrzów przelewających dusze do naczyń, by wchłonąć je potem ku własnemu pożytkowi, też zdawało mi się to niemożliwe.

Zdjąłem rękawicę. Skóra dłoni była szorstka, nieco napuchnięta i pomarszczona od wszechobecnej wilgoci. Położyłem rękę na czole chłopczyka. Nic się nie działo, nic nie czułem. To na nic, Blanko, nie może...

Milcz! Pozwól mi zrobić swoje.

Nagle przeszył mnie dreszcz. Przebiegł przykrym doznaniem od głowy wzdłuż kręgosłupa, wrócił do góry, uderzył bólem w rękę. To przelotne cierpienie było niczym w porównaniu z próbami, którym poddawano mnie w akademii, ale towarzyszyło mu poczucie straszliwej pustki. Jakby część mojej duszy zniknęła, oddaliła się gdzieś i miała nie powrócić. Trwało to mgnienie oka, ale mnie się zdawało, że minęły godziny, może nawet dni.

Złość. Dzika, bezrozumna złość. To właśnie poczułem w ciągu następnych paru uderzeń serca. Owa wściekłość łączyła się z poczuciem straty. Zanim jednak opanowała mnie na tyle, bym uczynił coś okropnego, znowu stałem się sobą. Zrozumiałem.

–Nie rób tego więcej, Blanko! – powiedziałem głośno. – Nie opuszczaj mnie na tak długo!

Przecież byłam poza twoim umysłem ledwie chwilkę, jedynie częścią siebie.

Chwila może się wydać wiecznością, jeśli człowiek nie wie, czy rzeczywiście nie potrwa dłużej niż życie. Jeśli dano mi ciebie, zmuszono do wypicia twej duszy, musisz być ze mną, inaczej może się stać coś straszego. Jesteś moim przekleństwem i błogosławieństwem zarazem.

Wiemy już wszystko. Patrz.

Otoczyły mnie złe, wykrzywione nienawiścią twarze. Wzniesione pięści, wspomnienie

straszego bólu. Potem tylko jedno oblicze. Poznam je na końcu świata.

Nie musimy iść na koniec świata. Ten zbrodzień przebywa niedaleko. Chodźmy tam.

Pójdziemy, miła, zaraz pójdziemy. Wpierw jednak wezmę ostrze i zrobię, co trzeba. Szczury czekają.

Wieś rozłożyła się za kępą drzew. Gdyby nie trup, pewnie bym ją przeoczył, a gdyby nawet nie, na pewno nie miałbym ochoty tu zaglądać. Wszedłem między chałupy. Na krzywych płotach natychmiast zawiśli ciekawscy. Łokcie wystawione za kołki, brody oparte na złożonych dłoniach. Ludzie wszędzie są tacy sami. Szukałem pośród nich tego jednego. Nie wiedziałem, czy na pewno tu jest. Za drogowskaz miałem jedynie mętne wspomnienia chłopca, uwięzione w częstce umysłu Blanki. Badając dziecko, nie opuściła mnie cała, to zrozumiałem szybko. Uczyniła coś, co można by nazwać wysunięciem końców palców. Co by się stało, gdyby odeszła całkiem?

–Czegój?

Opryskliwy, chrapliwy głos z tyłu. Nie obejrzałem się. Nie było potrzeby. Jeszcze się nie zdarzyło, by ktoś odważył się mnie zaatakować, nawet mając przed oczami odsłonięte plecy. Pozornie tylko bezbronny. Ludzie doskonale wyczuwają siłę innych. Nie przyznają się do tego sami przed sobą, ale wiedzą, wobec kogo należy odczuwać respekt.

–Czegój? – powtórzył głos. – Odpowiadaj, boć strzałę w serce wrażeń.

Odwróciłem się. Chłop stał z napiętym łukiem. Ręce miał mocne, sękate, pewnie trzymał broń. Takie ręce potrafią sprawić, że uderzenie jest bardzo bolesne. Mógłby

się stać doskonałym katem, gdyby nie był tak głupi i okrutny.

–Opuść broń. Czy widzisz, żebym miał jaki oręż, by we mnie celować?

–Odpowiadaj, nie mędrkuj! Czego chcesz?

–Niczego albo wszystkiego. To zależy od ciebie.

Nie zrozumiał. Mocniej ścisnął łuk, strzała pewniej osiadła na majdanie.

–Będziem chcieli zagadek – warknął – pójdziem do szalonego pustelnika, co nimi ino gada. Ty zaś odpowiadaj po porządku.

–A tyś kto, że tak dopytujesz?

–Sołtysem tu jestem. Prawo mam wypytać każdego, co chce przejść przez wieś.

–Nie zamierzam przez nią przechodzić.

Tym razem drgnął. Chyba usłyszał w moim głosie groźbę.

–A co zamierzasz?

–Zapytać o coś. Mam tu pewną rzecz. – Wskazałem węzełek dyndający u pasa. –

Powinieneś dać rzetelną odpowiedź.

Nie wiem, czy chciał strzelić, czy po prostu cięciwa wyrwała się spod palców.

Raczej to drugie, bo zerwał strzał – nawet nie musiałem robić uniku. Brzechwa świsnęła o dobre dwie stopy od mojej piersi. Natychmiast znalazłem się przy nim i wyrwałem łuk. Był tak zdumiony, że nawet się nie poruszył. Uwięziłem jego szyję między łuczyskiem a cięciwą.

Wolną dłonią rozwiązałem pakunek.

–Poznajesz? – Podsunąłem mu pod szeroki nos zawartość.

Chwilę patrzył w martwe oczy dziecka, zjechał wzrokiem na krawędź odciętej szyi, sterczącą kostkę kręgosłupa, a potem targnęły nim torsje. Nie pozwoliłem zapaskudzić sobie ubrania. Przesunąłem cięciwę tak, by zdusiła mu grdykę i wbiłem palec w miękką materię pod krtanią. To musiało być okropne uczucie, kiedy cała treść wróciła do żołądka. Jakby połknął wielki kamień, a ten spadł gwałtownie w sam środek trzewi.

–Nawet nie potrafisz spojrzeć na własne dzieło, sołtysie? Tyś przecie oprawił dzieciątko. Tym łukiem biłeś tak mocno, że delikatna skórka popękała.

–Bo to bies był – jęknął. – Diabelskie nasienie! Syn czarownicy!

–Dlategoście go skazali pospołu całą wioską, a potem zawlokłeś nieszczęsnego na pustkowie? Wiecie, co mu czynił? – zwróciłem się do otaczającego nas ze wszystkich stron wrogiego tłumu.

–Wiemy! – padła odpowiedź.

Naprzód wystąpił stary chłop o długich, siwych włosach, z wyniosłym wyrazem twarzy. Przekrzywił lekko głowę i wydał dolną wargę, co zapewne miało mu dodać powagi. Typowy wiejski mędrak.

–Tak trzeba z szatańskim pomiotem! Trza mu złego wybić drewnem zza sadła, jajka żywcem odjąć, bo wonczas czart ucieka. Miał kopyto miast lewej nogi! Mać jego to ukrywała, ale prawda zawsze na wierzch wypłynie!

–Miał zniekształconą stopę – wycedziłem z zimną pasją. – Każda zielarka, co porody przyjmuje, wam powie, że tak się zdarza!

–A tyś kto, że się za diabłem ujmujesz?

Pierwszy kamień miał trafić w głowę. Złapałem go i odrzuciłem tak, by rozbił czoło rzucającemu. Nie trzeba było tym ludziom niczego więcej. Gdybym nie trzymał sołtysa w morderczym uścisku, już by mnie zabili. Ale miałem przewagę. Oni zaś nie zasłużyli na łagodność.

Nie zasłużyli, Jakubie! Czyń swoje!

Zębami ściągnąłem rękawicę. Dotknąłem czoła sołtysa, takim samym gestem jak przedtem czoła martwego dziecka. Przerażeni ludzie patrzyli, jak w jednej chwili twarz przywódcy wsi pokrywa się nabrzmiewającymi w oczach czyrakami. Powinni ukamienować mnie czym prędzej. W tym była jedyna szansa ocalenia. Jednak ludzie są zbyt tchórzliwi i bezmyślni, a im większa ich masa gromadzi się w jednym miejscu, tym bardziej wzrasta bezmyślność. Rozpierzchli się z krzykiem na wszystkie strony. Wyjąłem z zanadru flet.

Ludzie rozstępowali się przede mną. Gdyby wiedzieli, że w każdej chwili mogę ich przyprawić o śmierć w męczarniach, nie byłiby bodaj bardziej przerażeni i pełni odrazy niż teraz.

–Odejdź, syneczku! – Matka odsunęła ciekawego świata malca. – Jeszcze małodobry nastąpnie na twój cień. Nie masz w świecie gorszej wróżby.

Kazali mi się ubrać w czerwony strój z wycięciami na oczy, długim kapturem i szerokimi rękawami. Oczywiście odmówiłem. Jestem katem, adeptem Akademii Katowskiej w Bieczu, a nie zwykłym rzeźnikiem, który musi ukrywać twarz. Potrzebowali biegłego oprawcy, aby należycie wykonać wyrok sądu, musieli więc przyjąć moje warunki.

–Straszliwy ten zbrodzień został skazany na śmierć – grzmiał głos herolda. – Za łupienie na drogach, za rozliczne gwałty i obrazę majestatu jego przewielebności biskupa Henryka zostaną mu zadane następujące męki: łamanie kołem, obcięcie dłoni i stóp, wylupienie oczu, a wreszcie obcięcie głowy.

Podjąłem się tej pracy. Wszedłem do miasta, zamierzając jedynie posilić się i ruszyć dalej. Tym razem uważałem, by nie sprowokować miejscowych przedstawicieli władzy. Moi mali przyjaciele podążali swoimi ścieżkami. Nigdy nie było ich widać, jeśli tylko mogli się gdzieś ukryć. W karczmie dowiedziałem się, że magistrat poszukuje małodobrego do wykonania wyroku.

Dlaczego, Jakubie? Przecież nie jesteś nic winien ani tym ludziom, ani żadnym innym. Dlaczego chcesz zadać męczarnie temu nieborakowi?

Nieborakowi! Skazaniec został rozciągnięty na konstrukcji, którą wykonano na moje żądanie. W tym mieście nie mieli nawet porządnego koła do tortur! To, które mi pokazano, wzbudziło jedynie pusty śmiech. Ktoś kiedyś wyobraził sobie, że ma wyglądać po prostu jak nieco większa obręcz pańskiego powozu. Nadawało się, by je powiesić pod powalą na Boże Narodzenie, ale na pewno nie do katowskich czynności. Dlatego kazałem sobie przyprowadzić dwóch najbieglejszych cieśli. Opierali się, bo uznali, iż hańbą będzie pracować dla małodobrego. Jednak zmiękli prędko, bo rajcy zagrozili im utrudnieniami w wykonywaniu codziennej pracy. Z dwóch porządných dębowych law sporządzili coś na kształt krzyża, ale nie pełnego, tylko kończącego się na poprzecznej belce. W wyznaczonych miejscach wycięli

otwory i przeciągnęli przez nie pasy.

Teraz więzień leżał rozpięty. Głowa i szyja aż po szczyty obojczyków wystawały za drewno, jednak aby kark nie wyginał się za bardzo w tył, podtrzymywały go pod potylicą dwie szerokie deszczułki włożone w przygotowane wcześniej szczeliny. Skazaniec musiał się pewnie zastanawiać, dlaczego tak, a nie inaczej. Niech myśli. To, co dzieje się w głowie, bywa nie mniejszą torturą niż męki zadawane ciału. Podchodziłem bez pośpiechu. Nieborak! Co też ci się roi, Blanko! To morderca o wiele gorszy od sołtysa i całej tamtej wsi. Oni zabili chłopczyka ze strachu. Ten tutaj zapadł na straszliwą chorobę zwaną chciwością. A że na dobitkę naturę miał gwałtownika, popełniał czyny prawdziwie straszne.

Rób zresztą, co chcesz. I tak wszyscy tutaj umrą po naszym odejściu. Wczoraj przywołałeś

przecież szczury.

Właśnie. Niech umierają, skoro tak lubią patrzeć, jak się pozbawia innych życia. Ale niekoniecznie. Trzeba postępować według pewnych reguł. Dam im szansę przeżycia. Wszystko zależy od nich.

Pozwoliłem zwierzętom wejść do miasta, ale nie wynurzą się, nie rozniosą zarazy, póki nie zezwolę. Potrzebowaliśmy złota na zakup nowego odzienia, porządny płaszcz. Nie od rzeczy byłoby też nabyć u nożownika jakiś kord, a u rusznikarza bandolet, by nie wyglądać na bezbronny. W tej okolicy źli ludzie chętnie zaczepiali nieuzbrojonego wędrowca. Wszak nie dalej niż dwa dni temu jakiś opryszek chciał mnie obrać z sakiewki. Miał straszliwego pecha. Po pierwsze dlatego, że zaczepił nędzarza, a po drugie, trafił właśnie na mnie. Zanim go ktoś znajdzie, pewnie zdąży już dobrze nadgnić. Nie, nie powaliłem go chorobą. Skręciłem mu kark. A pracę przy egzekucji przyjąłem także dlatego, że muszę pilnować, by nie wyjść z wprawy. Zadawanie mąk to jedyne, co umiem robić doskonale, a bez ćwiczenia gotów jestem jeszcze czegoś zapomnieć.

Skazany na mój widok splunął. Ślina osiadła na płaszczu. Spojrzałem obojętnie.

–Co, psi synu? – wydusił przez ściśnięte strachem gardło. – Która kurwa cię porodziła i w jakim zamtuzie? Pewnie najostatniejsza z ostatnich w najpośledniejszym z poślednich. A ojca swego znasz? Wątpię. Takiego kurwiego syna musiała powić dziwka, co jej nie chciał nikt krom trędowatego proszalnego dziada.

Zapewne liczył, że zdoła mnie rozwścieczyć, a wtedy śmierć przyjdzie prędzej. Stałem nad nim, czekałem, aż skończy. Mistrz Eustachiusz wiele razy przestrzegał, bym nie dał się ponieść zapalczywości. Wiele też razy słyszałem, jak więźniowie lżą go przed kaźnią. Zaś on zawsze wtedy uśmiechał się dobrotliwie. Nie odczuwał nienawiści, a i zadawanie mąk nie sprawiało mu rozkoszy. Kat nie powinien czerpać zbyt wiele przyjemności ze swej pracy. Ma ją po prostu wykonywać najlepiej jak potrafi, a nagrodą jest chwila zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku. Znow na myśl przyszedł mi pierwszy mentor w Bieczu, Bartosz, ten sam, który zapoznał mnie ze szczurami. Wprost uwielbiał zadawać ból. Cierpienie było dlań celem samym w sobie, a nie tylko drogą do wydobycia zeznań bądź zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Dlatego nigdy nie miał zostać wypuszczony za mury uczelni. Nawet nauczanie adeptów powierzono mu jedynie w zakresie sztuki rozrywania stawów i posługiwania się szczypcami. To bardzo niewiele. Dlatego tak zniechęcił mistrzów, że... Właśnie. Coraz częściej męczyły mnie wątpliwości, co tak naprawdę skłoniło go do uknięcia intrygi, która dla mojej ukochanej skończyła się śmiercią. Teraz jednak nie pora była na rozmyślania. Zaraz będę musiał zapracować na obiecaną sowitą zapłatę.

Kiedy na wieść o tym, że miasto poszukuje kata, zgłosiłem się do rajców, ci niezmiernie się ucieszyli. Byli też pełni podejrzeń. Nieraz zdarzało się, że obowiązki oprawcy podejmował ktoś, komu zdawało się prostą rzeczą zadać męki i śmierć.

–Jeno masz to zrobić jak należy. Jeśli zobaczymy, żeś nie jest cechowym małodobrym,

marny twój los. A Malachiasz ma czuć, że umiera.

W głosie człowieka, który to powiedział, usłyszałem ból i pragnienie pomsty.

–Kogo ci zabił, panie? – spytałem.

Drgnął, milczał długo. Wreszcie opowiedział. Zbrodniarz nie tylko zabił, ale i pohańbił jego szesnastoletnią córkę. Panna była wprawdzie jedną z licznych ofiar, ale za to najświeższą. Uczyniło się o niej bardzo głośno, bo krzywda po raz pierwszy dotknęła wysokiego urzędnika. Skrzywiłem się w duchu. Póki zbir mordował obcych bądź porywał się co najwyżej na bogatszych kmiściów albo zgoła biedotę, jakoś panowie rajcy nie dostrzegali okrucieństwa, lekceważyli zagrożenie. Schwytali gada, dopiero gdy dopiekl komuś, kto sprawuje władzę.

Sprawdziłem pasy na przedramionach. Były zaciśnięte zbyt mocno i za bardzo zsunięte w stronę nadgarstków. Za pomocnika dostałem ułaskawionego skazańca. Okazał się bardzo gorliwy. Zbyt gorliwy, jak to w podobnych przypadkach bywa. Jednak musiałem się nim zadowolić. Nikt inny nie chciał zostać pomocnikiem kata, bowiem to hańba dla mieszczuchów i szlachciurów wprost niewyobrażalna. Pamiętam pewną historię o tej ludzkiej obłudzie, usłyszaną jeszcze w akademii od Mistrza Herberta. Opowiadał, jak to pewnego razu we Wrocławiu schwytano przestępcę, który skrzywdził bogatego kupca, członka rady miejskiej. Nie miał kto wykonać wyroku, bo miasto nie miało prawa miecza, zatem nie zatrudniało małodobrego. Wobec tego trzeba było egzekutora wyznaczyć. Do pracy na szafocie zobowiązano syna pokrzywdzonego rajcy. Nieborak musiał potem wynieść się z miasta, otoczony powszechną niechęcią, może nawet nienawiścią. Można bowiem być zbrodniarzem, zabijać, gwałcić i rabować, a nikt – ani więzienni dozorczy, ani prowadzący na kaźń żołnierze i pachołkowie – nie zawaha się dotknąć przestępcy, nikt nie będzie uważał, że zadawanie się ze skazanym przynosi nieszczęście. Jednak spróbuj tylko wystąpić w roli kata, przysłużyć się sprawiedliwości. Dla ludzi to gorsze od największej przewiny. Ktoś, kto zadaje śmierć w imieniu prawa, jest bardziej godny potępienia niż ten, kogo oprawia w tegoż prawa majestacie.

Poprawiłem pasy. Nieco je poluzowałem, przesunąłem bardziej ku zagięciom łokci, znów zacisnąłem. Wyciągnąłem rękę do tyłu. Czekałem dość długo, wreszcie spojrzałem na pomocnika. Stał z rozdziawionymi ustami, zupełnie nie wiedział, o co mi idzie. Skąd miał wiedzieć? Przecież pierwszy raz w życiu uczestniczył w

podobnym widowisku. Ja zaś przyzwyczajony byłem, że pomagali mi scholarze albo nawet mistrzowie. Im nie trzeba było nic mówić.

–Linę. Podaj mi linę. Nie tę, głupcze, cieńszą!

Przewiązałem przedramiona tuż przy nadgarstkach. Nie można pozwolić, aby Malachiasz zgiął ręce albo przesunął je choć o cal. Poza tym po połamaniu kości dłonie muszą pozostać w poprzednim położeniu. Większość oprawców wkłada pod kończyny drewniane klocki, aby łatwiej gruchotać członki. Jednak dla adepta akademii i ucznia słynnego Eustachiusza to błąd,

a nawet obrazoburstwo, odstępstwo od prawdziwej sztuki. Więzień patrzył przerażony. Do głowy mu więcej nie przyszło powiedzieć coś obelżywego. Wiedział już, że nie wytrąci mnie z równowagi żadnym sposobem i spotka go, co spotkać musi.

–Skończ szybko, kacie – poprosił głosem cichym, nabrzmiałym cierpieniem, którego jeszcze nie zdążył zaznać, ale wiedział, że zbliża się z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca. – Miej litość.

Milczałem. Nie zapłacono mi za litość, ale za wykonanie wyroku. Podziękuj lepiej szalonemu sędziemu, który miał taką fantazję. Można łamać człeka od środka albo od zewnątrz. Jeśli trybunał zarządzi to pierwsze, na początek łamie się ofierze żebra wraz z kręgosłupem. Potem nie czuje ona bólu, a na pewno jest on o wiele mniejszy, zanim po kilku minutach zaniknie zupełnie. Tutaj jednak miałem łamanie od kończyn począwszy, bez miłosiernego ciosu. Ten człowiek miał naprawdę czuć, że umiera.

–Proszę... bracie.

Bracie! Powiedział do mnie „bracie”! Nie pierwszy raz usłyszałem takie słowa podczas egzekucji. Dziwnie prędko i natrętnie skazańcy chcą się bratać z oprawcami. Człowiek to podła istota. Im większej krzywdy spodziewa się od kogoś doznać, tym bardziej go szanuje. Jeszcze parę chwil i powiesz, że ukochałeś mnie jak Chrystus ukochał ludzkość. Miłość też bywa nierozzerwalnie związana ze strachem. Wmówisz ją sobie, Malachiaszu, nim skończę ostatni węzeł.

Odwróciłem się w stronę tłumu. Milczał wyczekująco. Dałem znak. Dwóch ludzi uniosło zbite ławy od strony głowy, pomocnik szybko podstawił pieńki z wydrążonymi otworami, wsunął w nie nogi konstrukcji. Teraz tłum lepiej widział ofiarę. Sprawdziłem, czy wszystko dobrze się trzyma. Stół nie może się chybotać, bo wtedy ciosy zamiast spaść w wyznaczony punkt, mogą przelecieć obok.

–Daj kołek – rozkazałem. Natychmiast miałem w dłoni przedmiot podobny do rycerskiego buzdyganu, ale masywniejszy i pozbawiony ostrych stalowych liści. – Zaczynamy, Malachiaszu. Masz dużo szczęścia w swym wielkim nieszczęściu, bowiem nie włożę ci w usta katowskiej kuli.

Nie rozumiał, o czym mówię. Na czoło wystąpił mu pot. Czekał na pierwsze uderzenie. Potem drugie, trzecie... Chciał już mieć za sobą początek egzekucji. To nie takie proste, człowieku. Kiedy uderzę, ból odbierze na kilka chwil czucie w całym ciele. Nie mogę pozwolić, byś nie czuł, jak będę łamał pozostałe kości. Ze stołu, na którym zostały rozłożone narzędzia, wziąłem ostry, zakrzywiony nóż, podobny do tureckiego kindżału. Przyłożyłem go tuż pod szyją skazanego i pociągnąłem mocno

ku dołowi. Materiał koszuli zdawał się rozchyłać pod dotknięciem. Potem pociągnąłem wzdłuż rękawów, szarpnąłem. Lniane płótno wysmyknęło się spod Malchiasza. Zwinąłem je w kulę i rzuciłem w dół szafotu, na głowy gapiów.

Spojrzałem na zbrodniarza. Cuchnący pot pokrywał cały tors, spływał kroplami do pępka,

ginał pod portkami. Uderzyłem znienacka, mocno, choć bez rozmachu, w deskę tuż obok dłoni. Malachiasz wrzasnął. Chwilę trwało, zanim dotarło doń, że nic się jeszcze nie wydarzyło.

–Wypróbowałem tylko kołek – rzekłem.

A potem trzasnąłem go w prawe przedramię. Suchy odgłos gruchotanej kości. Tym razem wrzask był jak najbardziej na miejscu. Skinąłem na pomocnika. Wiedział dokładnie, co robić, bo pouczyłem go wcześniej, i to kilkakrotnie. Położył na złamanej ręce mokrą szmatę z wywarem uśmierzającym ból. Nie mogę czekać, aż sam stępuje, bo ludzie zaczną się niecierpliwić. Stałem z boku, by było widać dokładnie, co robię. Wzniosłem drewno, lecz – wbrew oczekiwaniom tłuszczy i samego oprawianego – nie opuściłem go na drugą rękę, ale na goleń. Znow wycie. Skazaniec próbował stracić przytomność, ale otrzeźwiłem go mierzonym uderzeniem w policzek. Przyłożyłem do ust szklanicę. Zakrztusił się, chciał wypluć słodko-gorzki płyn, ale rozwarłem mu przemocą szczęki. Musiał wypić. Trochę wzmacniającego środka wyleciało dziurkami nosa. Kaszlał, a każdy spazm przyprawiał połamane członki o nowy paroksyzm bólu. Pomocnik położył szmatę na goleń. Nie śpieszyłem się. Katu nie wolno się śpieszyć. To wie każdy, kto para się tym rzemiosłem, nawet ci niezwiązani z cechem, którzy świadczą usługi w miejscach, gdzie żaden z wyzwolonych ani mistrzów nie dociera. Zbyt ni pośpiech zawsze prowadzi do omdlenia torturowanego, a nawet przedwczesnego zgonu. A poza tym kaźń jest prawdziwym spektaklem dla plebsu, teatrem kupionym za duże pieniądze przez łaskawą władzę. Publiczna egzekucja uspokaja umysły, koi krwiożercze zapędy. Łatwiej rządzić takimi, którzy wiedzą, co może spotkać opornych.

Drugie przedramię, druga goleń. Straszliwy wrzask za każdym razem. Błagające o zmiłowanie oczy.

–Czy twoje ofiary też przed śmiercią tak patrzyły, Malachiaszu? Czy miałeś dla nich litość, której teraz wyglądasz?

Jesteś okrutny, Jakubie. Cudownie okrutny...

Nie, Blanko. Nie jestem. Okrutnikowi sprawia radość zadawanie cierpienia. Ja jedynie wykonuję swoją pracę. Staram się też, żeby zbrodniarz przed śmiercią zrozumiał bezmiar własnej podłości. Jeśli tak się stanie, będę zadowolony.

–Przygotuj się, człowieku. Zostały ci jeszcze kości ramion i uda. Nie kazali łamać żeber, lędźwi ani dłoni, unikniesz więc przynajmniej tego.

Wrzeszczał jeszcze, zanim uderzyłem. Czuli ból, nim narzędzie kaźni zrobiło swoje. Tłum zamarł. Wiem doskonale, że trudno oderwać wzrok od takiego widoku, a tu w dodatku mieli do czynienia z prawdziwą sztuką.

–Teraz obetniemy dłonie i stopy – oznajmiłem.

Malachiasz wciągnął głęboko powietrze. Przygotowywał się na uderzenie wielkim

toporem, który widział wbity w pień, umieszczony przy wejściu na podest. Ująłem narzędzie,

sprawdziłem, czy zostało dość dobrze wyostrzone. Machnąłem ręką na pachołków. Wtaszczyli sagan z rozżarzoną węglą. Włożyłem do środka kilka prętów o końcówkach wyklepanych szeroko, w kształt małych łopat. Pachołkowie umknęli czym prędzej, bym przypadkiem ich nie dotknął, sięgając po żelazo. Teraz wzniosłem topór. Prosta robota. Przeciągnąłem w powietrzu nad dłonią zbója, leciutko musnąłem skórę. Wzdrygnął się. Uderzyłem bez zamachu, ale z dużą siłą. Palce skurczyły się, wyprostowały. Dłoń spadła na podest. Dałem znak pomocnikowi. Podniósł drgającą jeszcze część ciała, wrzucił do kosza. Był blady, bliski womitów. Malachiasz już nie wrzeszczał, ale wył niby dzikie zwierzę, daremnie starając się pokonać opór rzemienia, przygiąć do piersi krwawy kikut. Przytrzymałem go, przyłożyłem szeroką płaszczyznę rozgrzanego do czerwoności pręta. Nie możesz się wykrwawić, przyjacielu. Nie wolno odejść przed czasem. Krzyczał wniebogłosy, choć ból z odciętej kończyny na pewno był mniej dotkliwy niż ten, który towarzyszy łamaniu. Ale tak to już jest, kiedy do cierpienia dołącza się poczucie nieodwracalnej straty. Druga ręka spadła po krótkiej chwili. I znów Malachiasz wył, a w tłumie rozległy się szmery. Nie usłyszałem jednak okrzyku „oszczędź”, jak się to czasem zdarza. Mogę wtedy zwrócić oblicze ku rajcom, staroście jurydycznemu i sędziemu. Oni zaś są władni skrócić męki. Nie, to nie. Stanie się jak chcecie, ludzie...

Skazaniec próbował podkurczyć stopę. Pasy i połamane kości nie pozwalały wykonać najmniejszego ruchu, ale widziałem, że pragnie to uczynić ze wszystkich sił. Rozciąłem spodnie tak samo jak przedtem koszulę. I tym razem kłęb materiału cisnąłem w tłum. Przy stopach sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Najpierw trzeba podciąć ostrożnie skórę na więzadłach i ścięgnach, zobaczyć, gdzie łączą się kości w stawie, żeby rozdzielić je sprawnym uderzeniem. Oczywiście potrafiłbym doskonale poradzić sobie bez takich wstępów; umiem zadać cięcie, przy którym błędną umiejętności królewskich medyków. Zawsze też można po prostu trzasnąć na oślep, przerąbać kość – dla gawiedzi to wszystko jedno, bo tak czy siak krew popłynie, a odcięta część ciała wyląduje w koszu. Ale nie ma w tym artyzmu. Zaś katastrofa to prawdziwa sztuka. Gdy się wziął do roboty przy kostkach, ledwie uczyniłem pierwsze nacięcia, ledwo błysnęły ścięgna i kość, pomocnik zemdłał. Nic to. W tej chwili i tak nie był potrzebny. Nadciąłem, ile trzeba, po czym rozchyliłem skórę. Przeciągnąłem toporem wzdłuż, od połowy goleni po palce, aby łatwiej było zobaczyć skutek poczynąń. Odsunąłem się, aby ludzie i dostojnicy ujrzeli odsłonięte kości. Tak naprawdę, gdyby teraz dobrze pociągnąć, skóra ze stopy zostałaby w ręku. Kiedyś musiałem do podcinania używać osobnego, specjalnie sporządzonego noża, by uniknąć przzerwania więzadeł i mięśni. Ale potem nabrałem wprawy, potrafiłem to zrobić tym samym toporem, którym później trzeba dokończyć dzieła. To robi zawsze ogromne wrażenie. Ponoć byłem jednym z najlepszych amputatorów na uczelni. Usłyszałem zduszone krzyki, odgłosy torsji. Malachiasz drżał na całym ciele. Dobrze wyliczyłem czas. Właśnie w tej chwili powinien zacząć działać eliksir. Bowiem środek, który mu wlałem przemocą do ust, nie tylko

wzmacniał ciało, ale też doznania z niego płynące. Gdyby w tej chwili kochał się z niewiastą, odczuwałby niespotykaną rozkosz, niepomiernie większą niż zwykle. Ale ponieważ podlegał kaźni, również ból odbierał o wiele mocniej. Odcięcie dłoni bardziej było tutaj torturą dla duszy, Jednak stopy to co innego. Dostrzegłem już zobojętnienie w oczach oprawianego. Dotarło doń, że nic go nie uratuje, koniec już bliski. To jeden z najbardziej niebezpiecznych dla kata momentów. Skazaniec gotów jest wówczas zemrzeć, zrezygnować z życia. Jednak ból podany w odpowiedniej dawce sprawia, iż zaczyna gorączkowo myśleć, co jeszcze go czeka. Właśnie to działo się z Malachiaszem. Zgasłe spojrzenie odżyło, zajęczał i szarpnął się w więzach. Cudownie. Uśmiechnąłem się do niego. Był tak zaskoczony, że odpowiedział skrzywieniem warg, chciał coś powiedzieć. Wtedy uderzyłem. Krzyknął krótko, z ust rzuciła mu się krew. Musiałem się śpieszyć, żeby czym prędzej zatamować upływ posoki z odciętej stopy i odgryzionego języka. Tak się czasem zdarza. To świadczy o biegłości małodobrego, jeśli skazaniec nieświadomie zaciśnie zęby na języku. To znaczy, że ból jest dostatecznie wielki. Jednak zawsze istnieje zagrożenie, że oprawiany udławi się krwią i odciętym mięsem. Sprawnie przypaliłem żyły, natychmiast przestały krwawić. Mogłem zająć się twarzą Malachiasza. Zaciśnął mocno szczęki. Oczywiście nie uczynił tego celowo. Po prostu ból był tak przerażający, że zwarły się niby u konającego dzika, który chwycił nogę nieostrożnego myśliwego. Ująłem w dłonie żuchwę, z obu stron nacisnąłem wskazującymi i środkowymi palcami mięśnie łączące ją z górną szczęką. Powoli uchylił usta. Jednym ruchem sprawnie wydobyłem kawałek języka i wrzuciłem do kosza. Przytrzymałem krawędzią dłoni brodę, włożyłem między zęby rozżarzony pręt. Widziałem w pełnych cierpienia oczach błaganie.

Zabij go już, kochany. Proszę. Jest niby pies, którego pan co dzień bije i dręczy.

Ogarnęła cię niespodziewanie litość? Przed chwilą zachwycałaś się okrucieństwem. Niepotrzebnie współczujesz temu człowiekowi. On nie jest jak pies, Blanko. Czytaliśmy przecież sądowe akta. Stało w nich jasno, co potrafił wyprawiać z ofiarami, pamiętasz? Skórował, darł żywcem pasy i solił. Pewnie, że robił to tak, że pożał się Boże, bo aby podobne rzeczy czynić należycie, trzeba mieć i ćwiczenie, i talent, sam zapał nie wystarczy. Ale jedno umiał doskonale. Za każdym razem pragnął zadać jak największy ból. I zadawał. Palce odrąbywał i przysyłał rodzinom, aby wymusić okup. Jakieś dziewczynie wyciął nawet srom, bo ojciec albo okazał się nieczuły, albo nie miał czym zapłacić. Nie żałuj go, moja miłości.

Ci ludzie... Czy oni będą tak patrzeć do samego końca?

Będą. Bo to nie są dobrzy ludzie. Bo to nie jest dobra ziemia. Bywają takie miejsca na świecie. Ci, co na nich żyją, albo stają się tacy, jak to, co uczenie zwie się „genius loci”, albo powodują, że grunt nasiąka ich złem. Co jest przyczyną, a co skutkiem, nie wiadomo i koniec końców to nieważne. Też czekam na znak. Nieszczęśnicy nie wiedzą, że od ich litości zależy los całego grodu. Dokonają wyboru. Za chwilę, kiedy odrąbię drugą stopę i przystąpię do wylupania oczu, przypieczętują swój los.

Skazaniec się zmoczył. Struga spłynęła między nogami, zmieszała się z krwią.

Powtórzyłem wszystkie czynności sprzed kilku chwil. Malachiasz płakał. Łzy ciekły po zarośniętych policzkach. Czy tak łkała twoja ostatnia ofiara, zbrodniarzu? Czy dopraszała się łaski? Druga stopa wylądowała w koszu, smród przypalonego ciała stawał się coraz bardziej intensywny. Wyprostowałem się, spojrzałem na tłum, potem ku lawie dostojników. Panowała martwa cisza. Czekali na zakończenie krwawego widowiska. Tylko rajca, który ze mną rozmawiał, ocierał usta rękawem jedwabnej szaty. To on przed chwilą zwymiotował.

–Teraz oczy, Malachiaszu – powiedziałem głośno.

Oddychał chrapliwie przez nos. Rana w ustach zbyt bolała, by próbował wydobyć choć słowo.

–Weźmiesz świderek i wyrwiesz mu oko, wpierw jedno, potem drugie – rzekł wczoraj kapitan straży.

–Jak dokładnie wyrok stanowi? Wyłupić oczy, wypalić, wykapać czy wykolić?

–Wyłupić – odparł, marszcząc brwi. – Czy to jakaś różnica?

–Ogromna. To znaczy, że nie mogę użyć świdra.

–Inni kaci, których widziałem przy pracy, czynili to zawsze szpikulcem lub świderkiem.

–Ale ja nie jestem innym katem. Wykonuję wszystko w sposób, w jaki zostało przepisane. Za to mi płacą. Jeśli szanujący się szewc szyje obuwie zgodnie ze stalunkiem, jeśli kucharz przyrządza potrawę tak, by gość był zadowolony, także małodobry powinien robić swoje najlepiej, jak potrafi.

Był ciekaw, co zamierzam, ale nie pytał więcej. I słusznie, bo i tak nie uzyskałby odpowiedzi. Jestem artystą. Trzeba zobaczyć samemu i docenić sztukę. Wyłupienie oczu to wspaniała część karni. Wymaga wyjątkowych umiejętności, doświadczenia i ostrożności. Oko łatwo uszkodzić, szczególnie jeśli skazaniec usiłuje się wyrwać. Na współpracę Malachiasza oczywiście nie mogłem liczyć, a głowę miał dostatecznie swobodną, aby stawiać opór. Celowo tak to urządziłem. Im większy będzie jego strach i nadzieja, iż ujdzie choć na chwilę bolesnym czynnościom, tym gorsze przeżyje cierpienie.

Wydobyłem łyżkę. Zbrodzień patrzył wpierw zaskoczony, a zaraz potem przerażony. Spodziewał się właśnie świdra albo szpikulca, bo sam tak zadreślał schwytanych. Widok łyżki dodatkowo pobudził chorą wyobraźnię. Jeszcze zanim podszedłem, starał się odchylić głowę jak najdalej. O to chodzi, przyjacielu. Musi ci się wydawać, że możesz coś zrobić. Nacisnąłem łyżką wewnętrzną stronę dłoni. Sprężysta i twarda – taka, jak powinna być. Długo szperałem w kuchni starosty jurydycznego, nim znalazłem odpowiednie narzędzie. Kuchta i podkuchenne na mój widok uciekły z krzykiem. Zapewne starosta nakazał po moim wyjściu wykadzić wszystkie pomieszczenia.

Zbliżyłem się z tyłu do dębowego krzyża. Malachiasz uniósł głowę. Zdecydowanym ruchem przycisnąłem ją. Próbował jeszcze uciekać na boki, ale deszczułki wbiły się w potylicę, unieruchamiając go. Jedną ręką dociskałem czoło skazańca, a zarazem palcami

rozchylałem powieki. Usiłował je zaciskać z całych sił. Bardzo dobrze. Oko ma to

do siebie, że nie da się go schować. Jądra uciekają w głąb ciała przy uderzeniu albo od samego strachu. Przy kastracji trzeba wiedzieć, gdzie nacisnąć brzuch, aby wróciły na swoje miejsce. Ale oko... To zupełnie co innego. Może się wydawać proste wyjąć je z głowy, skoro ciało ofiary jest unieruchomione. Pozornie. Nie jest bowiem wielkim osiągnięciem wydobyć śliską gałkę, używając dwóch rąk – sztuka wyluskać ją jednorącz. Tak jak ja teraz. Dlatego nie kazałem unieruchomić głowy zbója. Jednej z rąk nie mogę użyć, nawet gdybym chciał, bo muszę mocno trzymać skazańca. Oczywiście wiem doskonale, że gapie tego nie docenią. Ale też nie muszą. To, że się ktoś nie wyznaje na sztuce, nie oznacza, że trzeba mu pokazywać byle co. A poza tym uczynię to dla siebie. Ta część teatru należy do mnie i tylko do mnie.

Zapуściłem łyżkę w oczodół. Nie, Malachiaszu, nie wyrwę nawet kawałka skóry, nie uronisz choćby jednej rzęsy. To byłby błąd w sztuce. Poprowadzę narzędzie płasko, odchyłę powiekę, wprowadzę krawędź metalu dołem... Właśnie tak. Nic nie pomoże szarpanie się i kręcenie głową. Doskonale, teraz odgarnę gałkę oczną nieco w bok pięknym, okrągłym ruchem. To ciche młaśnięcie, które dosłyszałem przez twój wrzask, oznacza, że dzieje się jak trzeba. Następny ruch to ruszenie oka w drugą stronę. Pękają drobne mięśnie, dzięki którym oczy mogą się poruszać. Troszeczkę krwi. Niewiele, bo wszystko czynię zgodnie z zasadami. Wreszcie to, co najważniejsze. Muszę wepchnąć łyżkę głębiej, przerwać połączenie w środku głowy, które trzyma bardzo mocno. Mało kto wie, ale oko można wyjąć z czaszki na pół cala bez wielkiej szkody. Jednak ja mam ci je wylupić, Malachiaszu.

Szarpnął się mocno, prawie wyrwał rzemienny pas, choć przecież połamana ręka nie powinna dać rady napiąć mięśni. Ale już było po wszystkim. Wydobyłem gałkę oczną i pokazałem ją tłumowi. Ludzie milczeli. Oko ludzkie wydarte z czaszki zdaje się nieoczekiwanie duże. Nic dziwnego. Na co dzień widzimy tylko jego część, reszta tkwi głęboko. Dlatego wydobyć go w całości wymaga wielkiego artyzmu. Po twarzy Malachiasza spływała struga krwi. Nie tamowałem jej. Nie szkodzi. W ten sposób nie wykrwawi się na śmierć. Tymczasem mój pomocnik się ocknął. Gestem kazałem mu obetrzeć policzki zbrodniarza. Drżącymi rękami wykonał polecenie. Nie siedziałem w jego głowie, ale nie musiałem, by wiedzieć, iż żałuje, że zamienił karę ciemnicy na to zajęcie.

Z drugim okiem sprawa jest jeszcze trudniejsza. Skazaniec już wie, jaki to okrutny koszmar, stara się więc walczyć za wszelką cenę. Nie inaczej było z Malachiaszem. Po to jednak dokładnie określiłem długość deszczulek, żeby bez większego trudu przemóc opór. Stróże więzienni patrzyli na mnie jak na szaleńca, gdym wszedł do lochu wymierzyć przyszłą ofiarę.

–Zaraz będzie koniec – rzekłem do krwawego zewłoku, gdy drugie oko zostało wydobyte i umieszczone w koszu. Przez chwilę nie byłem pewien, czy mnie słyszy. Jednak jego wargi poruszyły się. Albo przeklinał mnie wraz z całym światem, albo się modlił.

–Jeśli cię to pocieszy, tutejszy plebs i mieszczanie przed chwilą podpisali na siebie wyrok śmierci.

Nie wiem czy zrozumiał, bo nie dał najmniejszego znaku. Ująłem go za potylicę, odrobinę uniosłem i wyjąłem zbroczone krwią deszczułki. Mimo bólu starał się utrzymać głowę – wyglądało to, jakby usiłował rozejrzeć się pustymi oczodołami. Gdyby był pospolitym oszustem albo obrazoburcą skazanym jedynie na wyłupienie oczu, powinien być wdzięczny za pozostawienie powiek. Niektórzy kaci nie bacząc na nic, wrywają je wraz z okiem. Jednak wówczas bardzo często zdarza się, że uwolniony skazaniec umiera od zakażenia, o które niezmiernie łatwo przy tak rzeźnickim potraktowaniu ofiary. Tym bardziej, że oprawcy profanujący w ten sposób fach katowski nie zwykli dbać o czystość narzędzi.

Panowała martwa cisza. Wynajęli mnie, bom powiedział, że mam pojęcie o katowskiej robocie. Nie spodziewali się jednak, że znam się na niej aż tak dobrze i potrafię zadać tak wielkie męki. A jednak nikt nie poprosił o litość dla skazanego.

–Nim zetnę mu głowę – rzekłem w stronę rajców – czekam na należność. Wywiązałem się ze swej części umowy, wasza kolej.

W ławach patrycjuszy zapanował ruch. Wreszcie pod moje nogi upadł brzęczący worek. Nie jestem godzien, by dostarczyć mi zapłatę jak należy? Niech będzie i tak.

Głowa Malchiasza opadła w tył. Kiwnąłem na pomocnika, wskazałem miecz. Wiedział, co robić, chociaż musiało go to sporo kosztować. Stał za zbójem, jedną ręką chwycił go za włosy i uniósł głowę, odciągnął ją w swoją stronę, naprężając szyję. Oczywiście potrafiłbym ściąć Malchiasza w dowolnej pozycji, ale mógłbym za pierwszym razem nie przeciąć kręgosłupa, bo przy odchylonej głowie wyrostki kości zachodzą na siebie, mogą sprawić, że ostrze uwięźnie lub się omsknie.

–Powiadam jeszcze raz. Ciesz się, że nie masz katowskiej kuli w ustach. – Namacałem okrągły kształt w kieszeni. Otrzymałem ten przedmiot po przebudzeniu z letargu, na pamiątkę, kiedy Blanka zagościła już w mojej głowie. To w tej kuli bowiem uwięzili jej duszę. Nosilem ją, sam nie wiem po co. Może miałem przeczucie, iż może się jeszcze kiedyś przydać.

–Dusza uleci swobodnie, nikt jej nie spęta, nie zmusi do zamieszkania w obcym ciele i umyśle. Ciesz się więc, żeś renegatem z akademii, co w rzyci ma cechowe prawa.

Miecz był zwykły, półtoraręczny, miał pewnie ze sto pięćdziesiąt albo i dwieście lat. Katowskie narzędzie wygląda inaczej. Jest cięższe, nie zwęża się ku końcowi klingi. Ma służyć do pojedynczego cięcia, a nie do walki. Chociaż z pewnym rozrzewnieniem wspominam, jak w Bieczu fechtowaliśmy tymi topornymi ostrzami.

–Trzymaj mocno – powiedziałem do pomocnika – i nie ruszaj się. Bez obaw, robiłem to wiele razy, twoja ręka jest bezpieczniejsza niżli wonczas, gdy pchasz ją gwałtem za zapaskę dziewczki.

Ciąłem znienacka, mocno, ciągnąc klingę ku dołowi nieco na skos, aby jak najbardziej wyzyskać siłę tnącą broni. Katowskim mieczem uderza się na wprost, bez dodatkowych

ruchów. Tutaj musiałem uczynić inaczej. Poczulem, że ostrze ociera się o kręgi, więc błyskawicznym ruchem nadgarstka zmieniłem jego lot, aby weszło w przestrzeń między nimi. Klinga prawie bez oporu przeszła przez ciało, a zanim uderzyła o

pomost, wykonałem obrót. W ślad za rozmazanym ostrzem podążyły krople krwi. Tego nie nauczyłem się w Bieczu. Sztukę takiego obcinania głowy, aby przypominała bardziej taniec niż egzekucję, posiadałem u boku Mistrza Euzebiusza. Pomocnik zatoczył się do tyłu i usiadł. Palce miał zaciśnięte kurczowo na włosach Malachiasza. Zgrzytnąłem zębami. Co za niezguła! Niecierpliwie wyszarpnąłem głowę z jego uścisku, uniosłem w górę, by wszyscy widzieli, a potem rzuciłem w tłum. W miejscu, gdzie upadła, uczyniło się nieco wolnej przestrzeni. Sięgnąłem do kosza, wyjąłem dłoń. I tę cisnąłem tłuszczy.

Co robisz? Przecież gotowi się rozgniewać.

Niech się gniewają! Niech sobie uświadomią, że nimi gardzę. Kat gardzi tłumem! Czy można znaleźć na świecie większy kamień obrazy? Cisnąłem stopę. Ludzie wydali złowrogi pomruk. Widziałem już biegnących ku szafotowi pacholków. Straż, która otaczała podwyższenie, spoglądała to na mnie, to na starostę, czekając rozkazów. Wyjąłem flet i odwróciłem się ku rajcom. W nich rzuciłem pozostałymi szczątkami skazańca. Trzeba było okazać choć odrobinę litości! Gdybyż jaka niewiasta wydała chociaż pisk w jego obronie! Wtedy może bym was nie zabijał. Z uśmiechem zdjąłem rękawice. Przyłożyłem instrument do ust. Pacholki już dobiegali, a strażnicy dostali rozkaz, aby mnie aresztować

–Uchodź – mruknąłem do pomocnika. – Uciekaj jak najszybciej z miasta.

Głupi i niezręczny, ale jednak był pomocny, chciałem więc oszczędzić jego nędzne życie. Popłynęła tęskna melodia. Ludzie nie od razu dostrzegli ruchliwy kobierzec szczurzych ciał. Bardziej zdumiało ich to, co się stało z pierwszym człowiekiem, który wtargnął na szafot. Bez trudu unikałem ciosu drewnianą pałąką, położyłem palce na twarzy pacholka. Natychmiast pokryła się czyrakami. Spadł z wrzaskiem z pomostu.

–Szczurzy ojciec! – usłyszałem pojedynczy krzyk.

–Szczurzy ojciec! – poszło wśród ludzi.

Grałem. Tłum, jak zwykle w takich razach, nie słyszał, zbyt zafrapowany grozą położenia, nazbyt głośny. Ale szczury łowiły każdy dźwięk. Zatrzymały się, zafalowały, wszystkie pyszczki zwróciły się ku mnie. Wtedy zagrałem to, co Blanka kochała najbardziej – saltarello. Szczury natychmiast podjęły żwawy rytm. Stary italski utwór, mający ponad dwieście, a może i więcej lat. Usłyszałem go kiedyś, podróżując z Mistrzem Eustachiuszem. W pewnej tawernie grali go komedianci. Jeden na szałamajach, drugi na lirze korbowej, a trzeci na flecie. Towarzyszyła im piękna tancerka, która podawała rytm, uderzając w okrągły bębenek. Nigdy potem nie miałem szczęścia słyszeć podobnej muzyki, ale melodia utkwiała w głowie na całe życie. Kiedy nauczyłem się dostatecznie biegle posługiwać fletem, postarałem się ją odtworzyć. Mistrz Czarnej Śmierci słuchał muzyki zdumiony. I on znał utwór, choć, jak twierdził, nigdy przedtem nie słyszał go aż tak przejmująco wykonanego. Szczury zgromadzone w klatkach wpierw nieruchomiały, gdy brałem instrument, a potem tańczyły. Nawet te, które miały niebawem umrzeć, najbardziej zarażone i chore, przebywające w najniższym rzędzie.

Rajcy umykali niczym zające. Za nimi sam starosta i pozostali członkowie

trybunału.

Możemy mieć całe złoto tego miasta, wiesz? Im już nie będzie potrzebne.

Wiem. Ale wystarczy nam tyle, ile zapłacili za kaźń. Kto bierze ponad umowę, może być łącno nazwany złodziejem. Nawet jeśli przyjdzie tu ktoś i skorzysta, nie przeżyje radości dłużej niż kilka godzin. Jednak ten ktoś musiałby być zupełnie szalony, aby wchodzić tam, gdzie niedawno szalała czarna śmierć.

* * *

W październiku po zmierzchu widać gwiazdy jak o żadnej innej porze roku. Może jeszcze tylko zimowe bezchmurne noce są tak urokliwe, ale zawsze wolałem jesienny firmament. Plejady... Moje ulubione. Ileż razy wychodziłem na taras akademii, aby podziwiać ich blask. Czasem towarzyszył mi Mistrz Ludwik, który prócz krojenia martwych zajmował się w wolnych chwilach astrologią i astronomią. Tak to już jest, że kto nurza się na co dzień w zgniliznie, pragnie spoglądać w tajemniczą otchłań nieba, rozmyślać o boskim porządku świata. To właśnie Ludwik objaśnił, gdzie mogą znaleźć gwiazdozbiór Delfina, Łabędzia, Lwa, Skorpiona, Wężownika i wiele innych. Od tamtej pory gwiazdy, na pozór chaotycznie rozrzucone po nieboskłonie, zaczęły być dla mnie czytelne, widziałem kształty, które nadali im uczeni i poeci. Mistrz Eustachiusz też mnie uczył, gdzie znajdują się najważniejsze konstelacje, ale nie potrafił opowiadać o nich tak jak Ludwik. Tam Skorpion, przyczajony, gotowy do ataku, z kolcem nastawionym przeciwko wrogowi, obok Strzelec z łukiem napiętym, wiecznie polujący na podniebną zwierzynę, z drugiej strony Wilk, czujny i nieufny, kryje się przed wzrokiem myśliwego.

Leżałem na plecach z rękami założonymi pod głowę. Szczury leniwie pełzały dookoła. Wśród drzew i na łąkach czuły się doskonale. Nawet te, którym śmierć zaglądała w oczy, zdawały się odzyskiwać nieco wigoru. Za każdym razem, gdy odchodziły na drugą stronę życia, czułem ból. To była cena ich przyjaźni... ich miłości do człowieka. Jestem pewien, że – przynajmniej niektóre – wiedziały, co je czeka, a jednak przychodziły chłeptać moją krew. Kat nie ma innych przyjaciół. Nie może. Nie tylko dlatego, że nikt nie chce go znać. To on nie powinien się z nikim wiązać. Bo kto zaręczy, iż kiedyś nie ujrzy na szafocie przyjaciela? Sędzia może wydać łagodniejszy wyrok dla znajomka, królewski urzędnik przymknąć oczy na niezapłacony podatek czy inne nadużycie. Ale katu płacą za wykonanie roboty. I czy ma przed sobą rozpiętego na kole wroga czy druha, musi pracować tak, by nikt nie miał zastrzeżeń. Kat nie osądza, nie skazuje. On tylko używa wiedzy i biegłości, aby wypełniła się sprawiedliwość. A może i niesprawiedliwość, bo ludzkie wyroki bywają omylne, a często

nawet z gruntu fałszywe. Tylko że małodobrego to nie obchodzi. Ma swoją, odpowiedzialną i ciężką pracę. Musi schować głęboko własne osądy i uczucia i czynić wszystko, czego wyuczył się mozolnie przez lata.

Jesteś smutny. Przecież zrobiłeś, co chciałeś. Tamto okropne miasto nie istnieje. Zanim się ktoś do niego sprowadzi, minie wiele czasu.

Z czego mam się cieszyć, Blanko? Ze śmierci i płomieni? Mam czerpać radość z bólu i krzywdy? To tylko pomsta na ludziach, którzy uczynili mnie tym, czym jestem.

Szczęście można znaleźć zupełnie gdzie indziej. W miejscach niespodziewanych, często strasznych, ale na pewno nie w pożodze i krzyku. Zrozumiałem to w chwili, kiedy z wysokości szafotu patrzyłem na umierających i uciekających ludzi. Z rozrzewnieniem wspominam chwile w domu publicznym, którym opiekował się Mistrz Ambroży. Byłem naprawdę szczęśliwy, kiedy brałem cię w objęcia, wchodziłem w ciebie zachłannie, jednocześnie zazdrosny o tych wszystkich mężczyzn, którzy poza mną mieli do ciebie prawo. Dziś jesteś moja bez reszty, ale nie mogę cię dotknąć.

Wolałbyś jednak korzystać z mych wdzięków wraz z innymi?

To nie tak, najmilsza. Dobrze o tym wiesz. Wolałbym, abyś była tylko moja, bym nie musiał się tobą dzielić. Ale wiem też dzisiaj, iż nie jest najważniejsze posiąść ciało. O wiele cenniejsze jest zabrać serce i duszę.

Miałeś jednak mą duszę. Miałeś serce. Ale tak często bywałeś oschły i nieprzyjemny... Chciałeś także posiąść mnie niby żonę, wydobyć przysięgę wierności. Dla mężczyzny to najważniejsze, bo oznacza uzyskanie całkowitej władzy nad niewiastą. A przecież sam kiedyś powiedziałeś, że nie ja zasługuję na miano kurwy, ale te wszystkie wielkie panie, otoczone szacunkiem, pięknie odziane, pełne dostojności, które patrzą jeno, jak przyprawić mężom rogi, nie rachują, ile otrzymają miłości, ale liczą pieniądze, błyskotki i szmatki. Mówiłeś tak, myśląc co innego. Wolałeś w głębi serca mieć niewiastę wierną... czy raczej uważaną za wierną przez innych. A ja byłam zwyczajną prostytutką.

Kochałem cię całym sobą.

Wiem, ale nie potrafiłeś odnaleźć szczęścia.

Tak... to możesz wiedzieć lepiej nawet ode mnie, bo odkąd zamieszkałaś w mojej głowie, masz możliwość poznawać myśli, o których sam nie mam pojęcia. Nie potrafiłem odnaleźć szczęścia... Wówczas nie uważałem wcale, że powinienem być zadowolony z tego, co uzyskałem. Człowiek nigdy nie jest do końca szczęśliwy, bo zdaje mu się zawsze, że może mieć więcej i więcej, znaleźć jeszcze coś, co sprawi mu radość.

Potem szliśmy przez świat, niosąc zarazę i pożogę. Było nam dobrze, zemsta miała tak sodki smak... Ale w ostatnich czasach coś się zaczęło psuć. Nie potrafisz już cieszyć się nami ani tym, że jestem w tobie. Wspólnota dusz już nie wystarcza.

Tak, Blanko, cieszę się. Ale wszystko to zaprawione jest goryczą. Nie widziałaś swego ciała zwisającego na sznurze. To znaczy widzisz je w moich wspomnieniach, a to nie to samo.

Ten dzień... Ściąłem głowę człowiekowi, którego mi wówczas przeznaczono do kazi, oglądałem ceremoniał powieszenia. A kiedy mściwy Bartosz zdjął ci z głowy szmatę, gdym zrozumiał, że cała sprawa to ukartowana przez niego pomsta, a w dodatku kiedym ujrzał w twoich ustach kulę do chwytania duszy... świat się zawalił. Wiesz dobrze, że z rozpaczki omal nie skonał. Uratowali mnie, dokonując obrzędu najwyższego wtajemniczenia i dając mi twojego ducha. Ty przywołałaś mnie z tamtej strony, ale też przez to potworne zmartwychwstanie stałem się równy przeklętym mistrzom.

Chcieli cię ratować, bo żal im się uczyniło nie ciebie jako człeka, ale zdolnego,

niezwykle obiecującego adepta. I tak cię utracili, bo miał studiować umiejętności powszechnie uznane za najpożyteczniejsze, miał pławić się w splendorze i wysłuchiwać zachwyty nad talentem, wybrałeś szkolenie u Mistrza Czarnej Śmierci. Pragnęli, byś został każdym innym, byle nie jego następcą, ale byłeś uparty.

Nie wiedzieli, co zamierzam. Ale nic dziwnego. Sam nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak się cała rzecz zakończy.

Wiedziałeś. W zakątkach umysłu dojrzywał plan. Myśli o zemście krążyły, docierały do serca, zaprzętały każdą wolną chwilę. Mam jeno wątpliwości, czyś dokonał pomsty, spełniając swój zamiar, czy raczej wolę kogo innego...

Milcz, Blanko! O tym nawet nie chcę myśleć! Błagam cię, niech to pozostanie ukryte głęboko. Chciałem unicestwić przekłętą akademię i dopiąłem swego. Zapragnąłem mścić się na ludziach i do tej pory robiłem to bez zastanowienia.

Daje ci to radość?

A tobie? Sama wiesz, że sama śmierć nie może być powodem do radości. Ważny jest sposób jej zadawania.

Myślisz jak kat.

Bo jestem katem! Wykształconym najlepiej jak można, wykutym w ogniu pieca bieckiej uczelni, jednym z najzdolniejszych jej uczniów.

Nie poznałeś wszystkich tajemnic.

Poznałem dostatecznie dużo, aby wiedzieć, że nie chcę w niej być. Przedwcześnie odkryłem najstraszniejszy sekret mistrzów.

I skazałeś ich na unicestwienie.

Na pewno skazałem ich na wygnanie. A jeśli któryś przeżył, to już musi być palec Boga.

Nie lękasz się, że napotkasz kogoś na naszej drodze?

Blanko, Blanko, moja piękna! Ktoś, kto widział przelewanie duszy i doświadczył go na własnej skórze, kto umarł i ożył, by stać się nosicielem czarnej krwi, kto codziennie traci przyjaciół, patrzy na ich męczeńską śmierć, ten nie złąknie się niczego.

Jakubie... Głos Blanki stał się cichy, jakby płynął z bardzo daleka. Przez mgnienie oka dostrzegłam ducha człowieka, którego oprawiłeś. Miał niewinną, jasną duszę.

Był zbrodniarzem. Miał na sumieniu wiele istnień, zadawał okrutną śmierć.

Tak. Jednak, powtarzam ci, duszę miał dziwnie niewinną. Jak dziecko... A może on w głębi ducha pozostał dzieckiem? Robił to, co robił, bo nie umiał inaczej? Nie był do końca świadomy ogromu popełnianych okropności jak mały chłopiec wyrrywający skrzydła muszkom. Może człowiek nie zawsze odpowiada za swoje uczynki?

Jeszcze chwila i powiesz, że i ja jestem niewinny, choć przez moje ręce przepłynęła rzeka krwi.

Powiem, Jakubie, bo tak właśnie jest. Nie porównuję cię do Malachiasza. To zupełnie co innego. Ale wiem jedno z całą pewnością – zabijanie nie uczyniło z ciebie bestii. Ilu już ludzi pozbawiłeś życia? Przelewałeś krew od dzieciństwa.

Najpierw pod okiem Eustachiusza, potem w akademii, wreszcie po wyjściu z Biecza. A jednak pozostałeś w sercu czysty... lepszy na pewno ode mnie.

Co ty mówisz, najmiłsza? Lepszy od ciebie?

Tak. Nie znajduję bowiem w tobie nienawiści. Gniew, gwałtowność, ale na pewno nie nienawiść. We mnie jest jej ogrom. Jest i była odkąd sięgnę pamięcią.

Życie cię skrzywdziło, ludzie źle traktowali, nauczyłaś się nienawidzić.

A ty? Patrzyłeś na śmierć najbliższych, widziałeś pohańbienie matki i siostry, zaznałeś wiele zła, a jednak...

Może dlatego, że sam zadaję cierpienie, że otacza mnie pogarda i niechęć, nie potrzebuję żywić podobnych uczuć.

Rozmowę przerwał szczur. Podczołgał się do ręki, dotknął palców suchym, gorącym nosem. Konał... Następny przyjaciel, który odchodzi. Wierne stworzenie. Widziałem nieomylnie oznaki końca. Sierść wyłysiała, skóra pokryła się owrzodzeniami, spojrzenie przygasło, w oczach czaiła się gorączka. A jednak znalazł dość sił, by się pożegnać. Podciągnąłem rękaw, zakłułem się nożem w żyłę. Popłynęła strużka krwi. Po ciemku, w nieśmiałym świetle gwiazd i wąskiego sierpa księżycy, każda krew jest czarna niczym smoła. Podetknąłem pod pyszczek szczura źródło posoki. Podniósł łepkę, wysunął język. Krew leniwie skapywała. Nie będę ci żałował, towarzyszu drogi. Niech krew kata osłodzi ostatnie chwile życia. Blanka milczała. Zawsze odchodziła gdzieś w głąb umysłu, kiedy żegnałem umierających przyjaciół. Byłem jej za to wdzięczny.

Tanatos na nieboskłonie

Krótkie, deszczowe dni listopada spadły na świat niespodziewanie, choć przecież wiadomo od zarania dziejów, że każdego roku muszą wypełznąć z otchłani szarości, znieawidzone przez ludzi i zwierzęta. Jesienna szaruga zapanowała nad światem niepodzielnie. Jest dla zimy tym, czym Jan Chrzciciel dla Chrystusa. Zapowiada nieuchronne nadejście. Ale zamiast otulić świat miłością, zakuje go w łańcuchy lutych mrozów, zwarzy ziemię i wodę morderczym uściskiem, pokryje pola warstwą żałobnej bieli. Podobno ów śnieg jest niczym miękki dywan, dzięki któremu zasiane jesienią zboża wzejdą na wiosnę. Bez śniegu mróz mógłby zabić życie w wystawionych na jego pastwę ziarnach. Jednak dla wędrowca śnieg to przekleństwo. Nogi grzęzną, każdy ruch wymaga dwa razy więcej siły. Pół biedy, gdy ściśnie mróz, ale podczas roztopów buty rozmiękają, stopy potrafią zmarznąć gorzej niż w największym zimnie. Która to już zima od wyjścia z akademii? Druga... dopiero. A wydaje się, jakby minęły wieki. Gdybym był zwykłym człowiekiem, szukałbym jakiegoś przytuliska, miejsca, w którym można przetrwać najgorszy czas. Jednak nie mogę. Nie powinienem płacić pięknym za nadobne tym, którzy zechcą okazać mi serce. Dokąd się pilnuję, noszę rękawice, zmywam twarz wywarami lub mocną gorzałką, nie jestem zagrożeniem. Jednak towarzyszą mi szczury, a ich nie dopilnuję. Zresztą nie potrafię żyć z ludźmi. Nie rozumiem ich. Są źli i dobrzy zarazem. W pojedynkę uczynni i skorzy do pomocy, w tłumie zaczynają się biesić, jakby rosły im niewidzialne kły, a z ust szła piana wściekłości. Nigdy nie zgadnę, dlaczego tak się dzieje. Musiałbym zamieszkać wśród nich, a tego ani nie chcę, ani nie potrafię. Mistrz Eustachiusz często powtarzał, iż profesje oprawcy i prostytutki są podobne. Niby są dla ludzi, niby świadczą im usługi, a jednocześnie wydają się obcy jak istoty z innych światów. Niezrozumiani i odrzuceni. Za pracę nagradzani są złotem, ale i pogardą. Może dlatego w miastach, które mają prawo miecza, przyjęło się, iż żona małodobrego prowadzi zamtuz, a jeśli jest nieżonaty, sam strzeże przybytku rozkoszy. W Bieczu lupanarem zarządzał każdy mistrz po kolei przez dwa lata, zaś scholarze byli przydzielani tam na okres dwóch miesięcy, aby zapoznać się z obowiązkami. Dla takich, co w katowskim zawodzie chcą znaleźć wygodne życie i dostatki, to ważna część pracy. Jednak dla artystów jak Mistrz Eustachiusz to coś na kształt kamienia u szyi, ciężkiej kotwicy. Wiąże i rozleniwia, zatrzymuje i nakłada okowy codzienności. Prawdziwy kat, artysta, adept sztuk wyzwolonych, musi być człowiekiem nieskrępowanym. Wędrowcem.

Coraz bardziej niepokoją mnie twoje myśli, Jakubie.

Blanka poruszyła się gwałtownie. Zabolalo mnie w skroniach. To dziwne. Noszę wszak w sobie jedynie cząstkę jej dawnej osoby. Mistrz Ambroży zapewniał podczas nauk, że dusza jest niematerialna, nie sprawia bólu. Więcej, kat nawet nie odczuwa jej obecności, bo ma ona za zadanie jedynie wypełnić w nim tę pustkę, która pozostaje po przemianach. Może i tak. Ale przecież do chwili, kiedy wtłoczono we mnie Blankę, nie zdarzyło się, aby małodobry otrzymał cząstkę kogoś, kogo ukochał. Zawsze była to dusza skazańca. Oprawca i dusza jego ofiary nie są do siebie przywiązane, dlatego po pewnym czasie Mistrzowie muszą uwięzić w sobie nowego

człowieka... Patrzący na każdą tłum jest przekonany, iż drewniana gałkatkwiąca w ustach skazańca ma za zadanie tłumić jego wrzaski, zapobiec bluźnierstwom albo rzuceniu

przekleństwa na kata. Nikt nie myśli, że łatwiej by było po prostu złamać szczękę ofierze lub wydrzeć jej język, ostatecznie wetknąć między zęby kłęb szmat. Ale też nikt nie ma prawa obejrzeć z bliska takowej gałki. Oczywiście używanej przez mistrzów, a nie zwykłych wyrobników katowskiego cechu, co zatykają ofiarom usta zwykłą dębową kulką. Kto zaś obejrziałby z bliska przedmiot znajdujący się w zapasach prawdziwych adeptów, zdumiałby się niepomierne.

Niepokoją mnie twoje myśli, Jakubie! Blanka znów przerwała leniwy ciąg skojarzeń, upomniała się o swoje. *Jesteś coraz odleglejszy. Coś się w tobie zmienia.*

Zmienia? Nie mam świadomości tego. Ale to ty jesteś bliżej, widzisz, co się ze mną dzieje.

–Panie! Panie! Świętobliwy pustelniku!

Obejrzałem się. Biegła ku mnie jakaś kobieta z rozwianym włosom.

–Czcigodny, zaczekaj!

Bierze cię za wędrownego mnicha.

Nic dziwnego. W płaszczu z kapturem, oparty na kosturze, mogłem przypominać duchownego.

Zdyszana niewiasta stanęła onieśmielona o dwa kroki ode mnie.

–Chodź do mego domu – poprosiła cicho. – Błagam!

Powinienem odprawić ją oschle, zbudować między nami mur niechęci. Ale jej oczy... zamglone rozpaczą, a jednocześnie rozszalałe, łzy ciekące po policzkach.

–Co się stało? – usłyszałem ze zdziwieniem własny głos. Zupełnie jakby kto inny poruszał moimi wargami.

–Moja córeczka... – Przygryzła wargi. Z trudem dokończyła: – Ona jest chora... umierająca...

–Nie jestem uzdrowicielem.

–Nie szukam medyka ani znachora. Nie mam już nadziei... Chcę jeno, by odeszła w pokoju...

–Poproś waszego plebana.

Twarz jej zmierzchła, pociemniała, wydała się co najmniej dziesięć lat starsza.

–Pleban nie chce przyjść. Powiada, że skorom poczęła bękarta bez bożego błogosławieństwa, nic mu do niego. Klęknełam przed nim, błagałam. Na nic. To twardy człek. A małej potrzeba kogoś, kto przeprowadzi ją na tamtą stronę...

Wybuchnęła płaczem. Niepohamowany szloch wstrząsał szerokimi, nawykłymi do ciężkiej pracy ramionami. Pod wypchaną starą burką zapewne kryła się pełna biała pierś, mocne uda i łydki, chłopskie masywne stopy.

–Dlaczego uważasz, że się zgodzę?

–Nie wiem... Wybiegłam oszalała z chałupy, prosząc Boga, aby zesłał mi dobrego człeka. A ledwie wyszła w pola, ujrzałam ciebie, bracie... czy ojciec...

–Nazywaj mnie bratem.

Co chcesz uczynić, Jakubie? Przecież nie duchownym, ale...

Katem, Blanko, katem. Ale tej kobiecie trzeba pomóc. Poczułem nagle, że powinienem. Kto wie, może przeznaczenie rzeczywiście zesłało mnie, bym przeciął jej drogę? Życie pełne jest podobnych niespodzianek.

Przecież nie pobłogostawisz dziecka jak należy. Nie potrafisz.

Świat jest szalony, ukochana. Jeśli ten, komu obowiązek nakazuje wspierać ubogich i chorych, nie chce tego uczynić, może oprawca powinien zająć jego miejsce?

Kobieta stała w strugach deszczu. Rozkisle grudy za jej plecami były równie szare jak niebo i odległe wierzby, z których wiatr zdarł resztki liści.

Może powinien, a może nie... Nie wiem, najmilsza. Ale coś mogę dać tym ludziom. A może raczej chcę im coś ofiarować. Nie wiem tylko...

–Wysłuchasz prośby upadłej kobiety, braciszku? – spytała z nadzieją niewiasta.

Wahałem się. Niechęć do ludzi walczyła z nagłym dziwnym uczuciem, pragnieniem ulżenia w nieszczęściu. Zbyt długo zabijałem i zadawałem cierpienie, by nie uczynić się czułym na cudzy ból.

Co zrobisz, mój miły?

A co byś mi radziła?

* * *

Dziecko leżało przykryte stosem wełnianych der i niedbale wyprawionych skór. W chacie unosił się ostry zapach ziół, zmieszany z wonią odchodów zwierząt przebywających w wewnętrznej zagrodzie i odorem gorączki. Tę ostatnią wyczuwałem doskonale. Ktoś, kto ma do czynienia z ludzkimi wyziewami, musi, chcąc nie chcąc, wyostrzyć zmysły. W kącie siedział trzęsący się starzec.

–To twój ojciec? – spytałem.

–Dziad, braciszku. Ojciec zginął, gdym była dziecięciem. Wpierw dziaduś się mną zajmował, ninie ja się odwdzięczam.

–Była tu niedawno wróżycha? – spytałem. – Okadzała małą i odprawiała gusła?

Matka zmartwiała. Była pewna, że natychmiast wyjdę, zostawię ją z umierającym dzieckiem. Na pewno ich kapelan grzmiał co niedziela z ambony na zielarki i znachorki, które przywołują na pomoc stare bóstwa.

–Zrozum, bracie! Ja w rozpacz... Człek się wtedy chwyta wszelkich sposobów...

–Nie lękaj się. – Spróbowałem się uśmiechnąć. – Mnie to nie wadzi.

Odetchnęła z ulgą. Podszedłem do barłogu. Spojrzały na mnie wielkie, ciemne oczy w wychudłej, pociągłej twarzy. Dziewuszka miała jakieś siedem lat, może nieco więcej. Od pierwszego spojrzenia zrozumiałem, że to nie jest zwyczajne chłopskie dziecko.

–Nie poprosiłaś jej ojca o pieniądze? Musi być przecież majątny.

Drgnęła, zaskoczona.

–Skąd wiesz?

–Nietrudno się domyślić. Regularne rysy, wysmukłe łuki brwi. Wygląda na małą szlachciankę, wysoko urodzoną. Nie dał grosza?

–Zjesz polewki? – nie chciała odpowiedzieć.

–Nie jestem głodny. Kim jest ojciec?

Milczała. Wtedy odezwał się starzec.

–Syn podczaszego Winiewskiego – rzekł skrzypiącym głosem. – Panicz miał kaprys, uwiódł głupią dziewczuchę, a potem porzucił zbrzuchaconą. O ostatniego kundla w swojej psiarni lepiej zadba niżli o własne potomstwo. Była Ewka u niego, a jakże. Stary kazał ją za bramę wyciepnąć, florena jeno rzucił na odczepkę. Wzięła, bo dziecko ważniejsze niżli duma. Poszło już wszystko, cośmy mieli. A teraz mała się kończy. Bodaj tych wielkich panów zaraza dopadła razem z ich proboszczem!

–Nie powiadajcie, ojcie. – Położyła palec na ustach. – Nie wolno tak złorzeczyć. Bóg się gniewa.

–Bo jesteś za dobra na ten świat. Ludziom źle nie życzysz, nie wyklinasz, to cię nie uszanują. Pomagałaś innym, a skoro przyszło nieszczęście, sama zostałaś; jeszcze ci pod nogi spluną, że bękart hodujesz. Ile porodów odebrałaś, ilu babom pomogłaś! Przyniosła która choć glon chleba, kubek mleka? Siedzą po chałupach, nie myślą o tobie. A jak nawet pomyślą, to źle.

Widziałem śmierć w oczach dziecka. Poczułem nagle szarpnięcie w trzewiach. Nie mogę pomóc. Wszak znam ludzkie ciało. Przecież uczono mnie utrzymywać torturowanych przy życiu, odnawiać ich siły, pielęgnować. Między ciężkimi przesłuchaniami musieli prędko zdrowieć, dochodzić do siebie, zaś przed kaźnią nabrać dość krzepy, aby nie skapieć na kole od pierwszych pieszczot. Jednak tutaj nie byłem w stanie nic uczynić.

Ona sama skazała się na śmierć, Jakubie. Małe dziecko powinno być pełne życia, trzymać się go wszelkimi siłami. Ale ta mała nie chce wyzdrowieć.

Tak. Pragnęła umrzeć. Widziałem to na dnie źrenic. Wyczuwałem jakąś straszną tajemnicę. To nie jest zwyczajna rzecz, aby kilkuletnie dziecko patrzyło w taki sposób. To nie tylko choroba ciała i duszy. Tu jest coś więcej. Wyczuwam to w powietrzu, w woni lekarstw.

Dotknąłem czoła dziewczuszki. Gorączkę dawało się wyczuć nawet przez rękawicę. Mała najpierw cofnęła się, skuliła się przestraszona. Dopiero po chwili odetchnęła głębiej, ale nie przestała się boczyć. To też było dziwne. Mogła bać się mężczyzn, ale mnie przecież brała za mnicha. Ich zazwyczaj traktuje się inaczej.

–Kto ją skrzywdził? – spytałem cicho. Po raz pierwszy od czasu, gdym ujrzał trupy najbliższych zmasakrowane przez ordyńców, poczułem, jak kroi się we mnie serce.

–Dużo widzisz – szepnęła przestraszona matka.

–Odpowiedz!

–To ninie już nieważne... Pobłogosław ją, bracie.

–Mów natychmiast, niewiasto, kto zgasił w niej chęć życia? To nie choroba jest przyczyną nieszczęścia. Ona mu jedynie towarzyszy.

Zacisnęła wargi. Nic od niej nie wydobędę. Znów dotknąłem czoła małej.

–Nie zdejmiesz rękawic? – spytała kobieta.

Przymknąłem oczy. Nie zdejmę. Chyba że chcesz, aby córka odeszła w męczarniach. Może to już obojętne, ale nie dla mnie.

–Tak jest lepiej – odparłem – i nie pytaj, dlaczego.

Mała patrzyła na mnie w skupieniu. Musiała być zdumiona, że mój dotyk niesie niespodziewane ukojenie. Nie bardziej jednak ode mnie. Z zaskoczeniem skonstatowałem, że potrafię dać spokój. Zupełnie jak umierającym szczerom. Ale te zwierzęta kochałem, a ludzi...

Nie ma nadziei. To naprawdę koniec.

Blanka płakała. Tak... dusza potrafi zapłakać. Nie wiem, jak jest z tymi, które ulatują swobodnie albo zostają zniewolone przez mistrzów, ale uwięziona w moim umyśle umiała. Miła moja, czy to ty sprawiasz, iż mój dotyk niesie spokój?

Nie, Jakubie. To musi być w tobie.

–Zmówisz modlitwę, braciszku?

–Zmówię. Ale wpieryw powiedz, kto ukrzywdził tę dziecinę.

Potrząsnęła głową. Nie byłem w stanie z niej tego wydobyć. Nie chciała mówić i koniec. Każdy ma prawo zachować straszną tajemnicę dla siebie. O tym wiedziałem najlepiej.

–*In nomine Patris et Filius et Spiritus Sanctus* – zacząłem. – Pomódlmy się za spokój małej...

–Dominiki – podpowiedziała matka.

–Dominiki – powtórzyłem. Szlacheckie imię. Następny dowód, że nie jest to zwykłe wiejskie dziecko. A przede wszystkim, że przed paru laty miejscowy klecha liczył się z tą niewiastą, skoro zgodził się nadać bękartowi imię spotykane raczej w kręgach arystokracji. – Niech Pan nasz Jezus Chrystus natchnie ją swoją mocą.

Potem odmówiłem po łacinie wszystkie formułki, jakie pamiętałem. W Akademii Katowskiej uczono nas łaciny, ale nie liturgii. Tę poznałem wcześniej, podróżując z Eustachiuszem. Odkąd opuściłem Biecz, coraz częściej łapałem się na tym, iż wszelkie przydatne umiejętności nabyłem przy pierwszym mistrzu. Mądry był. Jednak i jego mądrość miała granice, skoro koniec końców posłał mnie do uczelni. Liczył pewnie, że zostanę znanym, wielkim mistrzem. Powtarzał, że szkoda mnie do zwykłego katowskiego rzemiosła, bo mam w rękach prawdziwy talent i duszę artysty. Czy wiedział, jak wygląda wielkie wtajemniczenie i z czym się wiąże? Sam nigdy nie łapał dusz w wydrażoną kulę, nie dokonywał tych wszystkich rytuałów, jakim oddawali się moi bieccy mentorzy. Był

wspaniałym oprawcą, prawdziwym adeptem sztuk. Potrafił zwykłym knutem, jakich używają dozorczy więzienia, wyciąć skazanemu na plecach dowolny wzór. Pewnego razu jednemu gwałcielowi wyrzeźbił wizerunek serca. A potem kazał więźnia odwrócić, ściągnąć portki i wykastrował go dwoma uderzeniami samym końcem bykowca. U niego też wyuczyłem się sztuki takiego odrąbywania członków, by ciekło jak najmniej krwi. On pokazał, jak używać miecza nie tylko do ścięcia i amputacji, ale także jako narzędzia tortur, jeśli nie ma na podorędziu odpowiednich sprzętów. Jednego mnie tylko nie nauczył ani on, ani mistrzowie z uczelni: jak powstrzymać łzy nad gasnącym życiem dziecka. Modliłem się. Blanka pomagała jak mogła, wydobywała z otchłani pamięci zapomniane słowa. Wreszcie ich zabrakło.

Mała patrzyła na mnie bez zmrużenia powiek, bez najcichszego dźwięku. Życie uchodziło nieubłaganie.

–Powtarzaj za mną, Dominiko. Aniele Boży, stróżu mój...

Uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

–Ty zawsze przy mnie stój – podjęła znaną doskonale formułkę. Miała schrypnięty głosik. Jeszcze całkiem niedawno z pewnością był jasny i czysty niczym srebrzysty dzwoneczek. – Rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze ku pomocy...

Zadyszała się, rozkaszała. Położyłem znów dłoń na jej czole. Uspokoila się z wolna, znów uśmiechnęła, teraz nieco szerzej, pod spękanyimi wargami błysnęły drobne ząbki.

–Strzeż duszy i ciała mego, zaprowadź do życia wiecznego...

–Amen – powiedziałem.

–Amen – powtórzyła matka.

–Amen – zachrypiał starzec. – Niech Bóg się nad tobą zlituje.

Dziewczynka nie żyła. Mała twarzyczka wyciągnęła się jeszcze bardziej, rysy uległy wyostreniu. Matka spojrzała na mnie. Ból, jaki ujrzalem w jej oczach, nie dał się opisać.

–Dziękuję, braciszku. Jak myślisz, umarła szczęśliwa?

Kiwnąłem głową. Nie chciałem zbędnymi słowami zakłócać powagi chwili. Co można zresztą mądrego rzec kobiecie, która przed chwilą straciła jedyne dziecko?

–Pora i na mnie – powiedziała cicho.

Nie zrozumiałem. Zmarszczyłem brwi, chciałem poprosić, żeby powtórzyła. Dopiero po chwili dotarło do mnie znaczenie jej słów. W tym momencie padła na polepę, bezwładna niczym szmaciana kukielka.

–Poszła za dzieckiem – oznajmił spokojnie stary. Wstał z wysiłkiem, stanął nad wnuczką, spojrzał na prawnuczkę. – Niech Bóg da im ciepłe i bezpieczne miejsce u swego boku.

Milczał, trzęsący się, bezradny. Oczy miał suche.

–Zabij mnie – poprosił nagle.

–O czym mówisz?

–Nie jesteś wędrownym zakonikiem. Widzę w tobie śmierć. Masz ją wypisaną na twarzy, uśpioną w źrenicach. Jesteś człowiekiem, który zabija. Widziałem wielu tobie podobnych, choć żaden nie miał w sobie tego, co ty. Jakiegoś innego życia, czegoś więcej niż okrucieństwa mordercy. Nie wiem, skąd przyszedłeś i kim jesteś... a może kim się stałeś, ale na pewno potrafisz przerwać nic żywota sprawnie, bez zastanowienia.

Mierzyliśmy się wzrokiem. Doświadczony, mądry staruszek. Widzi więcej od innych. Miałem wrażenie, że przeczuwa we mnie Blankę. Pierwszy odwrócił oczy.

–Zabij – powtórzył. – Sam nie sczeznę, a żyć nie mam dla kogo... nie potrafię być sam. Będę się jeno męczył, nim zagłodzę ciało na śmierć.

–Najpierw powiedz, co tu zaszło.

Możemy się dowiedzieć tak jak wtedy, gdyśmy naszli trupa chłopczyka.

Nie chcę, Blanko. Dziewuszka zgasła w spokoju, niech ma go już na wieki. Żli ludzie mieszkają w tych stronach.

–A jeśli powiem – spytał z nadzieją starzec – uczynisz, o coć proszę?

Ksiądz proboszcz był przerażony. Bodaj po raz pierwszy w długim, wygodnym życiu zajął w oczy śmierci. Czarnej Śmierci. Zaciągnąłem go bowiem najpierw do chaty, w której zostawiłem trzy ciała. Starzec był pokryty nabrzmiałymi wrzodami. Uczyniłem mu to, kiedy usłyszał, co zrobiono małej Dominice. Uczyniłem, żeby teraz wprawić w popłoch plebana. Skróciłem starcowi męki, podcinając gardło, bo nie zasłużył na ból umierania od zarazy. Ale dla katabasa nie miałem litości. Przyciągnąłem go z plebanii. Próbował stawiać opór, wziął się nawet do ozdobnego pałasza zawieszzonego na ścianie. Rozbawił mnie tylko. Nie potrafił nawet porządnie utrzymać broni.

–Patrz, ścierwo. Chcesz skonać w cierpieniach? Obiecuję ci, że będziesz darł się do Boga o zmiłowanie. Tak to urządzę, byś umierał długo. I obiecuję jeszcze jedno. Bóg cię nie wysłucha, tak jak ty nie wysłuchałeś próśb zrozpaczonej matki.

–Nierządnicę mogą się spowiadać w czasie wielkanocnym – wychrypiął z wysiłkiem. Mimo strachu starał się zachować twarz. Niepotrzebnie. Dla mnie był tylko jednym więcej niegodziwcem. – Kościół nie jest od tego, by pielęgnować upadłe niewiasty.

–Jak na doświadczonego księdza – zmrużyłem oczy w wąskie szparki; ktoś mi kiedyś powiedział, że wyglądam wtedy wyjątkowo nieprzyjemnie i groźnie – słabo znasz nauki Chrystusa. On nie potępiał ładacznic. Zaś rzec o Ewie, iż była prostytutką to jakbyś napluł w tabernakulum. Uwiódł ją młody podczaszyc, wykorzystał i porzucił. Nie to nawet złe, iż z nią nie zamieszkał, bo wielki pan nijak z chłopką nie mógłby żyć. Nie to krzywdą, że jej chociaż na służbę nie przyjął, bo może lepiej małej było się chować z dala od takiego rodzica. Że grosza nie dawał i gorzej psiego łajna traktował, to już przed Bogiem odpowie, bo tym nie ją, lecz siebie upodlił. Ale że kiedy jeno przybył do chaty dawnej kochanki pod pozorem zobaczenia dziecka, zaraz mu najgorsze zło wyrządził, za to kara musi go spotkać jeszcze na tej ziemi.

Ksiądz trząsał się. Już nie miał ochoty na dysputy. Widziałem doskonale, iż każdym słowem dotykam czułych strun duszy.

–Wiesz dobrze, klecho, co tam zaszło. Paniczowi spodobało się ulżyć chorej chuci, ukrzywdzić małą dziewczuszkę, istotę niewinną, niezdającą sobie do końca sprawy, co zaszło. Ale wiedziała, że to okropne... Tyś pierwszy wiedział, bo młodego Winiewskiego spowiadałeś.

–Nic nie wyjawiał – wymamrotał ksiądz.

–Kłamiesz! – Cały czas trzymając go prawą ręką za kołnierz, z lewej zębami zdjąłem rękawicę. – Masz wybór. Albo powiesz prawdę, albo chwycę cię za pysk gołą dłonią. Wtedy spotka cię to, co owego starca.

–Szczurzy ojciec – wyszeptał pobladłymi wargami. – To ty!

–To ja – odpowiedziałem spokojnie. – A teraz gadaj!

Zbliżyłem palce do jego oczu. Próbował się cofnąć, wyrwać, ale miał za mało sił.

–Wiesz, co będzie, jeśli ci rozewrę gębę i w nią napluję? Albo wetknę to! – Wyjąłem z zanadru martwego szczura. Proboszcz rzucił się rozpaczliwie. – Mów!

–Nie mogłem naprawić krzywdy – wyjąkał. – Stało się... Pan Jerzy Winiewski żałował tego, co uczynił... odbył surową pokutę!

–Pokutę – zachnąłem się. – Uważasz, że wystarczy dać sowitą jałmużnę Kościołowi, przeleżeć krzyżem noc czy dwie i odmówić tysiąc modlitw? Uczyniłeś się sędzią i egzekutorem w sprawie, w której sąd ludzki winien wyprzedzić boski. Za podobną zbrodnię powinien go ścigać starosta, a nawet nie od rzeczy by było dostawić go przed oczy królowi. Jesteś tak samo winien jak przestępca.

–Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi...

–Ciebie tak, ale nie matkę czy staruszkę. Jednak uczyniliście wszystko, aby ich zmusić do milczenia. A potem... Kto przekupił wróżychę, aby zadała dziecku jadu? Piołun w nadmiarze zabija, miast leczyć. Ale i to nie wszystko. W oddechu dziecka wyczułem tojad. A to już niechybna oznaka morderstwa.

Chciał coś odpowiedzieć, ale najwyraźniej zabrakło mu słów. Trudno dać odpór podobnemu oskarżeniu. Wiedziałem już jednak, iż nie maczał palców w tej części zbrodni. Na to był zbyt słaby – nie można mieć do takiego człowieka zaufania, nie powierza mu się tajemnicy morderstwa.

–Nie pomogłeś matce – rzekłem surowo. – Błagała cię o zlitowanie. Pieniądzy nie miała, toś palcem nie ruszył!

–To nie tak – odparł gwałtownie. – Bałem się spojrzeć w oczy temu dziecięciu... Ja też jestem jeno człowiekiem.

–Kapłanem jesteś! Twoja rzecz posługę czynić! A Winiewskiemu było pokutę zadać

taką, by krzywdę chociaż kiesą naprawił!

–Ojciec wysłał go zaraz do wojska, ponoć gdzieś na kresy... Nie wiem, bo mi się z zamiarów nie opowiadali. Tym chętniej pan Jerzy odjechał, że krzyk się w okolicy zrobił za inną jego sprawkę. Żonę pewnemu szlachcicowi porwał, gwałtem wziął, a potem, ku większemu szyderstwu, wraz z czeladzią odwiózł mężowi w ozdobnym tureckim saku niby wielki dar. Dlatego pewnie pan podczaszy precz kazał Ewce iść, gdy po prośbie przyszła, by i jej ludzie z domem podczaszego nie wiązali. To dumny, twardy szlachcic.

Parsknąłem pogardliwie. Wielki pan zawsze się wyłga. Wielkiemu panu wszystko uchodzi.

–Stary gorszy bodaj od młodego. Cóż, księżę, trzeba, byś zapłacił za swą bierność i lizanie pańskiego tyłka.

Jakimś sposobem uwolnił się z uścisku, padł na kolana.

–Oszczędź, człowieku! Przeczżem niczego takiego nie uczynił!

–Właśnie. Nie uczyniłeś niczego. Nie ulżyłeś nawet zrozpaczonej matce. A klęczeć powinieneś jeno przed Bogiem, a nie przede mną, zwykłym ziemskim robakiem.

Powstał, chwiał się na niepewnych, dygoczących nogach. Powoli włożyłem rękawicę.

–Musisz zapłacić – powiedziałem twardo. – Nim Bóg cię osądzi, pokutę otrzymasz jeszcze na tym świecie.

Drżał na całym ciele. Czekał, co uczynię, pogodzony już z losem, pewien, że kara

jest nieuchronna, że uderzy weń pewniej niż grot strzały wypuszczonej ręką wytrawnego łucznika.

–Pochowasz tych ludzi – rzekłem. – Starego wpierw dobrze obsyp wapnem, odczekaj kilka godzin, obsyp jeszcze raz i dopiero wrzuć do dołu. A jeszcze nim ziemią go zasypiesz, wapna nie pożałuj. A potem...

Czekał z opuszczoną głową.

–A potem możesz dalej pasać swoje owieczki, drzeć z nich wełnę.

Spojrzał na mnie zdumiony.

Nie zabijesz go, Jakubie? Po stokroć zasłużył na śmierć! Może bardziej od krzywdziciela.

Nie, Blanco, nie zgładzę go. To byłaby łaska. Zadam mu torturę o wiele okrutniejszą od wszystkich, jakie mógłby wymyślić w najgorszym koszmarze.

–Zasłużyłeś na śmierć w męczarniach – powiedziałem głośno. – Ale pohańbiłbym siebie, skracając życie komuś... czemuś takiemu. Żyj i rozpamiętuj podle uczynki. Co dzień módl się o wybaczenie za uczynioną krzywdę i marność twej duszy, małość wiary. A jeśli jeszcze kiedyś przybędzie do ciebie zrozpaczona matka, pomnij, coś winien Bogu i ludziom. Gdy napotkasz nieszczęsnego chłopca, co mu pole grad przeorał, wysuń z zapasów nie grosz marny, ale ze dwie ćwiertnie zboża, by mógł je zasiać.

Miał rozszerzone zdumieniem oczy, wielkie źrenice. Jeszcze nie dotarło do niego, że wyroku śmierci nie będzie.

–I pamiętaj – dodałem. – W każdej chwili mogę powrócić i dokonać ostatecznego rozliczenia.

Ulga mieszała się w nim ze strachem. Uśmiechnąłem się łagodnie. W zestawieniu ze słowami, które wypowiadałem, musiał to być grymas koszmarny.

–Powiem jeszcze, kim jestem, księżo. Ale jak na spowiedzi. Pozostanie to twoją tajemnicą. Z nią będziesz się nosił do śmierci – zawiesiłem głos, czekałem, aż zrozumie do końca, aż słowa przedrą się przez pancerz strachu. – Posłuchaj uważnie. Jestem katem!

Cofnął się pół kroku. Roześmiałem się.

–Kat cię dotykał, wielebny! Stałeś się nieczysty. Spróbuj się z tego otrząsnąć. Trawił wieść przez długą chwilę.

–Jednakowoż – rzekł wreszcie – postępujesz bardziej po ludzku niż... niż...

–Niż chociażby ty. Wiem. Bo katostwo nie odczłowiecza każdego, a jedynie tych, co czerpią z niego radość pokrewną tej, jakiej zaznał młody Winiewski, krzywdząc niewinną dziecinę. Ale to nie czyni mnie lepszym. Mieszkają bowiem we mnie gorsze demony, niżli jesteś sobie w stanie wyobrazić. Powiedz, co musisz uczynić, aby zdjąć z siebie odium po moim dotyku? Prosić o pomoc drugiego księdza, a może nawet samego biskupa?

–Nic nie uczynię – odparł cicho. – Będę z tym żył, bom zasłużył na karę. Dopokąd nie przyjdiesz, by mi oznajmić, iż mogę się oczyścić, zamierzam czynić postugę ze świadomością twego nieczystego dotknięcia.

–A jeśli nigdy nie wrócę?

Nie odpowiedział.

Uczyniłeś z niego człowieka, ukochany. Ujrzał własne ludzkie oblicze na dnie twoich oczu, zdołał się przebić do niego przez bagnisko podłości własnej duszy.

Na ile, Blanko? Dokąd wystarczy mu wspomnienia strachu i upokorzenia, zanim wróci do poprzednich obyczajów?

Może na zawsze.

Może. Ale to tylko człowiek. Bardzo słaby człowiek.

Właśnie, Jakubie. W takim łatwo wzbudzić strach, a im bardziej się boi, tym większą sobie owym zaleźnieniem zadaje kaźń. Jeśli sprzeniewierzy się danym dziś obietnicom, po kres dni będzie się torturował i zabijał własnym strachem. Każdego dnia będzie drżał, że możesz wrócić.

–Zajrzyj jutro do pana podczaszego – rzuciłem na odchodnym. – Możesz się okazać bardzo potrzebny.

* * *

Stary Winiewski nie okazał takiego przerażenia jak ksiądz. Nic dziwnego. Był twardym, starym żołnierzem, nie licowało z podczaszowską godnością okazywać gwałtownych uczuć.

W pierwszej chwili sięgnął po pistolet, zapobiegliwie położony na zydlu przy łożu. Namacał pustkę. Rzuciłem broń na atlasową kapę, którą był okryty. Natychmiast chwycił go, odciągnął kurek, ale nie strzelił. Pohamował go mój śmiech i nagłe uświadomienie sobie, że musiałbym być samobójcą, aby nie uczynić czegoś, by samopał okazał się bezużyteczny. Pomacał palcami. Natychmiast wyczuł, że usunął krzemień. Cisnął więc we mnie ciężką rurą, ale na to byłem przygotowany i uchyliłem się. Brzęknęło rozbite lustro. W nocnej ciszy odgłos tłuczonego kryształu zdał się hałasem podobnym armatniej salwie.

–Ku mnie! – wrzasnął. – Larum! Ku mnie!

Chciał się zerwać z pościeli, ale poczuł na grdyce ostrze miecza, który po drodze zdjąłem ze ściany w jednym z pokojów. Oświetliłem broń trzymanym w lewicy kagankiem, aby dokładnie widział, co się święci.

–Krzycz, wasze – rzekłem drwiąco. – Nikto nie przybiegnie. Do ratajów w czworakach twoje wrzaski nie doleczą, a domowa czeladź słucha już wyroków przed obliczem Boga. Tuszę, iż wielu z nich nie dostąpi laski pozostania w błogostwie jego światłości.

–Coś im uczynił, przeklęty?

–Nic więcej niż powinienem uczynić i tobie, stary okrutniku. Leż spokojnie – warknąłem, bo próbował zbić wierzchem dłoni klingę. Zaciąłem mu szyję przy grdyce. – Jeśli braknie mi cierpiętności, udasz się zaraz za swymi sługami na rozmowę ze Stwórcą.

–Czego chcesz, zbóju?

–Zbóju? – roześmiałem się. Ostrożnie odstawiłem kaganek na zydel. – Ty śmiesz nazywać mnie zbójem? Ty, który krzywdą ludzką żywisz się i oddychasz?

Uważaj, Jakubie. Ten człowiek to wąż. Gotów w każdej chwili skorzystać z nieuwagi, by wbić zęby i wpuścić truciznę.

–Wiem – odparłem głośno. – Pan podczaszy to prawdziwy jadowny gad. Potrafi zatruć bliźnim życie.

Słuchał bardziej zdumiony niż oburzony. Pewnie doszedł do przekonania, iż dostał się w ręce szaleńca, bo zaczął przemawiać łagodnie.

–Dobry człowieku, a po co to mamy się kłócić? Zasobny ze mnie człek, chętnie odstąpię częśćkę dóbr zacnemu młodzieńcowi. I dla mnie starczy, i dla ciebie na dostatnie życie.

Posłuchaj, Blanko. On naprawdę myśli, że jestem poszkodowanym na umyśle rabusem.

–Obudź się, jaśnie panie! – wrzasnąłem nagle tak głośno, że aż drgnął. Ostrze przeorało kolejną kreskę na grdyce. – Nie jestem nijakim rozbójnikiem, który dybie na two bogactwo. Po nic mi ono, bo i tak nie jestem w stanie obrócić go na własne przyjemności.

–O co ci zatem idzie?

–O synaczka twego.

–A co do niego masz? – spytał zaczepnie.

–Ja nic wielce osobistego. Ale znajdzie się parę nieszczęsnych istot, które ukrzywdził.

–Ty zaś jesteś jego sędzią, a ich baraśnikiem?

Wypchnąłem do przodu dolną wargę, by podkreślić ton pogardy.

–Na sędziego panicz nie zasłużył. Raczej na kata od razu. A tym mogę się dlań stać bez zmrużenia okiem.

–Za krótkie masz ręce, by Jerzego sięgnąć. To protegowany samego pana kanclerza Zamoyskiego.

–Sam diabeł może być mu protektorem, a ja go zamierzyłem dopaść i swego dopnę.

–Będzie ci trudno, bo nie wiesz, gdzie przebywa. I nie dowiesz się...

–Dowiem.

–Od kogo? – prychnął lekceważąco. Trzeba mu przyznać, że dumny i odważny był nad podziw. Trudno bowiem okazać lekceważenie w pozycji leżącej, ze sztychem na gardle. Jemu zaś udało się to doskonale. – Krom mnie nikt nie wie, gdzie przebywa Jerzy.

–Ty więc mi to wyjawisz.

Zmrużył oczy. Teraz rzeczywiście przypominał gotowego do ataku węża.

–Na najgorszych mękach nic byś nie usłyszał. Możesz mnie zabić, a tajemnicę wezmę do grobu.

–Są sposoby, aby ją wydobyć nawet z tamtego świata.

–A ty je znasz?

–Tak, znam. Mam też kogoś, kto mi w tym pomoże.

–A kimże jesteś, by posiadać taką wiedzę?

Uśmiechnąłem się łagodnie.

–Słyszałeś pewnie o szcurzym ojcu. Po miasteczkach i siołach to zawołanie budzi grozę. W kościołach ludzie zanoszą modły, aby przeklętnik ominął ich ziemię.

Wypatrują znaków jego obecności, nadchodzącego zagrożenia. Ale niebezpieczeństwo podpełza cichaczem, niezauważone. Widać je dopiero, kiedy jest za późno. Ponoć majątek zapłacą temu, kto ujawni jego miejsce pobytu lub chociaż opisze, jak wygląda. Ale w miejscach, w których bywa, nie pozostaje żaden człek, który mógłby dać świadectwo.

Jeszcze doń nie dotarło.

–Chcesz powiedzieć, że jesteś jego pomagierem?

–Chcę powiedzieć, że jestem nim samym!

Zanim skończyłem mówić, rzucił się na mnie. Szybki był, mimo podeszłego wieku, to musiałem przyznać. W ruchach znać było wojenne doświadczenie. Odepchnął ostry brzeszczot, nie bacząc, iż tnie dłoń do kości, drugą ręką sięgnął, by chwycić miecz pod jelicem. Jakże mógł mieć jednak szanse z kimś, kto wiedział, co uczyni od samego początku, a przy tym był młodszy i silniejszy? Cios w szczękę powalił go na poduszki, oszołomił i pozbawił woli.

–Powiesz, jaśnie panie. Wyznasz wszystko jak na spowiedzi.

–Nie wydobędziesz ze mnie słowa. – Znów odzyskiwał rezon. – Choćbym skonał.

–Stanie się wedle życzenia. Nie zależy mi, żebyś przeżył. A dowiedzieć się można od

człowieka różnych rzeczy nie tylko za życia.

Nie rozumiał. Patrzył hardo, czekając na ostateczny cios. Gdyby wiedział, jak bardzo się myli i co go jeszcze spotka...

Pomożesz, Blanko?

Zdjąłem rękawicę.

Potrzebuję cię.

Oczywiście, kochany. Jak możesz pytać.

Pochyliłem się nad podczaszym. Zadrżał, czując mój dotyk. Zupełnie jakby przeszył go przyjemny dreszcz. Często tak właśnie choroba przenika do ciała, powoduje poczucie dotknięcia przez anioła... Anioła śmierci. Za chwilę bowiem zaczną się męczarnie.

–Kiedy już skonasz, panie podczaszcy, wydobędziemy od ciebie wszystko.

–Wydobędziecie? – Chwyciła go już gorączka, zatrzęsły drgawki. – Dlaczego mówisz o sobie „my”? Czemu rozmawiasz sam ze sobą? Jesteś szalony?

–Nie bardziej niż tacy jak ty i twój synek.

* * *

Dotyk pościeli sprawiał przyjemność niewiele mniejszą niż muśnięcie gładkiej, jasnej skóry kochanki. Przywarła do mnie odwrócona tyłem, rozgrzana po miłosnych zapasach. W takiej właśnie pozycji wziąłem ją tej nocy. Oboje uwielbialiśmy tak właśnie się kochać. Mogłem wtedy wsunąć ramię pod smukłą szyję, poczuć na barku miękkie włosy, a drugą ręką pieścić jędrne, obfite piersi. Muskałem nabrzmiące sutki, przyszczypywałem je, ale delikatnie, żeby nie sprawić niepotrzebnego bólu. Wykręcała ku mnie głowę, aby złączyć się w pocałunku. Języki tańczyły i zmagaly się, zawadzały o zęby, wciskały się pod wargi. Potrafiła przygryźć mnie do krwi. Nie przeszkadzało mi to zupełnie. Dla kata, który prawie każdego wieczoru musi własną

posoką nakarmić przyjaciół, to drobiazg.

–Boję się – powiedziała.

–Czego się boisz, najmilsza?

–To musi się kiedyś skończyć. Odejdiesz. A ja nie chcę.

Miała słuszość. Kiedyś będę musiał odejść. Ale jeśli zbiorę dość pieniędzy, wykupię ją z lupanaru i zabiorę ze sobą. Wiele razy o tym rozmawialiśmy.

–Przecież obiecałem...

–Wiem – przerwała. – Ale nie o tym mówię. Będziesz musiał odejść... Bartosz cię zmusi.

–Bartosz? – Uniosłem się na łokciu, zakipiały we mnie gniew i zazdrość. – Bywa jeszcze u ciebie?

–Nie. Odkąd mu rzekłam, iż moje serce należy wyłącznie do ciebie, dał mi spokój. Ale onegdaj zajrzał tu. Wyrzucił pewnego szacownego kupca, nie bacząc na gniew Mistrza Ambrożego. Wpierw mniemałam, że zamierza mnie brać siłą, ale on jeno krzyknął, że zmusi

cię do odejścia. Beze mnie...

–A cóż on może? Siedzi w akademii od wielu lat, a znaczy mniej ode mnie.

–Tacy są najgorsi. Powinieneś wiedzieć. Im kto mierniejszy, tym bardziej bywa zażarty, bezwzględny i mściwy. On coś szykuje, Jakubie. Bardzo się tego obawiam.

–Nie myśl o Bartoszu. Ma o wiele mniejsze wpływy, niż mu się zdaje. Mistrzowie nim pogardzają, mają za nic. Nie dosięgnie ani ciebie, ani mnie.

Odwróciła się przodem, przytuliła z całych sił. Poczułem jej piersi na swoich, płaski brzuch dotknął mego. Od razu ogarnął mnie nowy przyływ męskich sił. Zatraciliśmy się w rozkoszy.

Pamiętasz to?

Wyczułem w Blance uśmiech. Czasem zsyłała podobne wizje, ułamki wspomnień, całe sceny. Do mojej pamięci dołączała wtedy swoją.

Pamiętasz? Dobrze nam było.

Dziękuję, ukochana. Było dobrze. Ale zawsze zatruwał nam myśli ten przeklętnik, Bartosz. Gdybym wiedział, co knuje, udusiłbym gada i rzucił na pożarcie jego własnym szczurom.

A ja czułam, że coś się zdarzy. Kobiety miewają taki dar. Nie przypuszczałam jednak, co mnie czeka.

Czekało ją to, co może spotkać kogoś, kto zamieszkuje w pobliżu Akademii Katowskiej, stanowiąc jej własność. Wszystkie dziewczki z lupanaru należały do mistrzów, podobnie jak dochód z nich. Uczelnia nie płaciła nawet podatku od przybytku rozkoszy. Mogli uczynić z Blanką, co chcieli. Została oskarżona o knucie przeciw miejscowym notablom i przede wszystkim księciu Radogostowi. Zamachu mieli dokonać w pięcioro – ona, odźwierny zamtuza, łaziebny, kuchta i pewien Bogu ducha winien człowiek, którego Bartosz z jakichś powodów nienawidził. Torturowali ich długo, najwymyślniejszymi metodami. Ponoć mój wróg zamierzył i mnie wciągnąć w rzekomy spisek, ale Mistrz Rektor nie dal mu wiary. Nic dziwnego. Wiedział doskonale, iż gdybym ja był zamieszany w sprawę, Bartosz nie miałby okazji

czegokolwiek wykryć.

Bolało, Jakubie. Jak to strasznie bolało.

Wiem, najmilsza. Małodobry, zadając cierpienie, wie, jak to uczynić najskuteczniej. Nie darmo nas samych poddawano kaźniom, abyśmy znali najboleśniejse miejsca. Dzięki twoim wspomnieniom wiem jednak, iż istnieje zasadnicza różnica między doznaniem adepta, który wie, że to tylko próba, kolejne wtajemniczenie, a nasączonym straszliwym łękiem doświadczeniem człowieka, dla którego każń jest drogą ku śmierci, który zdaje sobie sprawę, iż nawet jeśli go uwolnią, wpraw zniszczą jego ciało, zatrują duszę. To, co uczynili tobie, Blanko, sprawiło, że zrobiłem potem wszystko, aby akademię zniszczyć do szczętu, aby nigdy nie podniosła się z upadku. Mieszkańcy Bieczy już przedtem nienawidzili katów, a po tym jak szczury pojawiły się na ulicach, niosąc zarazę, zapalali tym większą niechęcią i żądzą

odwetu. Celowo odwołałem zwierzęta, aby nie rozniosły zarazy we wszystkie zakątki miasta, aby miał kto żywić straszne wspomnienia.

Kaci rwali i przypiekali twoje ciało. Zmasakrowali cudne piersi, połamali i pomiażdżyli wszystkie kości w dłoniach. Ze szczyptych, prawie dziecinnych paluszków zerwali paznokcie. Śliczne stopy i łydki włożyli w hiszpańskie buty. Sam Bartosz dokręcał śruby. W twoim wspomnieniu widziałem jego wykrzywioną twarz. Drżał z rozkoszy. Mistrz Rektor pozwolił mu napawać się oprawianiem więźniów w nagrodę za ujawnienie spisku. Zwyczajnie nie dopuszczano obrzydliwca do procesów, bo zawód kata to powołanie, zupełnie jak w przypadku księdza. Trzeba go wykonywać w skupieniu, w służbie innych, nie zaś jedynie dla siebie. Bartosz nigdy tego nie zrozumiał. Dlatego stał się właśnie taki – zajadły, pełen nienawiści do całego świata. Mistrzowie powinni go wygnąć na samym początku, aby poszedł w świat, pracował jako podrzędny oprawca, a najlepiej pomocnik kogoś biegłego. Jednak ktoś dał mu wsparcie, doprowadził do takiego stopnia wtajemniczeń, że nie mógł opuścić murów uczelni. Z jednej strony umiał zbyt mało i nie potrafił opanować żądzy zabijania, z drugiej zaś poznał nazbyt wiele tajemnic, a nie można było ufać jego lojalności. Wiedział o tym doskonale. Może by nawet pogodził się z losem, ale stanąłem mu na drodze. Szybko osiągałem kolejne wtajemniczenia, byłem uczniem sławnego Eustachiusza, ale najgorsze było co innego. Pokochała mnie Blanka. Wtedy zrozumiał, że nie ma szans nawet na to, by obdarzyła go uczuciem kobieta, choćby tylko sprzedajna dziewczyna.

Tak, miły. Można wybaczyć każde upokorzenie, ale nie obojętność. A mnie był wpraw obojętny, zaś potem bałam się go okrutnie. Wszystkie go unikałyśmy, bo miewał dziwne zachcianki, często był brutalny. Ale jednego nie możesz mu odmówić. Przebiegłości.

Masz słuszość. Był przebiegły. Sprytniejszy ode mnie.

Zamilkła. Pewnie trawiła wspomnienia, podobnie jak ja w tej chwili.

Mamy zadanie do wykonania. Trzeba iść między ludźmi, miła. Wiesz o tym, prawda?

Wiem. Ale jak chcesz żyć między nimi, nie rozsiewając zarazy?

Muszę odprawić szczury. Z resztą jakoś sobie poradzę.

Chcesz porzucić przyjaciół? Dlaczego?

To proste. Widzisz, Blanco, czarna śmierć, którą noszę, jest podsycana właśnie przez nie. Pijąc krew, liżąc rany, sprawiają, że zaraza staje się bardziej zabójcza niż w naturze. One zakażają mnie, zaś ja sprawiam, iż w nich rozkwita choroba. Wszak to nie ja roznoszę ją po miastach, ale one. Bez ich pomocy stanę się mniej groźny. Muszę jedynie uważać, by nikt nie dotknął mej skóry, nie zabrudził się posoką.

Nie żal ci?

A jak myślisz? Przecież znasz moje myśli i uczucia. Będzie mi brakowało zwierząt. Ale tak trzeba, jeśli mamy doprowadzić do końca, co zaczęliśmy.

Myślisz, że go odnajdziemy? Mógł już udać się gdzie indziej.

Mam takie poczucie, jakbym szedł po śladach Bartosza. Wydaje mi się, że to taki sam

człowiek. Wciąż wspominam twarz tamtej dziewczynki. Prześladowają mnie smutne oczy matki i wodniste, zamglone starca. Dopominają się pomsty za zmarnowane życie, za rozpacz i ból.

Tarcza Perseusza

Psków to twierdza olbrzymia. Podobno w Polsce niewiele jest takich miast, a może zgoła wcale. Nawet stołeczny Kraków nie zdaje się tak wielki, a z całą pewnością jest mniej warowny. Nic dziwnego, że trudno było zgryźć gród naszym wojskom. Tam po raz pierwszy poznałem, co znaczy ryk armat. Blanka skuliła się w mojej głowie, przerażona i bezradna niczym dziecko we mgle. Jeden wystrzał działa to niewiele. Sporo hałasu, grzmot prawdziwie burzowy, ale szybko przetacza się po okolicy. Jednak kiedy zaczną grać dwanaście działobitni naraz, a dołączą się do nich puszki wroga, dźwięki przeistaczają się w prawdziwy huragan. Ryk to najważniejsze słowo, aby oddać jego naturę.

Kłęczałem przy rannym żołnierzu. Pocztowy towarzysza husarskiego otrzymał postrzał w pierś. Paskudny, bo nim go doniesiono do naszych stanowisk, stracił mnóstwo krwi. Zatomowałem strumień zwiniętym ciasno kawałkiem materiału, skinąłem na tych, co go znieśli z pola. Jeden zastąpił mnie, docisnął mocniej, drugi ujął rannego za głowę. Niewiele mogłem tu zdziałać. Uśmierający napój to jedyny sposób, by ulżyć umierającemu. Wziąłem szarpie i przewiązałem ciasno pierś nieszczęśnika. Jego kamraci patrzyli mi w oczy. Powoli pokręciłem głową. Zdjąłem znad ognia kubek, przytknąłem rannemu do ust. Pij, przyjacielu. To pomoże na chwilę zapomnieć, rozgrzeje trzewia i łagodnie przeprowadzi cię przez ulotną granicę między życiem a śmiercią.

Bombardowanie to najgorsza część dnia przy oblężeniu. Kanonierzy spoceni i zdyszani nabijają armaty, z obu stron lecą kule i kartacze. Rannych może nie ma tak wielu, bo żołnierze zapobiegliwie kryją się po różnych dziurach, ale zawsze znajdzie się ktoś nieuważny. Jak teraz. Niosą wrzeszczącego wniebogłosy biedaka z oberwaną nad kolanem nogą. Jest tak zdziwiony, że coś mu się stało, tak zaskoczony, że krew jeszcze nie cieknie. Ale już należy uczynić, co trzeba, żeby ratować życie. Wszyscy medycy zajęci, wojacy niosą go więc do mnie. Powinienem w tej chwili donosić proch do działobitni albo ostrzeliwać wraz z towarzyszami mury, na których z rzadka można wypatrzeć nieostrożnego Rusina. Powinienem słuchać komendy, wspierać towarzyszy z oddziału. Jednak kiedy się okazało, iż znam się na opatrywaniu, w takim gorącym czasie dostałem rozkaz zajmować się rannymi. Gorący czas! W środku zimy, daleko za wschodnią rubieżą Rzeczypospolitej, podobne słowa mogą wzbudzić śmiech. Ponoć już w październiku spadły tutaj pierwsze śniegi, a w

listopadzie mróz skul jeziora.

Krzyczący żołnierz spoczął u moich stóp. Jeszcze nie czuł bólu, skrzeczał tylko z przestachu. Oczy miał nieprzytomne, zaciskał mocno dłonie. Natychmiast nad raną ciasno zapiąłem rzemienny pas. Włożyłem w żar szeroki nóż, podobny do tych, jakie noszą saperzy. Mniejszym, zdatnym do takiej roboty, rozciąłem osmaloną nogawicę. Popuściłem opaskę, wydobyłem materiał, znów zacisnąłem pas. Prawdziwa miazga. Należałoby wydobyć odłamki kości, ale nie ma na to czasu. Jeśli przeżyje, a nie zje go gangrena, ciało samo ułoży się z niechcianym żelazem, natura robi swoje. Obficie oblałem ranę gorzałką, potem wywarem z ziół. Zanurzyłem ostrze we wrzątku,

następnie w wódce. Obcinałem szybko skrawki skóry zwieszające się dookoła kikuta. Gdybym miał tylko możliwość, potrafiłbym zszyć co większe bruzdy, przez które prześwituje tłuszcz i żyły. Ale o tym mowy być nie może. Tymczasem duży nóż rozgrzał się należycie. Do tej pory przypalałem rany skazańcom, którym sam zadawałem cierpienie. Teraz zasklepiałem żyły zranionym przez innych. Mężczyzna wrzasnął jeszcze głośniejsze, gdy przytknąłem rozpaloną głównię do rany. Albo ból zaczął do niego docierać, albo zdał sobie sprawę, że moje działania oznaczają, iż zostanie kaleką do końca życia.

–Cichaj, nieboraku – mruknął stary piechur, jeden z tych, co go przynieśli. – Zachowaj trochę sił na wyzdrowienie.

–I na co mnie zdrowieć? – zaskomlał ranny. – Po kiego do domu wracać? Babie jeno trosk przysporzę, a dzieckom roboty przy niedoładzie...

–Babie jeszcze radość sprawisz, bo co trza, masz całe. Nogę ci oberwało, a nie jajca lubo pyję. Żonkę jeno będziesz w łóżnicy mniej ugniatał, boś lżejszy. Do dom wrócisz, a jeszcze hetman z królem nagrodę z czasem jaką dadzą. I na wojnę już nikto cię wołał nie będzie. Urwana noga nie taka zła rzecz. Drewnianą ci cieśla dorobi i jakoś pokuśtykasz przez życie.

Dziwne to żołnierskie pocieszanie, ale skutek jakiś dało, bo ranny przestał się podnosić, by patrzeć, co robię, i wlepił wzrok w niebo. Zabrali go zaraz, kiedy skończyłem, żeby się ogrzał gdzieś w zaciszu ziemianki. Ciężki los poszkodowanych w takiej zimowej porze. Ale ma też mróz i swoje dobre strony. Jeśli o rany odpowiednio zadbać, nie przeziębic, mniej się paskudzą niżli w upały. Kolejny, którego mi przynieśli, już nie żył. W plecach ziała wielka dziura. Widać było porozrywane płuca i rozharatane serce, a wszystko zaprawione kaszą z kości zmielonych żeber. Musiał dostać mniejszym kartaczem albo jakimś wielkim odłamkiem kamiennej kuli.

Świsł gwizdka. Piechota łanowa rusza do zdobywania bastionu. Nawala artyleryjska uczyniła w nim spory wylom, trzeba spróbować opanować wrogie gniazdo. Porzuciłem pracę przy rannych. Trzeba dołączyć do oddziału, wziąć broń i pobiec z innymi pod prąd morderczego ognia obrońców.

Zaciągnąć się nie było trudno. Oblężenie trwało już dość długo, ceniono każdego, kto chciał w nim wziąć udział. Gdzieś tam daleko, nad naszymi głowami, król z carem prowadzili rozmowy, jeden drugiego pragnął zaszachować, zmusić do cofnięcia. Żołnierze śmiali się, że wreszcie uparty Iwan Groźny trafił na równie upartego króla Polski. Upór... Ale okupiony nie chwilą czyjegoś powszedniego zniecierpliwienia czy rozdrażnienia. Za upór władców płacą ludzie. Widziałem to doskonale, kiedy przemierzałem pogrążony w wojnie kraj. Niestety, spalone chałupy i jałowe ugory. Nawet obeznany z krwią i krzywdą kat musiał zacząć się zastanawiać, jaki to ma sens. Iwan był krwiożerczy i tego też żądał od swych żołnierzy. Mordowali nie tylko wrogów, ale też własnych ludzi, znęcali się nad ofiarami z podziwu godnym, wytrwałym okrucieństwem.

Kim jest ten car? Jak można czynić podobne zbrodnie i spać spokojnie?

Blanka nie mogła się pogodzić z widokiem ciał bezbronnych chłopów, trupami

dzieci, zwłokami pohańbionych niewiast.

Ludzie zwykli mówić o kimś takim – zwierzę. Ale które zwierzę tak postępuje? Jemu jest wszystko jedno, czy morduje swoich, czy obcych?

Tak, miła. Jemu wszystko jedno. Władca Rusi pragnie pokazać swą moc każdemu, najmniejszemu nawet człowiekowi z własnego ludu, a nie tylko wrogiemu władcy. Ci wieśniacy zapewne ociągali się z płaceniem podatku, a może któryś z oprychników cara usłyszał, jak mówią, iż po polskiej stronie lepiej... Kto wie.

Ale dzieci, kobiety, bezbronne istoty? Dlaczego?

Iwan musi być słabym człowiekiem, Blanko. Właśnie tacy popełniają najgorsze zbrodnie. Pragną udowodnić, iż są godni szacunku, należy się im respekt. Chcą to pokazać światu i sobie... może przede wszystkim sobie. Tak, na pewno. Przecież człowiek w istocie rzeczy wstydzi się tylko samego siebie, nawet jeśli uważa, iż odczuwa wstyd przed innymi. Żeby zabić w sobie to uczucie, które sprawia, że czuje się gorszy, gotów jest czynić rzeczy straszne, obrzydliwe i godne najniższego kręgu piekła.

Czy ty to naprawdę rozumiesz?

Nie, Blanko, nie rozumiem. Wiem, że tak jest. Mówił mi o tym Mistrz Eustachiusz, powtarzał w akademii Mistrz Herbert. Obaj mieli ze sobą coś wspólnego. W odróżnieniu od innych mistrzów z Biecza chodzili wśród ludzi, nie grzali miejsc na uczelni, nie pociągały ich dostojności. Oni też nie rozumieli okrucieństwa do końca. Nie mogli. Pamiętaj, iż byli... są katami. Tak jak ja. Nie potrzebuję nikomu pokazywać, że lepszy, niż jestem. Znam swoje brudy, wiem, jak czarny mam umysł. Jest barwy mojej spalonej krwi. Nie na darmo takich jak ja zwą małodobrymi.

Jak więc nazwać kogoś, kto dopuszcza się podobnych zbrodni?

W błysku wspomnienia zobaczyłem twarze ludzi pod taflą lodu. Ofiary carskiego wojska. Młodzieńcy, starcy, dzieci, kobiety... Jakaś niewiasta przytulała twarz do główki dziecka.

Miało otwarte usteczka, zapewne pragnęło złapać oddech. Zamiast tego do płuc wtargnęła lodowata woda. Postacie nie odpływały od siebie, trwały razem jedna przy drugiej. Na urągowisko przywiązano je linami.

Jak to nazwać, Jakubie?

Na to nie ma nazwy, najmilsza. Zbrodni dokonano z rozkazu władcy. A tych się nie sądzi. Złym zazwyczaj okazuje się ten, który przegra. Zwykli ludzie czynią powszednią, szarą sprawiedliwość, mają dziesięć przykazań i urzędników, którzy strzegą porządku. Królowie na własny użytek posiadają inne kodeksy. Nie wiem, czy im z tym lepiej, czy gorzej, ale na pewno łatwiej.

–Jakubie! – usłyszałem okrzyk. – Jakubie, chodź tutaj! Wincenty chce cię zobaczyć!

Wincenty? Przecież leżał bez ducha tak, jak go znieśliśmy z pola. Nie ocknął się, nawet kiedy mu niedoświadczony łapiduch odrzynał zmiażdżoną rękę. Musiałem odepchnąć profana i samemu dokończyć robotę, choć dłonie mi jeszcze drżały z wysiłku po walce. Ze szturm na pokruszony bastion wróciła może połowa. Rusini nie pozwolili się zaskoczyć. Ślali gęsty ogień. Strzelali z hakownic, bandoletów, szyli z łuków i wyciągniętych z czeluści zbrojowni kusz. Każdy krok został okupiony krwią.

Jednak najgorzej dali nam popalić już przy samym murze. W wyłomie natknęliśmy się na trzy niewielkie działa nabite siekańcami. Ci, których dosięgnęły drobne kulki, gwoździe i podobne obrzydlistwa, walili się na ziemię, padali w tył na towarzyszy. Wróg nie mógł nie trafić, bo w rozwalonej ścianie piechurzy toczyli się, kłębili, wpychani przez idących w następnych szeregach. Wtedy Wincenty oberwał w rękę. To nie były siekańce. Rusin musiał wystrzelić mu prosto w łokieć z hakownicy, z przyłożenia, bo ze stawu nie zostało nawet kostki, impet pocisku wszystko wyrwał i cisnął nie wiadomo gdzie. Dopiero potem nieszczęśnik dostał się w zasięg armatek. Nie miało sensu wydłubywać zeń wszystkich żelaznych igieł. Trzeba by nad tym spędzić więcej czasu, niż mu zostało życia.

–Co tam, druhu? – Ukląknęłam przy nim. – Zbieraj się, musimy dziś zaśpiewać przy ogniu.

–Ja dzisiaj zaśpiewam, Jakubie – uśmiechnął się bladymi, białymi już właściwie ustami. – Jeno nie z wami, a w anielskim chórze. Jeśli Bóg dopuści wielkiego grzesznika przed oblicze.

–Takiego wojaka miałby nie dopuścić? – odparłem lekkim tonem. – Dla królewskich żołnierzy ma przyszykowane najpierwsze miejsca. Zaś ze wszystkich formacji na samym początku przyjmuje piechurów. Wie, iż nie ma podlejszej służby, zadbał więc, by dobrze wypoczęli, rozsiedli się, położyli nawet, bo im z natury rzeczy nogi w rzyć wchodzą.

Obok stali inni ludzie z oddziału. Suchymi oczami patrzyli na agonię towarzysza. Ilu już przyjaciół tak pożegnali? Zapewne dawno przestali liczyć.

–Dziękuję ci, Jakubie – szepnął. – Dziękuję za wszystko. Żeś mnie leczył i znosił jęki, żeś nigdy złego słowa nie rzekł, choć musiałeś mieć serdecznie dość...

Pielęgnowałem go w chorobie. Zapadł na ciężką biegunkę. Oblegający nie dość, że

jedzenia mieli mało, to jeszcze najczęściej zepsute, pochodzące z czasów, zanim ścisnęły tęgie mrozy.

–To drobiazg, Wincenty. Nie żegnaj się jeszcze z nami. Co tam taka rana dla męża, którego nie zmogła nawet krwawa sraczka.

Zamknął oczy. Nos wydłużył się, powieki posiniały. Od odciętej ręki rzeczywiście nie mógł skonać, ale jakieś żelastwo musiało utkwic bardzo blisko serca.

–Zegnajcie, bracia – szepnął ostatkiem sił. – Ostańcie z Bogiem.

–Idź z Bogiem – odparł ponury chór głosów. – Niechaj cię przyjmie.

Tak właśnie mieli w zwyczaju żegnać umierających. Jakże byli różni od tych wszystkich ludzi, którzy przyglądali się kaźniom. Dla tamtych śmierć była wielkim wydarzeniem, dla tych codziennością. Tamci się nią napawali niczym niespodziewaną, przygodną kochanką, ci zaś traktowali ją jak siostrę. A może matkę... Była im bliska, choć żaden nie śpieszył się w jej objęcia. Żołnierz musi być w każdej chwili gotów umrzeć, musi się oswoić z myślą, iż jest na świecie tylko przez moment, mgnienie oka, niczym jętka jednodniówka. Wtedy łatwiej mu ponieść serce i głowę w wir bitwy.

Jak przez mgłę widzę jego duszę, Jakubie. Śmieje się do ciebie... a może raczej

śmieje się z ciebie i wszystkich zgromadzonych wokół.

Widzisz zapewne bardzo wiele dusz, miła. Ale człowiek pozostaje tylko człowiekiem aż do chwili uwolnienia. Nie rozumie, że gdy nastąpi kres, wcale nie nadchodzi koniec życia. Co prawda każą mu wierzyć w życie pozagrobowe, powtarzają każdej niedzieli w kościele, jednak jakże ma pojąć niewyobrażalne? Ja sam noszę cię w głowie od paru lat, a jeszcze nawet w przybliżeniu nie zdołał tego pojąć. Nie mam nawet pewności, czy dusza jest w istocie nieśmiertelna.

Sama tego nie wiem. Może dlatego, że zostałam uwięziona w twoim ciele, a może po śmierci nie jesteśmy wcale wiele mądrzejsi niż za życia.

Uwięziona... Wypełniłaś tę część mnie, którą utraciłem po przemianie najwyższego wtajemniczenia. Nie jestem tym samym Jakubem, którym byłem przedtem.

–Každy prawdziwy mistrz katowski musi to przejść. Ty masz mnie. Inni...

Nie każdy. Eustachiusz był wielkim artystą, prawdziwym mistrzem, a jednak nigdy nie widział, by wpychał komu kulę w usta. Ci, którzy przeszli najwyższy stopień, mają po prostu niewolników, ukochana. W moim przypadku po raz pierwszy w dziejach zdarzyło się, by kat otrzymał duszę osoby, którą kochał i która pokochała jego.

Źle ci z tym?

Wiesz dobrze, że nie, najmilsza. Może to był jedyny sposób, byśmy na zawsze pozostali razem, aby nikt nie mógł nas rozłączyć. Sposób niechciany, tragiczny, ale jakże skuteczny. Bartosz uknuł tę intrygę, nawet przez moment nie przypuszczając, jakie w rzeczywistości przyniesie skutki. Każde dobrodziejstwo niesie w sobie przekleństwo, zaś każde przekleństwo łączy się z błogosławieństwem. Czego jest więcej w naszym złączeniu? Nie wiem. Aby to

odgadnąć, trzeba by w życiu zaznać prawdziwego, niezakłóconego niczym szczęścia.

Mieliśmy dla siebie jedynie pojedyncze, ukradzione zawistnemu światu noce. Miałam być tylko nagrodą za osiągnięcia i pracowitość, wytchnieniem dla zmęczonego naukami adepta. Nie powinnam obdarzyć cię uczuciem.

I tak bym cię pokochał. Ciebie nie dało się minąć obojętnie. Zakochał się nawet zimny i okrutny Bartosz.

Nie powinnam jednak oddawać miłości. Moja wzajemność sprawiła, że zostałam zabita wraz z innymi, Bogu ducha winnymi nieszczęśnikami.

–Trzeba go zabrać – powiedział ktoś. – Pora złożyć zabitych w mogile.

Wspólnej mogile. Pachołkowie kują oskardami ziemię twardą jak skała. Ponoć na początku luty mrozów próbowano trzymać ciała na wierzchu w pobliskim lasku, ale nie szło upilnować wygłodniałych lisów, a i wilki zaczynały podchodzić, wyczuwając łatwy łup. Poza tym widok zwłok, na dodatek napoczętych przez drapieżniki, fatalnie działał na żołnierzy. Grzebano ich więc z wielkim wysiłkiem.

*** * ***

Śnieg skrzypiał pod nogami. Mróz i wiatr wysuszyły powietrze tak bardzo, że ludziom trudno było oddychać; czuli, jakby przy każdym haucie musieli połykać

długi, ostry sztylet. Obrońcom nie było wiele lepiej, ale zawsze to korzystniej siedzieć za murami, niż kontentować się marną płachtą namiotu albo mrokiem ziemianki.

–Niech to biesy porwą – wychrypiał Michał. – Dzisiaj chyba nie będą nas pchać do szturmu. Rotmistrz gadali, co prochów zaczyna artylerzystom brakować.

Słuchałem jego marudzenia jednym uchem. To było dziwne, ale prości żołnierze, piechota wybraniecka, przyjęli mnie bez protestów. Nie pytali nawet, dlaczego taki dziwny, czemu bez przerwy chodzę odziany w skóry, nie zdejmuję rękawic. Dla nich byłem jednym więcej nieszczęśnikiem, który musi gnić, pilnując wojsk Iwana zamkniętych w twierdzy. Czekali na zmiłowanie od Boga i pana hetmana Zamoyskiego. Król kazał wytrwać na posterunku, więc trwali.

–Słyszałem, jak pan Żółkiewski mówił, że przydałby się teraz porządny kat – rzekł Michał, rozciągnięty wygodnie na sienniku. Nie wadziły mu łażące wszędzie wszy. Tych nie jest w stanie wytłuc nawet potworne zimno. Tylko mnie oszczędzały, wyczuwając, iż nie należy pić czarnej krwi. Jeśli mogłem wierzyć temu żołnierzowi, to nim zaciągnął się do wojska, gnił dwa lata w wieży pewnego szlachcica, dokąd nie upomniął się o niego królewski rządca. Szlachciura nie zważał bowiem, iż zakuł w kajdany poddanego z dóbr koronnych. Wtłoczył nieszczęsnego na samo dno najciemniejszego lochu. W takim miejscu człowiek rzeczywiście przyzwyczaja się do insektów, szczurów i wszelkiej niewygody.

–Uciekinierów masa – ciągnął – pewnie groźba kaźni niektórych by powstrzymała.

–Kat – prychnął Marcin. – Szanujący się małodobry nie robi za darmo. A skoro nam nie płacą żołdu, jemu też by skąpili. Pierwszy by uciekł od tego głodu i zimna.

–Katu nikt nie żałuje grosza – zaprotestował Michał.

–Jeśli sam ma. Teraz pan hetman tak samo w nędzy pogrążony jak my. A Psków się trzyma twardo. Coś mi się widzi, że żadna siła go nie zmoże.

Zagrzmiały armaty. Jakaś działobitnia przeniesiona w nocy w pobliże naszej kwatery sprawiła, że spomiędzy belek posypała się ziemia. Co dzień szczerzyliśmy zęby w kierunku Rusinów, co dzień marnowaliśmy prochy, a skutków nie było widać. Pan Żółkiewski hasał z jazdą po okolicy, wybijał oddziały śpieszące na pomoc oblężonej twierdzy, znosił gromady partyzantów. Chłód, głód i anarchia. Tak można było nazwać to, co się działo pod Pskowem. Odeszli już prawie wszyscy ochotnicy, rzuciły służbę oddziały niemieckiej piechoty, uważając podobne warunki za zbyt ciężkie. Został tylko regularny żołnierz, karny i posłuszny. Zostało też trochę co bardziej bojowej szlachty. Zdobycie pożywienia stało się bardzo trudne. Wszędzie grasowały mniej lub bardziej sferne grupy wroga.

–W końcu nas na proch przerobią – burknął Marcin. Klnąc, wyjmował z oka brudnym halsztukiem ziarna piachu. – Zmielą, nabiją w armaty i będzie wreszcie spokój.

Działa zamilkły. Nie miało sensu gryźć potężnych murów, jeśli te nie miały zamiaru się zawalić. Dlatego strzelano głównie granatami, by wybić jak najwięcej ludności. Zaś podobnego ostrzału nie należy prowadzić zbyt długo, bowiem już po pierwszych wybuchach wszyscy, którzy wypuścili się na ulice, poszukają schronienia w grubych

murach. Zapewne nie da rady w ten sposób zabić czy poranić więcej niż kilka osób, a i to zdaje się mocno wątpliwe, jako że po miesiącach oblężenia mieszkańcy grodu zyskali doświadczenie, a przy życiu na pewno pozostali głównie ci, których najtrudniej dopaść. Od początku wydawało mi się, że te codzienne salwy kartaczy to tylko pokazywanie zębów, przekonywanie swoich własnych żołnierzy, że wróg dostaje nauczkę, a w istocie rzeczy było to działanie jałowe i bezcelowe.

Zresztą wojna jako taka jest czynnością pozbawioną jakiegokolwiek sensu. A jednak ludzie prowadzą walkę, chcą się zabijać, przy czym jedni za to płacą, a inni biorą pieniądze.

Czy nie rozsądniej by było, żeby król Batory spotkał się z carem Iwanem i sami rozstrzygnęli spór?

O mało nie parsknąłem śmiechem. Blanko, Blanko... Jesteś niewiastą, myślisz więc jak niewiasta. Wojna to coś w rodzaju dziecięcej zabawy. Bezlitosnej, spływającej krwią, pełnej krzywdy, ale zabawy... a może bardziej gry. Ponoć dawniej wodzowie potrafili rozwiązywać nieporozumienia pojedynkiem. Jednak nie po to stworzono państwa, a wraz z nimi rycerstwo i armie, żeby ci, co sprawują władzę osobiście, narażali się na śmierć. Człowiek lubi krew. O tym wiesz doskonale. Dlatego zbrojni chętnie stają do sprawy przeciw wrogowi, a jeśli zbyt długo panuje pokój, pojedynkują się między sobą.

–Larum, larum! Wszyscy na stanowiska, piechocińcy do broni. Larum!

–Niech im pyje wygnije – warknął Michał, chwytając arkebuz i szablę. – Znow wycieczkę urządzają.

–Nudno im za murami, duszno, chcą się przewietrzyć. – Marcin także był już na nogach.

Wybiegli, ja za nimi. Za pasem miałem bandolet, w dłoni ścisnąłem berdysz. Wspaniała broń dla kata. Szabla zdawała mi się zbyt lekka, a poza tym wymagała ćwiczenia i doświadczenia. Niemieckie nowoczesne mieczyska – czy rapiery, jak je oni nazywali – najbardziej przypominają katowski oręż, ale gdy próbowałem takim machać, szło mi niesporo. Może rajtarowi z konia prędeż to przydatne, ale w walce pieszej cokolwiek za długie. A berdysz był w sam raz. Wydłużone, odwrócone szpicem ku górze ostrze, długie toporzysko, którym zawinąć można i jedną ręką, i oburącz. Widziałem, że inni walczą berdyszami, tylko trzymając je w obu dłoniach. Wzbudzałem podziw, młynkując żeleźcem nad głową niby inny szablą czy czekanem.

Rusini byli już przy okopach. Gęsta palba nie czyniła na nich wrażenia. Obyci z ogniem, doświadczeni w czasie długiego oblężenia, szli bez mrugnięcia okiem. A poza tym car zamknął w mieście bodaj najlepsze wojska. Wyskoczyłem na przedpole za towarzyszymi. Piechota wybraniecka... Zajadli chłopcy o twardych, sękatych dłoniach. Szerokie ramiona, mocarne karki. Na co dzień mieli szkolić się w rzemiośle wojennym, by stanąć na każde żądanie, a gdy szli walczyć, inni kmiecie obrabiali ich pola. Większość zresztą, wbrew nazwie, nie była wybierana z domów niczym pisklęta z gniazda. Mężczyźni sami pragnęli stanąć do poboru. Co bowiem czekało ich w rodzinnych wioskach? Harówka od młodości po późną starość. W wojsku, jeśli który żył dostatecznie długo, mógł się dochrapać stopnia podoficerskiego, zyskać

zawołanie, a i zebrać jaki grosz na spokojną przyszłość. W niebieskich żupanach i obłoczystych deliach wyglądali wspaniale. Oczywiście nie po miesiącach oblężenia. Teraz wszystko było szare, barwy ziemi i gliny. Ale to i lepiej, bo wówczas łatwiej wtopić się w brudny śnieg i wyrwane wybuchami twarde, czarniawe grudy. Taki kolorowy, niebieski żołnierz dobry jest na polu bitwy, walcząc w szyku, bo wiadomo wówczas, gdzie wróg, gdzie przyjaciel. Tu by jeno mógł stanowić lepszy cel dla wroga.

Wypadł na mnie brodaty wojak. W jednej dłoni dzierżył ciężką szablę o szerokiej głowni, w drugiej nadziak. Zaśmiał się lekceważąco na widok berdysza, a potem ciął na odlew, pewien przewagi długości ramienia i broni. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał własną rękę odciętą w łokciu, spadającą w bok, z dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści. Twardy był. Próbował mnie sięgnąć nadziakiem, ale tu nie musiałem się wysilać. Trzasnąłem po palcach obuchem. Wrzasnął, wypuścił broń, która zwisała na rzemieniu oplecionym wokół nadgarstka. Rzucił się do ucieczki. Gdyby stracił rękę przy rąbaniu drzewa albo podobnej sposobności, bez wątpienia omdlałby w jednej chwili. Ale w ferworze walki jest inaczej, krew gra, powodując, że rany nie wydają się tak straszne. Ujrzałem obok siebie uniesioną lufę króciicy. Podbiłem ją.

–Tobie co? – Michał był zdziwiony. – Trza go dokończyć. Coś taki litościwy?

–Zostaw. Starczy mu.

Opodal przejechał wachmistrz, prowadzący do boju konnicę. Spojrzał koso, ale nic nie rzekł. Nie było czasu.

Kolejny napastnik nie mógł uwierzyć, że wnętrzości wylewają się z rozciętego brzucha. Nawet nie zauważył ostrza, które mu uczyniło krzywdę. Pociągnąłem bowiem z jednej ręki, krótko i płasko, pod ramieniem z uniesioną szablą. Nie widziałem, co się dalej z nim działo, bo już następny siedział mi na karku. Młynkował zapamiętane bronią. Szabla śmigła, nawet w zgiełku słyhać było jej świst. Zaśmiałem się i puściłem w podobny ruch żeleźce berdysza. Rusin cofnął się pół kroku skonfundowany, ale zaraz znów rzucił się na mnie. Prawdę powiedziawszy, chciałem mu odciąć głowę pięknym uderzeniem z prawa na lewo. Bez trudu przełamane zasłone szabli, ale wróg zachwiał się, tak że odwaliłem mu jedynie kawał czaszki. Padł z jękiem. Żył, bo odleciała tylko kość, a mózg był jeszcze w całości. Miał szczęście, że zaraz stracił przytomność i nie czuł depczących po nim nóg. Któryś z własnych towarzyszy litościwie przyszpilił go do ziemi.

Nie czekałem już, aż ktoś mnie zaatakuje. Sam rzuciłem się na wroga. Szerokie cięcia powodowały, że Rusini cofali się przede mną w popłochu. Moi kamraci wiedzieli, że trzeba dać mi więcej miejsca, żaden więc nie wpychał się obok. Mogłem rąbać ile sił.

–Bies, prawdziwy bies! – usłyszałem krzyki.

To prawda. Mogłem wyglądać jak demon. Odziany inaczej od wybranieckich, bo w czarny płaszcz miast delii, a zamiast żupana w skórzany kaftan. Ciemna cera, widać, że nie wysmagana wiatrem i nie spalona słońcem, ale z samej natury. W tej chwili poczułem dziwny zew, jakby obudziło się we mnie dzikie zwierzę. Wydałem głośny, ochrypy ryk. Nie pamiętam dokładnie, co było dalej, oprócz tego, że zmieniały się

przede mną przerażone twarze.

* * *

–Aleś się spisał – mruknął z podziwem Marcin. – Pierzchali jak zajęce.

Dopiero towarzysze opowiedzieli mi, jaki przestрах posiałem w szeregach wroga. Berdysz śmigał niczym rozpędzone skrzydła wiatraka, a krew pryskała na wszystkie strony i pod niebiosa. Wycieczka załamała się najpierw w miejscu, w którym walczyła moja setnia. A właściwie tam, gdzie ja szalałem.

–To zwyczajna rzecz, że wojownik wpadnie w szal bojowy – rzekł Michał. – Jeno mnie się zdało, jakbyś ty szatkował onych z zimną pasją. Diabli wiedzą, co by było, gdybyś tamtym nie odebrał ducha, bo widać wzięli przed się zgnieść nas i zdobyć harmaty. To by było po oblężeniu.

W pewnym momencie zemdlałem. Od wysiłku uczyniło mi się słodko w ustach, to pamiętam. Ale potem już nic. Ocknąłem się w ziemiance, okryty kocami. Pierwsze, co sprawdziłem, to czy rękawice są na miejscu. Gdyby chcieli mnie rozebrać... tylko dżumy brakowało w obozie. Ale na szczęście było zbyt zimno, żeby rozpięli chociaż haftkę przy kurcie. Zresztą przecież sami mieli ręce okutane, bo odmrozić palce niezmiernie łatwo.

–Byli my obejrzyć pobojuwisko. – Marcin stanął nade mną. – Widziałem w życiu niejedno, bo i służę już przeszło pięć lat, a król bojowy jest, ciągiem nas pcha na wyprawę. Oglądałem rąbaninę po takich, co ich w bitwie zamrocył krwawy demon. Jeno zawsze ciała były porąbane, pomiażdżone nawet. Zaś u ciebie... Niech mnie diabli porwą! Cyrulik sprawniej nogi nie odejmie! Każde cięcie równe, łapy i nogi odrąbane w stawach, łby ucięte, jakbyś robił to mieczem na spokojnie, a nie toporną okszą w ferworze bitwy. Jakubie, podaj prawicę. Taki charakternik... A gdyś do nas trafił, zdało się, że do trzech nie potrafisz zliczyć.

Widzisz, ukochany? Nawet kiedy rozum odejdzie, człek pozostaje tym, czym sam się stworzył. Ty zaś jesteś katem.

I nikim więcej. Ćwiczenie stało się drugą naturą. Podałem rękę kamratowi. Uścisnął ją z całej siły.

–Jednego tylko nie pojmuję – odezwał się Michał. – Dlaczegoś oszczędzał tych ludzi, miast ich zarzynać? Wielu uszło do grodu. Porżnięci, potrzaskani, ale żywi.

Już miałem otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, kiedy w wejściu ukazał się ordynans.

–Jakub ma się natychmiast zameldować u wachmistrza Biernackiego!

* * *

Zawsze znajdzie się ktoś, kto człowiekowi źle życzy. W akademii prześladował mnie Bartosz, tutaj wziął się wachmistrz.

–Za żywienie wroga w czasie walki odpowiesz przed sądem polowym – warknął. – Rozkaz w takich wypadkach jest wyraźny! Nie wolno ani brać jeńca, ani okazywać litości! Sam pan rotmistrz Żółkiewski tak nakazał – skłonił się przed przełożonym, który przysłuchiwał się naszej rozmowie – a kanclerz hetman Zamoyski polecenie powagą urzędu przypieczętował. Przecz żeś tak uczynił?

Zamilkł, czekając, aż coś odpowiem. Jednak nie miałem ochoty zabierać głosu.

Czego bym nie powiedział, wyszczekany szlachcic obróci, przeciwko mnie.

–Skoro tak – syknął – skoro zbyt dumny jesteś, by się sprawiać szarży, w try miga powoła się trybunał. Zaś teraz zamkną cię w jamie, gdzie poczekaś na wyrok.

Skinął na żołnierzy. Wzięli mnie pod rękę. Uśmiechnąłem się na przypomnienie pierwszych chwil w Bieczu, nim dotarłem do Akademii Katowskiej. Tam też mnie chwyciło dwóch takich. Jednym ruchem łby im rozbiłem. I teraz mógłbym to uczynić, ale w obozie pełnym wojska nie ujdę z życiem.

Czego od ciebie chcą? Blanka wciąż nie mogła zrozumieć, że nie same uczynki są ważne,

ale to, jak inni je widzą. *Powinni cię ozłocić, nagrodę dać.*

Powinni cały mój oddział wynagrodzić, pochwalić waleczność ludzi. Nie sam przecie tam byłem. Wszak inni szli za mną, pilnowali mi pleców, siekli zapamiętałe. Pojedynczy człek, choćby najbitniejszy, takiej potyczki samopas nie wygra.

–Chwileczkę, Janie – rzekł milczący dotąd pan Żółkiewski. – Pozwolisz, że ja porozmawiam z aresztowanym.

Biernacki skłonił się nisko, usunął na bok.

–Siadaj. – Dowódca wskazał krzesło. Byłem zdumiony. W wojsku trzeba się prężyć przed byle wachmistrzem, a tutaj... – Siadajże, człowieku! – zniecierpliwił się Żółkiewski.

Przycupnąłem na brzegu zydła.

–Słyszałem już, żeś nie dokańczył rannych. Wiem nawet, iż przeszkodziłeś w tym towarzyszowi. Jednak nie wierzę, byś czynił to bez celu, sprzeciwiając się wyraźnym rozkazom. Z litości to uczyniłeś?

Pokręciłem przecząco głową.

–Tak myślałem. Znasz więc dokładnie powód swojego postępowania?

Tym razem kiwnąłem głową potakująco. Oczywiście, że znałem. Jednak co miałem mu powiedzieć? Że taki mam nawyk? Że uczono mnie oprawiać, odcinać członki, upuszczać krwi, ale samo zabijanie nie jest najważniejsze dla kata? Że liczy się artyzm zadawania bólu? Że ten, którego nie pozwoliłem Michałowi zastrzelić, będzie cierpiał dzisiejszej nocy bardziej, niż można sobie wyobrazić, bo poprowadziłem cię tak, by mięśnie nie zaznały spokoju?

–Dlaczego więc nie wyjawiałeś tego wachmistrzowi?

Spojrzałem wyzywająco na Biernackiego. A co mi tam. Tak czy siak czeka mnie kara, co mi szkodzi utrzyć nosa dumnemu żołdakowi?

–Bo, wasza miłość, pan wachmistrz chyba nie zrozumie. Za głupi może jest.

Zobaczyłem, że twarz pana Żółkiewskiego drga. Początkowo pomyślałem, że go zanadto rozwścieczył. Wszak obraziłem starszego stopniem. Ale po chwili pojąłem, że dowódca z trudem powstrzymuje śmiech. Opanował się wreszcie.

–Już za te słowa powinienem dać cię katu – rzekł surowo. – Jeno że żadnego nie mamy – dodał ciszej. – Mów zatem, dlaczegoś nie pozwolił kamratowi zabić pierwszego pokonanego wroga? Bo to jest właściwym przedmiotem oskarżenia, nie zaś zarzuty, że potem nie dorzynałeś przeciwników. O to nikt cię winić nie może. – Spojrzał znacząco na podwładnego.

Ten poczerwieniał ze złości. Na pewno miał żal do rotmistrza, że zwrócił mu uwagę przy mnie i wartownikach.

–Mów! – fuknął, znajdując w tym ujście dla złości. Przyskoczył, wymierzył mi siarczysty policzek. Poderwałem się, chwyciłem go za palce, wygiąłem ku tyłowi. Próbowałem uwolnić rękę, skręcał ją, ale bez powodzenia. Drugą nie mógł sięgnąć, bo nadgarstek i przedramię powędrowały w przeciwną stronę musiał się mocno wykręcić, bym mu nie zerwał

mięśni. Wiedziałem, co czuje. Za chwilę mogę wyłamać mu rękę w łokciu, wyrwać ze stawu.

–Puść! – wyrzęził.

–Puść – rozkazał w tej chwili Żółkiewski. – A ty, wachmistrzu, racz się pohamować w mojej obecności.

Posłusznie uwolniłem Biernackiego. Klęknął na ziemi, rękę schował pod pachę.

–Na gałąź pójdziesz – zachrypiał wściekle. – Za napaść każę cię końmi włóczyć!

–O tym ja zadecyduję – zgasił jego zapal rotmistrz. – A i to nie sam, bo Jakub podlega dowództwu wybranieckiemu i bez zgody jego oficera nie godzi się dokonywać sądu. A teraz niech odpowie.

–Jaki zeń piechocinieć, skoro żupana ni delii nie nosi! Przybłęda, ot co.

–Więcej daj nam, Panie Boże, takich przybłędów – padła spokojna odpowiedź. – Barwy nie ma, ale lepszy taki jeden niż dziesięciu, co w mundurach chodzą, szablą pobrzękują, a przed wrogiem uchodzą, gdy tylko zęby wyszczerzy.

Posłuchaj, Jakubie. Wyczułem w Blance dziwną radość. Wiem, jak powinienes rzecz przedstawić. Powtarzaj wszystko, co powiem.

–Czekam – popędził mnie pan Żółkiewski.

–Panie – zacząłem. – Rozkaz znam doskonale, udawać nie będę, żem był nieświadom. Srogość przy takim oblężeniu jest potrzebna. Jednak bywa czasem tak, że żywy wojak więcej swoim kłopotów przysporzy niż martwy.

–O czym mówisz?

–Wszak człek, któremu odciąłem prawicę i zmiażdżyłem kości lewej dłoni, wrócił wprawdzie do twierdzy, ale przecież nie przyda się na nic. Będzie jeno ciężarem, bo trzeba go teraz opatrywać, leczyć i karmić.

Oczy Żółkiewskiego błysnęły. Dzięki ci, Blanko. Kobiety bywają jednak przebieglejsze od mężczyzn.

–Ciekawie to brzmi, Jakubie. Jeno aż mi się wierzyć nie chce, żeś sam to w czasie potyczki wykalkulował.

–Już wcześniej o tym myślałem, gdym opatrywał naszych rannych...

–Rzeczywiście! – Stuknął się otwartą dłonią w czoło. – To o tobie mi powiadano! Czarno odziany, smagła skóra, potrafi i krew zatamować, i cięcie zeszyć, a i nogę czy rękę odjąć nie gorzej od hetmańskiego chirurga. A na dobitkę bije się jak sam diabeł. Co z ciebie za człek?

–Zwyczajny – odparłem.

Nie odpowiedział. Patrzył długo na czubki brudnych, pokrytych zamarznąłą gliną butów.

–Masz słusność – rzekł wreszcie cicho. – Należy oszczędzać ciężko rannego wroga, jeśli może się okazać obciążeniem dla swoich. Gorzej, gdyby został na naszym wickie. Zaś że nigdy nie wiadomo, jak z tym będzie i czy nie padnie, nim zdąży uciec, rozkazów nie zmienię i hetmanowi głowy zawracać nie będę. Twoja rzekoma przewina idzie w niepamięć.

Wachmistrz aż się zatchnął, ale zmilczał. Pan Żółkiewski zasłynął jako znakomity zagończyk i zacięty żołnierz. Kamraci opowiadali nieraz, jak dzielnie poczynął sobie w wojnie z Gdańskiem. Srogi jest, ale sprawiedliwy. Inni rotmistrze potrafią karać bez zastanowienia, on zawsze bierze pod rozwagę wszelkie okoliczności. Jeśli nie zginie w którejs z bitew, może dojść do najwyższych dostojęstw w państwie, szczególnie u boku hetmana wielkiego Zamoyskiego i pod wodzą bitnego króla Stefana. Nic dziwnego, że podczas oblężenia stał się prawą ręką kanclerza, bez protestów słuchali go nawet równi szarżą oficerowie.

–Zostawcie nas – rzucił, nie podnosząc głosu.

Właśnie to świadczy o dowódcy. Ludzie słuchają go, nawet jeśli rozkaz wypowie szeptem pośród armatnich salw. W jednej chwili zostaliśmy sami.

–Nie będę na cię naciskał. – Podniósł wzrok, zmierzył się ze mną oczami. Były ciemnej barwy, ale nie miękkie, jak to bywa przy takich tęczówkach. Dźwięczała w tym spojrzeniu stal. – Wiem, żeś nie powiedział prawdy. Umiem to wyczuć. Naprędce wymyśliłeś bajkę o obciążaniu przeciwnika rannymi. Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wiedzieć, bo cudze tajemnice bywają zbyt straszne, a twoja mogłaby się okazać trudna do zniesienia. Nie patrz taki zdziwiony. Jestem dojrzałym mężem, lat mam blisko czterdzieści. Widziałem wielu ludzi: i szczęśliwych, i dotkniętych przez los, i sprawiedliwych, i zbrodniarzy. W tobie widzę coś innego. Coś więcej. Mam nadzieję, że cię nie dotknę, mówiąc, że dostrzegam w twych oczach upiora. Jakbyś już kiedyś umarł i został z powrotem przywołany na ten świat. Nie wiem jeno, czy przysła cię Bóg, czy szatan.

Milczałem. Blanka w mojej głowie skuliła się, jakby wzrok rotmistrza był w stanie ją wysledzić.

–Uważaj na ludzi – ciągnął pan Żółkiewski. – Osobliwie takich jak Biernacki. To dzielny żołnierz i dobry dowódca, zajadły niby myśliwski pies, taki, co chodzi polować na dzika czy niedźwiedzia. Niebezpiecznie w nim mieć wroga. Jeśli rozkaz usłyszy, wykona go, choćbyś mu kazał ojca na odwach doprowadzić, i tego samego wymaga od innych. Idź teraz, odpocznij przy towarzyszach. Z twoim rotmistrem sam pomówię. Zasłużyłeś na nagrodę, a nie na knut. Pieniędzy ninie nie mamy, ale możesz być pewien, iż zasługi nie zostaną zapomniane.

* * *

Mógłbyś zakończyć to oblężenie w jeden dzień. Wystarczyłoby sprowadzić zarazę na Rusinów.

Wiem, Blanko, powtarzasz to codziennie.

Wolisz patrzeć, jak leje się krew? Wolisz opatrywać rannych, cierpieć głód i zimno?

Gdybym nawet chciał, przecież nie mam szcurów. Zresztą na takim mrozie także

one nie wytrzymałyby zbyt długo.

To wymówka, mój słodki. Szczurów pełno jest w mieście. Zapuszczają się i tutaj. Wiesz dobrze. Wystarczy wyjąć flet i zagrać, by mieć je wszystkie na usługi.

Nie pamiętasz? Instrument potrzaskałem nad trupem dziewczynki.

I to nieporadne tłumaczenie. Niejeden z żołnierzy grywa. Wiele razy słychać tęskne dźwięki.

Nie, Blanko. Nie chcę się wtrącać w takie ludzkie sprawy. Człowiek musi sam decydować, co i jak, zdać się na wiarę lub los. Jeśli oblężenie ma się powieść, obrońcy i tak zginą. Jeśli nie, dlaczego miałbym stać się ich przeznaczeniem? Pamiętasz, co rzekł pan Żółkiewski? Dostrzegł w mych oczach upióra. Pierwszy z ludzi zauważył, że aż tak inny. I miał rację, że zostałem przywołany do życia z tamtej strony. Nawet nie przypuszcza, z jak daleka sprowadził mnie Mistrz Czarnej Śmierci.

To niepokojący człowiek. Uważaj na niego.

Myślisz, że stoi mi na zdradzie? Po co? Gdyby chciał mnie zgnieść, mógł zezwolić wachmistrzowi zrobić swoje. Przecież podniosłem na Biernackiego rękę.

–Jakubie – odezwał się Marcin – powiesz wreszcie, jak było? Do tej pory siedziałem w milczeniu, nie zważając na zaczepki towarzyszy. Pilnie rozmyślałem i prowadziłem dyskurs z Blanką.

–Nijak było – odparłem cokolwiek opryskliwie. – Tyle wam powiem, że mieliście rację. Rotmistrz Żółkiewski to wielki człowiek.

–A widzisz – ucieszył się Michał. – Nie wierzyłeś. Mówiłeś, że wielki pan każdy jest taki sam.

–Mylilem się. Jeno sam pan Stanisław, jak ona samotna jaskółka, wiosny nie czyni.

–Dobry choć jeden taki – mruknął Michał. – Nie żał w bój iść i choćby kości położyć. Powaga kanclerza Zamoyskiego trzyma tu wielu, ale i nie mniej miłość do Żółkiewskiego. Ten, gdyby hetmanemostał, ludzie pójdą za nim w ogień, w stu uderzą na tysiące.

Za każdym razem, gdyśmy rozprawiali o rotmistrzu, widziałem ogień w oczach kamratów. Do dziś zupełnie tego nie rozumiałem. Jak jeden człowiek może porwać tak wielu? Przecież nawet nie sprawuje nad nimi dowództwa. Jednak przed godziną dotarło do mnie, co jest na rzeczy. Żołnierz musi mieć kogoś, kogo darzy miłością jak ojca. Kogoś, kto potrafi surowo skarcić, ale i pogłodzić po włosach. Bo ci twardzi wojacy dusze mają dziecięce – proste i czyste. Nawet jeśli dopuszczają się gwałtów czy zbrodni, pozostają nieskalani w tym uczuciu, jakie żywią do ludzi pokroju Zamoyskiego i Żółkiewskiego. Śmieszyło mnie, gdy patrzyłem na tłumy żołnierzy zmierzających do spowiedzi. Dziś oczyszczą się z grzechów, aby jutro zanurzyć miecze we krwi. Dziś przyjmą komunię, aby potem kląć i złorzeczyć temu samemu Bogu, przed którym korzą się nieprzytomnie. Może właśnie wojsko jest najlepszym miejscem dla kata? W nim potrafi odnaleźć bratnie dusze.

–Tak – rzekłem w zamyśleniu. – Za takim nie żał i w ogień skoczyć.

Nie brakuje ci szczurów? Od tak dawna nie dawałeś im pić krwi, a przecież wiem,

że do

tego przywykłeś.

Brakuje mi małych przyjaciół. Przecież wiesz. Ale dzięki temu, że nie pozwalam na tę poufałość, nie skazuję ich na śmierć w męczarniach, a sam nauczyłem się już trochę obracać wśród ludzi, zachowywać ostrożność. Patrz, przecież przebywam pod Pskowem już wiele dni. Dawniej choroba objęłaby cały obóz, rozeszła się po okolicy. A tutaj spójrz – są zdrowi.

–Straszny z ciebie dzisiaj milczek, Jakubie – zauważył Marcin.

–Zmęczony jestem, to i słów z gęby nie chce się wypuszczać. A jeszcze czeka mnie psia warta w nocy.

–Zaśnij więc. Jeśli miałoby to pomóc, wezmę ją za ciebie. Zasłużyłeś na godziny odpoczynku.

I jak ich nie pokochać, Blanko? Jak nie przywiązać się do tych gorących serc? Sam przecież ledwie na oczy patrzy, a chce się poświęcić, wziąć najgorszą służbę nad ranem, kiedy człowiekowi się zda, że żyje w innym świecie, a wszystko dokoła faluje niby mglista zasłona, zza której w każdej chwili gotowe pojawić się niebezpieczeństwo.

–Dzięki serdeczne, druhu – odparłem wzruszony. – Jednak nie jest ze mną aż tak źle. Teraz postaram się przedrzemać, nabiorę sił.

Odwróciłem się do ściany. Zmarznięte belki ziemianki, ułożone ciasno i przetkane mchem, przypominały nieco ściany rodzinnego domu. Pamiętałem go jeszcze jak przez mgłę, choć czasem to lub owo wspomnienie pojawiała się nagle przed oczami żywe i dojmujące. To zapewne za sprawą Blanki, bawiącej się moją pamięcią. Właśnie teraz ujrzałem twarz matki... niby zapomnianą, ale wyraźną. Krzyczała coś, rysy wykrzywił strach. Najazd Tatarów. Czy może być coś straszniejszego? Ojciec z twarzą zaciętą, w jednej garści widły, w drugiej kupiony za ciężkie pieniądze samopał. Chciałem biec z nim, ale przytrzymały mnie silne ramiona rodzicielki. Jaki czambuł zapędził się w te strony podczas żniw? Który mirza był tak szalony, aby napaść dziedzinę Lubomirskich? Przecież zniosą go w try miga prywatne wojska magnatów. Najlepiej zapamiętałem wycie. Straszliwy głos dzikich wojowników. Wpadli do wsi ze wszystkich stron. Doświadczeni rabusie uczynili tak, aby nikt się nie mógł wymknąć. Zamknęli wszystkie drogi, zagrodzili opłotki. Odgłos wystrzałów zmieszał się z wrzaskami walczących i mordowanych. Tatarzy nie bawili się w potyczki między domami. Kogo mogli, rozstrzelili z łuków, rannych dorzynali, aby któryś nie zaplątał się między końskie kopyta, nie miał szansy ostrym nożem podciąć pęciny albo wypuścić wnętrzności. Gdzieś tam poległ ojciec. Zginął przebity włochatą włócznią. Weszła w plecy, grot z kawałem drewna wylazł przodem, w dole piersi. Widać cios został zadany z rozpędzonego wierzchowca. Potrząsnąłem głową, wspomnienie odleciało.

–Bracia. – Odwróciłem się ku kamratom. Nadszedł chyba wreszcie czas, abym zadał pewne pytanie. I tak nie zdołam zasnąć. – Czy znacie oficera nazwiskiem Winiewski? Jerzy Winiewski.

Spojrzeli po sobie z dziwnymi minami.

–Sławny to był wśród wojska zagończyk – rzekł Marcin. – Pana Żółkiewskiego oficyjer do specjalnych poruczeń. Ostatnimi czasy rzadko gościł w obozie, bo ciągiem w polu walczył ze zbrojnymi gromadami.

–Mówisz o nim, jakby umarł – zaniepokoiłem się.

–Co ci o niego? – wtrącił się Michał. – Krewny twój jaki czy co?

–Nic mi o niego. Jenó podziękować mu chciałem i odwdzięczyć się za pewną sprawę.

–Trudno będzie – rzekł niechętnie Marcin. – Ninie ścigają go listy wystawione przez hetmana.

–Za co?

–Za swawole i gwałty. Zabił też żołnierza, któren stanął w obronie jakowejś niewiasty. Aż mi się wierzyć nie chce, żeby pan Winiewski komuś tyle dobra wyrządził, by było za co dziękować. Dobry to żołnierz, ale okrutnik jakich mało. Sąd hetmański wpierw na śmierć przez powieszenie go skazał.

–Ale go pan kanclerz własną powagą przed egzekucją osłonił – dodał Michał. – Wygnał jeno z obozu i zakazał wracać.

–Takiemu to się wszystko upiecze – Marcin zgrzytnął zębami. – Panowie krzywdy sobie wzajem nie uczynią.

–Nie wszystko – zaprotestował Michał. – Pan Żółkiewski zapowiedział, iż jeśli go dopadnie, wyrok wykona, bo nie może być tak, aby prosty wojak głową płacił za rzeczy, co się oficyjerom nawet batogiem na plecach nie odcisną.

–Aż tak rotmistrz zadarł z hetmanem? – zdumiałem się. – Zamoyski to wszechwładny człek, prawa ręka króla. Na pewno niebezpiecznie czynić mu wbrew.

–W spokojnym czasie może i tak. Jenó tutaj Żółkiewski ważniejszy jest dla kanclerza niżli najbitniejszy nawet, ale tylko szlachcic. Bez rotmistrza spora część wojska dawno by się rozlazła. A poza tym jaśnie wielmożny pan Jerzy odwdzięczył się za protekcję, łupiąc na drugi dzień tabor, który szedł ku nam z zaopatrzeniem. W tym położeniu hetman nie bardzo może się o niego zastawiać. Powiedz lepiej, za co chcesz dank składać Winiewskiemu. Ogromniem ciekaw, jakie mógł dobrodziejstwo komuś miał krzywdy wyrządzić.

–Nie będę was, kamraci, oszukiwał. Nie zasłużyliście na kłamstwo. Szukam Jerzego Winiewskiego, aby wziąć na nim pomstę. Przywędrowałem aż tutaj, by go odszukać.

Milczeli przez długą chwilę.

–A co ci uczynił?

–Mnie nic. Ale ci, których skrzywdził, sami się o sprawiedliwość nie upomną.

–Zabił kogo?

Teraz ja zamilkłem. Wahalem się, zastanawialem się, jak ubrać w słowa to, co mi się kołatało w głowie.

–Gorzej niż zabił. Pohańbił małą dziewczuszkę, własną córeczkę. Sprawił, że zgasła, nim poznała, co znaczy prawdziwa radość i jak smakuje życie. Zbrodnią swą doprowadził do

śmierci jeszcze dwoje innych, zropaczonych ludzi.

Tak... Serce żołnierza przypomina serce dziecka. Zaś dzieci niesprawiedliwość boli szczególnie, dlatego są tak wdzięcznymi słuchaczami opowieści, w których zawsze powinno zwyciężać dobro. Na twarzy Marcina wyskoczyły węzły mięśni, kiedy zacisnął zęby, Michał uderzył pięścią w kolano.

–Czort niech go porwie – warknął. – Insza rzecz dziewczkę wyobracać, nawet wbrew woli, ale porwać się na podobny eksperyment może tylko diabeł wcielony!

–Kim dla ciebie byli ci ludzie? – spytał Marcin, ledwie poruszając ściśniętymi w kreskę wargami.

–Nikim. Spotkałem ich po drodze. Znałem ich mniej niż jeden wieczór, ale postanowiłem, iż taka zbrodnia nie może pozostać bez odpłaty. Zaciągnąłem się tylko po to, by znaleźć podczasyca.

–Tak myślałem od samego początku, Jakubie, że nie na wojaczkę samą tu przybyłeś. Inny jesteś. Dobry z ciebie kompan, choć bywasz ponury i nawet w tęgie mrozy gorzałki nie pijasz, ale zachodziłem w głowę, czego szukasz wśród nas. Rozprawialiśmy nawet o tym nieraz z Michałem i świętej pamięci Wincentym, świeć Panie nad jego duszą. – Przeżegnał się. – Prawdę gadam, Michale?

–Prawda – przyświadczył tamten. – I mnie się zdało, że tobie nie o żołd, co i tak go nie dostajemy od miesięcy, ani o wojacką sławę idzie. Teraz zaś wiemy już, co jest na rzeczy.

Patrzyli na siebie długo, jakby się naradzali wzrokiem. Nieraz już mogłem dostrzec, że rozumieją się bez słów. Nie dziwota – tyle czasu w jednym pomieszkaniu, w najcięższych warunkach, nie zliczą pewnie, ile razy jeden drugiemu strzegł pleców, ratował życie. To zbliża bardziej niż rodzinne życie.

–Idź ty lepiej, Jakubie, do pana Żółkiewskiego. Rzeknij mu, co i jak, poproś o pomoc. Jemu ninie nie w głowie ścigać banitę, ale zawsze dobrze mieć wsparcie kogoś możnego.

–Myślicie, że zechce słuchać skargi zwykłego chłopca na drugiego szlachcica? Wszak i z niego wielki pan.

–Nie wiem, przyjacielu. Jedno jest pewne. Spróbować warto, bo ani z niego takie zwyczajne panisko, ani z ciebie zwykły chłop. Może się dogadacie.

–Jutro pójdę. Dziś już za późno, dowódcy się pewnie naradzają.

* * *

Pan Żółkiewski spojrzął na Biernackiego. Obaj z wielką uwagą wysłuchali opowieści o sprawkach Jerzego Winiewskiego. Z początku nie chciałem mówić przy wachmistrzu, ale dostałem do wyboru – albo przygnę karku, albo z posłuchania nici.

–Co sądzisz, Bogdanie? – spytał rotmistrz.

–To nawet podobne do imć podczasyca. Nie wiem tylko, czy do końca można dać wiarę

temu człowiekowi.

–Nie wiesz, bo masz z nim na pieńku, czy nie wiesz, boś taki czujny?

Biernacki nie odpowiedział. Żółkiewski wyciągnął przed siebie nogi, rozsiadł się wygodniej.

–Mnie nurtuje zgoła inne pytanie. Skąd Jakub dowiedział się o miejscu pobytu

naszego ulubionego oficera? Jak znam życie i z tego, co słyszałem o starym Winiewskim, taką wieść musiał ukryć pod kocem. Nawet mysz w jego dworcu nie usłyszała, dokąd wyprawił potomka. Zaś ty – zwrócił się do mnie – dotarłeś do niego bardzo prędko, bez wysiłku. Kto wyjawiał tajemnicę?

To pytanie mnie zaskoczyło. Nawet przez chwilę nie pomyślałem o jakimś wiarygodnym wykręcie w tym względzie. Nie doceniłem przenikliwości i bystrego rozumu rotmistrza.

–Wyznał mi to w godzinie śmierci – odparłem zgodnie z prawdą.

Biernacki gwizdnął przez zęby.

–Zatem pan podczaszy nie żyje... – rzekł z namysłem. – Sam umarł czy mu pomogłeś? Tylko prawdę gadaj!

Zwlekąłem z odpowiedzią, a on czekał z uniesionymi brwiami.

–Po co pytasz? – spytał prędko pan Żółkiewski, zanim zdołałem zabrać głos. – Lżej ci się uczyni, jeśli będziesz wiedział?

–Może i lżej – odparł odrobinę wyzywająco wachmistrz. – Wiesz, panie Stanisławie, co myślę o całym tym rodzie.

–Wiem. Nie darmo przed prawie wiekiem Winiewscy wypowiedzieli wróżdę Biernackim. Ale jeśliś bardzo ciekaw, spytaj tego człowieka na osobności. Ja nie chcę nic słyszeć. Lutać po podczaszym nie myślę, ale powinienem także przestrzegać prawa.

–Na zarazę zmarł – powiedziałem wreszcie. – Dopadła go czarna śmierć.

Biernacki spojrzał bystro.

–Zaraza, powiadasz... Szkoda. Miałem nadzieję, żeś go zarznął własną ręką.

Wtedy po raz pierwszy uśmiechnąłem się do wachmistrza. Odpowiedział lekkim skrzywieniem warg. Sam zdawał się zdziwiony tym grymasem. Nic dziwnego. Po niedawnym despekcie mógł odczuwać niechęć do mej osoby. Gdybym był urodzony, pewnie by mnie wyzwał wczoraj na pojedynek.

–Co uczynimy, panie wachmistrzu? – spytał rotmistrz. – Nasz tajemniczy przyjaciel pragnie odnaleźć człowieka z wrogiego ci rodu. Zapewne nie zamierzył go dopaść, by napomnieć delikatnymi słowy, wygłosić kazanie i puścić wolno, licząc na poprawę. Chce go zwyczajnie zabić, a na to nie możemy pozwolić.

Mogłem się tego domyślić. Mówiłem wszak, że jeden pan drugiemu krzywdy nie uczyni. Biernacki poruszył wąsami, wyraźnie nierad z wypowiedzi przełożonego. Pan Żółkiewski zmrużył oczy. W jego męskim, szlachetnym obliczu ujrzałem w tej chwili wyraz, jaki przybiera wilczy pysk, kiedy basior zwietrzy zwierzynę.

–Jednakowoż – ciągnął dalej – gdyby mi dostawiono pana Winiewskiego żywcem, kara go nie ominie.

–Co zaś powiadacie, panie Stanisławie – zachnął się wachmistrz. – Toż go zaraz pan kanclerz wyreklamuje od wyroków, co najwyżej iść precz każe.

–Mylisz się, Bogdanie. Nie wiesz przecież, jakie wieści dotarły do nas pozawczoraj. Winiewski zebrał niewielką partię i zawział się na nasze patrole. Już nie jeno rabunkiem się trudni, łupiąc i nas, i Rusinów, ale wprost działa w porozumieniu z ludźmi Iwana. A to jest zdrada, za którą kara jest jedna: śmierć w męczarniach. Z

panem Zamoyskim doszliśmy jednak do wniosku, iż nie byłoby w tej chwili słuszne ścigać zbrojnie odstępcy, bo na ludziach nam nie zbywa, a w podobnej wyprawie więcej by ich zginać mogło niż przez rozbójnictwo Jerzego. Uznaliśmy, że będzie czas policzyć się z nim po zakończeniu wojny, kiedy wróci do domu, pewien bezkarności.

–Jeśli po wojnie nie ujdzie gdzieś daleko – odparł ponuro Biernacki. – Na pewno prędzej czy później dotrze do gada wieść o śmierci starego. Bez podczaszego nie może liczyć na bezwzględne wsparcie kanclerza.

–Słusznie. A skoro sprawy przybrały taki obrót, nie od rzeczy by było schwytać ptaszka, przykładnie ukarać, pokazać wojsku, żeśmy może wynędzniali i zmęczeni, ale sprawiedliwości dojść potrafimy.

–Skłonisz pana Zamoyskiego, by wysłał silny oddział, panie rotmistrzu?

–Mam znacznie chytrzejszy koncept – odparł z uśmiechem Żółkiewski. – Po co znosić partię Winiewskiego? Samego złapać, zbóje się rozpierzchną. Zaś przywlec tu porucznika może paru doświadczonych ludzi. Takich, co się nie ulękną diabła chwycić za ogon.

Wachmistrz wstał, wyprostował się.

–Jednego masz przed sobą, panie Stanisławie.

–Dwóch – poprawiłem go, stając obok.

–Potrzeba jeszcze ze dwóch, ale twardych, na których nie strach się zdać i w najgorszej obieży.

–Będą i tacy – rzekłem natychmiast.

Pan Żółkiewski patrzył na mnie długo.

–Wczoraj już, rozmawiając z tobą, przeczuwałem, iż sprowadziło cię w to piekielne miejsce coś więcej niż zwykłego żołdaka. Miałem słuszność. Wczoraj też przestrzegałem cię przed wachmistrzem, ani wiedząc, iż połączy was wspólny cel. Pozwolę wam pójść, jest wszak jeden warunek. Dostawicie pana Winiewskiego żywego. Żywego! – powtórzył z naciskiem. – Nie będę szczędził grosza na nagrodę. Rzecz jasna po powrocie do Rzeczypospolitej, bo tu biednie. Porucznik ma być żywy i w miarę zdrowy, trzeba go bowiem należycie oprawić. Kata porządnego nie mamy, ale jakoś musimy sobie poradzić. Może sobie wypożyczymy małodobrego od Pskowian! – zaśmiał się. – Tam pono na rynku co dzień ścina się głowy takim, co o poddaniu wspomnieli.

–Nie chcę nijakich pieniędzy za schwywanie podczaszyca – powiedziałem, gdy tylko zamilkł.

–A czego byś chciał?

–Mnie pozwólcie dokonać egzekucji. O to jedno proszę.

–A potrafisz? Trzeba mieć choć jakie takie pojęcie o katowskiej robocie.

–Dam radę. To niechaj mi stanie za wszelkie nagrody.

Zastanawiał się trochę, popatrywał na Biernackiego.

–Niech ci będzie, Jakubie. Zgadzam się tym chętniej, iż wierzę, że więcej starań dołożysz, by go dowieźć w dobrym stanie. Widzę i czuję całym sobą, że chcesz go zgładzić ze wszystkich sił. Czy rzeczywiście jeno za ową dziewczuszkę?

–Tak, panie rotmistrzu. Gdybyście wy spojrzeli w gasnące oczy dziecka...

–Dobrze już – przerwał szorstko. – Słyszałem opowieść, drugi raz nie chcę. I ja mam serce, choć mi go niektórzy odmawiają.

Czekałem, aż zezwoli odejść. Trzeba przygotować się do drogi.

–Powiedz mi jeszcze – spytał w zamyśleniu. – Gdybyś znalazł Jerzego Winiewskiego w obozie... Gdyby nie wyszedł spod skrzydeł kanclerza, usiłowałbyś go zgładzić mimo wszystko?

Biernacki spojrzał na mnie z ciekawością.

–Nie usiłowałbym, wielmożny panie – odparłem. Na twarzy wachmistrza dostrzegłem zawód, w oczach rotmistrza uśmiech. – Nie usiłowałbym – powtórzyłem. – Po prostu zabiłbym go bez mrugnięcia okiem, nawet na oczach tłumu, nie bacząc, czy potem umrę.

–Pragniesz śmierci?

To pytanie zadał cicho, nie jak dowódca żołnierzowi, ale jeden człowiek drugiemu, jakbyśmy nie tkwili pod murami wrogiej twierdzy, lecz siedzieli w przytulnej piwnicy, rozmawiając o codziennych sprawach.

–Czasami bardzo jej pragnę. Ale to nie powód, by szukać końca za wszelką cenę. Śmierć sama odnajdzie, kogo należy i kiedy nadejdzie czas. Nie wolno jej zanadto ponaglać, bo gotowa się rozgniewać.

–Nie przemawiasz jak zwykły wojak – zauważył. – Takie słowa można usłyszeć od myśliciela. Rzeknij mi jeszcze, że umiesz czytać i pisać.

–Znam także łacinę i język niemiecki.

–Zadziwiasz mnie, Jakubie. Kim jesteś naprawdę?

Nie, odpowiedziałem. Skłoniłem z uszanowaniem głowę, by nie wziął mego milczenia za obelgę.

–Nigdy nie zdejmujesz rękawic – podjął po chwili. – Czy to też jakaś tajemnica? Masz brzydkie dłonie?

Na takie pytanie byłem przygotowany. Zbyt często je słyszałem, żeby nie dać natychmiastowej odpowiedzi. Zazwyczaj wystarczała.

–Nie zdejmuję ich, bo ślubowałem pokutę za dawne uczynki.

–Dziwna to pokuta, ale niech ci będzie. Nie chcesz mówić, twoja rzecz.

Wyruszyście jutro rano. Przed drogą zameldujcie się u pana hetmana Zamoyskiego. Nie będzie rad, że chcemy wymierzyć sprawiedliwość podczasycowi, ale nie może z obozu wyjść takowa ekspedycja bez jego wiedzy.

Głowa Meduzy

Nie byli nazbyt ostrożni. Nie spodziewali się bowiem, by ktoś zechciał ich tropić. Nie po to Winiewski zawarł porozumienie z Rusinami, żeby mieć oczy dookoła głowy. Bezpieczniej mu było zwąchać się z wrogiem, czerpiąc mniejsze zyski, niż rabować na dwa fronty i spać niby zając, z jednym okiem zawsze otwartym.

–Przeklętnicy – warknął teraz. Szarpnął się, jakby chciał zeskoczyć z konia. – Nim dojedziemy do Pskowa, ręce mi odpadną! Rozwiązać mnie zaraz! Jak taktujecie oficera? Za to na sznur...

Marcin jechał z lewej strony porucznika, Michał z prawej. Nie wdawali się w dysputy, sprawiali wrażenie, jakby byli głuchoniemi. To jeszcze bardziej drażniło Winiewskiego.

–Moi ludzie podążą waszym śladem!

–Twoi ludzie nawet się o ciebie zbytnio nie zastawili, gdyśmy cię wzięli. A poza tym wpierw muszą połapać koniki, a to też chwilę potrwa.

Wpadliśmy do obozu zdrajcy tuż przed zapadnięciem ciemności. Cały dzień obserwowałem siedlisko, wiedziałem, w którym szłaś go szukać. Moi towarzysze w tym czasie odpoczywali, grzali się kilka wiorst dalej przy małym ognisku. Ja nie marzęm, wiedzieli to doskonale, mogłem więc zostać na czatach i dać im wytchnienie. Wytropiłem kompanię pana Jerzego przy pomocy Blanki. Poprowadziła nas do niego jak po sznurku, Ledwie wyszliśmy poza obóz, przekroczyliśmy rzekę Wielką i coś poczułem w głowie, jakby szum tysiąca wodospadów. Ucichł zaraz, ale nagle zyskałem pewność, że moja ukochana wie, dokąd pójść. Jakby z Winiewskim łączyła ją jakaś tajemnicza więź. Niepokoiło mnie to, ale tym bardziej zapragnąłem go odnaleźć. Ledwie przeszliśmy rzekę... Wtedy przyszło mi do głowy, że lęk Blanki przed przekraczaniem płynącej wody nie wiąże się jedynie z przykrymi przeżyciami z dawnych czasów. Widać ci, którzy do końca nie umarli, boją się rzek, nawet skutych lodem. Nie jezior, strumieni, niewielkich rzeczulek, ale tych szerokich, prawdziwych, które zwykłego człowieka zachwycają szerokimi zakolami, zielenią szuwar, pluskiem fal. Nie inaczej jest z moją ukochaną. Przecież dopiero za Wielką wyczuła zbiega. Jakże jej się wtedy

zaczęło śpieszyć! Bała się, by nie zniknął, nie przekroczył kolejnego brodu, nie zerwał się z uwięzi. O niczym innym nie potrafiła już mówić. Jakby trawiła ją gorączka, którą ugasić mogło tylko schwytnie zbrodniarza.

Dlatego też tkwiłem cały mroźny dzień przy obozowisku porucznika. Blance na tym bardzo zależało. Nie potrafiła się oderwać od bliskości Winiewskiego. Męczyłem się wraz z nią, ale nie mogłem nic poradzić. Wreszcie nadeszła pora, zaczęło się robić ciemno. Biernacki, Michał i Marcin podeszli wraz ze zmrokiem.

Tamtych było trzydziestu ośmiu. Nas czterech. Pierwsi, którzy wyskoczyli nam naprzeciw, padli, brocząc krwią. Że Biernacki potrafił zawijać szablą z konia, tom wiedział doskonale. Ale że i moi kamraci radzą sobie w siodle, było dużym zaskoczeniem. Chłopi... Gospodarze z dóbr królewskich. Ale bitni nie mniej od urodzonych, a na pewno bardziej zażarci. Ja musiałem zeskoczyć na ziemię, zostawić podjezdka w lesie. Jechać jakoś mi jeszcze szło, ale walczyć... Zresztą

berdysz to nie broń, której można używać na wierzchowcu. Zawinałem raz i drugi, wraz się uczyniło wokół pusto. Moi towarzysze czynili zamieszanie wśród rozbójników, aby umożliwić mi działanie. Bryzgi krwi na śniegu przypominały fantazyjne mozaiki witraży. Huknął strzał, jeden i drugi. Przed szalasem Winiewskiego zaszedł mi drogę potężny żołnierz w ciepłej barwnej szubie narzuconej na niebieski żupan. Następny zbieg, zdrajca. Zrabował pewnie ten piękny płaszcz jakiemuś oficerowi albo kupcowi. Nie przypuszczam, aby jej dawny posiadacz żył. Zapewne na plecach można odnaleźć ślad po kuli posłanej gdzieś z krzaków. Skierował ku mnie lufę arkebuza. Stał zbyt daleko, bym zdołał sięgnąć go berdyszem. Wyszarpnąłem natychmiast lewą ręką bandolet i padłem na ziemię. W samą porę. Huk wystrzału i chmura dymu. Wypaliłem w ten siwy obłok, zgadując, gdzie może być przeciwnik. Poderwałem się. Wtedy pojawił się tuż przede mną. Trzymał samopał za lufę, zamierzał roztrzaskać kolbą moją czaszkę. Nie trafiłem go wcale, a może ledwie drasnąłem. Rzuciłem pistolet prosto w twarz wroga. Uchylił się zręcznie, rąbnął z ogromną siłą. Drewno kolby spotkało się z drzewcem berdysza. Przeciwnik był bardzo mocny. Ledwie utrzymałem broń, ale zdołałem zatrzymać cios. Teraz nie miał już żadnych szans. W mgnieniu oka dostał wpierw okszą przez ręce, a potem potężne pchnięcie w brzuch. Ostrze weszło głęboko, wsparte dalekim wykrekiem. Przeszedłem mimo niego, wyciągając szerokim ruchem żeleźce. Żołnierz zgiął się wpół, starając się przytrzymać wylatujące wnętrzności. Było mu tym trudniej, bo większość palców prawej dłoni leżała pod nogami. W wejściu szalasu ukazał się Winiewski. Dopinał pas z szablą. Blanka poruszyła się gwałtownie. Aż mi pociemniało w oczach, kiedy odczułem jej gniew. To mnie zatrzymało na mgnienie oka. Dzięki zwłoce porucznik zdołał wydobyć ostrze. Zasyczało o okuty żelazem brzeg pochwy, by natychmiast opaść na moją głowę. Nie zastawiłem się. Przepuściłem klingę krótkim unikiem, drzewcem berdysza przeciągnąłem po goleniach. Doskonale wiedziałem, gdzie uderzyć, aby odebrało mu oddech. Nie spodziewał się takiego ataku. Padł z jękiem. Szabla odleciała daleko w bok. Próbował jeszcze zadać cios ukrytym w fałdach ubrania sztyletem, ale chybił. Musiał chybić, bo byłem za daleko. Trzasnąłem go końcem toporzyska w bok głowy, tuż za skronią. Stracił przytomność. Już był przy mnie Biernacki, przerzucił nieprzytomnego zbója przez siodło luzaka. Sprawnie narzucił przygotowane wcześniej pęta przez nogi jeńca, przeciągnął je pod końskim brzuchem, zacisnął na rękach. Zaraz za wachmistrzem pojawił się Michał.

–Wskakuj za mnie! – krzyknął.

Pognaliśmy w las ścigani przekleństwami i strzałami. Po drodze przesiadłem się na swojego wierzchowca. Staralem się nadążyć za kompanami, choć nie było to łatwe. We wszystkim trzeba mieć doświadczenie. Zwyczajna podróż na koniu nie jest trudna, ale kiedy trzeba gnać na złamanie karku, niewprawnemu jeźdźcowi co chwila całe życie staje przed oczami. Przede mną cwałowali żołnierze, bodaj nawet Winiewski przerzucony przez siodło radził sobie lepiej ode mnie. Toteż odetchnąłem, kiedy mogliśmy już zwolnić, bo ciemności zapadły zbyt głębokie, by śpieszyć na oślep. Porucznik został posadzony w zwyczajnej jeździeckiej pozycji dopiero nad

ranem. Krzywił się, bo bolały go brzuch, żebra i obita wątroba. Ręce miał skrępowane, sznur przeciągnięty pod końską szyją, owinięty wokół łęku i zawiązany starannie. Takiej pętli żaden niewtajemniczony człowiek nie rozsypła. Podobno marynarze robią najlepsze węzły i są w tym najsprawniejsi. Ciekawe, czy sprostaliby katom. Morscy podróżnicy wiążą liny, by okręt trzymał się brzegu albo ożaglowanie nie uciekło, zaś my musimy utrzymać w karchach ludzki żywioł, najczęściej pragnący wyrwać się za wszelką cenę.

–Muszę za potrzebą – odezwał się Winiewski. Przestał już psioczyć i złorzeczyć. Wiedział, że trafił na takich, co nie zważają na prośby i groźby.

–Lej z siodła – mruknął Biernacki. Obejrzał się przez ramię, patrząc na podczaszyca jak pies na muchę. – Ponoć kawalerzysta jesteś pierwszy w Rzeczypospolitej, to powinieneś umieć.

–Jeno nie ze skrępowanymi rękami, mądralo – odparł porucznik. – Zdrętwiały, palcami nie mogę ruszyć. Powiadam, odmarzną, chirurg je utnie, a wy za to odpowiecie!

–Jakże ci współczuję. Jednakowoż nie turbuj się tak. Paluszki nie będą ci raczej do niczego potrzebne. Trybunał hetmański skazał cię na śmierć za zdradę.

–A tyś mu pewnie przewodniczył, panie Biernacki. Radujesz się, widząc pogńębienie wroga, nieprawdaż?

Wachmistrz zawrócił, zmusił wierzchowca Winiewskiego do zatrzymania się.

–Nie raduję się na twój widok – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Brzydzisz mnie, robaku. Wstyd mi, żeś oficerem jak ja. Wstyd, żeś zrodził się w tej samej ziemi. Wstyd za wszelkie twoje uczynki. Tacy jak ty rzucają cię na całą brać szlachecką.

–Jakiś ty prawy! – parsknął mu prosto w twarz porucznik. – Przypomnieć, ileś wsi z dymem puścił? Ile krzywdy wyrządziłeś, jaka rzeka krwi przepłynęła przez twe dłonie?

–Alem ojczyzny i króla nie zdradził! Z żadnym dzieckiem tak podle jako ty nie postąpiłem! Gorszy jesteś od samego Iwana Groźnego, swawolniku.

–O czym mówisz? – Winiewski przybladł.

–Wiesz dobrze, gadzino. O twojej córeczce, co potraktowałeś ją gorzej niż Tatarzyna!

–Gównu ci do moich spraw, szaraku! O swoim gumnie pomyśl, czy ci tam mój ojczulek porządków nie robi, a rataje żoneczce nie dogadzają. Powinna być rada, bo tyś w lędźwiach pono słabowity.

Wjechałem między nich, odepchnąłem wierzchowca Biernackiego. Wachmistrz położył prawicę na rękojeści szabli. Wzrokiem zgromiłem go, zmarszczyłem brwi i zacisnąłem wargi, by mu dać znać, aby nie mówił nic więcej.

–Dość – powiedziałem. – Jedźmy. Im prędzej znajdziemy się w obozie, tym rychlej nasz cherubinek otrzyma należytą zapłatę.

–A tyś kto? – rzucił opryskliwie Winiewski. – Czarny płaszcz, czarna gęba. Wyglądasz niczym jakowyś oprych albo opravca.

–Nie gorszy od ciebie – uśmiechnąłem się krzywo. – Nie dość, że okrutny, to bardzoż zarozumiały. Stracisz rezon, kiedy hetman Zamoyski wyda cię na śmierć.

–Hetman Zamoyski – porucznik podniósł dumnie głowę – nie da mnie ukrzywdzić. Jest przyjacielem mego ojca, a zatem i moim.

–Myślisz – nie wytrzymał Biernacki – że będzie się przyznawał do protekcji nad taką zdradziecką gadziną? A ojczulkiem się nie zasłonisz. Nie żyje.

Winiewski znów pobladł.

–Kłamiesz! – wyrzeźił z trudem. – Łzesz, płazie, zawsze i wszędzie, jak cały twój ród!

–Prawdę gada – uprzedziłem wachmistrza. – Widziałem trupa podczaszego.

–Możesz sam go zarznąć! – szarpnął się, nie zważając na ból w nadgarstkach.

–Zaraza go powaliła – powiedział Biernacki z satysfakcją. – Dżuma. Zdechł jak żył.

Wrzodem był na ciele Rzeczpospolitej, we wrzodach skonał!

Winiewski zaciął wargi. Popękane były od mrozu, wysuszone, przy tym grymasie pociekła z nich strużka krwi.

–Inaczej byś gadał, gdybym ręce miał wolne! Jakim trzeba być tchórzem, by drwić z człeka, co nie może się odwdzięczyć sztychem między żebra...

Blanka rzucała się na wszystkie strony. Wzrokiem dałem znać Michałowi i Marcinowi, aby pilnowali wachmistrza. Ten jednak był dziwnie spokojny.

–Pojedynek jest dla ludzi szlachetnie urodzonych – rzekł – nie dla szubieniczników. Kto wie zresztą, czyś w ogóle szlachcic. Może twój niesławnej pamięci ojczulek spółdził cię z pokojówką. Albo raczej mateczka puściła się z koniuchem z rozpaczy, bo mężuś ganiał za wiejskimi dziewczkami.

Przez chwilę mogło się wydawać, że porucznik zdoła rozerwać więzy. Dyszał ciężko, tocząc dookoła przekrwionymi oczami.

–Jedziemy – rzuciłem. – Panie wachmistrzu, zlitujcie się. Jeszcze się tamci pozbierają i

faktycznie spadną nam na kark.

Kiwnął z zadowoleniem głową. Pognębił wroga. Popędziliśmy konie.

–Skąd wiecie o mojej... – doleciało ciche pytanie. – O mojej...

–O twojej córce? – Wjechałem między niego a Michała. Blanka miotła się, przyprawiając mnie o ból głowy. – Nie przechodzi to jaśnie panu przez gardło? Dowiedziałem się od jej pradziada. Umarła na moich rękach. Po niej skonała matka, a na końcu starzec.

Nie odpowiedział. Patrzył obojętnie, jakby go to nie obeszło. Pewnie zresztą tak było.

–Naprawdę chcę ulżyć pęcherzowi.

–Panie wachmistrzu! – zawołałem – Trzeba jeńcowi pozwolić się wyszczać.

–Będzie próbował uciec. – Biernacki nawet się nie obejrzał.

–Nie będzie – odparłem – ręczę głową.

Zatrzymał się.

–Skoro tak, niech będzie. Rozwiążcie go. – Wydobył pistolety z olstrów. – Mieliśmy dostarczyć żywego, jednak jeśli spróbuje ucieczki...

Wiedziałem, że o niczym innym nie marzy. Prawdziwy szlachciura, zajadły piniacz i urodzony morderca. Od stu lat jego rodzina procesuje się i walczy z

Winiewskimi. Pewnie i wśród jego krewniaków niewielu znajdzie się sprawiedliwych.

–Nie spróbuje.

Zeskoczyłem z siodła, stanąłem obok więźnia. Doskonale widziałem, że najchętniej by mnie w tej chwili kopnął i pognał wierzchowca. Powstrzymywały go widok groźnych rur samopałów i świadomość, że nie da rady powodować koniem. Postanowił wczekać na lepszą okazję. Jeśli chociaż odrobinę poluzuję mu sznur obwiązany wokół łąku, będzie mu łatwiej. Nie widział obuszka, który wyjąłem z jarzma przy jukach. Nagle wrzasnął potężnie.

–Teraz niczego nie przedsięwzięcie – oznajmiłem.

Winiewski związał się na siodle.

–Co mu zrobiłeś – spytał surowo Biernacki.

–Zgruchotałem rzepekę. Może zsiąść i pokuśtykać na stronę.

–Nie trzeba – odezwał się Marcin. – Złał się w gacie.

Rzeczywiście. W rozchylonej pole płaszczka było widać pociemniałe w kroku spodnie. Po chwili strumyk moczu spłynął w dół siodła.

–Teraz będzie trzeba pozwolić mu się ogarnąć – rzekł ponuro Michał. – Inaczej przemrozi sobie jajca ze szczętem. Cienkie ma portki. Musiał się jak raz przebierać, gdyśmy go wzięli.

Wdrapałem się na konia.

–Bardzo cię to uwiera? – spytałem. – Jak dla mnie może sobie przemrażać. Tkał kuśkę, gdzie nie potrzeba, niechaj go teraz poboli.

–Mieliśmy dostarczyć gada całego. – Biernacki podjechał bliżej. – Trzeba mu też kolano

opatrzyć. Rozkaz hetmański...

–Mamy go dowieźć żywego i w miarę zdrowego – sprostowałem. – Tak powiedział pan Żółkiewski, a potem też kanclerz. Nie mówili, czy ma być w jednym kawałku. Niech się cieszy pan Winiewski, żeśmy mu palców u stóp nie oberżnęli albo igieł pod paznokcie nie wetknęli, by o ucieczce nie myślał.

Wachmistrz popatrzył z zastanowieniem. Obowiązek walczył w nim z nienawiścią. Wreszcie machnął ręką.

–A niech tam. Tak zaraz od złodowaciałych klejnotów nie szejnie. A zresztą może i dobrze, jakby mu odpadły. Gdyby...

Nie dokończył. Gdyby pan wielki hetman koronny, kanclerz jego królewskiej mości, doszedł do przekonania, by po raz kolejny oszczędzić protegowanego, zawsze zostanie Winiewskiemu pamiątka w postaci uszkodzonej nogi i odjętych jąder.

* * *

Dopadli nas jednak. Nie doceniliśmy zbójów. Postanowili odbić dowódcę. Na szczęście nie wszyscy. W pościg ruszyło dziesięciu, reszta zapewne rozlazła się w poszukiwaniu innych zbrojnych kup, by się do nich przyłączyć. Szczęściem na wszelki wypadek Michał od czasu do czasu zostawał z tyłu. Najlepiej ze wszystkich znał las, bo dzieciństwo spędził pośród puszczy. Drugiego dnia przyniósł wiadomość, że się zbliżają. Biernacki zaklął. Od Pskowa dzieliło nas zaledwie parę godzin.

Pojechaliśmy najszybciej jak się dało. Jednak w nocy spadł śnieg, zawalił gościniec, więc konie grzęzły. Śpieszyliśmy, by wydostać się na otwarte pola, gdzie łatwiej wziąć rozpęd i gdzie wiecznie dujące wiatry rozwiały chociaż część opadu.

Winiewski jęczał, tracił z bólu przytomność. Czulem radość Blanki. Ależ zniecierpiała tego człowieka!

–Szybciej – popędzał wachmistrz. – Wyciskajcie ze zwierząt, ile można!

Jechaliśmy dość długo, zanim padł pierwszy strzał. Kula przemknęła górą, utkwiała w pniu pobliskiej sosny, wstrząsnęła drzewem na tyle mocno, by posypał się śnieg. O pół wiorsty, może mniej, widać już było skraj lasu. Między pniami na wprost zaczęło prześwitywać niebo. Tam wolne pole. Ale z drugiej strony łatwiej nas będzie ogarnąć pościgowi. Z której strony by nie spojrzeć, niedobrze.

–Nie ciesz się – powiedziałem do Winiewskiego, który z nadzieją oglądał się do tyłu. – Jeśli nie damy rady dowieźć cię na miejsce, własnoręcznie wsadzę ci sztylet w gardziel. Uczynię to tak, byś zachłystywał się krwią i dusił jeszcze długo po tym, jak mnie twoi kamraci zarzną.

–W konie! – Biernacki znalazł kawałek wolniejszej, twardszej przestrzeni. – Tamci muszą mieć bardziej zdrożone wierzchowce. Przy odrobinie szczęścia może się oderwiemy.

Nie daliśmy rady. Odkąd Winiewski zrozumiał, że nie zamierzamy go zaszlachtować

przed przybyciem do obozu, starał się, jak mógł, by utrudnić jazdę. Narzekał na rozbite kolano, odparzone pośladki. Zresztą cierpiał naprawdę, co było widać po zaciśniętych szczękach.

Następny pocisk dosięgnął Michała. Zachwiał się w siodle, na ramieniu wykwitł najpierw krater rozdartego materiału, zaraz potem pojawiła się krew.

–Jedźcie! – zawołał Biernacki. Zawrócił wierzchowca. – Ja ich zatrzymam!

–Nie – odparłem zdecydowanie. – Wy jedźcie. Macie większe szanse. Ledwo siedzę na koniu. – Już! – wrzasnąłem, widząc, iż wachmistrz się waha. – W drogę! – Wyszarpnąłem bandolet, skierowałem lufę w głowę szlachcica. – Albo ubiję na miejscu jak psa!

Nie obraził się. Spojrzał z podziwem.

–Obiecuj mi jedno – rzekłem pośpiesznie. – Dopilnujesz, żeby ta gadzina nie uniknęła kary!

–Parol daję – odparł.

–My zostajemy z tobą – rzekł Marcin. – Wachmistrz sam go zdoła dowieźć.

–Nie – pokręciłem głową – szkoda, by przez takie paniątko ginęło więcej ludzi niż potrzeba. Wachmistrzu! Wydaj im rozkaz!

Odjechali niechętnie, ale pośpiesznie. Tym bardziej, że kule zaświstały gęściej. W rzędniejszym lesie wrogom było coraz łatwiej celować. Dobrze, że gościniec wił się w tym miejscu, zapewne omijając grząskie w ciepłym czasie miejsca, więc mieli utrudnione zadanie. Ten i ów próbował przedrzeć się na przelaj, wśród drzew i krzów, ale kopny śnieg i gęsta roślinność nie pozwalały. Zostałem sam, ukryty za ciepłym ciałem zwierzęcia. Wypaliłem z pistoletu do nadjeżdżających. Bez skutku.

Wydobyłem drugi. Tym razem udało się trafić jednego z nadjeżdżających. Miałem sporo szczęścia, bo dla niewprawionego celowanie z pistoletu z dalszej odległości jest wielką sztuką. Gdyby to jeszcze arkebuz lub hakownica, byłoby prościej. Aleśmy nie brali ciężkiej broni, by mieć większą swobodę. Jeździec spadł ciężko na ziemię. Tamci zaraz przystanęli. Zagrzmiały rury. Skuliłem się. Koń, trafiony kilkoma pociskami, wpieryw stanął dęba, a potem zwałił się na bok. Podskoczyłem, a następnie położyłem się jak najbliżej niego. Pośpiesznie ładowałem broń. Tego przynajmniej wyuczyłem się dobrze podczas oblężenia. Nieraz zdarzało się, że pomagałem kamratom. Oni lepiej strzelali, ja zaś sprawnie ładowałem i długie, i krótkie lufy. Wystawiłem samą rękę z bandoletem i wypaliłem na oślep. Kule szarpały ciało zwierzęcia, spadały na mnie krople krwi i kawałki skóry. Każda chwila była cenna dla uciekających. Ale i tamci o tym wiedzieli. Otoczyli mnie sprawnie. Gdyby obrócili swe umiejętności w służbie prawowitemu władcy, byłiby godni nagrody.

–Żywcem go brać – usłyszałem. – Może się przydać. Wstawaj z łapami nad głową. Zdjąłem rękawice, zatknąłem za pas.

–Jeleń – rozkazał przywódca – zatknij białą szmatę na szablę i goń za tamtymi.

Wymienimy Jerzego na tego tutaj cudaka.

Natychmiast jeden z ludzi popędził galopem. W biegu wyrwał z juków kawał białej materii, zapewne koszulę, i nabił na ostrze szabli. Podziwiałem sprawność jeźdźca. Nic dziwnego, że nas dogнали, skoro potrafili tak prędko jechać, unikając w pędzie zwieszających się konarów. Miałem ochotę roześmiać się z pogardą. Biernacki prędzej własne buty zje, niż zrezygnuje z upokorzenia odwiecznego wroga. Ale niech zbój jedzie. Niech pertraktuje. Im dłużej się zwlecze, tym lepiej.

–Ty wskakuj w siodło! – usłyszałem. – Jeśli nie zechcą wymiany, zdechniesz. Wstałem. Zaraz klęknąłem na kolano.

–Koń mnie przytłukł – jęknąłem. – Sam nie dam rady.

Natychmiast podskoczyło dwóch. Wsparłem się na nich, objąłem za szyje.

Podsadzili mnie, włożyli nogi w strzemiona.

–Posłuchajcie – rzekłem – zanim ruszymy, musicie coś wiedzieć.

* * *

Za linią drzew było o wiele jaśniej niż w lesie. Dopiero tutaj zobaczyłem, że do zmroku pozostało jeszcze sporo czasu. Ciekawe jak daleko już są moi towarzysze. Znieruchomiałem. Z naprzeciwka nadjeżdżało pięciu ludzi! Szaleńcy. Popędziłem ku nim. Stanęli zaskoczeni. Byłem przecież sam! Biernacki natychmiast zaczął podejrzewać pułapkę. Wyjął pistolety, skierował je na Winiewskiego i Jelenia. Michał z Marcinem również chwycili za broń. W jednym ręku samopał, w drugim szabla.

Machnąłem uspokajająco. Mało przy tym geście nie spadłem z konia. Chwyciłem mocno lejce, wbiłem nogi w strzemiona. Nie dla mnie kawaleryjska służba.

Będą pytać, ukochany. Co zamierzasz powiedzieć? Przecież nie prawdę...

Nie wiem jeszcze, ukochana. Ale masz słuszność. Na pewno nie prawdę.

Jeleń zrozumiał, że został sam. Pewnie od razu też dotarło doń, iż jeśli zabierzemy go do hetmana, umrze haniebną, bolesną śmiercią. Pan Zamoyski za dezercję kazał prostych żołnierzy wieszać. Ale ten tutaj zawinił jeszcze, przyłączając się do zdrajcy.

Za to najmarniej czekało go darcie pasów. A może nawet kaźń, której nasi nauczyli się od żołnierzy Iwana Groźnego, stosujących torturę z upodobaniem. Wycinali jeńcowi pępek, wyjmowali kawałek jelita i przybijali do pnia. A potem batogami gonili ofiarę dookoła drzewa, aż wyszły z niej wszystkie wnętrzności. W akademii mówiono nam o tym sposobie kaźni, ale nigdy jej nie stosowano, bo była raczej w pogardzie. Nie potrzeba bowiem do jej zadawania wielkiej biegłości. Należy tylko w miarę sprawnie przeciąć powłoki. Ale nawet jeśli naruszy się trzewia, wielkiej różnicy nie będzie. Dla kata o wiele większym wyzwaniem jest rozciąć brzuch wzdłuż, wypatroszyć skazańca jak rybę, wyjąć mu ze środka wszystko poza sercem i płucami, a on ma żyć i patrzeć, jak wąpłcia smażą się na palenisku. Nie cierpi od dodatkowego bólu, ale umysł podpowiada mu, że kaźń jest straszniejsza. Poza tym tłuszcza uwielbia

podobne widowiska. Często zdarza się, że sędziowie, jeśli mają na usługach biegłego oprawcę, wydają srogie wyroki nawet za niewielkie przewinienia, by przypodobać się plebsowi.

Rozbójnik sięgnął po broń. Biernacki natychmiast wystrzelił mu prosto w głowę. Jeleń zachwiał się, rozłożył ręce. Bezużyteczny pistolet zacisnął mocno w śmiertelnym skurczu, spadł na śnieg. Winiewski w pierwszej chwili uczynił ruch, jakby chciał popędzić konia, ale już na uździe spoczęła pewna, twarda dłoń Marcina. Podjechałem bliżej.

–Nie mów, Jakubie, żeś ich wszystkich zabił! – zawołał Michał. – Charakternik z ciebie, to wiedzą wszyscy, ale byłeś samojeden na dziesięciu wprawnych rębajłów!

–Nie zabiłem – uśmiechnąłem się. W tej chwili przyszło mi do głowy wytłumaczenie. Nie wiem, czy sam na to wpadłem, czy przy udziale Blanki. Nie mogłem się z nią porozumieć. W pobliżu porucznika najpierw wściekała się, a potem umykała gdzieś w zakamarki świadomości. – Po prostu rzekłem im co będzie, jeśli zabiją wysłanników kanclerza. Że ruszy na nich sam rotmistrz Żółkiewski. A w ogóle mogą się nie spodziewać, by moi towarzysze poniechali Winiewskiego. Nie myślałem, że zawrócicie.

–Ja nie chciałem – odparł ponuro Biernacki. – Ale twoi kamraci zagrozili, że mnie zastrzelą, jeśli cię poniechamy. Chcieli wymienić cię za tego płaża, a potem spróbować go porwać ponownie. Skoro raz wytropiłeś gada, mógłbyś i drugi.

Spojrzałem z wdzięcznością na towarzyszy broni. Ważniejszy dla nich druh niż splendory i nagrody. Prawdziwi ludzie. Szkoda, że nie mogę wyznać im prawdy.

W uszach zadźwięczały mi własne słowa, wypowiedziane do zdrajców. Najpierw słuchali z lekceważeniem, potem z narastającym niepokojem.

–Zanim ruszymy, musicie coś wiedzieć. Wasz dowódca jest ciężko chory. Śmiertelnie. Roznosi straszną zarazę. Kto się go dotknie, musi umrzeć w mękach. Zostałem tu na śmierć, bowiem byłem nieostrożny. To ja przecie wsadziłem go na konia przy porwaniu. Ja też ninie stanowią źródło chorób. Ci, co mnie podnieśli, zaraz umrą.

Słuchali przez chwilę, potem zarechotali cokolwiek niepewnie. Nie chcieli przyjąć do wiadomości takich rewelacji. Zwinąłem się w siodle, zsunąłem, zacząłem trząść w

drgawkach.

–Udaje – rzucił przywódca. – Witold i Jan, wsadzić go z powrotem na koń, przywiązać i w drogę.

Odkąd przestałem się zadawać ze szczurami, jad we krwi znacznie osłabł. To znaczy nie skończyło się jego działanie, ale wydłużył się czas, zanim wystąpiły objawy choroby. Nie przebiegała już też tak gwałtownie. Nadal była zabójczo skuteczna, jednak trwała nieco dłużej. O wiele krócej niż zwykła dżuma, ale śmierć przychodziła parę minut później niż kiedyś. Ledwie podeszli do mnie wyznaczeni ludzie, a ci, co przedtem pomagali mi wejść na grzbiet wierzchowca, zwinęli się wpół. Na twarzach wykwitły im i zaraz napęczniały czyraki. Komilitoni z przerażeniem obserwowali nabrzmiewające ropne wzgórki. Ten i ów przeżegnał

się, wezwał imienia Boga, zaczął mamrotać modlitwę od uroku. Tymczasem ofiary zwiły się z bólu. Ropnie nabrzmiały do granic możliwości, zaczęły pękać, bryzgając dookoła zabójczą substancją. Na tym także polegała różnica w rozwoju chorób. Dawniej ludzie marli, zanim mór ogarnęła ciała do tego stadium.

–Co to? – spytał z przerażeniem trzęsący się głos.

–Czarna śmierć – padła równie przestraszona odpowiedź. – Uchodźmy, zanim i nas dopadnie!

Nie zastanawiali się, dlaczego na mnie nie wystąpiły skórne objawy zarazy, a ich towarzysze zachorowali tak szybko. W takiej chwili człowiek nie myśli trzeźwo. Dali się ogarnąć panice. W grupie strach udziela się ludziom mocniej niż w pojedynkę. Tu w dodatku mieli przed oczami koszmarny widok, który mógł pozbawić zmysłów. Pierzchli na wszystkie strony, popędzili przed siebie, byle znaleźć się jak najdalej od przeklętego miejsca. Do końca życia będą wspominać ze strachem to wydarzenie, budzić się z krzykiem po nocach.

–Przekonałeś ich? – spytał z powątpiewaniem Biernacki.

–A pan, wachmistrzu, woli uwierzyć, żem ich wszystkich zarżnął?

Zabiłem mu ćwieka. Z jednej strony widział, żem żyw, cały i zupełnie sam, z drugiej nie mógł przyjąć do wiadomości, by bezwzględni żołnierze dali się tak łatwo przekonać. Jednak zdrowy rozsądek przemawiał na moją korzyść.

–Jak by nie było – powiedział – trzeba nam w drogę.

Klepnął w zad konia Winiewskiego. Porucznik splunął mu w twarz. Wachmistrz, nie bacząc na nic, jął się szabli. Wtedy padł strzał. Zobaczyłem fontannę krwi tryskającą z czoła Biernackiego. A Marcin już był na ziemi. Przebił nożem gardło Jelenia. Niepotrzebnie, bo tamten już skonał. Zastrzelił wachmistrza w ostatnim przebłysku świadomości. W godzinie śmierci, na przypieczętowanie pergaminu życia, popełnił jeszcze jedno morderstwo.

–Trzeba było gada rozbroić – wycedził przez zęby Michał. – Aleśmy się za bardzo śpieszyli po ciebie, Jakubie, żeby o tym pomyśleć.

Pochyliłem się nad wachmistrzem. Nie było o czym mówić. Zginął na miejscu. Oczy miał otwarte, nie było w nich nawet wyrazu zaskoczenia, tak niespodziewanie nadeszła śmierć. Przy pomocy Marcina przerzuciłem trupa przez siodło, przywiązaliśmy go mocno. Potem wreszcie obejrzałem ranę Michała. Na szczęście

kula ominęła kość, wyrwała jedynie kawałek mięsa. Obląłem to miejsce odrobiną gorzałki. Specjalnie nosiłem niewielki bukłaczek pod wierzchnim odzieniem na piersi. Nie tylko zresztą dla oczyszczania ran. Mogłem oblać ręce i w razie potrzeby chociaż przez chwilę obyć się bez rękawic, dokąd ostra ciecz nie wyschła.

–Mnie byś opatrzył – zachrypiał Winiewski. – Kolana już nie czuję, a w kroku strasznie boli.

Zerknąłem. Spodnie zamieniły się w lodową skorupę. Nawet nie chciałem zgadywać, w jakim stanie są genitalia. Rozsznurowałem ostrożnie troki nogawic, uniosłem skraj, zajrzałem. Blanka była przerażona bliskością złego człowieka.

–W obozie opatry cię medyk kanclerza. Mnie gotów jesteś oskarżyć, żem cię okaleczył.

–Okaleczył? O czym mówisz? Przecześnie mi z kolana uczynił miazgę. Spuchło jak bania...

–Jajca trzeba ci będzie odjąć – przerwałem. Z zadowoleniem patrzyłem na jego minę. – Granatowe już są.

Próbował mnie kopnąć, nie na darmo jednak ustawiłem się od strony uszkodzonej nogi. Poruszył nią zaledwie, skrzywił się z bólu.

–Zresztą może nie będzie potrzeby odejmować – dodałem. – Same odpadną, nim dojedziemy. A choćby i nie, wszak czeka na cię wyrok śmierci. Nie opłaci się medykowi z tobą babrać.

Marcin wskoczył w siodło.

–Szkoda wachmistrza – rzekł. – Srogi był człek, okrutny i straszliwie służbisty, ale dobry żołnierz. Zalażł nieraz za skórę, wielu nienawidziło go z całego serca, jednak dało się z nim koniec końców żyć.

–Po powrocie wypijemy jego zdrowie – dodał Michał. – Niech mu po tamtej stronie Bóg powierzy waleczną chorągiew aniołów, by toczył bój z silami piekła. Do chórów niebiańskich Biernacki nijak się nie nadaje.

* * *

Stałem do raportu przed hetmanem Zamoyskim. Miałem zdawać sprawę wraz z panem Żółkiewskim. Brat rotmistrza, Mikołaj, który wrócił z dalekiego podjazdu i towarzyszył nam teraz w namiocie głównodowodzącego, miał zatroskaną twarz.

–Oficer chorągwi nieszawskiej – oznajmił Zamoyski – pan Jerzy Winiewski wniósł na was skargę przed sąd hetmański.

–To było do przewidzenia – rzekł spokojnie Żółkiewski. – Zdrajca tylko tak może przedłużyć sobie życie. Ludzie jeszcze nie zdążyli odpocząć, pożywić się należyście, a ten już pieniaczy.

–Ponoć doznał uszczerbku na zdrowiu podczas aresztowania – ciągnął hetman. – Został potraktowany...

–Został potraktowany łagodniej niż zasłużył – nie wytrzymałem.

Poderwał się mały człowieczek w wielkiej futrzanej czapie.

–Stoisz przed hetmanem wielkim koronnym, kanclerzem Rzeczypospolitej, zaufanym Jego Królewskiej Mości. Nie waż się przerywać, gdy mówi!

–Dziękuję, panie sekretarzu – zmitygował go Zamoyski. – Sam sobie poradzę. Nie

wiem – zwrócił się do mnie – zasłużył, zali nie, jeno nie wolno tak traktować oficera. Możesz się wytłumaczyć?

–Oczywiście, jasnie wielmożny panie. Jerzy Winiewski powinien się cieszyć, że nie

spotkał go znacznie gorszy los. Gdyby nie wyraźne rozkazy pana Żółkiewskiego, oprawiłbym go w lesie, na miejscu. Wiecie, wasza miłość, co czuje człek przywiązany do drzewa, kiedy przychodzą lisy obgryzać mu w pierw golenie, a potem wyżej i wyżej...

–Nie opowiadaj mi tu, jakbyś mu łaskę wielką uczynił, do obozu dostarczając. Straszna kaźń mu się patrzy dzięki tobie. Nie trzeba było się jeszcze znęcać.

Widziałem na jego obliczu niezadowolenie. Wysyłając naszą ekspedycję, liczył, że jednak nie dopadniemy syna podczaszego, a sprawa z czasem rozejdzie się po kościach. Teraz musiał wydać Winiewskiego na śmierć, ale widać postanowił jeszcze powalczyć, odroczyć egzekucję.

–Gdyby był sprawny, musielibyśmy go pilnować dwakroć pilniej. Skończy na szafocie, samiście powiedzieli. Czy ze spuchniętą nogą, czy nie, to bodaj wszystko jedno.

–Jeden z jego zbójów zabił Biernackiego – rzekł Żółkiewski. – Oto poszanowanie powagi korony wśród takich ludzi. Zastrzelił człowieka, który reprezentował waszą osobę. Gdyby Winiewskiemu dać okazję, też nie wahałby się ani chwili. Tacy plwają na prawa i godność, nawet tak wielką jak kanclerska.

–Nie wjeżdżaj mi na ambicję, panie Stanisławie. – Hetman zmarszczył brwi. – Sam wiem najlepiej, jak brać szlachecka poważa urząd. Nie pytam, zasłużył Jerzy na śmierć, zali nie. Pytam, czy trzeba było się nad nim znęcać. Na dobitkę za waszą sprawą przemroził sobie słabiznę. Pytałem medyka. Da się uratować i fallusa, i worek, ale siły męskie zapewne mu odjęto.

Teraz zniecierpliwiał się Żółkiewski.

–A na co mu potencia, skoro ma za niedługo zginąć? Mam wam przypomnieć, panie, co swawolnik czynił wziętym do niewoli żołnierzom? Jakie potworności im czynili jego zbóje? Zresztą za to, co zrobił własnemu dziecku, zwykły mieszczanin czy chłop zostałby skazany na publiczną kastrację, a nie jeno odmrożenie klejnotów.

–Ale też nikt nie dał prawa temu człowiekowi – hetman wskazał na mnie – aby zaczął kaźń w chwili schwywania zbiega...

–Zdraycy, panie hetmanie. Nie tylko zbiega, ale przede wszystkim zdraycy, mordercy i gwałciciela. Za mniejsze rzeczy zwykli wojacy wędrują na gałąź.

Zamoyski milczał długo.

–Mocno się zastawiasz, panie rotmistrzu – rzekł. – Wiem nawet, dlaczego. Uwiera cię niesprawiedliwość. Rządy sobiepanków, różnych tam Stadnickich, Zborowskich i im podobnych.

–Uwiera – przytaknął rotmistrz.

–Młodyś jeszcze, nie rozumiesz wszystkiego. Kiedy będziesz w moich leciech, zobaczysz, iż świat nie jest taki prosty, jak ci się zdaje. I mnie mierzi bezkarność przestępców w bogatych żupanach, złoconych deliach, kroczących niby koguty z

karabelami, w których drogocennych kamuszków upchanych niby gwiazd na niebie.

Jeno nie wszystkim da się

wymierzyć stosowną karę.

–Dlatego należy sięgać wszystkich, których można.

–Przypuszczasz, iż zamierzyłem uratować Winiewskiego. Nie zaprzeczaj! Za stary jestem, byś dał radę mnie oszukać. Mylisz się, Stanisławie. Ani mi w głowie oszczędzić przeniewiercę.

–Po co więc nasza rozmowa? Jakub ma się liczyć z karą za złe potraktowanie przestępcy?

Zamoyski uśmiechnął się.

–Nie, rotmistrzu. Nasza konwersacja została urządzona tylko ze względu na twoją osobę. Wiem, że kiedyś dojdiesz do najwyższych zaszczytów w Rzeczypospolitej, może zajmiesz moje miejsce. Musisz się oswajać z różnymi okolicznościami, radzić sobie w niesprzyjającym położeniu. Często będziesz zmuszony występować nie tylko w obronie własnej, ale i drugich. Że nie mam serca wydawać na śmierć syna starego przyjaciela, to rzecz druga. Jeno słusznie rzekłeś. Trzeba, by ręka sprawiedliwości sięgnęła wszystkich, których zdoła.

Znów zapanowało milczenie. Zamoyski wstał, podszedł do wejścia namiotu, uchylił płachtę. Do środka wtargnął powiew mroźnego powietrza.

–Zgodnie z sentencją, jutro powinien zostać zgładzony – powiedział w zamyśleniu.

–Rozerwany końmi, a jeśli przeżyje kaźń, zaduszony. Taki zapadł wyrok. Ale nie mamy kata, który by to należycie wykonał. Nijak po prostu powiesić kogoś, kto zasłużył na tak dotkliwą karę.

Jednak nie zrezygnował z prób ocalenia protegowanego. Każdy pretekst dobry, aby odłożyć egzekucję. A potem jakoś się wszystko zatuszuje, sprawa rozejdzie się po kościach. Nie mogłem na to pozwolić. Blanka rzuciła się, przygotowując mnie o spazm bólu. Tak... Ten, kto rzekł, iż dusza jest niematerialna, na pewno nigdy nie miał w głowie obcego ducha.

–Ja to zrobię.

Odwrócił się ku mnie, spojrzał zdziwiony.

–Przecież do tego trzeba być doświadczonym oprawcą.

–Jestem.

Żółkiewski odsunął się na dwa kroki. Od razu pojął, co znaczą moje słowa, a przecież małodobry jest nieczysty. Hetman puścił płachtę, odwrócił się. Rotmistrz opanował się już, znów stanął przy mnie.

–Kat – mruknął bardziej do siebie niż do mnie czy Zamoyskiego. – To wiele tłumaczy. Biegłość w zabijaniu i umiejętność opatrywania ran.

–Ale wcale nie znaczy, że potrafi dokonać tak trudnej rzeczy – zaprotestował dostojnik – Do rozerwania człowieka potrzeba szesnastu koni. Wyobrażasz sobie, jakiej biegłości wymaga od oprawcy kierowanie podobną egzekucją?

–Mnie wystarczą cztery silne zwierzęta – wtrąciłem. – I tyłuż ludzi.

–Tak powiadasz? – uniósł brwi hetman. Żałował już, że wspomniał o sentencji wyroku. –

A gdzie się nauczyłeś tej sztuki?

–W Bieczu, wasza miłość. W Akademii Katowskiej.

–Przecież uczelnia została zrównana z ziemią, a wszyscy mistrzowie i adepci zabici! To była kara plebsu za sprowadzenie morowego powietrza. Zaraza zdziesiątkowała miasto.

–Ktoś jednak z katów pozostał – uśmiechnąłem się. – Ja, może jeszcze kilku takich, którzy mieli szczęście.

W Zamoyskim toczyła się walka. Zastanawiał się, czy nie da rady jakoś odwrócić sprawy.

Widzisz, Jakubie? Kolejny możny pan, który nie chce uczynić krzywdy szlachetnie urodzonemu. A skoroś się przyznał do katostwa, także rotmistrz nie stanie za tobą.

–Uczciwość wymaga – odezwał się Żółkiewski – by dopełnić pieczołowitości, skoro nadarza się okazja.

Zamoyski nie odpowiedział. Wpatrywał się we mnie ciężkim wzrokiem, kręcił z niedowierzaniem głową.

*** * ***

Konie stały przygotowane. Przy każdym doświadczony wozak. Nie chciałem do tej roboty najlepszych nawet husarzy, choć paru chętnych by się może znalazło, by przyłożyć ręki do śmierci Winiewskiego. Jednak to nie robota dla krewkiego rycerza, ale cierpliwego koniucha. Przypomniało mi się pierwsze w życiu rozrywanie końmi, na dziedzińcu akademii. Wtedy ofiarą był zimny trup. To zarazem prostsze i trudniejsze niż przy żywym. Prostsze, bo taki nie rusza się, nie próbuje uwolnić. Trudniejsze, bo członki nieboszczyka tężeją, trzeba wiele trudu, aby tak ponacinać skórę, więzadła i ścięgna, by osiągnąć zamierzony efekt. Właśnie za tamto ćwiczenie zostałem nagrodzony wyjściem do domu publicznego. Wtedy poznałem Blankę. Już po pierwszej nocy wiedziałem, że pokocham ją całym sercem. Tak mi się dzisiaj zdaje, jakby już wtedy przelatywały przez mą głowę myśli o wspólnej przyszłości wraz z przecuciem nieszczęścia. Ale czy to była prawdziwa prekognicja, czy raczej po wszystkim nabrałem podobnego przeświadczenia, tego nie mogę być pewny.

Wyprowadzono Winiewskiego. Szedł z podniesioną głową, dumny, gotów splunąć w twarz każdemu napotkanemu człowiekowi. Jednak na widok koni, skórzanych uprzęży, lin i łańcuchów odwaga go opuściła. Był pewien, że stanie na szubienicznym stołku. Zapewne żywił także silne przekonanie, iż pan Zamoyski odwoła egzekucję z lada powodu. Teraz dowodnie przekonał się, że może porzucić wszelką nadzieję. Nie urządza się takiego widowiska przed frontem wojska, na oczach oblężonych, by go nagle zaniechać. Zaczął głośno dyszeć. Cały pokrył się potem, choć mróz trzymał tęgi, a skazaniec ubrany był jedynie w zgrzebną koszulę. Czekałem na niego w błazeńskim czerwonym kapturze na twarzy. Pan Żółkiewski bardzo naciskał, abym się weń przybrał.

–Nie wiem, skąd wziął się ten obyczaj – rzekł – ale skoro jest, bądźmy mu wierni.

–Skąd wziął się zwyczaj zakapturzania, uczono nas w Bieczu – odparłem.

–Mów. Jestem wielce ciekaw.

–Ponoć chodzi o to, by skazany nie poznał twarzy oprawcy i nie nawiedzał go po śmierci. To bzdura, panie. Jakże żywy może się ukryć przed duchem pod najszczelniejszą nawet zasłoną? Na pewno znaczenie ma tutaj odium, jakie na małodobrego nakładają ludzie. Zamaskowany kat może żyć wśród nich, a oni nie wiedzą o jego profesji, nie prześladują go zatem. Tak jest w księstwach niemieckich. Ale we Francji kat nie jest aż tak pogardzany. Nie nosi zatem maski, a tylko czerwony kaptur, albo i zwykłą myckę. Ludzie zaś we wszystkim dopatrują się czarów. Jak chociażby w tym, że jeśli oprawca nadejście na ich cień, może odebrać duszę.

–Masz słusność. Ludzie uwielbiają gusła. Potrzebujesz czegoś, zanim rozpoczniemy wykonywanie wyroku?

–Gdybyście byli tak dobrzy... Jakieś niewielkie złote naczynie. Może być po prostu złożone w środku. Gotów jestem zapłacić.

–Po co ci ono?

–Tego zdradzić nie mogę. Wybaczcie, panie rotmistrzu. Każdy cech ma swoje tajemnice.

–Każę dostarczyć coś odpowiedniego.

Rzeczywiście, niedługo potem przybiegł posłaniec z zawiniątkiem. W środku było zamykane puzderko. Uśmiechnąłem się. Bardzo dobrze. Małe i zgrabne. Nie to, co okazałe naczynia używane przez mistrzów. Ale też oni nie potrzebowali martwić się rozmiarami.

Spojrzałem teraz na Żółkiewskiego. Stał obok hetmana w otoczeniu innych dowódców, czekał na rozpoczęcie kaźni.

Pachołkowie wlekli Winiewskiego. W szeregach wojska panowała cisza – wroga tam, gdzie stali dawni towarzysze Jerzego, pełna oczekiwania wśród piechoty i lekkiej jazdy. Porucznik spoczął u mych stóp. Próbował się dźwignąć, ale przytrzymały go mocne ręce. Uśmiechnąłem się. Szkoda, że nie może tego widzieć twój ojczulek, podczaszycu.

–Bądź przeklęty, kacie – bryznął gęstą śliną i nienawiścią.

Skorzystałem z okazji, że otworzył usta, i włożyłem między zęby drewnianą kulę. Uczyniłem to gołymi rękami. Nie można przy podobnej okazji postąpić inaczej. Kat musi dotknąć i kuli, i twarzy skazanego. Ręce miałem mokre od gorzałki, kulę też w niej skąpałem. Zawiązałem sprawnie rzemienie z tyłu głowy Winiewskiego. Dopiero potem wskazujący palec oparłem na drewnie, a środkowym musnąłem policzek skazańca. Zamarłem. W tej chwili w głowie eksplodowało jasne światło, rozległ się straszliwy, bezrozumny krzyk. Blanka... Ukochana, co się stało? Zamiast odpowiedzi nadleciały obrazy.

Stałem przed zwierciadłem, patrzyłem na odbicie. Jasne, puszyste włosy, dziecięca twarzyczka, niewielkie dziewczęce pąki piersi. Obok miski z gorącą wodą płonęła świeca. Ta twarz... Znajome rysy. Tak dawno niewidziane, że prawie zatarte we wspomnieniach. Pamięć oczu nie jest najwierniejszym świadectwem przeszłości. Wreszcie olśnienie. Blanka!

Patrzyłem na nią jej własnymi oczami. Zamoczyła dłonie w wodzie, uniosła ku twarzy. Krople nasączone pomarańczowożółtym blaskiem ściekały z cichym

pluskiem. Nagle zeszczytniała. Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki. Prędko naciągnęła koszulę i pobiegła do łóżka.

Na nic zdało się ukrywanie pod prześcieradłami, na nic zakrywanie głowy poduszką. Drzwi skrzypnęły, kroki zaczęły się przybliżać. Silne ręce zerwały okrycie. Spojrzała w twarz prześladowcy. Mężczyzna w sile wieku, o czerstwej cerze. Sękatą rękę odrzuciły daleko poduszkę, sięgnęły ku odzieniu. Uciekła w najdalszy kąt. Był przy niej natychmiast. Trzasnęło rozdarte płótno. Po chwili poczuła bolesny uścisk, cios otwartą dłonią w twarz... I twarde łapska błędzące po całym ciele.

Blanko... Nagle zrozumiałem, dlaczego tak bardzo chciała wziąć pomstę na Winiewskim. Dlaczego sprawiła, że i ja zapragnąłem tego całym sobą.

Tak właśnie, ukochany. Zostałam jako dziecko skrzywdzona podobnie jak tamta malutka. Byłam krzywdzona wielokrotnie, pozostawiona samej sobie. Matka nie widziała... nie chciała widzieć.

To dlatego skończyłaś jako prostytutka?

Chciałam od tego uciec. Wolałam, żeby mi obcy mężczyźni płacili, skoro już zostałam tak zbrukana przez tego, który winien był mnie strzec przed krzywdą.

Kim był ten niegodziwiec, że tak o nim mówisz?

Moim ojcem...

Wszystko trwało mgnienie oka, nie dłużej niż upadek na ziemię kamienia wypuszczonego z ręki. Wyprostowałem się jako nowy człowiek. Poznałem, co znaczy prawdziwa nienawiść. Do tej pory myślałem, że znam to uczucie, żywiłem je do Bartosza. Ale tamto było ledwie cieniem. W sercu zapłonął prawdziwy ogień. Spojrzałem w twarz Winiewskiego. Wyglądał niczym bezradny żuk, rozciągnięty na ziemi, z kulą w ustach. Językiem mógł wyczuć, iż jest wydrażona, wyłożona metalem. Mógł także wyczuć wyryte w złocie znaki. Magiczne zaklęcia, których treści nikt nie potrafi odczytać. Zostały odziedziczone po przodkach, pokoleniach katów, pracujących od najdawniejszych czasów. Najważniejsze, że były skuteczne. Założyłem rękawice. Nie daj Boże, bym go teraz zaraził. To byłaby zbyt lekka śmierć.

–Zasłonić ci oczy?

Najpierw zdecydowanie pokręcił głową, potem kiwnął, znów zaprzeczył. To kolejny obyczaj, który ludzie wiążą z czarami. Zasłania się usta skazańca, aby nie mógł rzucić przekleństwa, oczy zaś, by nie zauroczył małodobrego i całego otoczenia. W istocie rzeczy chodzi raczej o to, by nie zdołał ubłagać o rychlejszą śmierć, nie wzbudził współczucia żalosnym spojrzeniem. W moim przypadku nie było podobnego zagrożenia.

–Jak chcesz. Patrz zatem, co będę czynił.

Sprawnie założyłem pętle na nadgarstki. Następnie zacisnąłem na nich pasy, podwiązałem je do lin. Nie ma możliwości, by puściły. Niedoświadczony bądź niedouczonego oprawca do rozrywania końmi użyje sznurów. To niewybaczalny błąd. Im liny dłuższe, tym bardziej pewne, że któraś się zerwie, tym bardziej, jeśli jest mróz, bo zimno zawsze osłabia włókna. Dlatego kazałem do upręży dołączyć łańcuchy. Krótkie odcinki lin powiązałem teraz do nich, machnąłem na ludzi. Bardzo powoli poprowadzili konie. Wszystko się napięło, Winiewski nie mógł już nic uczynić.

Spoczywał rozkrzyżowany na ziemi. Rozciąłem koszulę, zdarłem materiał. Pozostał jedynie w hajdawerach. Znów dałem znak. Konie ruszyły, ciało skazańca uniosło się odrobinę do góry.

–Zaraz zaczniemy – mruknąłem – nie niecierpliw się. Tylko jeszcze zdejmę z ciebie gacie.

Paroma cięciami uwolniłem go od resztek odzieży. Na kolejny znak wozacy poprowadzili zwierzęta.

–Dość! – Spojrzałem na porucznika. – A teraz zobacz, kto cię oprawi.

Zerwałem czerwony kaptur z maską.

Porucznik zakrztusił się własną śliną. Nie spodziewał się, że jeszcze mnie zobaczy. W dodatku z tak bliska i w takiej chwili.

W szeregach przeszedł szmer. Przecież mnie znali. Spojrzałem w stronę mojej roty. Michał z Marcinem stali wrośnięci w ziemię. Kiedy poczuli na sobie mój wzrok, odwrócili oczy. Powinienem się tego spodziewać. Kat zawsze jest sam, przeklęty i znienawidzony. Tylko szczury wiernie dotrzymują mu towarzystwa.

Winiewski zajęczał, coś próbował powiedzieć.

–Boli? – spytałem. – Stawy palą ogniem, zda ci się, że zaraz coś je rozsadzi? Nie bój się, panie Jerzy. To dopiero początek. Niewinny wstęp. – Ująłem miecz. – Najpierw podetniemy skórę i ścięgna. Leciutko, tyle, by koniki dały radę zrobić swoje. Nerwy zostawię całe, byś nie uрониł nic z doznań.

Szarpnął się, jakby chciał ostatkiem sił uwolnić członki.

–Masz na sumieniu życie niewinnych ludzi – ciągnąłem. – Zdrada ojczyzny nie zajmuje mnie zbyt, bo dla takich samotników jak ja liczą się czyny człowieka wobec innych, a nie jakiegoś kraju. Można być odstępcą, a jednak żyć tak, by nie krzywdzić wszystkich dookoła. Ty nie umiałeś, więc odpowiesz za to przed Bogiem. Wpierw jednak odbierzesz część zapłaty na tej ziemi.

Podszedłem po kolei do koni, sprawdziłem, czy wszystko przygotowano jak należy, dałem ostatnie wskazówki. Wróciłem do skazańca.

–Zanim poczujesz, co znaczy umierać – rzekłem cicho, by nikt tego nie mógł słyszeć – wiedz, iż ta kula, którą masz w ustach, uwięzi twoją duszę. Potem przeleję ją do przygotowanego naczynia. Nim staniesz na sądzie po tamtej stronie, jeszcze cię przetrzymam. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz oddawał ducha.

Za złotymi wrotami niewoli ***Gwiazda Piotun***

Pan Samuel Zborowski patrzył hardo. Zszedłem do niego w otchłań lochów, aby zobaczyć, kogo będę miał sposobność zabić. Od rozmowy z nim uzależniłem zgodę na wykonanie wyroku. Nigdy więcej nie popełnię błędu, jaki przydarzył mi się w akademii. Gdybym wtedy mógł spojrzeć w oczy ofierze... W miarę jak schodziłem po schodach, robiło się coraz ciemniej. Tym też jaśniejsze zdawało się światło pochodni. Przypomniały mi się wieczory spędzone przy ogniskach wśród Kozaków. Oni nie mieli przesądów, by zasiąść do wieczerzy z katem. Wszyscy inni odwrócili się ode mnie. Nawet Michał i Marcin oraz ci, którym ratowałem życie, opatrywałem, pocieszałem, kiedy zdawało im się, że nadchodzi śmierć. Spod Pskowa udałem się więc na Ukrainę. Było mi wszystko jedno. Jednak i tam dosięgła mnie ludzka złość. Nowy ataman koszowy, niejaki Michajło Makaszewski, uznał, iż osoba małodobrego nie jest pożądana wśród jego ludzi, zatem nie miałem czego szukać czy to w siczy, czy wśród rejestrowych. Odszedłem więc. W pamięci została tęskna pieśń, którą Kozacy często intonowali przy gasnącym ogniu.

Pokaży meni gde je wsia mohyla Ja chocz u koło nyl pomolytys' Za moju rodinu, za seło I za neszczastliwu Ukrainu¹

Pięknie śpiewali... Brzmieli niczym organy w kościele. Do końca życia będzie mi brakowało ich pieśni. Gdy szli na stronę turecką, przemierzali Morze Czarne na swoich czajkach, chętnie pływałem na takie wyprawy. Pierwszym razem wylądowaliśmy niedaleko jakiejś niedużej osady. Nie trwało i pół pacierza, a Kozacy wpadli między zabudowania i wycięli wszystkich dorosłych mężczyzn. Krzyki gwałconych kobiet niosły się daleko nad morze, wracały echem odbite od niedalekich skał. Nie podpalili wioski, by nie alarmować

¹ Lekko zmodyfikowany fragment utworu *Czy znajesz ty zespołu The Ukrainians z płyty Worony* (przyp. aut.).

innych pobliskich siół.

Okrutni ludzie. Blanka nie lubiła wracać do tamtych wspomnień. ***Wcale nie lepsi od samowolnych szlachciców, co nie baczą, zali kogo nie podepczą.***

Tak, Blanko. Nie lepsi, ale i nie gorsi. Tyle wiem, iż żaden nie zapytał, czemu noszę skórzane rękawice i skórzany kaftan nawet w największy upał ani dlaczego splukuję ciało czystą gorzałką. Czynili wrogom to, co tamci robią im. To nie jest usprawiedliwienie ani nawet wytłumaczenie. Tak toczy się świat.

Dobrze w takim razie, że z niego odeszłam. Dobrze też, że cię pan Żółkiewski potem wreszcie odnalazł.

Odnalazł, bo byłem mu potrzebny. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał się zgodzić na wykonanie egzekucji pana Mirowskiego, kresowego watażki, który zastraszał, rabował i zabijał chłopów okolicznej szlachty, nie szczędząc nawet ziem wielkich, wpływowych magnatów. Komilton to był samego Stadnickiego, sławnego z okrucieństwa i lekceważenia prawa, przyjaciel Zborowskich. Mnie zaś było wszystko jedno. Samego diabła mógłbym powiesić, nie bacząc na gniew piekła. Gdym dokonał pomsty na Winiewskim, życie nagle straciło sens. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo

chciałbym żyć wśród ludzi, a przecież zawsze będę skazany na samotność. Żyć wśród ludzi... To nie znaczy bezustannie z nimi rozmawiać, spotykać się. Po prostu żyć. Nigdy przedtem nie znałem tego uczucia. Najpierw podróżowałem z Mistrzem Eustachiuszem, potem uczyłem się w Bieczu. Wszędzie byłem sam. Z Eustachiuszem byliśmy sami we dwóch, ale w akademii zostałem zupełnie osamotniony. Ileż razy słyszałem, że małodobry jest skazany na taki los. To wyrok, który wydała na niego ludzkość. Zemsta za grozę, jaką budzi w ciemnych umysłach. Wśród żołnierzy i Kozaków poznałem, co znaczy wspólny los. Jak ciepło robi się na duszy, kiedy masz się do kogo odezwać, potrafisz się porozumieć jednym gestem, mruknięciem, grymasem.

Powiesiłem Mirowskiego i zostałem we włościach Żółkiewskich, by zaznać nieco odpoczynku. A potem rotmistrz wysłał mnie do Krakowa, bo okazało się, że i kanclerzowi Zamoyskiemu potrzebne moje usługi. Tak znalazłem się wreszcie na schodach prowadzących w głębokie podziemia.

Namacalem w wewnętrznej kieszeni kaftana złote pudełeczko. Zaraz po egzekucji Winiewskiego wyjąłem drewnianą kulę z ust porucznika i udałem się do namiotu. Przechyliłem ją nad naczyniem. Wiedziałem, kiedy dusza spłynęła, bo w tej chwili kula uczyniła się odrobinę lżejsza. Od razu wykonałem znak wieczystej pieczęci nad otwartym puzderkiem. Na dnie wymalowałem wcześniej runę zniewolenia. To właśnie cześć najwyższego wtajemniczenia, jakiego kat może dostąpić. Uwięzienie duszy. Blanka gorączkowo szeptała w mojej głowie. Nie chciała bliskości zbrodniarza. Nie potrafiłem jej przekonać, że dzięki znakom i runom pozostanie ona w uśpieniu. Potem zamknąłem pudełeczko. Było bez różnicy, czy miało zamknięcie, czy nie. Dla uwięzionej duszy to

wszystko jedno. Chodziło o moją wygodę. Wieczysta pieczęć. Oznacza ona, iż duch nieszczęśnika zostanie w pętach, w stanie półsnu, przynajmniej sto lat. Chyba że sam zdecyduję, by go uwolnić.

Co chcesz z nim uczynić?

Nie wiem, ukochana. Ale nie chciałem, by zbyt szybko odszedł. Nie wiadomo, może jeszcze może okazać się przydatny.

Przydatny? Dusza takiego szubrawca może do czegoś posłużyć?

Trudno przewidzieć, jak potoczą się sprawy. Wreszcie sam nie wiem. Może nie chciałem go uwolnić w obawie, by dobry Stwórca nie darował mu zbyt szybko przewin? Kto wie, może Bóg jest bardziej litościwy od człowieka.

Najważniejsze, że Blanka szybko przekonała się, iż bliskość bezradnego ducha w niczym jej nie zagraża. Zrozumiała wreszcie to, co każdy kat doskonale wie. Obawiać się należy żywych, nie umarłych.

Więzienny dozorca zatrzymał się wreszcie przed żelaznymi drzwiami. Podał mi pochodnię. Następny, któremu nie wadzi towarzystwo oprawcy. Ale też i sam nie żyje pośród ludzkiego szacunku. Przekręcił ze zgrzytem klucz, podsadził się pod solidną klamkę. Stare zawiasy nieco popuściły, przez co drzwi zaparły się mocno o kamienny próg. Trzeszczały i skrzypiały potępieńczo.

–We trzech je zamykaliśmy – rzekł dozorca – tak się zatarły. Teraz jest nieco

lepiej. Z tego lochu nikt się jeszcze nie wysliznął i nigdy się nie wysliznie.

Uchylił odporne drzwi na tyle, bym mógł się wśliznąć.

–Zostaw mnie samego ze skazańcem.

–Jak sobie chcesz. Jeno nie zbliżaj się zanadto. To charakternik, doświadczony rębajło. Mojego kmotra, niejakiego Kazubka, tak zdzielił łańcuchem i poprawił pięścią, że do dziś półprzytomny chodzi. Pan Zborowski to diabelskie nasienie i powiadają, że się z samym Belzebubem znosi. Może i prawda, bo bluźnić potrafi tak, że nawet mnie, staremu klucznikowi, przychodzi chęć uszy zakryć. Różne też bezceństwa wyprawia. A miewałem tu już różnych kacerzy, odstępców, opętanych nawet. Żaden nie umiał podobnych słów z gardła dobyć. Uważaj, na niego, powiadam.

–Poradzę sobie. Klucz mi zostaw. Oddam, jak będę wychodził.

–Trafisz sam na górę? Nie zabłądzisz?

Nie odpowiedziałem. Dla niego zapewne lochy, którymi zarządzał, nie stanowiły zagadki. Był jednak zapewne przyzwyczajony, iż przybysze mogą się w nich bez trudu zgubić. Może inni, ale na pewno nie ja. Cóż to bowiem w porównaniu z labiryntem podziemi Akademii Katowskiej! Tam nauczyłem się, jak wychodzić z pętlic korytarzy i po niewidzialnych dla zwykłego śmiertelnika znakach odróżniać na pozór identyczne miejsca. Umiałem to robić zarówno przy świetle, jak i po omacku. W ciemnościach człowiek zazwyczaj traci orientację, osobliwie zamknięty w nowym miejscu. Mnie Mistrz Czarnej Śmierci kazał przemierzać

tajemne przejścia pod uczelnią. Były pozbawione choćby wspomnienia światła, zupełnie ciche. Chodząc po nich, miałem wrażenie, jakby w uszy ktoś mi napchał pakuł. Ale musiałem sobie radzić. Parę razy pod stopami zazgrzytały stare kości. Widać byli i tacy, którzy nie przeszli prób. Akademia Katowska to nie miejsce dla słabych i niezdecydowanych.

–Kogo diabli niosą? – doleciał z wnętrza schrypnięty głos.

Wziąłem od dozorca zapasową pochodnię i wszedłem do środka. Samuel Zborowski leżał na przegniłym barłogu. Z piskiem umknął szczur. Poczulem ukłucie w sercu. Tęskno mi było do dawnych przyjaciół. Jakże chętnie utoczyłbym parę kropel krwi, zagrał na flecie tęskną melodię. Na pewno spodobałyby im się te, których wyuczyłem się pośród Kozaków.

–Kim jesteś? – Więzień zasłonił oczy. Po dniach spędzonych w zupełnych ciemnościach raził go nawet płomień pochodni. – Kto cię nasłał?

–Jestem twoim najlepszym przyjacielem i najbardziej zniechęconym wrogiem. Zależy, z której strony spojrzysz.

–Małodobry – mruknął. Musiałem przyznać, że wykazał się wielką bystrością i przenikliwością. Nic jednak dziwnego. To nie zwykły opryszek, byle rezun, ale ktoś, kto potrafił knuć spiski, stanąć w opozycji do króla i kanclerza, porwać za sobą szlachecką brać. – Witaj, kacie. Dostałeś rozkaz wykończyć mnie na miejscu? Batory boi się, by panowie senatorowie nie złożyli veta na dostojne ręce? Nie związali majestatu protestacjami?

–Mylisz się. Nie przyszedłem cię dzisiaj zabić.

–Po co więc?

Poświeciłem pochodnię, znalazłem kamień pod ścianą, niedaleko Zborowskiego.

–Chciałem cię obejrzeć, panie Samuelu, zamienić z tobą słowo.

–Jak miło – parsknął. – Powiniennem pewnie czuć się zaszczycony odwiedzinami tak zacnej i czcigodnej osoby.

–Powinieneś czuć się wdzięczny. Nie do każdego przychodzi jego własny kat.

–Wdzięczny? – prychnął. – Posiedź tu za mnie, jedz spleśniały chleb, popijaj wstrętą wodą!

Czekałem, aż nieco ochłonie. Trudno dziwić się wybuchowi. Rozmowa z oprawcą na pewno nie należy do przyjemności, nie jest czymś wyczekiwany. Milczenie przeciągało się.

–Zostaniesz ścięty mieczem – powiedziałem w końcu.

Wzruszył obojętnie ramionami.

–Wolisz klęczeć przy egzekucji czy siedzieć?

–Co za różnica, panie kacie?

–Żadna, panie Zborowski, przynajmniej dla mnie.

–Ten, kto mnie skazał, niech wybierze.

–Dobrze. Tak przekażę królowi.

Rzucił się na cuchnącej słomie.

–Królowi! – jego głos spłynął jadem nienawiści. – Ten brudny Madziar mieni się być

królem! Do niedawna panował ledwie nad Siedmiogrodem z przyległościami, a ninie rządzi wielkim krajem! Przybłąda.

–Spiskowałeś dlatego, że jest złym władcą, czy z innego powodu?

–Wciągnął nas w wojnę z Moskwą, zaniedbał sprawy państwowe, spustoszył skarbiec. Woła wciąż nowych podatków na zaciąg wojsk!

–A mnie się zda – rzekłem spokojnie – iż podrażniona została twoja ambicja, a jaśniepańska dusza zagorzałego koroniarza znieść nie może, by obcy okazał się lepszym

strategiem niż własni magnaci. Za co właściwie nienawidzisz Węgra? Za pochodzenie czy powodzenie?

Zborowski zaklął paskudnie. Wiele słyszałem o umiejętnościach niektórych panów braci w tym względzie, ale on musiał być arcymistrzem. A już na pewno *primus inter pares*. Miał słuszność dozorca.

–Za to, że jest, kim jest. Okrutnym małym człowieczkiem. Widziałeś jego czarne, świdrujące oczy? Słyszałeś, jak kracze zamiast mówić po ludzku? Król Polski, a kaleczy

język własnego dominium!

–Jednak to król. Szlachcic winien mu wierność.

–Szalejuś się objadł, kacie? – Splunął. – Toż to nie Francja czy insza Hiszpania. Tu się nie króla słucha, ale tego, co sejm postanowi. *Pacta* Stefan podpisał, a teraz próbuje się rakiem wycofać.

–Sejmu się tu słucha? – uśmiechnąłem się. – Możesz mnie mieć za głupca, bo ludziom zdaje się, iż katu rozum niepotrzebny, ale nie próbuj mi wmówić, że tacy jak ty i twoi kompanioni poważacie postanowienia sejmu. Osobliwie w przestrzeganiu prawa celuje Stadnicki z Łańcuta. Jeszcze czterdziestu lat nie dobił, a już ma na sumieniu więcej niżli całe watahy rozbójników. Łatwo zasłaniać się poparciem szlacheckiej braci, powoływać na *pacta conventa*. Gorzej, gdy przychodzi samemu podlegać prawom. Czynyłeś zbrojne zasadzki na króla. To w Polsce rzecz niesłychana.

–Nie przemawiasz jak kat – mruknął. – Kim jesteś naprawdę?

–Katem właśnie.

–Nie boisz się popełnić omyłki? Zabić kogoś, kto nie zasłużył na śmierć?

–Kat nie popełnia omyłek, panie Samuelu. Pomylić się może trybunał.

Splunął mi pod nogi.

–A ty ręce masz czyste, oprawco? – warknął. – W niedzielę możesz spokojnie przystąpić do komunii?

–Ja, kasztelanicy, ręce mam zbroczone krwią i nie ukrywam tego. Do komunii nie przystępuję, bo mi nie wolno. Ani nawet bym chciał. Komunia to tylko znak potrzebny tym, którzy nie mają w sercu prawdziwej wiary.

–Nie wierzysz w ciało Chrystusa? Zaprzeczasz najświętszym dogmatom Kościoła? W taki razie to ciebie powinni zabić. Spalić na stosie.

–Nie zaprzeczam wierze, panie Zborowski. Po prostu nie wiem, jak z tym jest naprawdę. A ty wiesz?

–Nie zastanawiałem się, kacie. Takie myśli są dobre dla głupich mędrków albo oszalałych pustelników. Nie jest ważne, w co albo kogo człek wierzy, jeno co z tą wiarą potrafi uczynić.

Usłyszałem w jego głosie coś zastanawiającego. Blanka syknęła ostrzegawczo.

To nie jest dobry człowiek, Jakubie. Wyczuwam w nim coś niepokojącego. A teraz... teraz widzę wyraźnie on... on...

Wiem, kochana, już odgadłem.

–Masz gorzałkę? – spytał. – Zimno tu, samotnie. Przydałaby się pocieszycielka.

Nie odpowiedziałem. Nasłuchiwałem poszeptywania Blanki.

–Powiedziałeś, że chciałeś mnie obejrzeć przed egzekucją. Dlaczego? Nie wszystko ci jedno, kogo zamordujesz? Weźmiesz zapłatę i zapomnisz.

–Nie zabijam tych, co do których nie mam przekonania. Może cię to dziwić. Nie jestem jednak zwyczajnym oprawcą do wynajęcia. Muszę sam zdecydować, czy chcę wykonać wyrok. To mój jedyny warunek.

–I co postanowiłeś w związku z moją osobą?

Czarne powietrze lochu zgęstniało. Poczulem na plecach lodowaty powiew.

–Zetnę cię. Nie za to jednak, iż zarżnąłeś Wapowskiego, nie za spiski, dybanie na życie króla i kanclerza. Nie obchodzą mnie wasze sprawy.

–Co zatem cię skłania do morderstwa?

–Dobrze wiesz. Wraz z bratem Janem, okrutnikiem Stadnickim i jego kompanią po stokroć zasługujecie na śmierć za krzywdy, jakie czynicie bezbronnym. Bez wyboru

mordowałeś mężów, kobiety i dzieci.

Pochodnia zgasła nagle, zdmuchnięta mocnym powiewem. Oczy Zborowskiego rozbłysły w ciemnościach. Jarzyły się srebrzystymi tarczami, z czarną niby piekielna otchłań źrenicą w środku.

–Pożałujesz – rozległ się niesamowicie niski, chrapliwy głos. Właściwie brzmiał, jakby przemawiało przynajmniej pięć osób. Przeszedł mnie dreszcz. Poczułem podobny brudny dotyk na duszy, jak wtedy, gdy mistrzowie dokonywali obrzędów przyswajania duszy. – Nie zaznasz spokoju do końca dni. Zasnij, nie będziesz wiedział, czy po ciebie nie przyjdę.

Blanka skuliła się, odpłynęła daleko. Nie bój się, najmilsza.

–Gdybyś był tak potężny, diable – prychnąłem pogardliwie – już dawno byś stąd wyszedł, wyprowadził ciało swego sługi. Słaby jesteś, skoro stać cię tylko na tyle.

Mój głos brzmiał mizernie w porównaniu z tym, co wydobyło się przed chwilą z gardła Samuela, ale znaczenie słów okazało się wystarczająco mocne. Zborowski zamknął oczy, pochodnia zapłonęła. Wstałem, sięgnąłem w zanadrze.

–Masz, panie magnacie – rzuciłem mu bukłak z wódką. – Napij się ze swoim demonem.

Wyznajesz szatana, wielki panie? To miejsce jest zatem w sam raz dla ciebie. Odprowadziło mnie długie przekleństwo. A potem powiedział:

–*Aglon, Tetegram, vaiseon, stimulator erohares...*

–Milcz – warknąłem, przypadając do niego. – Nie próbuj mi tutaj sztuczek z Clavicules! Chciał chwycić mnie za gardło. Uderzyłem potężnie w wierzch dłoni wielkim kluczem.

Usłyszałem chrupnięcie, odgłos zgruchotanej kości.

–Znasz tajemne księgi? – Zdawało się, że nie czuje bólu. Pewnie tak było. Cierpienie nadejdzie, kiedy demon go opuści. – Zdziwiasz mnie, kacie.

–Znam je na tyle, aby się ciebie nie bać, nieważne, czym jesteś i z którego kręgu piekła wyszedłeś.

* * *

Trzeba przyznać, że gdybym był obcym posłem i wszedł do sali posłuchań, osobą, do której zwróciłbym się z należnym królowi hołdem, byłby niewątpliwie kanclerz, wielki hetman koronny Jan Zamoyski. Przy nim Batory wyglądał jak ubogi krewny w skromnym ciemnoczerwonym żupanie i skórzanych, podniszczonych butach, w których czuł się najlepiej. Niechętnie przybierał nawet podbitą futrem delię. Tak zwykł nosić się w rodzinnym Siedmiogrodzie i nie zamierzał rezygnować z wygody, jeśli koniecznie nie musiał. Podobno nawet na obradach rady i senatu potrafił przyjąć w podobnym stroju.

–Byłeś? – spytał. Mówił po polsku z zabawnym węgierskim akcentem, niektóre słowa niepotrzebnie spieszczą, innym nadawał nieoczekiwane twarde brzmienie.

–Byłem. – Skłoniłem z szacunkiem głowę. Uszanowanie nie było tutaj z mojej strony jedynie gestem wymaganym obyczajem i prawem. Król Stefan miał w sobie majestat, owo coś, co wzbudza respekt. Można to znaleźć u zwykłego chłopca i wielkiego pana. Wewnętrzna siła, determinacja do osiągnięcia celów. Ten człowiek znał

do nich drogę i nie zwykł cofać się przed przeciwnościami.

–Co o nim myślisz?

Zdziwiłem się. Oczekiwałem raczej pytania, czy dokonam egzekucji. Król zaś pyta o zdanie co do skazańca.

–Jeśli mam rzec prawdę, miłościwy panie, to człek wielce niebezpieczny.

–Niebezpieczny – powtórzył. – Co masz na myśli? To, co już uczynił, czy co mógłby jeszcze uczynić?

Przypominał rotmistrza Żółkiewskiego. Taki sam rzutki umysł, zdolność zadawania zaskakujących pytań, błyskawicznego wyciągania wniosków.

–Należy go pozbawić życia jak najszybciej – odparłem ostrożnie. Wydał wargi. Był to objaw głębokiego namysłu.

–Widziałeś to w nim, prawda? Jest jak wściekły pies.

–Tak właśnie – wtrącił się kanclerz. – Samiście powiedzieli, wasza królewska moc, gdy was pytałem o zdanie, iż nieżywy pies nie gryzie.

–Pytałem cię wonczas, bo owa kaźń pójdzie na twój rachunek. – Król strzepnęła niecierpliwie ręką. – Ja nie mogę sobie pozwolić na pozbawienie życia syna dawnego kasztelana krakowskiego. Co to za kraj, gdzie magnat większe miewa prawa i bardziej jest bezkarny od swego monarchy? – Zwrócił się do mnie. – Widziałeś? – powtórzył pytanie.

Spojrzałem w ciemne, prawie czarne oczy. Były twarde, a zarazem pełne ludzkiego ciepła. Okrucieństwo mieszało się w nich z łagodnością.

–Widziałem – odparłem cicho.

–Cela została wyświęcona i opieczętowana przez egzorcyistów. Nim Samuela schwytano, sam jeden, pozbawiony już oręża, z przestrelonym ramieniem, powalił ośmiu ludzi, zabijając na miejscu trzech. Dwóch jeszcze potem doszło z ran. Sabaci dopiero w sieci go uwięzili, a i to ledwo dali radę skrępować charakternika, choć to chłopcy mocne i ćwiczzone, co się samego diabła nie ulęką.

Pan Zamoyski przysłuchiwał się rozmowie ze skrzywionymi wargami. Dla trzeźwego, ćwiczzonego w naukach umysłu gadanie o diable wychodziło poza granice dobrego smaku.

–Zetniesz gada? – spytał król.

–Tak, miłościwy panie.

–Otrzymasz sowitą zapłatę.

–Nie uczynię tego dla pieniędzy, ale przez wzgląd na waszą osobę.

Skinął lekko głową.

–Sakiewkę ze złotymi florenami otrzymasz tym bardziej.

–Będziesz potem musiał uchodzić – rzekł kanclerz. – Zborowscy i ich totumfaccy nie podarują zabójcy Samuela. Mnie sięgnąć nie mogą, zatem na pewno postarają się znaleźć kata, jedyne, który nie bał się podjąć zadania.

–Wyjadę gdzie bądź. Mnie jest wszystko jedno.

Tak, kochany, opuśćmy wreszcie ludzkie węzowisko, zacznijmy żyć po staremu.

Po staremu... Wiesz przecież, Blanko, że straciłem chęć do zabijania. Nasyciłem się już zemstą na tych, którzy nawet nie wiedzieli, dlaczego giną.

Nie chciałbyś wziąć fletu, zagrać i patrzeć na tańczące szczury?

Blanko, Blanko... To już nie wróci. Musimy żyć dalej tym, co nam ześle los.

–Zatem egzekucja pojutrze – powiedział Batory. – Tu, na zamku.

–Będziecie się przyglądać, najjaśniejszy panie?

–Nie, Jakubie. Wyjadę. Może zlustрую żupy solne w Wieliczce. W końcu to własność króla. Trzeba doglądać gospodarstwa.

Zamilkł, spoglądał to na mnie, to na hetmana.

–Możesz zostawić nas samych? – spytał.

Ruszyłem do drzwi.

–Nie do ciebie mówiłem, Jakubie, a do pana Zamoyskiego. Nie obrazisz się, kanclerzu?

–Miałem prosić właśnie waszą wysokość o pozwolenie odejścia. Pilne sprawy czekają.

Skłonił się, zerknął na mnie z lekką niechęcią. Pewnie zastanawiał się, czego może chcieć władca potężnego kraju od nieczystego kata. Wiadomo przecież – im mniej się z takim przestaje, tym lepiej. Batory usiadł na wykładanym purpurą głębokim krześle. Wskazał mi miejsce naprzeciwko.

–Ukończyłeś Akademię Katowską w Bieczu – raczej stwierdził niż zapytał.

–Niezupełnie, miłościwy panie. Byłem jej uczniem, przeszedłem wtajemniczenia, ale nie zostałem wyzwolony. Nim to nastąpiło, uległa zniszczeniu.

–Słynna to była uczelnia także po naszej stronie. Kupcy wiele dobrego opowiadali o bezpieczeństwie na szlaku. Bieczanie musieli być zadowoleni z takiego wyróżnienia.

Zadowoleni? Może w Siedmiogrodzie panują odmienne obyczaje. Dla mieszkańców miasta byliśmy raczej powodem do wstydu. Pierwsza rzecz, jaka mnie spotkała po przybyciu tam, to próba zabójstwa dokonana przez miejscowych. Jeśli wychodziliśmy do miasta, to tylko po zmroku i większą grupą, pod opieką doświadczonego mistrza. Zresztą nie mieliśmy prawa dojść choćby w pobliże rynku. Najczęściej droga prowadziła do lupanaru i z powrotem.

–Chcę, żebyś mi o czymś opowiedział, chłopcze.

Po raz pierwszy od lat ktoś tak się do mnie zwrócił. Dawno zapomniałem, że jestem przecież młody, minęło mi dopiero dwadzieścia trzy wiosny. Mało kto dostrzegał we mnie młodzieńca. Kat to kat. Ludziom najczęściej zdaje się, że to ktoś, kto żyje wiecznie, od zarania dziejów, musi być więc odpowiednio starszy od innych. Kozacy też traktowali mnie, jakbym był dojrzalszy, niż w istocie byłem. Nie dziwota zresztą. Od czasu przemienienia wyglądałem, jakby mi przybyło sporo lat.

–Będziesz tak milczał? – zniecierpliwiał się król.

–Wybaczcie, miłościwy panie. Zamyśliłem się.

–Zauważyłem. Niewielu odważyłoby się zamyślić tak głęboko w mojej obecności. Ale też niewielu uszłoby to płazem. Odpowiedz na moje pytanie?

–Jeśli tylko będę mógł.

–Będziesz. Tak sądzę. Chcę, abyś mi powiedział o katowskiej duszy.

–Nie rozumiem, królu. Dusza jest zawsze tym samym...

–Rozumiesz, Jakubie. Chcę usłyszeć, jak to jest z przelewaniem dusz do naczyń i picciem ich potem przez katów.

Aż się zatchnąłem. Pyta o największą z tajemnic, najwyższy stopień wiedzy. Za mniejsze rzeczy pozbawiano życia tych, którzy wyjawili zbyt dużo. Zaś mówienie o tej sprawie było przestępstwem największym.

–Gdzie o tym słyszeliście, wasza królewska mość?

–Mój drogi – zaśmiał się – nie zapominaj, skąd pochodzę. Siedmiogród to kraina, w której dzieją się rzeczy wielkie i straszne. Gdzie można spotkać i świętych, i

zbrodniarzy. Tych drugich z pewnością częściej. To w Siedmiogrodzie panował sławny wołoski gospodar, Władysław Draguła, zwany Palownikiem. Od jego czasów nieobce są nam katowskie umiejętności, a każdy władca Transylwanii ma pojęcie o waszych wtajemniczeniach. Draguła bowiem wszystkiego, co potrafił, wyuczył się od mistrzów małodobrych z bieckiej akademii. Wbrew ich wyraźnym zakazom spisał posiadaną wiedzę. Jednego tylko z jego zapisków nie mogłem się dowiedzieć, bo jest o tym tylko mała wzmianka. Dlaczego kaci więżą dusze i co właściwie z nimi robią. To całe przelewanie i wypijanie wydaje się niepodobne do wiary.

–Draguła... Vlad Dracul Tepes – powiedziałem w zamyśleniu – Król na palach, Wołoski Diabeł. Tak go nazywano. Podobno zabił sto tysięcy ludzi.

–Więcej – uśmiechnął się Batory – o wiele więcej. Nikt nie wie, ilu naprawdę zginęło zadręczonych, umęczonych, wbijanych na pale, ćwiartowanych, pozbawianych głów, mordowanych na wszelkie sposoby. Ziemia spłynęła krwią, we włościach odziedziczonych po Palowniku nie ma bodaj jednej piędzi, która by nią nie nasiąkla.

–Podobno gospodar po śmierci obrócił się w upiora, został nieumarłym.

–Tak powiadają. Ale prawdy w tym nie ma ani krzty. Na własne oczy widziałem jego kości. Kazałem sobie otworzyć grób Draguły, aby sprawdzić, czy można wierzyć opowieściom. Szkielet po stu latach zupełnie rozsypany, na dodatek żebra zapobiegliwie przebito osinowym kołkiem, a głowę gwoździem z czystego srebra. Nie wiem tylko, jak można tak miękkim metalem przebóść twardą czaszkę.

–To proste, wasza królewska mość. Wkłada się ostry koniec tutaj – wskazałem nasadę nosa – i prowadzi tak, aby wyszła tędy – odwróciłem się nieco w bok, by pokazać miejsce tuż pod potylicą, nieco z boku. – Można łatwo ominąć kręgosłup.

–Tak... Nie pomyślałem o tym. Ale też i wielce się nie zastanawiałem. Bardziej nurtuje mnie pytanie o tę waszą zagadkę.

–Nie wolno mi o tym mówić. – Rozłożyłem bezradnie ręce. – To największa tajemnica wszystkich katowskich zgromadzeń. Dlatego pewnie i Tepesowi nie dano jej poznać. Ktoś nieostrożnie przy nim wspomniał o katowskiej duszy. Jednak przysięga, którą się składa, jest tak straszna, że złamanie jej grozi straszliwą zemstą. Tego, kto wyjawi którekolwiek z wtajemniczeń bez zgody Wielkiej Rady katów czeka śmierć w męczarniach. Ale za zdradzenie największej tajemnicy kara jest wyjątkowa. Za przeniewierstwo mistrzowie mają prawo torturować winnego bezustannie przez trzydzieści lat.

–Trzydzieści? Jak to możliwe?

–Mamy swoje sposoby, niezawodne leki i driakwie. Potrafimy nie tylko zabijać, ale i uzdrawiać. Czy w istocie możliwe jest zadawanie męczarni przez tak długi okres, nie wiem, bo nikt do tej pory nie został tak ukarany.

–Trudno. – Król wstał. – Miałem nadzieję, że zaspokoisz moją zwyczajną ludzką ciekawość.

Siedziałem nadal, patrzyłem w jego szlachetne oblicze.

Co chcesz uczynić, Jakubie? Odszedł cię rozsądek?

Tak, Blanko. Rozsądek opuścił mnie w chwili, gdy spowodowałem upadek uczelni, a może wcześniej, gdym udał się na nauki do Mistrza Czarnej Śmierci, a najpewniej w chwili, kiedy ujrzałem twoje ciało zwisające na szubienicy.

–Możesz iść – powiedział władca. – Nie będę naciskał.

–Zostanę i opowiem. Choćbym miał się wić w mękach trzydzieści lat, nic gorszego już nie są mi w stanie uczynić.

–Dlaczego jednak chcesz powierzyć tak pilnie strzeżoną tajemnicę akurat mnie?

–Bo wiem, że nikomu jej nie zdradzisz, królu. I dlatego, że traktujesz mnie jak człowieka, a nie nędznego, godnego pogardy robaka, jak choćby pan kanclerz.

–Co do zaufania, to racja. Zresztą nie miałbym komu się zwierzyć. A kanclerz jest mądrym mężem, ale nie wychował się wśród surowych gór i ludzi sroższych niż wilki. Nie nauczył się cenić w ludziach człowieczeństwa, a raczej posłuszeństwo.

–Wysłuchaj zatem, najjaśniejszy panie, opowieści o katowskiej duszy. Prawdą jest to, co gminne wieści powiadają, że małodobry potrafi skraść ducha. Głupi ludzie mniemają jednak, iż wystarczy, by oprawca nadepnął na ich cień, otarł się o nich, uzyskał ich włosy albo intymną część ubrania. Może to zresztą celowa robota cechów katowskich, aby odwrócić uwagę od prawdy. Zaś prawda jest taka, że każdy mistrz potrafi uwięzić duszę zabitego skazańca.

–Ty też? – przerwał Batory.

–Ja też. Nie zostałem wyzwolony, nie uzyskałem tytułu mistrza, ale byłem w akademii mimowolnym świadkiem obrzędu. Widziałem Mistrza Ambrożego wlewającego duszę w usta Mistrza Rektora. Dlatego dostąpiłem przedwcześnie, chcąc nie chcąc, tego wtajemniczenia. Żem mógł to widzieć, sprawił mój wróg najgorszy, niejaki uczeń Bartosz, który nienawidził mnie z całej siły. Mistrzowie przyłapali mnie. Tamten liczył, iż mnie zgładzą, ale się zawiódł. Mistrz Rektor rzekł: „Gdybyś był mniej zdolnym uczniem, od razu kazałbym cię zabić. Jednak szkoda mi. Coraz mniej trafia nam się prawdziwych talentów. Nie to, żeby nie było chętnych, niemniej wiesz sam, iż ludzie myślą zawód kata z fachem rzeźnika. Wydaje im się, że wykonywać ten zawód to jeno machać wielkim mieczem albo toporem”. A potem wprowadził mnie w tajemnicę. Kat, by zostać prawdziwym mistrzem, musi przejść pewien obrzęd. W jego trakcie umiera. Nie cały, co prawda, ale odchodzi zeń dusza. Wraca potem, jednak nie cała. Ta część, która sprawia, iż jesteśmy ludźmi, zostaje gdzieś daleko. U Boga czy diabła, tego nie wie nikt. Bez tej części człowiek przestaje być istotą, którą Bóg stworzył na swój obraz i podobieństwo. Dlatego kat musi posiąść cudzą duszę, która wypełni ową pustkę.

–To dlatego kaci zdają się tak wyprani z uczuć...

–Niezupełnie. Ci, których spotkałeś do tej pory, to raczej wyrobownicy, nie artyści.

Rzemieślnik może wystrugać świątki z drewna, ale tylko prawdziwy rzeźbiarz tchnie w nie życie, sprawi, iż będą je podziwiać pokolenia. Prawdziwy katowski mistrz potrafi zapanować nad przejętym duchem, wtłoczyć go w ramy swojej natury. Jest jednak pewien szkopuł. Przejęta dusza z czasem ulatuje, ucieka z niewoli. Nikogo wbrew woli nie da się zatrzymać zbyt długo. Wtedy wtajemniczony musi zdobyć nową duszę, zanim tamta zupełnie go opuści. Nikt nie jest dostatecznie biegły, by samemu poradzić sobie z obrządkiem. Żeby się powiódł, trzeba uzyskać pomoc doświadczonego pomocnika, innego mistrza.

–A jeśli nie uda się zdobyć nowego niewolnika?

–Niewolnika... Trafnie to ująłeś, wasza królewska mość. Cóż, jeśli kat nie uzupełni ubytku duszy, zamienia się w kogoś... a może raczej w coś straszego.

–W co?

–Tego nie wiem. Strach przed tą przemianą jest jednak dostatecznie wielki, by za wszelką cenę do niej nie dopuścić. Utrata całej duszy to rzecz straszna. Jednak utrata ludzkiej jej części trudna jest do wyobrażenia. Bóg jeden wie, co może się wtedy stać, jak wygląda życie nieszczęśnika.

–A co z takim człowiekiem, który korzysta z cudzej duszy, gdy przyjdzie się rozliczyć przed Bogiem?

–I ja zadałem podobne pytanie. Mistrz Rektor odpowiedział, że pytanie powinienem postawić nie z akcentem na „gdy”, ale na „jeśli”. Dla niego wątpliwe było istnienie Stwórcy. Przez przyswajanie dusz mistrzowie odkryli podobno sekret wiecznego życia. Z każdym wypiciem nowej ofiary kat odmładza się i wracają mu dawne siły.

–To straszne, Jakubie. Straszniejsze od opowieści o wampirach i krwiożerczych strzygach.

–Straszniejsze, bo prawdziwe. To nie babska imaginacja, brednie zgrzybiałych starców, którymi straszą dziatwę. To dzieje się naprawdę.

–A ty, Jakubie?

–O co pytacie, najjaśniejszy panie?

–Czy ty też utraciłeś część duszy?

–Tak...

Znów nadleciało wspomnienie. Straciłem przytomność, kiedy zobaczyłem trupa Blanki. Nie chciałem dalej żyć. Mistrzowie zaś nie mieli ochoty mnie tracić. Poddali mnie obrzędowi najwyższego wtajemniczenia, nie pytając. Powrót z zaświatów był bolesny, gorszy od wszelkich poprzednich prób ciała i ducha.

–Zatem także musisz, gdy nadejdzie czas, wypijać duszę? Czy pojutrze zabierzesz ją Samuelowi?

–Duszę pana Zborowskiego niech sobie zabiera jego piekielny protektor. Ja, królu, nie potrzebuję rabować cudzego ducha.

–Jakże to?

–Mnie obdarzono duszą wbrew mej woli, za to duszą wyjątkową, kobiety, którą

kochałem... i ona mnie kochała... Potajemnie przysięgliśmy sobie miłość aż po grób. I nawet dalej...

–Jesteś nieśmiertelny? To znaczy możesz żyć do czasu, aż cię ktoś lub coś nie zabije?

–Nie wiem, miłościwy panie. Być może. Ale tego w istocie rzeczy nie potrafi z całą pewnością powiedzieć nikt. Ja zaś może będę wiedział za lat kilkadziesiąt, a może nigdy...

Batory przymknął oczy. Usiłował mnie zrozumieć. Jestem pewien, że rozumiał, przynajmniej w jakiejś części. Blanka także rozumiała. Wiedziała już, dlaczego zawierzyłem tajemnicę temu człowiekowi.

Miły mój... Tak bardzo cię kocham. Nie mogę cię dotknąć, nie mogę zobaczyć twarzy. Tak bardzo bym chciała prać twoje koszule, cerować kaftan, szyć odzienie. Tak bardzo bym chciała nosić twoje dziecko, krzyczeć na ciebie, klócić się i godzić. Los z nas zadrwił, bo jesteśmy tak blisko, a tak odlegli zarazem. Batory jest podobny do ciebie, Jakubie. Jakby was wyciosano z tego samego kawałka marmuru. Król i kat. Pan i sługa. Dzieli was otchłań ludzkich obyczajów, przepaść pochodzenia, a jednak rozumiecie się doskonale. On potrafi zrozumieć twoją duszę...

Naszą duszę, Blanko. Pamiętam tamtą noc, po tym, gdy ujrzałem, jak Mistrz Rektor został odmłodzony. Ocucili mnie bólem. Mistrz Ambroży gotów był mnie zabić, ale postanowili, że mam żyć. Głupcy! Gdyby nie to, akademia istniałaby dalej.

Gdyby nie to? Gdyby nie dali wiary fałszywym oskarżeniom.

Król spojrział na mnie uważnie.

–Dlaczego nosisz skórzane rękawice i takiż kaftan? – spytał. – Nigdy ich nie zdejmujesz. To też jedna z tajemnic, która mnie nurtuje.

–Ale ta jest moja własna. – Skłoniłem głowę. – Nie mogę jej zdradzić, bo zdradziłbym samego siebie.

–Rozumiem. Czy jest coś, co mógłbym ci ofiarować? Oprócz zapłaty, bo tę, jako rzekłem, otrzymasz, chcesz czy nie.

Już zamierzałem zaprzeczyć, kiedy mój wzrok padł na przedmiot spoczywający nad kominkiem. Na niewielkiej półeczce leżał... flet. Nie taki jak tamten, który nosiłem przedtem, a który zniszczyłem nad trupem córki Winiewskiego. Ten był wspaniale rzeźbiony, na pewno wyłożony w środku złotą blachą, wykonany ze szlachetnego drzewa... Zawahałem się, wreszcie podjąłem decyzję.

–Dziękuję wam, najjaśniejszy panie – odparłem. – Niczego nie potrzebuję.

Wzrok Batorego podążył za moim. Zmarszczył brwi.

–Niczego, powiadasz? – Podszedł, wziął instrument i podał mi.

–Jest twój. Widziałem, jak ci się oczy zaświeciły na jego widok. Nie opieraj się. To droga rzecz, bez wątpienia. Wartość jej może nawet przekracza to, co otrzymasz w sakiewce. Ale, do diaska, jestem królem i stać mnie na takie dary! Państwo od tego nie zbiednieje.

Skłoniłem się nisko. Posłuchanie skończone. Monarcha musi wrócić do swoich zajęć.

–Czekaj – zatrzymał mnie, kiedym już się brał za klamkę. – Wiem, kim jesteś, Jakubie.

Skamieniałem na chwilę, potem się odwróciłem. Jeśli znał zapiski Draguły, mógł się domyślić. W nich na pewno było to i owo o Mistrzu Czarnej Śmierci.

–Doszły mnie słuchy o człowieku sprowadzającym zarazę, dziwną odmianę dżumy, która zabija gwałtownie, w kilka chwil. To ty, prawda? Nazwano cię szcurzym ojcem, bo chodzisz z tymi zwierzętami, wabisz je grą na flecie. Wyznaczono nagrodę za twoją głowę.

–To ja, miłościwy panie. – Bezcelowe byłoby zaprzeczanie.

–Gdzie twoi mali przyjaciele?

–Nie ma ich. Ci, którzy musieli umrzeć, umarli, a reszta odeszła, kiedy przestałem roznosić mór.

–Dlaczego przestałeś?

–Najpierw aby dopełnić zemsty, a potem zrozumiałem, iż nie można żyć, zostawiając za sobą jeno pożary i trwogę.

Patrzył na mnie z wysuniętą do przodu dolną wargą. Zastanawiałem się, co może się dziać w królewskiej głowie. Z pewnością kusilo go, aby schwytać zbrodniarza, który spustoszył wiele miast i wsi. Nie wiem, czy chciałbym się bronić. Było mi właściwie wszystko jedno. Tylko ten może za wszelką cenę walczyć o życie, kto ma jasny cel przed sobą.

–Zagraj dla mnie – rzekł w końcu. – To pewnie nasze ostatnie spotkanie, uczyn mi więc tę łaskę. Nigdy nie słyszałem grającego kata.

* * *

Głowa Samuela Zborowskiego spoczęła w koszu. Jego ciało miało zostać pogrzebane w jednym kawałku, choć radziłem, aby postąpić z nim, jak to było we zwyczaju w przypadku tych, których podejrzewano, iż mogliby powrócić upiorami po śmierci. Bez trudu przecież poćwiartowałbym ciało zdrajcy, aby każdy członek pochować na innych rozstajach dróg, z dala od siebie. Jednak kanclerz Zamoyski nie chciał o tym słyszeć.

–Dość będzie gwałtu o moją samowolę, bom ja zdecydował o losie tego szlachcica.

–Za zgodą króla.

–Jego nie wolno w to mieszać pod żadnym pozorem. Wszak dlatego właśnie wyjechał. By wyglądało, jakbym bez naradzania się z nim, a może nawet wbrew woli kazał stracić Zborowskiego.

–Myślicie, panie, że ktoś w to uwierzy?

–To nie ma znaczenia, kacie. Ważne, co można powiedzieć o danej sprawie, jaki zapis uczynią kronikarze. W każdym innym kraju za zamach na życie najwyższego dostojnika i spisek przeciw królowi sejm skazałby sprawców na śmierć w męczarniach. W

Rzeczypospolitej trzeba dochodzić sprawiedliwości samemu.

Ściałem Samuela w pozycji klęczącej. Tak chciał Zamoyski. Mnie to było obojętne, a i samemu skazanemu też, tym bardziej, że przed egzekucją kazałem mu podać

napój z mieszaniny melisy i bielunia. Dzięki temu był nadspodziewanie spokojny. Może nie do końca wiedział, co się z nim dzieje, ale w tej sprawie nie srogość kary była najważniejsza, ale jej nieuchronność. Wielki hetman koronny i kanclerz królewski pokazali oponentom, co czeka za znośnię się z wrogiem. Był to znak dla brata Samuela, Krzysztofa Zborowskiego, i pozostałych spiskowców, że protekcja Habsburgów nie jest w stanie uchronić ich głów.

–Nie wiem, jaki będzie tego skutek, ale nie wolno puszczać płazem podobnych uczynków.

Tak rzekł Zamoyski Batoremu w mojej obecności. Obaj byli zgodni co do jednego. Oprawca, który odważy się wykonać wyrok, nie będzie bezpieczny, jeśli na dobre nie zniknie z oczu mścicielom. Wszyscy okoliczni kaci doskonale o tym wiedzieli. Albo byli przestraszeni, albo przekupieni, bo prośbą, groźbą ani obietnicami sowitej zapłaty żaden nie dał się skusić. O ile zdążyłem poznać naturę małodobrych, wysłannicy Stadnickiego i krewnych Zborowskiego musieli im słono podplacić. Strach nie jest najsłabszą stroną katów, nawet takich zwykłych wyrobników, jakich można było tutaj spotkać. Ile racji było zaś w obawach króla i kanclerza o życie śmiałka, mogłem się przekonać już dzień przed egzekucją.

Szedłem mrocznym korytarzem wawelskiego zamku. Mijałem boczne odnogi, pogrążone w ciemności nisze i wykusze. Niebezpieczeństwo wyczułem w ostatniej chwili. Gdybym był zwykłym śmiertelnikiem, długi puginał przebiłby mi lewą nerkę, wszedł skosem w serce. To powoduje ból tak wielki, że człowiek nie może wydobyć głosu. Na pewno mój morderca musiałby zaraz paść trupem, spryskany posoką, ale małe to pocieszenie. Jednak widziałem w ciemnościach lepiej od innych ludzi. A poza tym raz już umarłem. A to sprawia, iż ciało i umysł szybciej działają, osobiwie w chwilach zagrożenia. Złapałem dłoń zabójcy, zanim sztych dotknął skraju płaszcza. Był nieoczekiwanie silny i zwinny, mimo mikrej postury. Usiłował wykręcić się w drugą stronę – od razu poznałem wojenne ćwiczenie, zaprawę w boju. Tylko ktoś, kto obraca się wśród ustawicznych niebezpieczeństw, nie traci nigdy głowy, stara się dać sobie radę za wszelką cenę i wszelkimi sposobami. Rozczapierzone palce sięgnęły moich oczu. Jednak w ciemności to ja miałem przewagę. Bez trudu zbiłem dłoń. Jednocześnie drugą zsunąłem z nadgarstka na wierzch jego ręki, natychmiast nacisnąłem, przyginając ją w przegubie ku wnętrzu przedramienia. Nie spotkałem do tej pory człowieka, który by w tej chwili nie rozwarł palców, nie stracił z bólu orientacji. Ten był pierwszy. Miał niesłychanie giętkie nadgarstki. Palce oparły się o przedramię, a broń nadal w nich tkwiła, mocno zaciśnięta. Gdybym mógł przechwycić jego łokieć, rzecz byłaby skończona, ale wciąż siłowałem się z drugą ręką, która tym razem usiłowała wbić mi jabłko Adama w środek gardła. Zwinne ciało nagle wykonało dziwny, węzowy ruch i wyrwało się z uścisku. Postać odskoczyła kilka kroków.

–Zginiesz – doleciał sykliwy szept, jakby przemawiał do mnie wąż, nie człowiek. – Nie pozwolę zabić Samuela.

Kolejny obłąkaniec, ofiara demona czy wynajęty zabójca? Rzucił się ku mnie. W jednej ręce dzierżył puginał, w drugiej krótki tasak, jakie miewają artylerzyści. Stałem

bez ruchu, czekając, co uczyni. Świsnęło szerokie ostrze, zaraz szpikulec sztyletu podążył ku mej piersi. Odbiłem rękę z tasakiem, a tę z puginałem przechwyciłem. Przeciwnik popełnił poważny błąd. Podwójny oręż umocnił go w przekonaniu, że przerwie nić mego życia. Upadłem na plecy, pociągnąłem napastnika na siebie. Otoczyłem szczupłe ciało ramionami. Był już mój. Trupa natychmiast zaniósłem do swojej komnaty. Zamoyskiemu pokazałem go dopiero po egzekucji. Ze zdumieniem patrzył na delikatną twarz niedoszłego zabójcy, na chłopięce, miękkie rysy.

–To pacholik Samuela – powiedział. – Najwierniejszy sługa i zarazem kochanek. Musisz jak najszybciej wyjechać. Chyba że nie zależy ci na życiu.

–Nie chcę po prostu, by mnie zarżnęli tacy ludzie – odparłem.

–Doskonale. W takim razie wybierz sobie konia z królewskich stajni. Spyży i wina węź, ile zechcesz. W jakim kierunku chcesz się udać?

–Kiedyś myślałem, by odwiedzić Pragę.

–Dobry wybór – kiwnął głową zadowolony. – Tam ninie znajdziesz taki zbiór różnych oryginałów, alchemików, szarlatanów, mędrców i oszustów, że na ciebie nikt uwagi zwracać nie będzie. Cesarz Rudolf uczynił ze stolicy Czech przytułek osobliwości.

Patrzyłem na niego długo, bardzo intensywnie, bez słowa. Zmarszczył czoło, jakby usiłował odgadnąć, o co mi idzie.

–Poczułeś się urażony moimi słowami? – spytał wreszcie.

–A wy byście się nie zgniewali za coś podobnego?

Nabrał gwałtownie powietrza. Czekałem spokojnie na połajankę. Od dawna chciał się na mnie odegrać za zabicie protegowanego, za kaźń pod Pskowem, którą wymogłem i nie można mnie było w żaden sposób ukarać.

–Masz słusność – powiedział niespodziewanie. – Człowiek, kiedy dojdzie do szczytów władzy, przestaje dostrzegać w innych takich samych ludzi. Urazi kogoś, albo nawet podepcze, nawet tego nie zauważając. Pewnie sądzisz, iż jesteś mi niemiły za sprawę z Winiewskim. Rzeczywiście, gniewałem się, bo miałem swoje plany, nie chciałem zresztą dopuścić do egzekucji szlachcica przy prostych żołnierzach. Ale uznałem, iż sprawiedliwości musi stać się zadość. W ostatecznym rozrachunku dobrze się stało, bo gdy niesforni wojacy ujrzeli, że kara nastąpi niezależnie od urodzenia i majątności, wielu buntowników przysiadło na ogonach. Uraza do cię pozostała, bo nikt nie lubi, gdy mu w polewkę dmuchać. Ty zaś do mojej nie tylko nadmuchałeś, ale mogę rzec, wąsy w niej zamoczyłeś. Miałeś swoje powody, nie zamierzałeś odpuścić nawet przez wzgląd na łaski wielkiego pana. W dodatku podburzyłeś mego ulubionego żołnierza, Stanisława...

–Pana Żółkiewskiego nie trzeba było podburzać.

–Niech ci będzie. Jak by na to nie spojrzeć, solennie zasłużyłeś na niechęć z mojej strony. Jednak w chwili, gdyś teraz na mnie spojrział, zarazem groźnie i z wyrzutem, pojąłem wreszcie, iż nie tacy ludzie jak ty są winni, żem stał się butny, nieprzystępny i skory do ranienia innych. Rzecz tkwi raczej we mnie. Mam zbyt dużo władzy, więcej niż ktokolwiek w tym kraju, a gdybym chciał powiedzieć prawdę, są chwile, są sprawy, że mam jej więcej niż król. Władza dla wielu jest szczytem marzeń,

są gotowi za nią zarówno mordować, jak i oddać życie, by posiąść ją chociaż na dzień, na godzinę. Jednak gdy już ją zyskasz, widzisz dowodnie, jak ciężkie to brzemie. Na dobitkę potrafi zmienić łagodnego człowieka w gwałtownika, może ze świętobliwego uczynić bestię.

–Nie musicie się przede mną tłumaczyć, panie – rzekłem. Było coś niepokojącego w nagłej łagodności Zamoyskiego. Jakbym usiłował zajrzeć przez ramię przeznaczeniu.

–Nie tobie się tłumaczę, kacie, ale zdaję sprawę przed samym sobą. Zaś ty jesteś mimowolnym słuchaczem. Może dlatego świadkujesz tej spowiedzi, że wiem, iż nigdy więcej się nie zobaczymy.

Bramy niebios

Drzemałem, jadąc na koniu. Zwierzę zwiesiło łeb, nie mniej ode mnie zmordowane drogą. Długi, gorący dzień końca maja dał nam się dobrze we znaki. Stałem na krótki popas w południe. Zbyt było mi spieszno do granicy, abym chciał zmarudzić.

Pamiętasz, miły, te czasy, gdyś nie potrafił utrzymać się w siodle? Gdyby wtedy ktoś powiedział, że będziesz umiał używać konia niczym stary kawalerzysta, uwierzyłbyś?

To dzięki Kozakom, Blanko. Wiesz przecież. U nich wyuczyłem się sztuki jeździeckiej, podobnie jak robienia szabłą.

Przypomniałem sobie dzień, gdym pierwszy raz stanął przed bat'ką Prohyrym z krzywą głownią w prawicy. Kazał mi się uderzyć z góry, wprost na głowę. Spełniłem rozkaz. Mało mu ręka nie opadła od siły uderzenia. Zaraz też skarcił mnie, siekąc tyłcem boleśnie w łydkę.

–Widać, żeś mieczem a toporem biegle robił – rzekł. – Jeno szabla to co inszego. Tu się liczy giętki nadgarstek, więcej spryt niżli siła. W szabli nie trza tak mocno ciągnąć ciosu, bo brzusec po to jest zakrzywiony, by łatniej ciął. Weź no tego arbuza – wskazał wielką kulę – i przerąb na pół.

Zdawało mi się, żeś ledwie szabłą oparł, a owoc już się rozpołowił, ukazując czerwone wnętrze. Musiałem ostrze zawinąć, by nie utkwilo w desce.

–Będzie z ciebie rębajło – mruknął Prohyry, patrząc na moje poczynania. – Trochę ćwiczenia, trochę doświadczenia i starczy. Widać rękę do broni trzeba mieć, także będąc katem.

Słusznie zauważył. Nie każdy nadaje się do używania ostrza. Są kaci, co nie wykonują biegle ścięć czy ćwiartowań. Bardziej im pasuje powiesić skazańca, a jeszcze lepiej zadawać niewyszukane tortury na inkwizycjach.

Od tamtego czasu dzień w dzień stary Kozak zmuszał mnie do ćwiczeń. Wpierw robiliśmy palcatami. Pomysłowa to rzecz, po raz pierwszy się z nią spotkałem. Kij zatknięty w wiklinowy kosz albo osłonę z grubej skóry sprawia, że można oszczędzić cenne klingi, a i trafienia nie wiążą się z ranami. Doświadczony wojownik bez zdziwienia i protestu przyjął ostrzeżenie, by nie próbował mnie kaleczyć, a już na pewno umykał, jeśli utoczy mi krwi. Na pewno go to intrygowało, często popatrywał na mnie z ciekawością lub spod oka, ale zbyt wiele już w życiu widział, by za wszelką cenę chciał dociekać cudzych tajemnic. Jedno mogę rzec o owych walkach. Przez prawie rok nie udało mi się go ani razu dosięgnąć, choć sam chodziłem obolały i posiniaczony. Dopiero podczas jednego z ostatnich pojedynków zdołałem wytrącić mu broń. Jednak nie na wiele się to zdało. Zaraz bowiem znalazł się tuż przy mnie i już wykręcał łokieć, wysadzał ramię z panewki. Zdziwił się tylko, bo powaliłem go wówczas bez wysiłku. Po próbach w Akademii Katowskiej, po wszystkich kaźniach, jakie zadawano adeptom podczas wtajemniczeń, ból nie był mi straszny, a przeguby i stawy miałem bardziej giętkie niż inni. Poza tym dysponowałem jeszcze stalowymi mięśniami, dzięki którym mogłem powstrzymać napór mego mentora.

–Poradzisz sobie – powiedział zdumiony, patrząc na mnie z ziemi. – Może nie z każdym, bo co poniektórzy panowie szlachta więcej potrafią nawet ode mnie, ale w

naszej siczy niewielu jest takich, co by ci dotrzymało pola.

Szabla... Ponoć używa się jej od najdawniejszych czasów. Zapewne ledwie zaczęto kuć metale, zauważono, iż kęś tworzywa w naturalny sposób wygina się łukowato podczas obróbki. Łatwiej podobno wykuć krzywą szablę niż prosty miecz. Ale to, że jest łatwiej, nie oznacza, iż to pośledniejsza broń. Mogłem docenić jej walory, gdym ćwiczył na kapuścianych i arbusowych łbach. Potem zaś miałem sporo okazji poćwiczyć i na tatarskich. Dla doświadczonego kata byłaby to wymarzona towarzyszka ścięć i amputacji. Rzecz jasna, brać szlachecka nigdy nie dopuści, by oznaka ich stanu została spostponowana podczas egzekucji. Zresztą dla większości katów – tak jak dla mnie na samym początku – wydałaby się za lekka, niezdolna przeciąć kręgów przy dekapitacji. Jednak miałem doskonałą możliwość przekonać się, iż kwestia ciężaru jest równoważona przez zakrzywienie głowni. Siłę krojącą szabli bez ryzyka można porównać z mocnym uderzeniem szerokim toporem, a nawet berdyszem na długim stylisku.

Szabla – tak... zakrzywiony kawałek żelaza... Już pod Pskowem zobaczyłem, że to groźna broń. Zaś wśród Kozaków poznałem ostatecznie, jak bardzo.

Kiedy odjeżdżałem, Prohyry miał łzy w oczach. Wśród kozackiej braci takie objawy wzruszenia nie były niczym dziwnym czy uwłaczającym godności męża. Dziwni to ludzie, skorzy do łez, by za chwilę z ołowiem w oczach rzucić się do gardła, jeśli coś ich rozdrażni. Ileż to razy widziałem wojowników słuchających wzruszających opowieści, rozrzewnionych, a za chwilę chwytających za szable bądź włócznie, by upuścić krwi. Okrutna ziemia rodzi okrutnych ludzi. Dał mi stary fechtmistrz na pożegnanie szamszir, szablę perską, ale w obsadzie uczynionej przez kozackiego kowala, żeby pasowała do mojej dużej dłoni.

Ależ ci ich brakuje, Jakubie.

Tobie nie, mój kwiecie?

Mnie nie tak bardzo. Dzicy ludzie, straszliwie krwiożerczy, ale trzeba przyznać, że wierni przysięgom.

Wierni... różnie to u nich bywa, jak w ogóle wśród ludzi. Ale masz słuszność, dotrzymują danego słowa bodaj bardziej od koronnych i litewskich panów braci. Ubodzy są, otoczeni zewsząd wrogami. Takich nie stać, by rzucać słowa na wiatr.

Z zamyślenia wyrwał mnie okrzyk. Rozległ się niedaleko, za najbliższym zakrętem. Potem drugi i trzeci, usłyszałem szcęk oręża, huk wystrzału. W pierwszej chwili popędziłem wierzchowca, ale zaraz go powstrzymałem. Trzeba wpiery zobaczyć, co i jak. Może to jakaś utarczka skłóconych szlachciców wracających z czeladzią po sądowym wyroku, a w coś podobnego nie zamierzam się mieszać. Wjechałem między drzewa, lasem przeciąłem łuk zakrętu. Krzyki, dźwięk stali i kanonada były coraz głośniejsze. Wreszcie mogłem dostrzec, co się dzieje. Natychmiast też zmusiłem zwierzę do galopu. Las był tutaj rzadki, więc bez trudu wzięłem rozpęd między pniami. Wypadłem na drogę jak burza. Pierwszy zbój w podartym płaszczu padł z rozplatanymi plecami, wrzeszcząc wniebogłosy. To zwróciło uwagę pozostałych. O to mi zresztą chodziło. Powóz otoczony był przez siedmiu bandytów. Usiłowali wedrzeć się do środka. Woźnica leżał w kałuży krwi, deptany teraz końskimi

kopytami. Dwóch ratajów za pojazdem z porozbijanymi głowami kopało nogami w przedśmiertnych skurczach, jeden z pozostałych trzymał pod pachą dłoń, wiszącą na skrawku skóry. Inni usiłowali dać odpór, ale napastnicy zyskali przewagę. Na stopniach powozu stał mężczyzna w sile wieku, uzbrojony w rapier. Siekł i kłuł z wprawą, jednak trudno mu było skutecznie dosięgnąć doskakujących zbrojnych. Niewiele myśląc, rzuciłem się na zbójów. Na pewno maruderzy z jakiegoś najemnego oddziału. Nie otrzymali żołdu, bo sejm nie zgodził się na nowe podatki, więc usiłują odebrać sami należności. Zrozumiałe to poniekąd, ale przecież nie tylko oni służyli za darmo. Wybranieckim, z którymi ramię w ramię walczyłem, także nie wypłacano apanaży, a mimo to wrócili do gospodarstw, ufni, że sprawiedliwości stanie się zadość. Ci zaś...

Któryś krzyknął ostrzegawczo. Było już jednak za późno. Szabla rozjechała mu twarz od czoła po brodę, sięgnęła mózgu. Rozkrzyżował ręce, spadł na ziemię. Język, w jakim wydał okrzyk, był mi znajomy. Zaraz poznałem formację, z której pochodzili. Szkocka piechota. Na

ogół karna, zuchwała w walce, nie dokonywała raczej podobnych napaści. Jednak wszędzie znajdują się czarne owce. Nie pozostało na nich wiele z dawnego moderunku, może jedynie pasy i resztki tartanów, ale na pierwszy rzut oka trudno je było odróżnić od zwykłego odzienia. Broń jedynie mieli swoją – espady o szerokich ostrzach, okazałych jelcach, wzmacnianych z boków okrągłymi osłonami z grubego, kutego drutu. Sami nazywali te klingi rapierami, ale podobniejsze były raczej długim pałaszom. Wyszarpnąłem bandolet z olster. Następny napastnik poleciał pod kopyta z raną w piersi. W tym czasie dwóch ratajów zostało zrzuconych z siodła, jeden w ogóle się nie ruszał, drugi został dobity, gdy chciał się podnieść. Zaatakowałem z furją. Szabla zamigotała krwawo w promieniach zachodzącego słońca. Rozbójnik zastawił się zręcznie. Cięcie zeszło w dół, koń obrócił się wokół własnej osi. Uniknąłem sztychu mierzzonego w gardło, sam zadałem pchnięcie nad rapierem, korzystając z krzywizny szabli. Przeszło tuż powyżej zasłony i wylądowało w oczodole przeciwnika. To jedna z zalet broni wschodniego autoramentu. Można nią sięgnąć w taki właśnie sposób. Proste otrze przebodłoby tylko powietrze nad głową, zaś klinga szabli może sprawić niespodziankę, bo – jeśli ją odpowiednio poprowadzić – sztych opada ku dołowi. Blanka, jak zwykle w takich gorących chwilach, skuliła się gdzieś w najdalszym zakątku umysłu. Podczas takiej gorączkowej, chaotycznej walki za bardzo pomóc nie mogła, a bała się przeszkodzić.

Zostało ich czterech przeciwko ostatniemu, rannemu już ratajowi, mężczyźnie w powozie i mnie. Postanowili wziąć pomstę za kamratów, a potem rozprawić się z niedoszłymi ofiarami. Rzucili się więc na mnie. Wypaliłem z drugiego pistoletu. Także celność oka miałem okazję poprawić na Kozaczyźnie. Nigdy jednak strzelanie nie szło mi tak dobrze jak szermierka. Trudno trafić wroga w ruchu, nawet z bliskiej odległości. Raniłem najbliższego w lewe ramię. Zawahał się na uderzenie serca. To wystarczyło. Rzuciłem weń pistoletem. Kolba wylądowała na głowie, zamek przeorał nos i wargi. Zeskoczyłem z konia, a właściwie przechyliłem się gwałtownie i spadłem z siodła. W samą porę, bowiem w tym momencie w miejscu, gdzie przed chwilą

znajdowała się moja pierś, powietrze przeszły dwa sztychy i jedna kula. Ten, którego trafiłem, chwiał się, jakby miał za chwilę zsunąć się na ziemię. Pomogłem mu potężnym cięciem, po którym jego prawica odleciała na parę kroków w bok. Runął w dół i zwinął się w kłębek wokół kikuta. Pozostali już się połapali w nowym położeniu. Jeden nadal atakował szlachcica przy powozie, trzech ruszyło ku mnie. Rozejrzałem się w poszukiwaniu broni lepszej dla pieszego niż sama szabla. Nic godnego uwagi jednak nie zauważyłem. Nie było czasu na myślenie, runął bowiem ku mnie jeden, uzbrojony w krótką pikę. Przekoziółkowałem tuż obok końskich kopyt, ciąłem na oślep. Poczulem opór, usłyszałem kwik ranionego zwierzęcia. Nie mogłem się jednak nawet obejrzeć. Dwóch pozostałych natarło bowiem natychmiast. Nie miałem wielkiej nadziei, że uda mi się ich pokonać. Jednak w tej chwili zobaczyłem nad głową błysk stali. Krew trysnęła strumieniem. To ranny rataj zaatakował tego z prawej. Drugi postanowił mimo wszystko mnie dosięgnąć. Zanim zdołał zadać cios, ściągnąłem go na ziemię. Wierzgnął tylko

rozpaczliwie, kiedy zmiażdżyłem mu grdykę uderzeniem pięści. Zerwałem się natychmiast. Od strony powozu dochodził szczęk oręża. To szlachcic wodził się z dwoma, bo popędził ku niemu ten, którego wierzchowcowi podciąłem nogi. Nieszczęsne zwierzę usiłowało powstać. Krwawiło z rozciętych pęcín. Podeszedłem bliżej. Spojrzały na mnie oczy pełne cierpienia i niemej prośby. Poglądziłem smukłą szyję. Koń uspokoił się, legł na boku. Zrobiłem tak, aby nie widział, kiedy nadeszła śmierć. Błysk szabli był szybszy niż ból. Trafiłem dokładnie między kręgi, pociągnąłem mocno. Bluznęła krew. W tej samej chwili szlachcic zarżnął jednego Szkota. Drugi rzucił się do ucieczki. Padł zaraz z rozkrzyżowanymi rękami, z rapierem sterczącym z pleców. To był piękny rzut.

Rataj z odciętą ręką siedział na ziemi, kiwając się w przód i w tył. Ten, który pospieszył mi z pomocą, zeskoczył z siodła, skrzywił się, bo rozcięty bok odezwał się dotkliwym bólem. Najpierw obejrział tego, który trzymał dłoń pod pachą. Nie było czego ratować. Nożem przeciąłem pasemko skóry, delikatnie wydobyłem z uścisku rękę o posiniałych już palcach, odrzuciłem ją tak, aby nie widział. Potem zawiązałem na kikucie taśmę odciętą od jego własnej delii. Trzeba będzie poodrzynać zbędne skrawki mięsa, zlać ranę gorzałką i należyście opatrzyć. Skinąłem na drugiego sługę. Przywłókł się z trudem. Rana doskwierała coraz bardziej.

–Obawiam się, panie – rzekłem do szlachcica – że będziecie musieli ustąpić im miejsca w powozie.

Skinął głową, mocno zdyszany, spocony. Sprawnie władał bronią, widać nie przywykł jednak do wojennych igrów.

–Komu zawdzięczam ratunek? – spytał.

–Moje imię Jakub – odparłem. Czekał na dalszy ciąg. Nazwiska ni zawołania nie zamierzałem wymyślać na poczekaniu, dodałem więc: – Sługa jego królewskiej mości Stefana.

To uczyniło na nim widoczne wrażenie. Uniósł brwi.

–Ja zaś jestem Albert Łaski – rzekł. – Wojewoda ziemi sieradzkiej.

–Czołem waszmości – rzekłem tak, jak to słyszałem nieraz między

pozdrawiającymi się oficerami.

–Herbu jakiego jesteś, wybawicielu?

Myślałem błyskawicznie. Trzeba mu jednak coś odpowiedzieć, inaczej nabierze podejrzeń, a to by była zbędna komplikacja. Zerknąłem na zabitego konia. Leżał na boku, a przed oczami miałem jego kopyta. To mi poddało myśl.

–Podkowa – powiedziałem.

–Znakomity znak – w jego głosie zabrzmiał podziw. – Wydał ten herb wielu znakomitych mężów z rodu Pobogów i Lubiczów, i Jastrzębców, i wielu innych. Ty zaś z którego pochodzisz?

–Z Pobogów – wybrałem bez większego zastanowienia. By nie zaczął wypytywać o

familię, kto z kogo zrodzony, dochodzić koligacji, jak to u urodzonych we zwyczaju, powiedziałem prędko: – Opatrzeć trzeba waszych ludzi, panie wojewodo. Dzielnie w waszej obronie stawali, zasłużyli na starunek.

–Nie znam się na ranach – odparł, z pewną obawą patrząc na broczący krwią bok rataja. – Ty, panie bracie, chyba lepiej się na nich wyznajesz.

–Całkiem nieźle. Jeno opatrzeć to nie wszystko. Trzeba ich zawieźć gdzieś, gdzie będą mieli spokój i należyłą opiekę.

Kiwnął głową.

–Mam tu o parę godzin drogi znajomków. U nich możemy się zatrzymać, sługi ostawić, a innych dostać.

Gestem kazałem ratajom wejść do powozu. Opierali się, bo niezwyczajni byli takiego starania. Skorom jednak już, chcąc nie chcąc, wszedł w szlacheckie buty, chciałem to wyzyskać do końca, ulżyć zwykłym ludziom.

–Siądę na koźle, wy zaś, panie Łaski, przywiążcie luźne konie. Trzeba będzie jechać z tyłu, przypilnować, bo ich mamy sporo, skoro i po zbójach zostały. Chyba że wolicie powozić, a ja będę strzegł luzaków.

–To już jak wypadnie, panie Jakubie. Może będziemy się po prostu zmieniać.

* * *

Dwór Rustejków herbu Trąby z Mieczem prezentował się całkiem okazale. Co prawda po wizycie w Krakowie, po tym, jak mieszkałem na samym Wawelu, niewiele było mnie w stanie zadziwić, ale posiadłość okazała się pięknie położona. W oddali majaczyły szczyty odległych gór. Płynął stamtąd poranny chłodny powiew.

–Pięknie tu – powiedziałem cicho.

Pięknie. I te wierchy jak za mgłą. Wydaje się, że są na wyciągnięcie ręki. Sprawiają wrażenie, że wystarczy wyjechać za płot, przemierzyć parę wiorst, aby znaleźć się u ich stóp. Takie są swojskie... Nie to, co równiny i skały Bachczysaraju.

I tam było cudownie, Blanko. Sucho, gorąco, ale także urokliwie. Inaczej niż tutaj na pewno, jednak piękno niejedno ma imię.

Zagrałbyś coś, ukochany. Taki piękny koncert dałeś królowi. Wyjątkowo chwytaleś za serce.

To nie do końca była moja zasługa. Otrzymałem w prezencie cudowny instrument.

Nie bądź taki skromny. Zawsze umiałeś wydobyć z fletu cudowne dźwięki. A kiedy sobie przypomnę tańczące szczury... Gdy jeszcze żyłam, bałam się ich i nienawidziłam. Dopiero przy tobie zrozumiałam, jakie to mądre stworzenia. Rozczulały mnie te biedne, konające, które tuż przed zgonem porywała twoja muzyka.

–Ranny z ciebie ptaszek, panie Jakubie.

Odwróciłem się. Łaski stał za mną uśmiechnięty. Także spoglądał w stronę gór.

–Jedź ze mną do Pragi, wybawicielu – rzekł.

Drgnąłem. Przecież i ja wybierałem się w tamtą stronę.

–Nasze drogi splotły się wczoraj, a gwiazdy mówią, że nie rozejdą się zaraz. Nie patrz taki zdziwiony. Postawiłem w nocy horoskop. Tobie i sobie. Twój niezbyt dokładny, bo nie znam dokładnej godziny narodzin, ale zawsze coś wyczytać można.

To dlatego tak mnie wczoraj wypytywał o wiek, miejsce urodzenia, dzień i porę doby mego przyjścia na świat.

–Jak więc będzie? Wyruszysz ze mną?

Kiwnąłem głową. Tak czy siak z kraju muszę wyjechać, a z kim, to już wszystko jedno. Może wojewoda składa propozycję z sympatii, a może raczej chce mieć przy sobie tęgi miecz?

–Musimy się śpieszyć – rzekł. – Nie udaję się do Czech z własnej woli... nie do końca. Król Stefan nakazał mi wyjazd. Nasz władca nie toleruje tych, którzy zajmują się sprawami nie z tego świata.

–Parasz się, panie Albercie, alchemią? – spytałem. Układanie horoskopów, niełaska króla...

–Raczej nekromancją. Kontaktuję się z duchami. Można się od nich dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

–Z pewnością. – Poczulem się odrobinę nieswojo, tym bardziej, że i Blanka się zaniepokoiła.

Albert Łaski zamilkł na chwilę.

–A co tam! – powiedział. – Wyjawię ci tajemnicę. Wiem, żeś człkiem króla...

–Tak samo jak każdy – przerwałem. – Oddałem mu pewną przysługę, nic więcej.

–Tym lepiej. Winien ci jestem życie, a zatem obowiązuje mnie względem twojej osoby uczciwość. Otóż bawiłem parę miesięcy temu w Anglii, na dworze królowej Elżbiety. Przy tej okazji odwiedziłem wielkiego uczonego, najbieglejszego nekromantę, pana Johna Dee. Ten przeprowadził dla mnie seans, podczas którego dowiedziałem się, iż w przeciągu roku król Stefan umrze, a w jego miejsce brać szlachecka obierze właśnie mnie. Ktoś życzliwy – takich nigdzie nie brakuje – doniósł Batoremu o przepowiedni, a ten się rozgniewał. Zgładzić mnie nie mógł, bo nazwisko Łaskich zbyt wiele w kraju znaczy. Tyle zdziałał, że przez posłańca dał mi do zrozumienia, bym opuścił granice, przynajmniej na jakiś czas, najmniej na przeciąg roku. I mnie to zadowala, ponieważ lepiej, abym przebywał z daleka, gdy nadejdzie kres Madziara. Dzięki temu uniknę podejrzeń.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, iż wojewoda nie jest takim mądrym człowiekiem, jakim się wydaje. Uczony na pewno, posiadał wiele różnorakich

wiadomości, których cząstki zwykły szlachciura nie zgromadziłby przez całe życie. Jednak to nie oznacza od razu mądrości. Można czasem spotkać zwykłego chłopca, co nie widział więcej niżli własne sioło, a

rozum w nim większy niż u tych, którzy księgi wertują, a ludziom w oczy nie patrzą. Można spoglądać w niebo przez całe życie i widzieć konstelacje, umieć je nazwać, wytyczyć w myślach linie między gwiazdami, a nie zastanowić się ani razu, czym owe światelka są w istocie. Mistrz Eustachiusz opowiadał mi kiedyś o pewnym duchownym, Italczyku, którego niespełna sto lat temu spalono na stosie, gdyż śmiało twierdził, że wśród gwiazd można znaleźć inne światy podobne naszemu, zamieszkałe przez pokrewne nam istoty. Od tamtej pory wiele o tym myślałem, a w ostatnich czasach miałem po temu wiele okazji, często nocując pod gołym niebem. Dziwne by było ujrzeć gdzieś tam pośród światelek inne dusze. Dziwne i przyprawiające o dreszcz. Kościół broni się przed tym, uważa za odstępstwo pogląd, by człowiek nie był jedynym rozumnym tworem Najwyższego. Jednak czy to rzeczywiście niemożliwe? Skoro Bóg jest wszechmogący, czy nie mógłby powołać do życia podniebnych istot? Nigdy nikomu nie zwierzałem się z tych przemyśleń. Inkwizytorzy miewają nieoczekiwane długie ręce i wiele uszu na usługach. Raz tylko, siedząc z Prohyrym przy ognisku, odważyłem się dać upust wątpliwościom. Ale wtedy byliśmy sami, wyjechaliśmy doglądać stada półdzikich krów.

–A cóż w tym dziwnego? – Wzruszył ramionami. – Kto wie, gdzie mieszka Bóg? Klecha powie ci, że w niebie, a zaraz potem, że wszędzie. Zapytałem kiedyś pewnego księżynę, co znaczy „wszędzie”. Bo jeśli cały świat, to musi Bóg mieszkać również we mnie, a grzesznikiem jestem wielkim, co każdy w siczy zaświadczyć może. Powiadam ci, Kubieńka, zacukał się wonczas mocno, okiem łypał, a patrzył, jak by tu gdzie się chyłkiem wycofać. A ja nic, drogę zastąpiłem i twardo pytam, co to jest owo „wszędzie”. I jak rozumieć, że w niebie mieszka. Powiedział wtedy coś, czego do dziś nie rozumiem. „Nie Bóg wymyślił naturę ludzką, ale natura ludzka Boga. Tak nam się On zdaje, jako my chcemy. I tako my Jemu się zdajemy, jako nam się wyda. A On jest ponad to i obok tego, i zgłębić się płytkiemu ludzkiemu umysłowi nie pozwoli, bo gdyby Go człowiek potrafił określić, przestałby być Bogiem On sam, a stałoby się nim Jego dzieło”. Zapamiętałem, bom kazał to sobie mało z pięć razy powtórzyć. Rozumiesz ty coś z tego, druhu?

–Rozumiem – odparłem. – Nie wszystko i nie od razu, ale rzec mogę, iż nie taki durny był katabas, jak o nim sądzisz.

–Toż to, co powiedział, herezyją trąci!

–Tak się może wydać po wierzchu. Ale nie wyjawiał nic innego, niż w Biblii napisano. Tyle że po swojemu.

Kręcił Prohyry głową, cmokał i palcami strzelał, ale choć mu próbowałem to tłumaczyć, nie pojmował. A może raczej pojąć nie chciał. Proste życie nie wymaga wielkich przemyśleń. Ludzie są bardziej szczęśliwi, jeśli nie wiedzą takich rzeczy. Mnie w akademii uczono myśli filozofów: Demokryta, Platona, Arystotelesa, ojców Kościoła. Zżymałem się wtedy na mistrzów, bo po co niby katu takowe rozważania. Wiele też z owych nauk przepuściłem przez głowę, usilnie się starając, aby zbyt wiele

z nich nie pozostało. Jednak po

latach zrozumiałem, że to nauczyciele mieli rację, wtlaczając nam owe mądrości. Łatwiej bowiem potem zrozumieć świat. Wiedza to zarazem wielka łaska, ale i ogromne brzemię.

–Teraz znasz prawdę – powiedział wojewoda. – Czy nadal zechcesz podróżować z człowiekiem pozostającym w niełasce?

–Nie wiem, dlaczego miałbym cię porzucić. Tylko dlatego, że komuś mogłoby się nie spodobać, iż przebywam w twoim towarzystwie?

–Dzięki, panie Jakubie. Porządny z ciebie człek. A ciebie co wygania z Rzeczypospolitej? Ludzka nienawiść czy ciekawość świata?

–Rzec można, jedno i drugie zarazem.

–Opowiesz o tym?

Pokręciłem z uśmiechem głową.

–Nie ma o czym mówić, bo to nieciekawa historia.

Patrzył na wstające znad drzew słońce.

–Coś dziwnego jest w twoim horoskopie – odezwał się po chwili milczenia. – Ale muszę to jeszcze dokładnie sprawdzić.

* * *

Praga powitała nas deszczem. Przejechaliśmy roгатki w podmuchach wiatru i wjechaliśmy w ciasne uliczki wraz z pierwszym grzmotem. Potem lunęło jak z przewróconego cebra. Woźnica wjechał pod jakieś zadaszenie, nie zważając, że bok karety szoruje po ścianie, a potem po drewnianych wrotach.

–A ty gde! – rozległ się zagniewany niewieści głos. – Tady ne je cesta!

–Nie gniewaj się, turkaweczko – odpowiedział ochryple woźnica. – Przechekamy burzę i pojedziemy.

–A za dwerzi kto zaplati? Kniże, a może sam kral?

–Nie bój się, mieszczkańska jędzo, nie będziesz miała krzywdy. Mój pan zwróci ile trzeba za dwie głupie deski.

Albert Łaski pokręcił głową z ciężkim westchnieniem.

–Trzeba będzie dać babie pewnie najmarniej dukata, żeby gęby nie darła. Durny ten Prokop. Tu nie Polska, gdzie szlachcic panem nie tylko na zagrodzie, ale i w mieście czuje się niby u siebie. W Czechach podobne awantury łatwo nie przechodzą, zaś rajcy bywają nadzwyczaj cięci na swawolę.

Zastukał laską w okienko, za którym widać było plecy woźnicy. Ten zeskoczył, podsunął się pod drzwiczki, starając się uniknąć ulewy.

–Rzuć jej to. – Wojewoda wetknął mu w dłoń monetę.

Po chwili niewieści głos nabrał życzliwszych tonów. Dziwna ta czeska mowa. Miękka i śpiewna, niby obca, a jednocześnie rozumiała. Bez trudu pojąłem, iż kobieta oferuje nam

nocleg, skoro tylko odjedziemy od drzwi, byśmy mogli przez nie wejść do gospody.

–Tu co druga kamienica to zajazd, gospoda albo karczma piwna – objaśnił Łaski.

– Zaś na noc staniemy u pana Hazinca, zacnego mieszczanina. Od niego dwa kroki

do Złotego Zaułka i na Hradczany.

Otworzył porzuconą przed chwilą księgę.

–Patrz, Jakubie – wskazał rysunek przedstawiający podwójną piramidę. – To *quaternio*, drugie z kolei, przedstawia człowieka w górnym zwieńczeniu i węża w dolnym. Na złączeniach pośrodku mamy Jethro, postrzeganego od ciemnej strony duszy, dalej odwrotność Miriam, ciemnoskórą kobietę i Mojżesza jako *homo carnalis*. Kluczem jest tutaj wąż, nie człowiek. Alchemicy dawniejsi przyjmowali, iż świat został stworzony przez Demiurga. W miarę upływu czasu i nabywania wiedzy doszli do wniosku, że ów Demiurg nie jest stwórcą, lecz po prostu diabłem. Zauważ, że w rozważaniach wyszliśmy od górnego Adama, Jethro jako dobrego ojca, Miriam jako dobrej matki, Cippary będącej żoną Mojżesza. Nic dziwnego, że uczeni doszli do koncepcji szatana, skoro trzeba zejść głęboko w dół, by dojść do celu. Dlatego do życia powołali Merkuriusza, który jest częściowo materialny, a częściowo niematerialny, który przenika wszelkie rzeczy i istoty. Pod postacią węża zamieszkuje wewnątrz Ziemi, ma ciało, duszę i ducha jako *homo altus*. Rozumiesz?

W głowie się może zakręcić od tych rozważań. Pan Łaski trawi na nich całe życie. Dziwak z niego, Jakubie.

Dziwak, Blanko, ale dzięki temu zabawny człowiek. Chociaż potrafi być uciążliwy.

–Mów dalej, panie Albercie – rzekłem. – Postaram się nadążyć.

Przez całą drogę do Pragi zadręczał mnie alchemicznymi wykładami. Pojąłem, że kamień filozoficzny dla niego i wielu znanych mu ludzi nie jest cczą idea. Wszędzie można było napotkać alchemików, jednak po raz pierwszy poznałem kogoś, kto aż tak był zafrapowany tą nauką.

–Wąż, mój drogi, jak już rzekłem, jest kluczem. On bowiem stanowi szczyt kolejnego, niższego *quaternio*, u którego podstawę piramidy wyznaczają Gihan, Hiddekel, Pisan i Eufrat. Zaś dolny wierzchołek to nic innego jak *lapis*. *Lapis* to z kolei *filius microcosmi*. Oznacza on *allegoriam Christi*, ale nie tylko. Stanowi paralelę do Adama *ano*, pierwszego człowieka, *Adama secundus*, to znaczy Chrystusa, ale i węża. *Lapis* to zjednoczenie czterech żywiołów, uporządkowanie chaosu, on jest tym, co zwiemy *prima materia* albo *arcanum*. To oznacza, iż jest czymś niestworzonym².

–Jeśli mówisz, że niestworzonym – zauważyłem – to znaczy, że albo nie istnieje albo... – Bystry masz umysł, panie Jakubie – uśmiechnął się zadowolony. – Owa pramateria jest koeternalna z samym Bogiem.

–Koeternalna? – Zmarszczyłem brwi. – A to co za słowo?

–Oznacza, że jej natura zaczepiona jest o ten sam pierwiastek, co natura boska.

Na podstawie *Rebis, czyli kamień filozofów* Carla Gustava Junga, Warszawa 1989 (przyp. aut.).

Jakubie, to jakiś bełkot. Słowa, morze słów, które nic nie oznaczają.

Pozornie, Blanko. W istocie wszystko sprowadza się do odwiecznego pragnienia odkrycia sekretu wiecznej młodości i wielkiego bogactwa. O takich Mistrz Eustachiusz mawiał z pogardą, że uganiają się za zwidami, próbują złapać w garść parę unoszącą się nad bagnami. Tacy ludzie są jednak przydatni, bowiem bez ich

dociekań świat byłby uboższy, bo przy sposobności często odkrywają rzeczy dla ludzi pożyteczne.

Uboższy? Co też mówisz, najdroższy? Potok wymowy pana Łaskiego dla mnie nie znaczy zupełnie nic, jest pozbawiony treści i dźwięku bardziej niż pęknięta skrzynia lutni rozbitej o nagrobny kamień.

–Milczysz, Jakubie. – Wojewoda dotknął delikatnie mego ramienia. Cofnąłem się, natychmiast zabrał rękę. Był człowiekiem wylewnym, nazbyt wylewnym, z tych, którzy podczas rozmowy najchętniej trzymaliby interlokutora za łokieć.

Pustosłowie. Pustosłowie, mój miły. Kamień filozoficzny to nie rysunki w księdze.

Mogą jednak pozwolić poznać prawdę.

Czyją prawdę? Ludzką czy boską?

Prawda jest jedna, Blanko. Powinnaś to wiedzieć.

Wiem. Ale czy jesteś pewien, że mądre słowa oznaczają mądre myśli?

Ostatnie słowa Blanki rozwiały się w błysku nieuwagi spowodowanej bliskim uderzeniem pioruna. Z trzaskiem rozszczepił dach domu naprzeciwko. Po chwili buchnął płomień. Widocznie na podstryszu gospodarz trzymał jakieś wysuszone drewno, może szmaty.

–Trzeba pomóc – zawołał Prokop. – Pozwolicie, panie, bym skoczył?

Łaski otworzył drzwi karocy. Wypadł na zewnątrz. Pognałem za nim. Pomimo deszczu ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Ogień... stary przyjaciel, towarzysz przemiany... Z kamienicy wyskakiwali ludzie, niektórzy tak jak stali, inni trzymali w objęciach przedmioty, które uważali za najcenniejsze.

–Chyba wszyscy zdążyli uciec – rzekł Łaski. – Na pożar nic nie poradzimy. Niech Prokop lepiej odjedzie już spod...

W tej chwili w oknie na drugim piętrze ukazała się blada twarz starego mężczyzny.

–Tam, tam! – zawołał ktoś. – Ale nic go nie uratuje! Schody już w płomieniach! Niech skacze.

Ale starzec nie mógł otworzyć okna. Dym go dusił, gorąco musiało osłabić nieporadne dłonie.

–Ojczy! – rozpaczliwy krzyk młodej kobiety. – Ojczy!!!

Natychmiast pobiegłem ku bramie, z której buchały bure kłęby.

–Stój, Jakubie! – Łaski próbował mnie zatrzymać. – Nic nie uczynisz, zginiesz tylko!

Nie słuchałem. Wpadłem do zadymionej sieni. Wydobyłem zawiniątko z nożem i chustką. Przytknąłem do ust materiał. Wciąż jeszcze pachniał egzotycznymi, ostrymi ziołami,

które potrafiły zabić dzumę zawartą we krwi na zboczonym ostrzu. Schody rzeczywiście stały w płomieniach. Witaj, ogniu.

Miły mój. Pamiętam tę chwilę. Ty wprawdzie leżałeś bez przytomności, ale ja pamiętam. Potworne gorąco, okrutne niby roztopione żelazo. Okropne, a zarazem pociągające...

Mylisz się, ukochana, doskonale pamiętam przemianę. Dzięki tobie mogłem

poznać, co się wtedy działo. Wlałaś to w moje wspomnienia tak, że nie potrafię odróżnić moich wizji od twoich. Ogień, który zapłonął w żyłach, sprawił, iż moja krew nabrała barwy sadzy. Serce stało się zapieczonym węglem. Skóra została osmalona i miała już po kres dni przypominać o inicjacji brunatną barwą.

Poszedłem na górę obok płonących poręczy. Niewiarygodne, jak prędko płomienie ogarnęły dom. Stare, wyschnięte drewno stanowiło doskonałą pożywkę. Pod nogami stopnie zamieniały się w żar. Nie czułem gorąca. Kto przejdzie przemianę Mistrza Czarnej Śmierci, nigdy nie będzie czuł zimna ni gorąca. Podobno może splonąć, a nie będzie wiedział kiedy. Może zamarznąć bez świadomości zimna. Dotarłem do pokoju staruszka. Leżał pod oknem, z dłonią wyciągniętą ku niebu. W ostatniej chwili życia wzywał Boga. Nie widział mnie. To znaczy widział, ale nie dostrzegał człowieka. Przygotował się już na śmierć, wydałem mu się więc jej wysłannikiem. Miał w oczach więcej ulgi niż przerażenia. Zapewne lepiej prędko skonać niż umierać w płomieniach. Chwyciłem ciężki zydel, cisnąłem nim w okno. Roztrzaskało się w drobny mak. Wyjrzałem. Wysoko. Zbyt wysoko, aby po prostu wyrzucić kruche życie, licząc, iż przeżyje upadek na bruk, że złapią je uczynne ręce.

–Karoca! – krzyknąłem do Łaskiego.

Od razu pojął, o co idzie i machnął na woźnicę. Prokop pognął konie. Ulewa ucichła już, plusk przestał zagłuszać krzyki ludzi. Patrzyli w moją stronę z rozdziawionymi ustami. Mówili coś, ostrzegali. Niepotrzebnie. Wiedziałem, że mój płaszcz płonął. Ogień obejmował już wszystko dookoła. Powóz sprawnie zawrócił, galopem podjechał pod okno. Prokop od razu wdrapał się na dach pojazdu, wyciągnął ręce. Puściłem starca. Woźnica chwycił go wpięrw za stopy i sprawnie zsunął niezbyt ciężkie ciało między ramionami.

–Teraz wy, panie! – zawołał. – Szybciej!

Wokół szalały płomienie. Lizwały skórę, czułem swąd nadpalonych włosów. Palilem się po prostu. Ludzie na dole widzieli to doskonale. Jakaś zażywna niewiasta w czepcu uczyniła w powietrzu znak krzyża na ostatnią drogę. Płakała. Łzy lały się po rumianych policzkach.

–Zejdź z karety! – rozkazałem Prokopowi. Podał już mężczyznę tym na dole, a teraz gapił się na mnie. – Złaż zaraz, inaczej nie będę mógł skoczyć!

Wreszcie dotarło do niego. Przetoczył się zwinnie przez kozioł. Wtedy wypadłem na zewnątrz. Uderzyłem plecami w dach karocy, ujrzałem rozbłysk, wokół zatańczyły płomienie.

Jak wtedy, Jakubie. Czuję się tak samo jak wonczas, gdy Mistrz Czarnej Śmierci zadał ci torturę. Ale dziś twoje ciało nie wije się w cierpieniu. Koniec nadchodzi bez bólu.

Przyjacielu, ogarnij mnie całego, zajrzyj w oczy, tunelami źrenic wtargnij do wnętrza i

wypal wszystko, co jeszcze pozostało do wypalenia. Nie będzie tego pewnie zbyt wiele, tym łatwiej sobie poradzisz. A potem pieśczośliwą dłonią zamknij powieki. Wspaniałe uczucie wyzwolenia. Ogień potrafi zdziałać cuda. A może tak właśnie czują się męczennicy na stosach? Może kacerze nie chcą odwołać swoich poglądów,

wiedząc, że płomienie okażą się litościwsze od ludzkich dusz i ludzkiego prawa?

Gzy to koniec, Jakubie? Czy za chwilę spotkamy się tam, gdzie każde z nas od dawna chce się udać w skrytości ducha? Kocham cię, najmilszy.

Kocham cię, Blanko. Nie wiem, co zdarzy się za chwilę. Nie wiem, czy po prostu nie przestaniemy istnieć. Najważniejsze jednak, że jesteśmy razem do samego końca.

Pamiętasz nasze ostatnie chwile w Bieczu?

Ostrożne kroki w ciemnym korytarzu. Akademia stała w ogniu, zupełnie jak praska kamienica. Jednak w tamtym jednym miejscu panowała cisza i spokój. Z oddali dolatywały krzyki i bicie dzwonów. Spotkanie musiało nastąpić w takiej oazie spokoju, u zbiegu korytarzy, w wielkiej sali, wokół której biegły rzędy kruzganków. To tutaj mistrzowie dokonywali pokazów kaźni i przesłuchań. W zależności od potrzeb wtaczano wielkie koło albo łoże boleści. Wtedy płonęły setki świec, uczniowie gromadzili się na galeriach, by dobrze widzieć poczynania mentorów. Ale tego dnia pomieszczenie rozświetlały jedynie płomienie z zewnątrz. Przeciskały się przez wybite szybki w witrażach, barwiły czerwienią ocalałych jeszcze wzorów. Tu właśnie spotkałem Bartosza.

–Witaj, spalony – uśmiechnął się krzywo. Inaczej nie umiał. Duszę miał pokrzywioną, taki też jedynie umiał przywoływać grymas na usta. – Wypełłeś wreszcie spod ziemi.

–Witaj, szubrawcu – odparłem. – Tu się ukryłeś przed gniewem tłumu?

Mieszkańcy Biecza nawoływali się, dodawali sobie okrzykami otuchy podczas plądrowania uczelnianych pomieszczeń.

–Zrobiłeś to – stwierdził. – Wiedziałem.

–Zrobiłem. Ci, którzy mienią się luminarzami naszego rzemiosła, okazali się mierzwą. Olbrzym, co rzucał ogromny cień, po wyjściu na światło stał się podobny marnej myszy.

–Ładnie powiedziane – wycedził. – Ale nie dla pięknych słów znalazłem się tutaj, Jakubie. Chcę dopełnić zemsty.

Podniósł w górę lufę pistoletu. Spojrzało na mnie czarne oko ukryte w stalowej rurze.

–Jesteś marniejszy, niż sądziłem – rzekłem spokojnie. – Nie potrafisz stanąć do uczciwej walki. Zawsze działasz podstępem.

–Uczciwej walki? – prychnął. – Z największym siłaczem uczelni, najsprawniejszym jej wychowankiem? Może jestem szaleńcem, ale nie głupcem.

Blanka w mojej głowie syczała niczym rozwścieczona kotka. Chciała krwi Bartosza, pragnęła ujrzeć jego serce. Podobnie jak ja.

–To twój koniec – powiedziałem.

Roześmiał się, odciągnął kurek. Ten ruch, krótkie pociągnięcie kciuka, trwał dość długo,

abyśmy znalazł się tuż przy nim. Samopał upadł na posadzkę. Wystrzelił, kula utkwiała w ścianie. Uderzyłem Bartosza w splot słoneczny. Zgiął się wpół, próbował jednak sięgnąć mnie wydobytym skądś nożem. Wykonałem unik, uderzyłem z całej

siły od góry, podstawiając kolano pod przedramię wroga. Wypuszczone ostrze brzęknęło, przeciwnik wrzasnął, chwycił się za złamaną rękę. Nie śpiesząc się, zdjąłem rękawicę. Wiedział, co to oznacza. Chciał uciec, zdołałby może nawet, bo zwinny był niby wąż i potrafił się wykręcić z uścisku. Jednak nim odskoczył, zdołałem dotknąć policzka. Upadł po przebiegnięciu kilku kroków. Jeszcze zanim skonał, wyrwałem mu z piersi serce. Było robaczywe.

Jakubie, Jakubie mój.

Słucham, ukochana. Przywołałaś wspomnienie tamtych chwil, czemu nie dasz się w nim pograć przed śmiercią do samego końca?

Spalmy się w płomieniach na popiół Niech ślad po nas nie zostanie.

Spalmy się. Spójrz, nadchodzi ciemność. Za chwilę otuli nas miękką opończę. Tak mi dobrze przy tobie.

A mnie przy tobie... Tak dobrze...

* * *

Kiedy otworzyłem oczy, oślepiło mnie jasne światło. Zapomniałem o cielesnej powłoce i zapragnąłem ku niemu ulecieć, roztopić się we wszechobecnej bieli.

–Jakubie – dobiegł mnie znajomy głos. – Mój drogi, to cud prawdziwy!

Nie znalazłem się jednak na tamtym świecie. Zrozumienie przywołało falę goryczy. Nawet tego mi nie dano – skonać w płomieniach. Nawet tyle łaski od Boga, bym mógł zakończyć podróż po niewdzięcznym świecie. Stworzyłeś, Panie, człowieka na obraz swój i podobieństwo. Stworzyłeś niebo i ziemię. Zapomniałeś o jednym. Dając ludzkości wolną wolę, pchnąłeś ją w ręce sił ciemności. Czy chciałeś, by tak się stało, czy jesteśmy jedynie zabawką, która znudziła się i została porzucona?

Byłem zupełnie nagi. Natychmiast gdy zdałem sobie z tego sprawę, usiadłem gwałtownie. Ci, którzy mnie dotknęli, są skazani!

–Kto mnie tu przyniósł? Kto rozebrał?

–Ja z Prokopem i dwoma mieszczanami. A rozbierać cię nie trzeba było. Ubranie doszczętnie spłonęło. Patrz, cały jesteś pokryty skorupą popiołu na przynajmniej pół paznokcia. Właśnie miałem kazać cię obmyć.

Odetchnąłem. Popiół i sadza sprawiły, że nie mieli kontaktu z nagą skórą.

–Sam się obmyję, panie Albercie.

Łaski patrzył na mnie długo, bez słowa. Zaniepokoiło mnie to.

–Co się stało?

–Kareta spłonęła. Zapaliłeś ją i zgorzała do szczytu.

–Postaram się jakoś to wynagrodzić...

–Nie w tym rzecz. – Zamachał rękami. – Po powrocie do Polski takich pojazdów mogę kupić sto i więcej. Naprawdę nie domyślasz się, o co chodzi?

Wzruszyłem ramionami. Poczułem, jak przy tym ruchu osypuje się ze mnie popiół. Jego strużki spływały po piersi i plecach. Łaskotały na podobieństwo ciekawych rybek albo wartkiego nurtu w płytkiej rzeczulce.

–Wypadłeś z okna jako kula ognia, Jakubie. Tak nie płonie zwykły człowiek. Widziałem już pożary, w których ginęli ludzie. Pali się na nich ubranie, biegną jak szaleni w poszukiwaniu ratunku, płomienie ciągną się za nimi, ale widać sylwetkę.

Ciebie zaś nie szło dostrzec. Runąłeś na dach powozu, a ogień poszedł na wszystkie strony, jakby wybuchł wielki kartacz. Prokop nawet nie zdążył wyprząc koni. Nie było dla ciebie ratunku. Pojazd zajął się natychmiast cały, od samej góry po osie. Palił się, jakby został wykonany nie z twardej dębiny, ale smolnych drzazg. Gorąco zaś było takie, że trzeba było odstąpić. Cały gorejący dom nie dawał takiego żaru. Ludzie lali wodę wiadrami, ale nie umieliśmy tego ugasić. Pożegnałem cię w myślach, współczując straszliwej śmierci. Wreszcie przekłeta karetą wypaliła się do cna. Zostało po niej kilka najtwardszych, osmalonych desek i góra popiołu. Kazałem wszystko jak najszybciej oblać wodą. Chciałem wydobyć twoje ciało, aby cię pochować z należną czcią. Bardzo zresztą o to prosiła córka tego człowieka, któregoś uratował. Możesz sobie wyobrazić nasze zdumienie, kiedy odgarniając popiół, trafiliśmy na ciebie, a ty poruszyłeś ręką? Wpierw myślałem, że uległem złudzeniu, ale zgiąłeś i wyprostowałeś palce. Palce, które po przebywaniu w takim gorącu powinny się zlać w jedno na kształt upiornej płetwy albo nawet wypalić na kikuty. Wtedy zrozumiałem, że to, co brałem za spalone ciało, to tylko skorupa, jaka powstała po zlanie gorącego popiołu zimną wodą. Musieliśmy odczekać jakiś czas, zanim mogliśmy cię podnieść, taki byłeś gorący. Dopiero pewien kupiec mający skład opodal przyniósł grube rękawice. Dzięki nim wreszcie cię dźwignęliśmy.

Odetchnąłem z ulgą. Tym lepiej. Na pewno żaden mnie nie dotknął.

Skąd ta ulga, Jakubie? Czy nie jest ci wszystko jedno, zali ci wszyscy ludzie zginą? Jeszcze nie tak dawno sam sprowadzałeś śmierć. Pamiętasz ostatnie nasze chwile w podziemiach uczelni? Chciałeś wonczas zanieść zarazę i do Krakowa, i do Pragi nawet.

Jesteś rozgoryczona, Blanko, że nie znaleźliśmy się po drugiej stronie? Ja też. Widać nie było nam pisane.

Zmieniłeś się, miły. Bardzo się zmieniłeś.

Jesteś zawiedziona?

Nie wiem jeszcze. Ale jestem otoczona twoimi myślami. Kiedyś były klarowne, zupełnie przejrzyste, pojmowałam cię w mgnieniu oka. Teraz, odkąd przebywasz wśród ludzi, zaczęły mętnieć. Czuję, jakbyś miał przede mną coś do ukrycia.

Nie mam, wiesz przecież.

Wiem. Ale stajesz się bardziej tajemniczy. To nawet pociągające...

–Co uczyniliście z tymi rękawicami? – zaniepokoiłem się nagle. Popiół popiołem, na pewno zapobiegł przedostaniu się dżumy na dar kupca, ale trzeba zachować ostrożność.

–Nic. Poszły do pieca. Były tak uwalane i cuchnące spalenizną, że nie dałoby się z nimi niczego uczynić.

Poczułem słabość, położyłem się. Białe prześcieradło w miejscach, gdzie go dotykałem, stało się prawie czarne.

–Co przede mną ukrywasz, Jakubie?

Zerknąłem na Łaskiego spod oka. Chciałbyś mnie przejrzeć na wylot, dowiedzieć się wszystkiego. Tylko co byś uczynił, gdyby dotarło do wielkopańskiego łba, że ostatnie dni spędziłeś w towarzystwie kata?

–Możesz postawić przecież kolejny mój horoskop, panie Albercie.

–Mogę. Jednak w twoim przypadku najwyraźniej to bezcelowe. Powiniennem przecież wyczytać dzisiejszy wypadek. A gwiazdy milczały. Co więcej, milczały o tym także w moim horoskopie. Tak jakby przy tobie niebo przestało dawać znaki co do przyszłych wydarzeń.

Miałem ochotę parsknąć pogardliwie. Horoskopy! Są tacy, którzy się do nich przywiązują bardziej niż do własnej żony. Czy można wyczytać cokolwiek z układu gwiazd? Czy są czymś więcej niż cudownym zjawiskiem?

–Jedno wiem na pewno – rzekł w zamyśleniu. – I o tym horoskop jasno mówi. Nie jesteś szlachetnie urodzony.

–I nie przeszkadza to wielkiemu panu, potężnemu wojewodzie?

–Daj spokój, przyjacielu. Taki jestem potężny, że kiedy byle szlachciura pozywa mnie do sądu o jakieś urojone krzywdy, muszę się stawiać i tłumaczyć ze spraw albo tak dawnych, że nikt ich nie pamięta, albo z imaginacji pana brata. Gdyby mi wadziło, żeś niskiego stanu, przecie bym nie zaproponował wspólnej podróży. Jest też w twym horoskopie coś jeszcze. Zostałeś osierocony w dzieciństwie, przeżywałeś wielkie nieszczęścia. Rzecz polega na tym, iż od pewnego momentu wszystko się urywa, zupełnie jakbyś umarł. Gdybyś zechciał pokazać mi dłoń, może potrafiłbym powiedzieć coś więcej, bowiem i chiromancja nie jest mi obca.

Oglądanie wnętrza mojej dłoni mogłoby się okazać śmiertelnym doświadczeniem, panie Łaski. Nie mogę ci przecież tego rzec, ale nie zamierzam też wykręcać się i tłumaczyć. Patrz, Blanko, w gwiazdach rzeczywiście można ujrzeć coś więcej niż konstelacje.

A może to wcale nie gwiazdy, ukochany? Może ta wiedza, te przeczucia są w człowieku uśpione, a budzą się w chwili, kiedy zaczyna o tym myśleć. Nie wiem, jak to wyrazić...

Owe horoskopy, nekromancje, chiromancje i inne przesady są czymś na podobieństwo narzędzi rzemieślnika? Bez odpowiednich sprzętów szewc czy złotnik jest bezradny, nie potrafi ukazać światu swych wielkich umiejętności.

To coś więcej, Jakubie. Może kiedyś znajdę odpowiednie słowa.

–Nie wiem, jakim cudem zdołałeś przeżyć w samym środku wielkiego ogniska. – Wojewoda wrócił myślą do niedawnych wydarzeń. – Ciesz się jednak, że jesteśmy w Pradze, a nie w Niemczech czy Austrii. Tam zaraz stanąłbyś przed trybunałem jako podejrzany o konszachty z diabłem, a ichni inkwizytorzy nie znają litości. Umiesz powiedzieć, jak to się stało?

–Nie umiem, panie Albercie. Nie będę cię jednak zwodził, utrzymując, jakobym był zupełnie nieświadomy. Wiem, dlaczego mogłem przeżyć, ale natura tego zjawiska jest mi obca i nie potrafię podać pierwotnej przyczyny.

–Pozwolisz się obmyć? Cuchniesz spalenizną na miłą.

–Dzięki za troskę, jednak nie jestem dzieckiem, by mi usługiwać przy ablucjach. Niech przygotują łaźnię, sam sobie poradzę.

Obłąd zodiaku

Cesarz Rudolf był człowiekiem niewielkiego wzrostu, jednak ładnie, proporcjonalnie zbudowanym. Miał bladą cerę, kędzierzawe jasne włosy i takąż brodę. Urodę szlachetnych rysów psuła wysunięta dolna warga. Gdy wszedłem, na mój widok powstał i podszedł dziwnym, czającym się krokiem. Z tego, co o nim opowiadał Łaski, w młodości uwielbiał polowania i grę w piłkę, ale z wiekiem mu minęło, zaczął być niesłychanie ostrożny. Podobno wiązało się to z horoskopem, jaki postawił mu sławny Tycho de Brache, a potwierdził potem uczony Keppler. Zgodnie z nim Rudolf miał zostać zamordowany przez jakiegoś mnicha, podobnie jak król francuski Henryk Trzeci. Dlatego cesarz w zamkniętym ogrodzie, który przylegał do zamku na Hradczanach, kazał zbudować kryte korytarze. Zażywał w nich samotnych spacerów. Nikt nie mógł przebywać w bliższym otoczeniu cesarza, zanim nie obliczono jego horoskopu. Wszyscy zaufani ludzie, lekarze i kamerdynerzy parali się alchemią. Nawet tutaj, w sali rycerskiej, stali pod ścianami jedynie ci, którzy posiadli wiedzę tajemną. Patrzyli na mnie z ciekawością, Albertowi Łaskiemu nie poświęcając najmniejszej uwagi.

–Zatem to ten, który ponoć wyszedł z ognia nietknięty – odezwał się Rudolf po niemiecku. – Ciekawe, czy wrzący olej sprawiłby mu większą trudność. Czy to jest ludzka salamandra, czy zwyczajny oszust?

–Zapewniam, wasza cesarska mość – pośpieszył z wyjaśnieniem wojewoda – że na własne oczy widziałem owo zajście. Sami zresztą widzicie, najjaśniejszy panie, iż włosy ma spalone do skóry, zaś z brwi i rzęs zostało niewiele.

Rzeczywiście, kiedy zobaczyłem swoje odbicie w lustrze, uczyniło mi się nieprzyjemnie. Skóra jeszcze ciemniejsza niż przedtem i łysa czaszka. Oczy też dziwnie wyglądają, gdy je pozbawić naturalnej otoczki owłosienia.

–Widziałeś zdarzenie – odparł surowo Rudolf – ale nie przyszedłeś zaraz z wieściami, nawet nikogo nie przysłałeś. Gdyby nie pan von Hajek, może nigdy bym się o tym nie dowiedział. Przyznaj się, panie Łaski, zamierzałeś zatrzymać tego tutaj człowieka, aby go samemu badać.

–Nawet mi to przez myśl nie przeszło! – zawołał Albert. – To mój przyjaciel, zaufany towarzysz...

–A możeś – cesarz zmrużył oczy – zamierzył jakiś podstęp? Wiem już od Hansa Marquarda o jego horoskopie. Nie da się w nim wyczytać zgoła nic ze zdarzeń przeszłych i przyszłych, wyjąwszy te, które zaszły przed wielu laty, a i one są niewyraźne.

Bądź czujny, Jakubie. Dostrzegam w tej sali niepokojącą obecność. To ktoś, kto ma szósty zmysł. Przed chwilą omal mnie dotknął myślą. Nie tak jak pradziad córki Winiewskiego albo król – nie przecuciem mego istnienia, ale pewnością.

–Marcin Rutzky – ciągnął Rudolf – również mnie ostrzegał. Prawda, mój drogi? Wystąpił odziany w czerń siwy mężczyzna.

–Odradzałem najjaśniejszemu panu spotkanie z tym człowiekiem. – Wskazał na mnie. – Jednak ciekawość okazała się silniejsza. Nie zostałem wysłuchany. Ale wiem, iż przybysz może stanowić śmiertelne zagrożenie. Wyczytałem to w gwiazdach.

Od ostatniej rozmowy z Łaskim przestałem uważać horoskopy za całkiem poroniony wymysł. Coś w nich jednak było. Jednak czy można ufać tym, którzy je interpretują? Zawsze czynią to przez pryzmat własnych dążeń i przeżyć.

–Stanowisz niebezpieczeństwo? – spytał cesarz, po raz pierwszy zwracając się prosto do mnie. – Niech ktoś mu to przetłumaczy.

–Nie trzeba – odparłem po niemiecku ku zdumieniu obecnych. Mieli mnie za zwyczajnego polskiego boćwinka, co poza pokurczoną, pokrzywioną łaciną nie potrafi słowa w obcym języku powiedzieć. Dlatego mówili bez osłonek na mój temat. Teraz widziałem, że Rutzkiemu uczyniło się nieswojo.

–Znasz niemiecki?

–Znam również trochę włoski, liznąłem także nieco francuskiego.

–Studiowałeś na zagranicznych uczelniach? Gdzie?

Nie mogłem powiedzieć, że nauczyłem się niemieckiej mowy podczas podróży z Mistrzem Eustachiuszem, włoskiego zaś i francuszczyzny nie znam wcale. Skłamałem, żeby nie zaczęli konwersacji w mowie, której nie rozumiem.

–Bywałem w Bolonii i Padwie – podałem pierwsze miasta, które mi przyszły do głowy.

–Rozumiem – skinął głową monarcha. Dla niego nie było to nic wielkiego. Wielu panów, a nawet synów mieszczan mogło wyjeżdżać po nauki tak daleko. – Powiedz zatem, jesteś dla

mnie groźny?

–Mógłbym stać się w każdej chwili. – Skłoniłem głowę. Cesarz może miał opinię szalonego, był w nim jednak majestat odziedziczony po przodkach. Nie sprawiało mi trudności okazanie mu szacunku, choć temu rzymsko-niemieckiemu władcy daleko było do szlachetnej postawy Batorego czy chociażby Zamoyskiego.

Cofnął się pół kroku, poblady nagle, ale zaraz się opanował.

–Co masz na myśli?

–Tylko to, co powiedziałem. Mógłbym być śmiertelnym zagrożeniem dla waszej cesarskiej mości i wszystkich tu obecnych.

Widziałem, jak Rutzky skinął na strażników. Natychmiast czterech znalazło się tuż za moimi plecami.

–Tego niebezpieczeństwa – powiedziałem spokojnie – nie da się uniknąć, zabijając mnie. Dopiero wtedy mogłoby stać się nie do opanowania. Zresztą nie przypuszczam, aby ci ludzie, którzy mnie w tej chwili pilnują, mogli mi zrobić krzywdę.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Pewnie wyraz twarzy pana Marcina, zadufanego w sobie, sprowokował nierozważne słowa.

–Udowodnij – warknął Rudolf. Widać było, jak drży i z najwyższym trudem opanowuje gniew. Podobno takie stany zdarzały mu się w chwilach napięcia.

–Co mam udowodnić, najjaśniejszy panie?

–Że nie kłamiesz. Inaczej gwardziści cię zabiją!

Miałem gołe ręce. Żeby chociaż jakieś nawet niewielkie ostrze, którym można sparować klingę. Nic. Musiałem jednak uczynić coś, aby ratować siebie i wojewodę.

Przewinałem się w tył przez plecy. Nie patrzyłem, gdzie są strażnicy. Czułem to po prostu. Czułem i wiedziałem.

Z lewej na wyciągnięcie ręki. Z prawej za daleko, byś doszedł. I jeszcze dwóch trzy kroki z tyłu.

Blanka pomogła mi w walce po raz pierwszy. Widocznie uznała, iż wojenne przygody, wyprawy z Kozakami i potyczki z bitnymi ordyńcami były mało groźne w porównaniu z dzisiejszym dniem. A raczej zrozumiała, że przy takiej okazji przydadzą się oczy, widzące wszystko dookoła.

Bez większego trudu wyrwałem halabardę zaskoczonemu żołnierzowi. Wspaniała broń. Nieco w użyciu podobna berdyszowi, chociaż dłuższa i cięższa, a poza tym zaopatrzona prócz właściwej toporom okszy także w wąski, dość długi grot. Cios drzewcem pod kolana wystarczył, aby gwardzista padł z jękiem, niezdolny do dalszej walki. Drugi, ten po prawej, próbował nadziać mnie na sztych, jednak okazał się zbyt wolny. Nie chciałem mu uczynić wielkiej krzywdy, uderzyłem więc tępym końcem halabardy najpierw w pierś, a potem w bok głowy, tuż pod linią hiszpańskiego hełmu. Pozostali dwaj uzbrojeni byli w szpady o szerokich ostrzach. Rzucili się na mnie natychmiast, zachodząc z obu stron. Przypomniałem sobie słowa starego Prohyry: „Jeśli starają się dopaść cię z przeciwnych kierunków, musisz zejść z linii ataku możliwie najpóźniej. Wybierz też zaraz jednego, którego zaatakujesz najpierw. To nie musi być wcale ten bliższy. Nie powinien nawet”.

Walka polegała na ciągłym zaskakiwaniu przeciwnika. Gwardziści na pewno byli doskonale ćwiczeni, ale nie mieli wiele wprawy w starciach z prawdziwym, doświadczonym wrogiem. Ustawili się doskonale, każdy mógł mnie sięgnąć. Oczywiście gdybym stał w miejscu i czekał, co zrobią. Jednak ledwie zajęli odpowiednią pozycję, wykonałem obrót z wykrekiem w pierw na prawą, potem na lewą nogę. Mocne cięcie tego z prawej ześliznęło się po żeleźcu, klinga o mało byłaby utkwiała w załamaniu okszy, wykonanym na takie okazje. Powiniennem pójść za ciosem w stronę tego, którego ostrze związałem przed chwilą. Dlatego właśnie skoczyłem ku drugiemu. Tego się nie spodziewał ani on, ani nikt z patrzących. Chwyciłem szeroko drzewce, uderzyłem z dołu ku górze, podbijając uzbrojoną rękę. Szpada odleciała, brzęknęła na posadzce pod ścianą. Poprowadziłem ruch dalej, okute drewno wycięło żołnierza w szczękę. Mogłem skupić się na ostatnim. Podchodził powoli, ostrożnie. Widziałem kątem oka, że Rutzky chce posłać mu w sukurs więcej ludzi, ale cesarz zabronił. Patrzył na zmagania z zafascynowaniem. Widać na moment obudziła się w nim dawna pasja do łowów i niebezpiecznych zabaw.

Nieszczęsny gwardzista zamierzał zanurkować pod halabardą, w przelocie zadać mi cięcie na nogi. Nie mógł przewidzieć, jak błyskawicznie potrafię obracać ciężką bronią. Ledwie wykonał szybki, płynny przewrót do przodu, napotkał młynkujące drzewce. Trzeba przyznać, że był bardzo sprawny. W półpancerzu trudno bowiem tak zwinnie się poruszać. Staralem się mierzyć tak, aby nie trafić go ostrzem, lecz przeciwnym końcem. Legł, sycząc z bólu, bo wytrąciłem mu z dłoni klingę, tłukąc przy tej sposobności przedramię.

Spojrzałem na Rudolfa, potem pozostałych panów. Rzuciłem niedbale halabardę.

–Mam nadzieję, że udało się udowodnić, co trzeba, najjaśniejszy panie.

–Czelny jesteś – rzekł bez złości Rudolf. – Rzeczywiście widzę dowodnie, iż gdybyś zamierzał mnie zgładzić, gwardziści niewiele mogliby wskórać. Och, oczywiście zostałabyś zabity zaraz potem, jednak dla martwego cesarza byłaby to pociecha niezmiernie słaba. Jednak to, co mówiłeś o niebezpieczeństwie, nie dotyczyło tylko takich rzeczy. – Wskazał leżących strażników. – Było w twoim głosie coś więcej. I chcę wiedzieć, co.

Milczałem. Ty byś chciał wiedzieć, Albert Łaski, Zamoyski, Żółkiewski, towarzysze z wybranieckiej rotty, z pewnością Prohyry i inni Kozacy.

–Odpowiadaj, kiedy pan pyta! – cisnął się jakiś usłużny dworak.

Obrzuciłem go pogardliwym spojrzeniem.

–Odpowiadaj! – zniecierpliwił się Rudolf.

–Nie mogę, wasza cesarska wysokość – odparłem. – Są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć.

Patrzył na mnie długo przenikliwymi oczami. Nie unikałem jego wzroku. Na pewno nie był do tego przyzwyczajony, żyjąc w otoczeniu pochlebców, ale nie wydawał się zbity z tropu

moją hardością. Dzięki tym zmaganiom mogłem dostrzec na dnie źrenic cesarza cieplejsze błyski, świadczące jeśli nie o mądrości, to na pewno o skłonności do przemyśleń. Ten, kto poświęca czas na dociekania, zawsze potrafi budować swoje wnętrze z bogatszych surowców niż tacy, którzy patrzą tylko, gdzie by tu coś urwać, wzbogacić się, wspiąć po cudzych plecach.

–Dobrze – rzeki powoli. – W takim razie zostaniesz na moim dworze. Nie ciekawi mnie, czy sobie tego życzysz. Wystarczy, że takie są moje rozkazy. Chyba że masz chęć zobaczyć swojego przyjaciela, pana Łaskiego, wyprowadzanego stąd w kajdanach. Zawsze mogę go wydać inkwizytorom pod byle pretekstem. Wszyscy wiemy, iż uprawia nekromanckie praktyki.

–Jak wszyscy tutaj – zaproponował wojewoda.

–Nie mówimy o wszystkich – padał lodowata odpowiedź – jeno o tobie.

Łaski spojrzał na mnie pytająco. Powoli skinąłem głową. W końcu wszystko mi jedno, gdzie się znajduję.

–Zajmie się tobą mój zaufany alchemik – zwrócił się do mnie cesarz. – Oto pan John Dee.

Pojawił się jakby znikąd. A może przebywał cały czas w sali, ukryty za plecami innych. Łaski na jego widok uczynił krok do przodu, jakby chciał się przywitać, ale zatrzymało go groźne spojrzenie cesarza.

To on, Jakubie! Blanka była przestraszona. *To ten, który widzi więcej od innych.*

To ten, który przepowiedział Albertowi Łaskiemu, że zostanie królem. Co robi w Pradze? Dołączył do zbiorowiska tych wszystkich cudaków w alchemicznych myckach, ślęczących nad zakurzonymi księgami z własnej woli, czy też przygnało go tu przeznaczenie?

–Panie Dee – cesarz niedbałym gestem wskazał w moją stronę – zajmiesz się

naszym nowym gościem. Może on zdoła dopomóc tobie i Kelleyowi w poszukiwaniach. Niezwykle wyzwania potrzebują niezwykle ludzi. Zaś pan, panie Albercie – spojrzal na wojewodę – niech wyjedzie jak najprędzej z Pragi. Moja niełaska, łagodna jeszcze dzisiaj, może się okazać zabójcza, jeśli będziesz tutaj przebywał zbyt długo.

*** * ***

Pośród ciemnych korytarzy czułem się jak w domu. Domu? Raczej jak w bieckiej akademii. Pod Hradczanami rozciągało się prawdziwe mroczne dominium, które mogłoby przypaść do gustu mitycznemu Minotaurowi. I, rzecz jasna, także mnie. Pracownia Johna Dee znajdowała się w wieży, pilnie strzeżona przez pałacowych gwardzistów. Również przy wyjściach z podziemi stały silne wachty. Początkowo przypuszczałem, że pilnują one, by ktoś nie zakradł się do uczonego i nie wykradł tajemnic. Potem dopiero przyszło mi do głowy, iż strażę pilnują raczej, aby Dee i jego asystent Edward Kelley nie opuścili miejsca zamieszkania.

–Los alchemika – westchnął Anglik, kiedy go o to wprost zapytałem. – Władcy z jednej strony nie ufają takim jak ja, z drugiej pragną korzystać z owoców ich pracy. W tobie też cesarz musi pokładać nadzieje, skoro oddał cię pod moją opiekę.

–Nadzieje? – prychnąłem. – Jestem tylko podróżnikiem...

–Nie tylko! – odparł z mocą. – Rudolf uważa cię za ludzką salamandrę, a ta jaszczurka w naukach tajemnych ma ogromne znaczenie.

Wtedy rozmowę przerwało nam wejście żony uczonego. Była piękna, młodsza od męża pewnie o połowę. Ulotna, zwiewna istota o drobnych dłoniach i kształtnych piersiach. Twarz miała pełną słodyczy. Dee natychmiast porzucił rozmowę, a ja poszedłem spacerować w podziemiach.

Spodobała ci się, Jakubie? Prawdziwa kobieta, nie coś, co jest tylko duchem w głowie. Twoje lędzwie pozostają w gotowości, myśli zaprzęta tylko jedno pragnienie.

Przestań, Blanko! To tylko myśli. Przecież jest piękną niewiastą. A ty nie powinnaś być zazdrosna. W życiu kochałem tylko jedną kobietę. Ciebie.

A jednak, gdybyś mógł, nie zawahałbyś się spędzić z nią kilku rozkosznych chwil.

–Potrafisz być okropna – powiedziałem głośno. Echo zatańczyło pod zwieńczeniem sklepieniem łukowato korytarza. – Zręczliwość jest jednym z największych grzechów przeciwko drugiemu człowiekowi.

Zamilkła, urażona. Potrafiła dać odczuć swoje niezadowolenie. Wtedy sięgała głęboko w mój umysł, żeby wydobyć jakieś przykre, zapomniane albo dawno niewspominane przeżycie. Tym razem była to próba oparzeń.

Z ciekawością obserwowałem, jak Mistrz Ambroży warzy w tyglu miksturę. Ze znanych mi rzeczy wlał tam tylko rozgrzany łój i okowitę. O reszcie składników nie potrafiłem wtedy powiedzieć ani słowa. Pachniała łagodnie i ostro zarazem, upojnie i orzeźwiająco.

–To mieszanka ziół – odezwał się, powoli mieszając drewnianą łyżką – która powoduje, że skóra człowieka staje się bardzo wrażliwa na dotknięcie gorąca, a

jednocześnie przyśpiesza gojenie. Niedouczony kat będzie lał na przesłuchiwanego zwykły tłuszcz. Owszem, ból jest wielki, jeno skóra potem przestaje być podatna na następne męki. Tworzą się ropne bąble, trzeba je przekłuwać i nacierać maściami, by się zabił. Zaś po zagojeniu nie ma już w skórze dawnego czucia. Zresztą w procesie nie ma czasu leczyć tak gruntownie przesłuchiwanego. Dlatego trzeba użyć wiedzy.

Sięgnął do miecha, by podniecić ogień na palenisku. Był groźnym mistrzem. Groźniejszym niż ci, z którymi miałem dotąd do czynienia. Nie to, żeby wyróżniał się postawą czy surowością, ale miał w twarzy mrok – coś, co przywodziło na myśl grozę, jaką przezywają ludzie patrzący na zaćmienie słońca.

–Jeśli wylejesz na skórę sporządzoną przeze mnie mieszankę, nie dość, że ból będzie niepomiarowo większy niż zwyczajnie, ale za dwa, góra trzy dni, rany się zabił i można

przesłuchiwanego poddać następnej torturze. Do tej pory nie spotkałem się z nikim, kto by odmówił zeznań po powtórnych badaniach. A i duszę takiego łatwiej wtedy...

Przerwał i spojrzał na mnie bystro. Nadstawiłem uszu. Pierwszy raz od przybycia do akademii ktoś powiedział cokolwiek o duszy oprócz Mistrza Czarnej Śmierci. Wszyscy dotykali tylko spraw cielesnych. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że to ze strony uczniów niewiedza, zaś ze strony mistrzów ostrożność, by przypadkiem nie wyjawiać strasznych tajemnic właśnie takim nieostrożnym słowem. Ambroży powrócił do mieszania mikstury.

–To wielki sekret – oznajmił. – Skład tej mieszanki jest tak samo tajny jak wiadomość o miejscu, w którym przebywa Mistrz Czarnej Śmierci. Lecząc, gdy zostaniesz zaprzysiężony, w swoim czasie poznasz wszystko. Trzeba ci wiedzieć, że po sporządzeniu mieszanki trzeba jej użyć najdalej w ciągu trzech dni. Inaczej traci swoje wyjątkowe parzące właściwości i działa słabiej niż zwykły łój. Za to nadaje się doskonale do smarowania ran po oparzeniach, bo nabiera niezwykłej siły leczącej.

–Sporządzasz ją dzisiaj, Mistrzu, tylko po to, aby mi to pokazać?

Uśmiechnął się krzywo.

–Oczywiście wiem, o co pytasz w istocie rzeczy. I zapewne domyślasz się, że nie używam cennych składników tylko po to, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Jutro będzie przesłuchiwany pewien zbój ze sławnej bandy Rocha. Udamy się wprawdzie do pana hutmana, a on wprowadzi nas do lochów. Będziesz mógł zobaczyć, jak mikstura działa. A na razie...

Zajrzał do tygla, pociągnął lekko nosem.

–Gotowe – mruknął.

Potem uczynił coś, czego zupełnie się nie spodziewałem. Podwinął rękaw i prędkim ruchem wydobyl drewnianą łyżkę, z której spływała wielka kropla. Pozwolił, by spadła na obnażone przedramię. Zaskwierczała, dotykając skóry, a mnie przeszył dreszcz na myśl o katuszy, jaką potrafi zadać. Mistrz Ambroży przymknął oczy, jakby wsłuchiwał się w doznania płynące z oparzonej ręki. Nie było po nim znać bólu. Rzekłbym, iż wyglądał na raczej zadowolonego.

–Wspaniale – powiedział. – Jest jak należy. Chcesz się przekonać?

Oblizalem spierzchnięte nagle wargi. Musiałem przecież okazać się godnym pobierania nauk u tak biegłego mistrza... Trzeba znowu przezwyciężyć strach i słabość... Bez słowa odkryłem ramię. Przymknąłem oczy.

To było uczucie, jakbym cała rękę wetknął do kotła z wrzącą smołą. Nigdy przedtem nie przeżyłem czegoś podobnego! To nie było tylko wrażenie oparzenia, ale wręcz pewność, że całe ramię objął niepowstrzymany pożar, a jednocześnie ktoś zgniata ją wielkimi, tępymi cęgami.

Jęknąłem. Nie mogłem się powstrzymać. Natychmiast zerknąłem na Mistrza. Patrzył na mnie z wielką uwagą.

–Nie wrzeszczysz, chłopcze? – raczej stwierdził niż zapytał. – Niewielu takich tu było. A

wiem przecież, jaki to okrutny ból...

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

–A może mikstura jest za słaba?

–Nie, Mistrzu – wyszeptalem. Oblizalem krew z ust. Musiałem je nieświadomie przygryźć. – Gdyby ból był odrobinę większy, nie wiem, czy bym nie omdlał, albo i skonał...

Balem się spojrzeć na swoje ramię. Byłem pewien, że stanowi jedną wielką ranę.

–Poczekaj chwilę – rzekł Mistrz.

Wydobył z zanadru niedużą fiolkę, odkorkował ją i wylał na palec kroplę czegoś, co przypominało gęsty olej. Potem dotknął tym palcem miejsca, gdzie tkwiło ognisko bólu. Po krótkiej chwili ból zaczął ustępować. Spojrzałem z niedowierzaniem na rękę.

Boże mój... Oparzenie nie było większe niż ślad, który zostawia kropla deszczu.

Daj już spokój, Blanko. Przypomnienie bólu sprawiło, że całe ciało pokrył zimny pot. Kat musi zaznać cierpienia, ale u zwyczajnego adepta wspomnienie ginie jak każde inne, zostaje tylko świadomość, jak mikstura albo urządzenie działa, w jaki można zadać największe katusze. Ty zaś potrafisz sprawić, że przeżywam to ponownie, jakby się zdarzyło zaledwie przed chwilą.

–Witaj, panie Jakubie. – Niespodziewanie zza zakrętu wyszła męska postać z lampą, jakiej używają oficerowie podczas nocnych marszów – w solidnej żelaznej obudowie zwierciadło z zapaloną przed nim świecą. Nie daje tyle blasku, co pochodnia, pozwala łatwiej się ukryć, a jednocześnie dość dobrze oświetla drogę.

Przede mną stał Edward Kelley. Nie lubiłem go od pierwszego wejrzenia. Trudno zresztą mówić o wejrzeniu, bo niechętnie patrzył rozmówcy prosto w oczy i napotykał jego wzrok tylko w chwilach, kiedy był do tego zmuszony. Nigdy też nie zdejmował mycki zakrywającej czoło i uszy. Ponoć nawet w kościele siedział w niej, utrzymując, iż ma głowę niezmiernie wrażliwą na przeciągi.

–Witaj, panie Edwardzie – odpowiedziałem. Zamierzałem go wyminąć, ale stanął na mej drodze niby sękaty pień. – Czego ode mnie chcesz?

–Pomówić.

–Słucham.

–Z kim przed chwilą rozmawiałeś, panie Jakubie?

–Ze sobą, panie Edwardzie. Chciałem zamienić słowo z życzliwym człowiekiem.

Innego nie znam.

–Wypadłeś spod skrzydełek Alberta Łaskiego – uśmiechnął się krzywo – czujesz się więc niepewnie?

Patrzyłem na niego długo. Po raz pierwszy widziałem, żeby nie unikał spojrzenia.

–Lepiej wypaść spod czyichś skrzydełek niżeli spod ogona. Drgnął, zauważyłem w jego oczach błysk głębokiej niechęci, może nawet nienawiści.

–Kąśliwy masz język, tajemniczy przybyszu.

–Mów, czego chcesz. Mam parę spraw do przemyślenia.

–Jesteś młody – rzekł w zamyśleniu. – Młodszy niż sprawiasz wrażenie. Młodszy niż chcesz się wydawać.

–Chcesz zapytać o mój wiek, panie Kelley? W tym celu nie trzeba było szukać mnie aż tutaj.

–Nie lubisz mnie, prawda?

–Z wzajemnością, jak mniemam.

–Pełną – roześmiał się z przymusem. Zapewne najchętniej wsadziłby mi między żebra zdradzieckie ostrze, gdyby się nie bał, iż może się to dla niego smutno skończyć. – Nie jesteś dla mnie miłym gościem.

–W takim razie niechaj każdy z nas idzie w swoją stronę.

Chciał mnie zatrzymać, ale odsunąłem go stanowczym gestem.

–Jeszcze pożałujesz, żeś tu przybył! – rzucił.

Nie odwróciłem się. Był wart mniej od psiego łajna i mniej znaczył, choć całym sobą pragnął stać się kimś ważnym.

* * *

John Dee pisał w grubym brulionie. Pióro skrzypiało. Marszczył brwi, twarz miał skupioną, jakby usiłował napisać więcej, niż człowiek jest w stanie.

–Niebawem nadejdzie dzień, że dopuszczę cię do moich *actions* – powiedział, podnosząc wzrok. Ostatnie słowo wymówił po angielsku. Wiedziałem już, o co chodzi. Rozmowy z duchami. – Jednak muszę się o tobie więcej dowiedzieć. O tobie i twoim towarzyszu, a może raczej towarzyszce.

On mnie wyczuwa, Jakubie! Wiedziałam to już wtedy, w sali zamkowej.

Milczałem, pokrywając ciszą zmieszanie.

–Mówiłem ci już przedtem. Dla cesarza jesteś salamandrą, ogniwem koniecznym w pracach nad kamieniem filozoficznym. Jednak z mojego punktu widzenia jesteś kimś o wiele bardziej interesującym. Dałbym wiele, aby poznać twoją przeszłość.

–A ja dałbym wiele, aby o niej zapomnieć, a najlepiej ją zmienić.

–Tak jest w życiu bardzo często. Człowiek żałuje decyzji, splotu okoliczności, w który sam się wplątał. Ja, dla przykładu, od miesiący siedzę w zamknięciu, bo zachciało mi się przyjechać do Pragi, miejsca pielgrzymek alchemików.

–Wywróżyłeś, panie Dee, wojewodzie Łaskiemu, że Batory umrze niebawem, a on zostanie królem Polski. Jeśli to się stanie, ujmie się za tobą.

Porzucił pióro i oparł się wygodniej.

–Nie kpij, panie Jakubie. Duchy powiedziały, że może zostać królem. Może,

rozumiesz? Jeśli Węgier umrze, a on spełni odpowiednie warunki. Ale to już nieistotne. Pan Albert nie

uczynił nic, aby do tego doprowadzić.

–Raczej król Stefan uczynił wszystko, aby odsunąć zagrożenie z jego strony. To bardzo przedsiębiorczy władca. Skoro tylko doszły do niego słuchy o przechwałkach wojewody, postarał się pozbawić go możliwości działania i wygnał z kraju. Trochę poznałem Batorego. Dla niego wróżba, że umrze w ciągu roku, a Łaski obejmie tron, oznaczała, że śmierć nastąpi najpewniej na skutek spisku zainteresowanego.

–Zapewne masz rację. Jednak król niepotrzebnie się lękał. Albert należy do ludzi, którzy mówią zamiast działać. Ale nie o nim chcę z tobą rozmawiać. Bardziej ciekawi mnie to, co w tobie wyczuwam. Nigdy nie jesteś sam, chyba się nie mylę?

–Byłoby głupotą zaprzeczać. – Wzruszyłem lekko ramionami. – Skoro wiesz, panie Dee, po co pytasz?

–Czasem pytanie zadaje się nie po to, by uzyskać odpowiedź, ale właśnie żeby dać rozmówcy znak, iż się o czymś wie. Nim jednak wypytam cię dalej w tej sprawie, wpierw wyjaśnij, dlaczego żywisz tak wielką antypatię do mego zaufanego towarzysza, Edwarda? Skarżył się na ciebie. Podobno bardzo źle go potraktowałeś w podziemiach.

–To samo pytanie można zadać i jemu. Nie szukam zwady, ale nie znalazłem się tutaj z własnej woli, bym miał znosić uwagi i zaczepki jakiegoś gbura.

–Martwi mnie, że nie potraficie dojść do porozumienia.

Kelley jest jak Bartosz, prawda, mój kochany?

Tak, masz rację. Przypomina go dość mocno. Ma takie samo spojrzenie, złe, a jednocześnie przyczajone. Wczoraj, podczas rozmowy z nim, jak żywe stanęły mi przed oczami spotkania z Bartoszem wśród krętych korytarzy uczelni. Tamten też na pewno czaił się gdzieś w pobliżu, czekając na sposobność, by zostać ze mną sam na sam, bez świadków, sączyć jadowite słowa i złe myśli.

–Tak bywa między ludźmi – powiedziałem, żeby milczenie nie trwało zbyt długo.

–Tak bywa. I muszę się z tym pogodzić.

Jakubie, ten człowiek jest nieszczęśliwy. Chce czegoś, czego mieć nie może, pragnie być kimś, kim nigdy się nie stanie.

Jak każdy. Czy i my nie marzymy o rzeczach, które są nieosiągalne?

Tak, ale my zdajemy sobie sprawę z ich nieosiągalności, zaś jego opanował obłęd. Łagodny obłęd, który sprawia, iż mrzonki zdają się namacalne, na wyciągnięcie ręki.

Skąd wiesz to tak dokładnie?

Bo jego umysł jest otwarty. Wyczuwa moją obecność, ale w zamian ja poznaję jego myśli. To nieprzyjemne, ukochany. Czuję się naga.

–Twój duch jest niespokojny – zauważył alchemik. – Czy to z mojego powodu?

–Tak, panie Dee. Jesteś pierwszym, który odgadł tak trafnie, iż noszę w sobie nie tylko swoją duszę.

–Twojej nie dostrzegam tak wyraźnie. Dobrze widzę jedynie tę drugą. Tak jakbyś miał

dwie, ale żadnej w pełni. Czy przyprawia cię to o cierpienia?

Dziwne pytanie, a jednocześnie jakże trafne. Blanko, czy my cierpimy? Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób. Ale może mieliśmy tak trudne życie, że nie potrafimy owego cierpienia nazwać?

Tyle zaznałam ciepła i słodczy, ile zmieściło się w naszych ramionach. Tyle dobra mnie spotkało, ile byłeś przy mnie. Tyle chwil nie czułam się zhańbiona i poniżona, ile miłości mogłam wyczytać w twoich oczach. Tyle... Nie wiem, Jakubie, mój kochanku, moje niespełnione do końca pragnienie. Doprawdy nie potrafię powiedzieć, czy cierpimy. Chyba wolę być jednak z tobą i przy tobie tak jak teraz niż wcale.

–Nie mówmy o moim cierpieniu – powiedziałem wymijająco. Niech John Dee myśli co chce. Niech ma o czym myśleć. – Pomówmy o twoim, mój panie.

Drgnął. Widziałem to wyraźnie. Drgnął, jakby został żgnięty rozpaloną ostrogą.

–Co masz na myśli?

–To właściwie powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie. Jesteś nieszczęśliwy, panie Dee. Czy trzeba coś dodawać? Jaki jest tego powód?

Zadałem to pytanie, aby odwrócić rozmowę. Nie spodziewałem się, że alchemik w tej chwili wyjmie papier, spisany po łacinie. Podał mi, gestem zachęcił do przeczytania. Zagłębiłem się w lekturze. Był to długi na dwie strony wywód. Zaraz zrozumiałem, iż dotyczy jakiejś sławetnej *action* Johna Dee i Kelleya. Zerknąłem na podpis. Pismo sporządził Edward na życzenie swego mistrza. Treść przebijała się do mnie dość długo, zanim zrozumiałem, czego właściwie dotyczy. Cytat z wypowiedzi jakiejś Madini: „Wy macie mieć tak swe żony, abyście ich wspólnie używali”. Zerknąłem na alchemika. Czekał, aż skończę, zapatrzony w ciemny kąt. Powróciłem do czytania. „I przemówił anioł: Na białym krucyfiksie napisane jest, co następuje: Moja łaska jest ważniejsza niż moje przykazanie. A jest to łaską, że głupiemu człowiekowi dozwolona zostaje szczęśliwość. I powiedziane jest: to stanie się lub zwróconą wam zostaje wasza wolność. Zaprawdę mówię wam: Gdy powiem do człowieka: idź i zaduś brata twego, a on tego nie uczyni, jest synem grzechu i śmierci. A wybranym jest wszystko dozwolone co możliwe i narządy płciowe nie są dla was bardziej nieprzyzwoite niż twarze ludzi”³.

Cały wywód Kelleya dotyczył sprawy, która nie do końca była dla mnie jasna. Wspólne używanie żon, o tym była mowa. Według pisemnych wyjaśnień Edwarda miało być ono rozkazem samego Boga. Podniosłem wzrok na Dee. Bez słowa podał mi następną kartkę. „Cztery osoby, których głowy pod kryształową koroną, ciała zaś zdawały się zamknięte w białej kolumnie, zobowiązują się wobec Najwyższego, że pozwolą rządzić sobą bez różnicy małżeńskim obowiązkom, miłości bliźniego i swobodzie”. Pod spodem podpisy Johna Dee, Edwarda Kelleya i ich żon. Wreszcie zrozumiałem.

Cytaty za studium kulturalno-historycznym *John Dee – spirytysta XVI wieku* Karola Kiesewettera, tłum. D. Gostnicka R. Bugaj, w: *Almanach Radiestezyjny* nr 5, Bydgoszcz 1991 (przyp. aut.)

–Zgodziłeś się, by ten szubrawiec korzystał z wdzięków twojej małżonki?

Opuścił oczy.

–Ale i ja jego wzajem...

Spojrzałem krytycznie. Starszy człowiek, zmęczony życiem, gdzie mu tam do amorów i cudzołożenia!

–Doprawdy oznajmił wam te rozkazy sam anioł? Kto to jest Madini?

–Właśnie Madini przekazała wolę Boga. To duch dziewczynki, który od lat towarzyszy mi w seansach. Uwielbiam tę małą tak bardzo, że nadałem właśnie takie imię córeczce.

To straszne! Do Blanki dotarło znaczenie rzuconych przed chwilą słów. *To okropne! Cóż to za człowiek, ten Kelley? Jakubie, on jest bodaj gorszy od Bartosza i Winiewskiego razem wziętych!*

–Naprawdę wierzysz, że to wola pana niebios? – Spojrzałem na alchemika z niedowierzaniem.

–Edward jest doskonałym medium. Jeszcze mnie jego wizje nie rozczarowały...

Tu cię wiedli. Nasz nigdy niezdejmujący czapki szubrawiec jest narzędziem do wywoływania duchów! Naiwność doświadczonego, mądrego człowieka zdawała się niewyczerpana. W tej chwili przyszła mi do głowy pewna myśl.

–Twoja żona jest ciężarna, panie Dee, prawda?

Znów drgnął, zaskoczony.

–Skąd się dowiedziałeś, Jakubie? To dopiero początek trzeciego miesiąca. Nic jeszcze nie widać.

–Nie widać, zgoda. Ale mam pewne doświadczenie z ludzkim ciałem. Widziałem ją raz zaledwie, ale wydała mi się niesłychanie pociągająca. Rzekłbym – nienaturalnie. Pełna słodczy pomieszanej z wyzwaniem. Nie patrz na mnie takim oburzonym wzrokiem, drogi panie. Stwierdzam jedynie fakty. Zanim powiesz coś niestosownego, wysłuchaj do końca, co chcę rzec. Kobieta w ciąży potrafi być właśnie tak pociągająca. Jej ciało, mimo iż nosi już nowe życie, pragnie jednocześnie więcej niż zwykle ciepła, uczucia. Niewiasta staje się wtedy... jakby to rzec... lepka. Nie posądzam twej małżonki o sprośne myśli. Po prostu ciało mężczyzny tak wyczuwa brzemienną kobietę.

Początkowo wzburzony, Dee opanował się już.

–Możesz mieć słuszność – rzekł z zastanowieniem. – Nie studiowałem nigdy sztuk medycznych od tej strony, ale rzeczywiście w ostatnim czasie małżonka i dla mnie stała się bardziej ponętna...

A to, pomyślałem, świadczy, iż nosi w łonie nie twoje dziecko, nieszczęśniku. Nasienie Kelleya wydało owoce. Potrzęsnał głową.

–Dość o tym. Chciałeś wiedzieć, czemu jestem nieszczęśliwy, otrzymałeś wyjaśnienie.

–Dlatego dziwię się, iż zgodziłeś się na coś podobnego.

–Nie można sprzeciwiać się woli Boga.

–Myślisz, że Bóg pragnie cię unieszczęśliwić?

–Myślę, że to jest próba, zesłana na moją osobę niby na Hioba. Mam dać dowód, iż jestem pokorny, godny odkryć recepturę sporządzania kamienia filozoficznego.

Poczułem powiew szaleństwa. Człowiek, jeśli chce, potrafi wszystko sobie wytłumaczyć. Osobliwie gdy jest opętany wielką ideą, nieważne, słuszną czy nie.

–Wyjawileś mi sekret – powiedziałem. – Na końcu dokumentu znalazłem zdanie, iż tego, kto zdradzi tajemnicę komuś niegodnemu, ukarze natychmiastową śmiercią boska moc.

–Uznałem, że jesteś godny wtajemniczenia. A ponieważ nie padłem rażony gromem ni apopleksją, Bóg uznał widać słuszność moich poczynań.

Nie wiem wreszcie czy jest on mędrce, czy szaleńcem. Coś w nim się kotłuje, nie potrafię tego zrozumieć...

Może jest i mędrce i szaleńcem. Czy to by było takie dziwne na świecie, na którym chory na umyśle człowiek zostaje cesarzem, a jego doradcy są szarlatanami i szubrawcami? Na świecie, na którym ten, kto roznosi czarną śmierć, bywa litościwszy od takich, którzy powinni dbać o bliźnich. Na świecie, na którym lęk i zgroza częściej chodzą w parze niż szczęście i radość.

–Czego ode mnie oczekujesz, panie alchemiku? – spytałem.

–Pomocy, panie Jakubie. Jesteś żywym uosobieniem tajemnicy. Może potrafisz wyjaśnić sprawę, których nie rozumiem.

* * *

Hans Marquard, zwany na dworze cesarskim Kürbachem, wpatrywał się w skomplikowany wykres. Był uprzejmy. Niezwykle uprzejmy. Nazbyt uprzejmy. Niepokojąco uprzejmy.

–Mam tu twój horoskop – rzekł miękko, atlasowym głosem. – Nie rozumiem, jak to możliwe, ale twoje życie urywa się cztery lata temu. Wedle najlepszej astrologicznej wiedzy jesteś martwy, mój panie. Rzekłbym nawet, iż martwy podwójnie, bo aż dwa symbole twojej egzystencji gasną w tej samej godzinie. Niewiele z tego pojmuję. Ale to nic. Na twoim horoskopie połamali zęby i Tadeusz von Hajek, i Marcin Ruland, i Mardocheus de Delie, i Johannens Frank, i nawet Marcin Rutzky. Ale i to mało. Sam Tycho de Brahe, gdym mu pokazał rysunki, chwycił się za głowę. Wiesz, co rzekł? „Miecz widzę, krew i morowe powietrze”. Coś ci to mówi?

Nie odpowiedziałem. Zresztą Kürbach nie oczekiwał odpowiedzi.

–Ale nawet on nie potrafił nic więcej wyciągnąć z tego układu gwiazd. Nie wiem, co to oznacza, ale na pewno nic dobrego, przynajmniej dla ciebie. Dokąd przebywasz pod opieką Johna Dee, jesteś bezpieczny. Jednak skoro on popadnie w niełaskę, co może się stać w każdej chwili, skończy się dla ciebie dobry czas.

Tego nie wytrzymałem.

–Dobry czas? Przebywanie w zamknięciu nazywasz dobrym czasem?

–Lepsze to niż gnić w lochach.

–Ale gorsze niżli swobodnie chodzić po świecie. A poza tym, co znaczy, że Dee może popaść w niełaskę? Siedzą wraz z Kelleyem jak w klatce, zniewoleni i bezradni. Wyjść nigdzie im nie wolno, strażę rozstawione gęściej niż w wojskowym obozie.

–Ale cesarz pokłada w nich wielkie nadzieje. Szczególnie od przybycia Edwarda. Ten bowiem przywiózł czerwony proszek, dzięki któremu potrafi zamienić w złoto nie

tylko srebro, ale nawet ołów.

–Tynkturę? – parsknąłem śmiechem. W uczelni opowiadano nam o poszukiwaniach magicznego proszku. Kiedyś Mistrz Rektor miał okazję przesłuchiwać człowieka, który posiadał takowy i czynił cuda. – Słyszałem o alchemiku umiejącym zamieniać z pomocą tynktury ołów w szlachetny kruszec. Niestety, potem okazało się, iż magiczną substancją była sproszkowana cegła zmieszana z jaskółczym zieleń i dobrze wysuszona. Zaś złoto w tyglach brało się z własnych kieszeni szalbierza.

–Co się z nim stało?

–Został poćwiartowany, a potem spalony.

–To samo – uśmiechnął się krzywo Kürbach – czeka Kelleya, jeśli okaże się oszustem. Podobnie jak wszystkich z jego otoczenia, w tym Johna i ciebie. Nasz Rudolf, zwany niemieckim Hermesem Trismegistosem, na własne oczy widział przemianę, a co więcej, sam jej dokonał przy pomocy Edwardowej tynktury. I ja na to patrzyłem, uważnie i wręcz wrogo, jednak nie zauważyłem oszustwa. A to oznacza, że albo Kelley jest szalbierzem o niepospolitych zdolnościach, albo rzeczywiście posiadał alchemiczną substancję. W obu wypadkach należy go mieć na oku, by wykorzystać należycie jego zdolności. Do czasu. Bowiem kiedy tylko alchemicy okażą się zbędni, łącznie mogą stać się posiłkiem dla ryb w Weltawie.

–Nie rozumiem jednego. Dlaczego rozmawiasz ze mną tak otwarcie? Przecież mogę ich przestrzec. Powinienem nawet.

–Rozmawiam tak, bo mogę mieć swoje kaprysy. Bawi mnie, że choćby się dwoili i troili, podejmowali nie wiedzieć jakie próby, zostaną koniec końców sam na sam z okrutnym strachem. Nigdy nie będą znali dnia ani godziny.

On pragnie, byś wszystko powiedział panu Dee. Dlaczego?

To płaski dworak, moja najmilsza. W życiu zaznaje radości tylko wtedy, gdy uda mu się poniżyć i upodlić konkurentów do łask monarchy.

–Nie wierzę też w twoje cudowne ocalenie z ognia. Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale jestem pewien, iż to sprytna sztuczka, aby się zbliżyć do cesarza, wyłudzić pieniądze, wkraść na Hradczany.

Patrzyłem na niego z mieszanymi uczuciami. Nie wiedziałem, czy więcej odczuwam

pogardy, złości, czy też rozbawienia.

–Tobie się zdaje, pieczeniarszu – rzekłem spokojnie, wręcz miękko, tak by go jak najbardziej podenerwować – że każdego mierzy się twoją miarą? Tobie jest wszystko jedno, czy wisisz przy cesarskim berle, przy podwiązce, czy może koło tyłka. Każde pierdnięcie pana będziesz chłonał niby najwspanialszą perfumę, będziesz chwalił ją za cudowny aromat wraz z armią podobnych tobie nieudaczników. Jesteście niczym wszy na łonie starej kurwy, mój panie. Insektom też się pewnie zdaje, że są pępkiem świata, skoro tak często wystawia się je na publiczny widok, tak wielu je odwiedza. Ale naprawdę są jedynie wszami, których nikt nie dostrzega, dokąd nie zaczną jeść jego samego. Treścią ich życia jest pić krew i przysparzać cierpienia. Nie wiadomo, po co je Bóg stworzył, bo do niczego nie służą. Zupełnie jak ty, panie Marquard.

W miarę jak mówiłem, stawał się coraz bledszy, aby pod koniec poczerwienieć ze złości. Poderwał się zza kancelaryjnego stołu. Błysnęło ostrze szpady. Ujrzałem błysk metalu tuż przy oku. Nie poruszyłem się. Miał zbyt rozedrgane ręce, żeby trafić. Poczekalem, aż klinga do połowy przejedzie obok twarzy, a potem chwyciłem za gardę broni. Pociągnąłem ją ku sobie. Kiirbach oparł się udami o blat, po czym wiedziony siłą ataku i moim ruchem położył się płasko na stole. Wyrwałem mu broń, odrzuciłem pod ścianę. Wbiła się w dębowy zydell. Przekręciłem napastnika brzuchem do góry, przedramieniem nacisnąłem gardło. Próbował mnie odepchnąć, ale był w zbyt niedogodnym położeniu, aby wykonywać zborne ruchy. Wystarczyłoby teraz, bym zdjął rękawicę i dotknął pobladłego policzka. Albo po prostu nadusił mocniej grdykę.

Nie rób tego, miły. Nie uszlibyśmy z życiem.

Nie zrobię, jednak pokusa jest wielka.

–Posłuchaj no, panie Marquard – syknąłem. – Nie jesteś ani mędrcelem, ani wojownikiem, ani artystą. A to oznacza, iż jesteś nikim. Nikim! Pojmujesz? Możesz na targu fasolą handlować, ale i tam trzeba mieć chociaż trochę uczciwości, by nie stać się przedmiotem pogardy, a także trochę sprytu, aby uniknąć losu popychadła. Bo handlarze też są ludźmi godnymi szacunku. Dziwka sprzedająca ciało na ulicy jest więcej warta od ciebie.

Puściłem go. Trzymał się za gardło, rozcierał je w miejscu, gdzie odczuwał największy ból.

–Chcesz, abym nastraszył pana Dee – ciągnąłem. – Pragniesz zemsty na kimś, kto nic złego ci nie uczynił, ale spłynęła na niego łaska cesarza. Powiem ci jedno. Palcem w rzyci namacać taką łaskę. Zaś jeśli chcesz, aby alchemik dowiedział się o zamiarach twoich i innych pokojowców, sam mu to oznajmij.

Spojrzał na mnie wściekle.

–Boisz się, prawda? – spytałem drwiąco. – Boisz się, że może on być w istocie potężnym magiem, zdolnym usunąć z drogi wszelkie przeszkody. I wiesz, co ci powiem? Powinieneś się bać. Widziałem bowiem rzeczy, które czynił. Rzeczy straszne i wielkie. On potrafi zamienić

ołów w złoto bez nijakich tynktur, samą siłą umysłu. Mówię ci o tym, byś nabrał respektu. Respektu i rozumu, zanim zadrzesz z kimś, kto jest tak dobry, że jeszcze nie ukarał cię za machinacje, ale na tyle potężny, by zdmuchnąć takich jak ty jednym podniesieniem brwi.

–Kłamiesz – warknął. – Każde twoje słowo jest fałszem.

–W takim razie nie masz się czego obawiać.

Podszedłem do zydła i wyjąłem z drewna ostrze. Wiedziałem, że Marquard śledzi moje poczynania z uwagą i obawą. Obejrzałem dokładnie broń. Piękny rubin w rękojeści, bogato rytowany kosz osłony, pałak ze splecionych srebrzonych drutów, lśniąca głownia. Jednak przy wydobywaniu usłyszałem cichutkie pstryknięcie.

–Broń na pokaz. – Odwróciłem się do rozmówcy. – Jak wszystko tutaj.

Niezbyt mocno uderzyłem płazem o dębinę. Klinga pękła w połowie.

–Uważaj następnym razem, co ci sprzedają. Gdybyś się pojedynkował, takie

ostrze zdradziłoby cię prędzej od niewiernej małżonki. Pozory ukryte w pozorach. Następnym razem, kiedy zechcesz ze mną rozmawiać, pofatyguj się do mnie, w podziemia. Razem posłuchamy, jak Wełtawa płynie nad naszymi głowami. Pokażę ci miejsce, gdzie rzeka przesiąka, bo budowniczowie źle wykonali robotę. Tam będziesz mógł zastanowić się nad kruchością istnienia. A teraz żegnaj.

–Chyba że to ty będziesz miał do mnie sprawę – uśmiechnął się krzywo, pokrywając tym grymasem drżenie warg. – A to może się stać szybciej niż myślisz.

–Wtedy będę się martwił. Na razie radzę przemyśleć, coć powiedziałem.

Zostawiłem go z ponurymi myślami i kłamstwem o mocy pana Dee. Niech się smaży powoli w ogniu zazdrości i niepokoju.

Czarne obłoki mocy

Edward Kelley od kilku minut trwał z oczami wywróconymi białkami do góry. Mamrotał pod nosem niezrozumiałe słowa. Podobno to zwyczajna rzecz podczas transu mediumicznego. Wreszcie wyprostował się, uniósł twarz ku górze.

–Nadeszła Madini.

Przez pomieszczenie przeleciał zimny podmuch. John Dee posłał mi zwycięski uśmiech. Madini – tajemniczy duch dziewczynki, o którym tak często wspominał. Za jej pośrednictwem rozmawiają z istotami przybywającymi z tamtego świata. Patrzyłem na widowisko, słysząc w umyśle szyderczy śmiech Blanki.

Ciekawy jest splot okoliczności, który sprawił, iż Kelley z panem Dee trafili do Pragi.

Edward wyjechał z Londynu z powodów, o których nie chciał rozmawiać z nikim, nawet z Johnem. Przeniósł się do Walii, gdzie zatrzymał się na dłużej w jakiejś gospodzie. Znalazł tam starą księgę w języku starowalijskim. Znalazł... Patrzyłem na jego natchnioną fałszem twarz. Prędzej by ją ukradł albo wyłudził od jakiegoś wieśniaka nieświadomego wartości przedmiotu. Podobno odnaleziono ją w grobie pewnego biskupa. Grób ten znajdował się w miejscowym kościele. Został w czasie jakichś rozruchów rozbity przez pospólstwo i obrabowany. Z treści pierwszych kart księgi wynikało, iż można w niej znaleźć recepturę sporządzenia kamienia filozoficznego. Jednak wolumin to nie wszystko. Z trumny biskupa zrabowano także dwie kule wykonane z kości słoniowej, obie wypełnione tajemniczymi substancjami. Ludzie, którzy spodziewali się znaleźć w grobowcu dostojnika wielkie skarby, zawiedli się srodze. Jedną z kul potłukli na miejscu. Wysypał się z niej czerwony proszek. Drugą zabrał karczmarz. Zamiótł także resztki zawartości zniszczonego naczynia. Sprytny Kelley zaraz wywęszył, iż nieuszkodzona kula zawiera białą tynkturę, zaś proszek musiał być jej odmianą czerwoną. Tak w każdym razie brzmiała jego opowieść.

–Tak, mój drogi – westchnął Dee, który streścił mi dzieje swego współpracownika. – Uważam, że Kościół dawno odkrył tajemnicę, nad którą biedzą się nieszczęśni alchemicy. Odkrył ją, a jednak trzyma pod korcem. Może stosuje wiedzę na własny użytek, bo nieprzebrane skarby duchowieństwa wydają się być większe niżli wszelkie możliwe dochody, niemałe przecież, ale wszak ograniczone. Może nawet król Filip Piękny uknuł spisek przeciw templariuszom nie dlatego, by pozyskać ich skarby, ale żeby zdobyć przepis na sporządzanie tynktur. Zakonnicy podobno odkryli w Ziemi Świętej księgę starożytnych uczonych, zawierające cenne wskazówki. Każdy przecież słyszał o wielkim bogactwie tego zgromadzenia.

Jak Edward przekonał karczmarza do pozbycia się przedmiotów, tego nie chciał powiedzieć. W każdym razie kupił księgę, kulę z białym proszkiem i resztki czerwonego za jednego funta szterlinga. Na pewno musiał użyć wszelkich niecznych sposobów, by uzmysłwić temu człowiekowi, iż owe przedmioty nie są zbyt wiele warte. Kiedy słuchałem opowieści Johna Dee, miałem przed oczami obłudne oblicze Kelleya, słyszałem, jak mówi ciemnemu prowincjuszowi, iż przepłaca znacznie, ale nie chce jego krzywdy, bo zdążył go polubić. A ten naiwny człowiek, któremu owe

przedmioty zdawały się bezużyteczne, sprzedał je bez żalu, zapewne błogosławiąc niespodziewanego dobroczyńcę. Wtedy Edward udał się do Londynu. Odnalazł Johna, o którym słyszał, iż zajmuje się alchemią. Dalej wszystko było już prostą konsekwencją tego spotkania. Dee na widok księgi i tynktur nabrał nadziei, iż we dwóch odkryją tajemnicę kamienia filozoficznego. Tym bardziej, że Kelley zabrał uczonego do warsztatu jakiegoś złotnika, u którego za pomocą czerwonego proszku zamienili ołów w złoto. Wybrali się więc czym prędzej do Pragi, gdzie bezkarnie można uprawiać alchemię, a poza tym blisko znajdują się kopalnie i różne podziemia, w których można dokonywać prób, o jakich wspomina księga.

–Z tego, co opowiadałeś, Jakubie – rzekł w tym miejscu Dee – mój przyjaciel Albert Łaski objaśnił ci, jak wygląda szereg gnostyckich kwaternionów aż do chwili, gdy podstawę ostatniego stanowi *lapis*, ostateczny element... Właśnie. Jednak, jak się okazuje, nie jest on wcale ostateczny. Bowiem stanowi szczyt następnego *quaternio*. Wierzchołki podstawy to cztery żywioły, spoczywające na liniach łączących powietrze z wodą i ogniem, wodę z powietrzem i ziemią, ziemię z ogniem i wodą, wreszcie ogień z ziemią i powietrzem. Gdyby zaś przeprowadzić przekątną przez kwadrat podstawy, połączą one pary przeciwieństw -ogień i wodę oraz ziemię i powietrze. Sam możesz już się domyślić, że te połączenia i antagonizmy są niczym innym jak energią otaczającego nas świata, którą głupi zowią chaosem, a mądrzy porządkiem rzeczy. Najistotniejsze jednak w tym układzie jest to, co znajduje się na przeciwległym do *lapisu* krańcu kwaternionu. To coś, co w alchemii nazywamy okrągłym elementem, zaś wielki Zosimos mówi o nim „element omega”. Jako taki oznacza głowę. W sabejskim traktacie *Platonis Liber Quatorum* czaszka jest nazwana *vas Hermeticum*, naczyniem przemiany. Żebyś do końca wiedział, o czym mówię, dodam, iż określenia *vas* używano jako tożsamego z *lapis*. To zaś oznacza, że między naczyniem a jego zawartością nie ma żadnej różnicy, jest ono tym samym *arcanum*. Według dawnych filozofów dusza jest okrągła, więc naczynie musi być również okrągłe jak niebo i wszechświat. Zatem musi być ono sporządzone z pewnego rodzaju kwadratury koła, dzięki czemu duch i dusza materii mogą je podnieść na wyżyny nieba. Tak twierdził Dorneus, a temu mędrcomi można wierzyć bez zastrzeżeń. Oszczędzę ci szczegółowych opisów produkcji odpowiedniego naczynia, bo to byłoby nudne i zgoła niepotrzebne.

–Twierdzisz, panie Dee – rzekłem – że wystarczy wykonać naczynie, a stanie się ono swoją własną treścią? Tak chcesz zdobyć kamień filozoficzny? Nie przez stworzenie *lapisu*, ale odwzorowanie tego, w czym można go wytworzyć?

–W ogromnym uproszczeniu właśnie o tym myślę. Posłuchaj uważnie. Ktoś przecież wyprodukował tynkturę znaną w grobowcu biskupa. Nie wiem – on sam czy jego księża – ale ktoś ją stworzył. Na własne oczy widziałem dokonywane za jej pomocą przemiany. Nie tylko zresztą ja. Edward dokonał dzieła w domu Tadeusza Hajeka w przytomności jego brata Szymona i Mikołaja Barnaud, lekarza z Francji. Także Rudolf zażyczył sobie ujrzeć działanie proszku. Kelley wypełnił polecenie. Cesarz był tak zachwycony, iż nadał mu tytuł barona czeskiego.

–Czy i ja mógłbym zobaczyć ten proszek?

Jakubie! Prawdziwa ciekawość! Czuję, że po raz pierwszy od bardzo dawna coś cię poruszyło. Nawet po rozmowie z Kürbachem nie okazywałeś równie żywych uczuć.

Tak, Blanko. Bo w Akademii Katowskiej nasłuchiwałem się o tynkturach. Białej, która zamienia ołów w srebro, potrafi uzdrawiać i odmładzać, oraz czerwonej, zamieniającej dowolny metal w szlachetny kruszec, a która może potrafiłaby nawet zapewnić nieśmiertelność komuś, kto by jej regularnie zażywał. Tynktura. To słowo alchemicy wzięli

od barw herbowych. Dawniej oznaczało ono jedynie kolory, jakie rycerz nosił na tarczy. Mistrz Czarnej Śmierci twierdził jednak, że to heraldycy zabrali nazwę alchemikom. Zresztą przecież to nieważne. Najważniejsze, iż nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył w istnienie cudownego proszku. A tutaj słyszę od uczciwego człowieka, jakoby miał go nawet w rękach. Dlaczego więc i ja nie miałbym zobaczyć tego cuda?

–Niestety – westchnął Dee. – Edward to zacny człowiek, bywa jednak nieodpowiedzialny i nieobliczalny. Cały zapas zmarnował na podobne pokazy. Nic nam nie zostało. Poza mną, nim, a teraz i tobą nikt o tym nie wie. Inaczej dworacy zjedliby nas w mgnieniu oka. Staramy się jednak wytrwale poznać recepturę ukrytą gdzieś wśród wersów księgi.

Zagryzłem wargi. Zrozumienie spadło nagle, rzekłbym – boleśnie.

–Liczysz, że pomoże ci istota, która we mnie mieszka?

Nie musiał odpowiadać. Widziałem to w jego oczach. Nadzieja i oczekiwanie.

–Muszę cię rozczarować, panie alchemiku. Blanka nie ma najmniejszego pojęcia o waszych sprawach. Wie tylko tyle, ile ja w tej chwili. To była zwyczajna, prosta dziewczyna.

–Jednak jako dusza może mieć szersze horyzonty... Musiałbym ją wypytać osobiście.

Nie pozwól mu! Jakubie, nie wiem, co to znaczy, ale na pewno nic dobrego!

Uspokój się. Niczego nie uczynię wbrew tobie.

–Boi się. – To nie było pytanie, ale stwierdzenie. – Trzeba wam pokazać seans.

Twoja Blanka musi sama się przekonać, że to bezpieczne.

W ten sposób znaleźliśmy się na jednej z *actions*, jakich Dee z Kelleyem przeprowadzali wiele w ciągu każdego tygodnia. Blanka najpierw się bała, a potem zaczęła chichotać i śmiała się przez cały czas. Mnie powiew grozy wraz ze świadomością obecności duchów skrzypiały mrozem w kościach. A ona się śmiała. O co ci chodzi, Blanko? Dlaczego kpisz? Czy to wszystko fałsz i ułuda?

I tak, i nie, najmilszy. Ty tego nie widzisz. Ale i oni nie widzą. Im się wydaje. Może Dee ma w sobie to coś. Ale Kelley... on nie jest pogrążony w ekstazie. Bardzo by może chciał, ale nie jest. Plecie, co mu ślina na język przyniesie. Mamrocze byle co pod tą swoją mycką. Ten mężczyzna nie ma pojęcia, jak się rozmawia ze zmarłymi.

Ale oni tu są, prawda? Wyczuwam ich obecność.

Są, Jakubie. Są tak samo jak wszędzie. Nie ma miejsca na Ziemi, w którym nie

byłoby jakiejś duszy. Nawet po dnie morza wędrują astralne ciała topielców. A tu jest ich rzeczywiście mnóstwo. Przybywają na te seanse tak samo jak żywi chodzą na teatrum, misteria, oglądają pokazy trup aktorskich.

A Madini, o której John tyle mówi? Jej też tu nie ma?

Jest. Ale inaczej niż im się zdaje. Mówiłam ci. Dee wyczuwa więcej od zwykłych ludzi. Tak dużo, że potrafi wyciągnąć z bełkotu Kelleya trochę prawdy. Obu się zdaje, iż ten szalbierz jest doskonałym medium. Prawda jest taka, że to, co Dee wyciągnie od niego, czyni

tylko dzięki sobie. Ale nie mów mu tego. To prośba od duchów.

Poczułem się nieswojo. W tej chwili dotarło do mnie, że Blanka żyje naraz w dwóch światach. Na pewno przecież widzi dusze zmarłych. Kilka razy dawała o tym znać, ale odsuwałem od siebie tę świadomość.

Widzę, ukochany. Jak myślisz, dlaczego potrafię wydobyć wiadomości, jeśli dotkniesz ciała? Bo duch zjawia się natychmiast, jeśli się niepokoje jego szczątki. Dlatego należy chować zmarłych. Dlatego też często hieny cmentarne spotyka okrutny, zasłużony los. Dlatego na polach bitew, na których nie pochowano poległych, długo snują się ich niespokojne dusze. Ale tylko przy panu Dee mogę w pełni pojąć, co mówią wolne duchy. Normalnie nie jest to takie proste. On jest jak przybliżający kryształ.

A co mówią te duchy, które dziś przybyły?

Teraz nic nie mówią. Są rozbawione tym, co wyprawia Kelley, i może nieco rozzłoszczone naszą rozmową. Przeszkadzamy im.

Słyszają nas? A dlaczego ja ich nie słyszę?

Chciałbyś? Jeśli tak, mogę pomóc.

Zastanowiłem się.

Nie, ukochana, nie chcę. Obawiam się, że to mogłoby być zbyt silne przeżycie. Słyszeć ciebie w zupełności wystarczy. Poza tym nie należy zaglądać nadmiernie głęboko w inny świat.

–Co powiesz, Jakubie? – Alchemik podszedł niepostrzeżenie. Byłem zbyt zajęty rozmową z Blanką, by go zauważyć. Wskazał pogrążonego w ekstazie Kelleya.

–Raczej chcesz wiedzieć, co sądzi o tym moja towarzyszka, panie Dee, niż znać moje zdanie. A może pragniesz poznać poglądy nas obojga?

Nie odpowiedział, skinął tylko głową.

–Dobrze, w taki razie poczekaj. Niech Edward też je usłyszy.

Gdyby wiedział, co chcę uczynić, pewnie by mnie chciał powstrzymać. Był jednak zbyt zaskoczony, trwał więc w bezruchu, kiedy zbliżałem się do medium.

–Zbudź się, panie Kelley! – Uderzyłem go wierzchem dłoni w ramię. Miał na sobie bogato tkaną tunikę, przypominającą ubiory czarodziejów ze starych baśni. Skóra rękawicy ześliznęła się po złotogłowi, sprawiając, iż uderzyłem końcami palców policzek Edwarda. – Wystarczy już tego przedstawienia. Zaczynamy się nudzić.

–Co robisz? – wyszeptał pobladłymi wargami Dee. – Nie wolno w ten sposób wybudzać medium! To grozi strasznymi dla niego konsekwencjami.

Kelley przy tych słowach wyprostował się nagle, wyrzucił ręce ku górze, by zaraz

zwalić się ciężko i załomotać całym ciałem o deski podłogi.

–Widzisz? – Uczony przypadł do niego. – Może nie odzyskać świadomości!

–Odzyska – odparłem beztrąsko – gdyż ani na chwilę jej nie stracił.

John obmacywał uważnie podopiecznego. Uniósł mu powiekę. Błysnęło białko.

–Oczy mu uciekają. Biedak. Jak mogłeś?

–Nie obawiaj się. Jeśli był nawet w jakimś transie, to co najwyżej

somnambulicznym. Na pewno zaś nie rozmawiał z duchami.

Odsunąłem stanowczo alchemika. Był przerażony, pewien, że jego zaufany doznał poważnego uszczerbku na zdrowiu. Ech, gdybym miał choć kroplę eliksiru parzącego, zaraz bym go ożywił, i to jak! Chwyciłem szatę na piersi Kelleya, uczyniłem okrągły ruch nadgarstkami, by pewniej ją złapać, uwięzić materiał między palcami. Postawiłem go na nogi jednym szarpnięciem. Był bezwładny, głowa chwiała się na wszystkie strony. Prawą ręką przytrzymałem go, a lewą sięgnąłem koniuszka nosa, tego jednego punktu, w którym wrażliwość delikatnego narządu jest największa. Wystarczyło niezbyt mocno przyszczypnąć, żeby każdego śmiertelnika obudzić z najgłębszego snu. Jednak podobno szanowny pan Edward został pozbawiony zmysłów, a poza tym nie był zwykłym śmiertelnikiem, uszczypnięcie musiało być więc także należycie mocne.

–Co robisz? – W jednej chwili zapomniał, iż przebywa w innym zgoła wymiarze. –

Oszalałeś? Kim ty jesteś, oprawcą?

Patrz, Jakubie, nawet jemu czasem zdarzy się powiedzieć coś bliskiego prawdy.

Tak już jest z kłamcami. Właśnie wtedy, kiedy mają rację, nikt nie bierze ich poważnie.

–Witaj, panie Kelley – roześmiałem się. – Cóż tam słyszeć u duchów?

–Profanie! Właśnie miałem bardzo ważne widzenie – z rozświetlonym

natchnieniem wzrokiem zwrócił się do Johna. – Kiedy ten obrzydliwiec wyrwał mnie z objęć naszych podniebnych przyjaciół, anioł II chciał mi zdradzić tajemnicę czerwonej tynktury! Byłem o krok od poznania receptury, a wtedy skończyłyby się wszelkie troski!

Uwolnił się z mego uścisku.

–Od początku wiedziałem, że z tego Polaka nie będzie pożytku – ciągnął, wskazując na mnie oskarżycielsko – tylko kłopoty i zmartwienia.

–Milcz – warknąłem. Ucichł z otwartymi ustami. Wyczuł w moim głosie groźbę. –

Na nic zda się napadać na mnie. Służyłem pod znakomitym dowódcą, Janem Zamoyskim, słuchałem uważnie, co miał do powiedzenia jego najzdolniejszy uczeń, Stanisław Żółkiewski. Obaj zgodnie twierdzili, że najlepszym sposobem obrony jest atak. Ale żeby go wykonać, trzeba mieć jakieś argumenty. Ty zaś nie masz żadnych, a próbujesz szarżować. W tym pomieszczeniu nie było żadnego anioła II. Otaczają nas, i owszem, duchy przybyły na wezwanie i bez wezwania, ale żaden z nich nie przemówił do ciebie, Kelley.

–Kłamiesz! Nic o tym nie wiesz.

Nie chciało mi się odpowiadać. Popatrzyłem na Johna Dee. Miał strasznie smutne oczy.

–Ona tak mówi? – spytał cicho.

–Niestety. Twój Kelley to zwykły oszust.

–A jednak sam stwierdziłeś, jakoby duchy przybyły...

–Zawsze przybywają, kiedy się je wzywa, bo zawsze są w pobliżu. Ale to nie znaczy, że

przemawiają przez tego mydlaka. Ty je potrafisz ściągnąć, panie Dee. Ty masz dar. Tak mówi Blanka.

Edward wodził wzrokiem ode mnie do uczonego i z powrotem. Nic nie rozumiał.

–Powiedz mu, Jakubie – westchnął Dee. – Powiedz mu o istocie, którą w sobie nosisz. To właśnie moja tragedia. Ją wyczuwam, ale innych zmarłych nie potrafię.

–Bo ona nie zdążyła odejść po śmierci, zbyt szybko została umieszczoną w moim ciele, by móc się oderwać od tego świata – odparłem cicho.

–Powiedz mu – powtórzył Dee.

* * *

Wybrali nas niczym szczenięta albo pisklęta z gniazda. Obudziłem się w środku nocy otoczony zbrojnymi. Sztych rapiera miałem przytknięty do gardła. Nieprzyjemne uczucie. Tym bardziej, że po drugiej stronie klingi stał zwalisty oficer gwardii. Ten sam, który sprawował dozór nad strażami. Nienawidził alchemii i alchemików, dlatego został wyznaczony do tego zadania.

Spotkałem go pewnego dnia w korytarzach. Lustrował je uważnie, sprawdzając, czy nie wykonujemy podkopu. Nie świadczyło to najlepiej o jego władzach umysłowych, bo z tego miejsca dokopać można się było najwyżej do zamkowych podziemi albo skończyć w korycie Wełtawy. To, jak na mnie patrzył, sprawiło, że go zagadnąłem.

–Niech będzie pochwalony, kapitanie von Horn.

Odburknął coś niechętnie, ale zatrzymał się.

–Czemuż mnie pan traktuje jak jakiego przestępcę? – spytałem z uśmiechem. – Przy panu czuję się niby zbrodzień morderca i gwałciciel pochutnik.

–Wszyscyście siebie warci, alkymiki. – Ledwo go rozumiałem. Czeskiego zdążyłem się dobrze wyuczyć, ale ten człowiek mówił dziwacznie. Widać pochodził z jakiejś krainy, w której posługują się dziwaczną odmianą tego języka.

–Może, drogi panie kapitanie. Ale co do jednego się mylisz. Nie jestem alchemikiem.

–Na tym zamku wszyscy nimi są. I ci Anglicy, i pokojowcy, i lekarze, podejrzewam, że nawet kapelan. A ty miałbyś być inny?

Anglicy... Johna Dee można było nazwać alchemikiem. Uczonym i alchemikiem. Ale Kelley? Tak o nim mawiają, jednak to przede wszystkim szarlatan, nieuk potrafiący sprawiać pozory mądrości. Więcej tu takich. Większość zresztą, o ile nie wszyscy z bardzo nielicznymi wyjątkami.

–Nie znam się na sztuczkach alchemicznych – powiedziałem. – Prawdę mówiąc, nużą mnie i nudzą ich dociekania. Dlatego tyle czasu spędzam w korytarzach.

–A jednak widziano cię z księgą.

–Czy to zaraz oznacza, żebym parał się tajemnymi naukami? Nie każdy zresztą

inkunabuł traktuje o tych sprawach.

Skrzywił się niecierpliwie.

–Ja tam nie wiem. Mam was pilnować, to pilnuję. A czyś alkymik, czy inszy bies, bez różnicy. Strzec mam wszystkich.

–Strzec? Raczej pilnować, by kto nie uciekł.

–Cesarz nakazali strzec, a nie pilnować – odpowiedział opryskliwie.

Więcej go nie zagadywałem, choć od czasu do czasu mijaliśmy się podczas podziemnych wędrówek.

A teraz dzierżył broń pewną ręką. Po raz pierwszy zobaczyłem na ponurej twarzy uśmiech. Cekał zapewne, bym spróbował uczynić coś, co by mu pozwoliło zadać pchnięcie. Nawet nie wiedział, czym by się skończył rozlew czarnej krwi dla niego i żołnierzy, a może nawet wszystkich w okolicy. Praga to piękne i wielkie miasto, ale zarazem ciasne. Zaraza miałaby tu wspaniałe pole do popisu.

–Nareszcie – powiedział. – Wszyscy pójdziecie do wieży pod klucz. Tam będziecie czynić eksperymentu na szcurzych bobkach. Może wyuczycie się zamieniać gówno w złoto. Albo zrobicie se złote łańcuchy.

–Za co tak nienawidzisz alchemików, kapitanie? Czy któryś uczynił ci coś złego? Zgrzytnął zębami.

–Przez takich jak wy moja matka spłonęła na stosie, gdym był pacholęciem.

Nie musiał mówić więcej. Takie rzeczy zdarzały się, zdarzają i zdarzać będą, dokąd z jednej strony istnieją nauki tajemne, a z drugiej zwalczające je święte oficjum. Zawsze znajdzie się podlec, skory wykorzystać niewiastę do swoich celów, a potem wydać ją na żer sędziom i żądnym krwi tłumom, by ratować własną skórę. Rodzicielka von Horna zapewne służyła u jakiegoś alchemika, który popadł w niełaskę. Nic dziwnego, że znienawidził wszystkich bez wyjątku. Ich i całego związanego z nimi otoczenia. Ciekawe, jak radził sobie z miłością i lojalnością do Rudolfa, który także był przecież alchemikiem, a w każdym razie bardzo pragnął za takowego uchodzić.

–Wstawaj, brudny przybłędo. – Ręka zadrżała na rękojęści, poczułem większy ucisk na gardle. Naprawdę musiał czuć do mnie wielka niechęć, skoro posługiwał się przy aresztowaniu białą bronią zamiast mierzyć z pistoletu. Jeśli jeszcze zwiększy nacisk, upuści krwi. Na to nie mogłem pozwolić. – Zaraz spotkasz się ze swymi przyjaciółmi – dodał z drwiącym uśmiechem. – A może słuszniej by rzec: familiantami?

–To zależy, czy masz na myśli moje z nimi związki rodzinne, czy używasz tego słowa w aspekcie magicznym... – Na widok jego osłupiałej miny roześmiałem się, przyznając, że z pewnym przymusem. – Czyżbyś nie rozumiał któregoś z wypowiedzianych przeze mnie słów? Ach, pewnie chodzi o aspekt. Nie obawiaj się, to nie jest określenie uwłaczające tobie albo komuś z twoich bliskich.

Aż się w nim zagotowało. Na to liczyłem. Człowiek wyprowadzony z równowagi, rozwścieczony do ostatecznych granic, popełnia błędy. Kapitan von Horn nie był inny. Zabić mnie nie mógł, bo rozkazy miał wyraźnie ograniczające się do osadzenia pojmanych w osobnej wieży. Mógł za to odegrać się za obrazę. Oderwał więc sztych

od grdyki, wykonał krótki ruch, tak prowadząc rękojęść, by garda broni uderzyła mnie w skroń. Na to również nie mogłem pozwolić. Zdobiony kosz i wystające wąsy jalców potrafią rozorać skórę.

Czemu się wahasz? Niech ich weźmie zaraza. Przecież nic im nie jesteś winien!

Nie, Blanko. Zacząłem żyć między ludźmi, zaufali mi, nie godzi się tak odplacać.

Zaufali? Mówisz o tych siepaczach dokoła?

Mówię o Łaskim, Johnie Dee i im podobnych. Jeśli przywołam czarną śmierć, ucierpią także oni.

Nasza rozmowa trwała mgnienie oka. Tyle, ile zajmują przelatujące przez głowę myśli. Nie przeszkodziła mi zwinąć się na łożu. Uderzenie kapitana trafiło w poduszkę. W tym momencie wyciągnąłem się na całą długość, ręce dając nad głowę. Nogami trafiłem go w brzuch, dłonią ścisnąłem nadgarstek. Wskazujący i środkowy palec wsunąłem pod pałąk osłony rękojęści, nacisnąłem mocno kości śródreżca. Jeśli się wie, jak to uczynić, który punkt naruszyć, rozstępują się one, przygotowując o ogromny ból. Kapitan krzyknął, a właściwie zakrakał rozpaczliwie. Zwalił się na mnie całym ciężarem. Zanim mnie przytoczył, zdołałem mocnym szarpnięciem odwrócić go na plecy. Rapier, który wyłuskałem ze zdrętwiałej dłoni, przełożyłem tak, że spoczywał na gardle von Horna, ułożony w poprzek. Dzięki temu wystarczył jeden ruch, aby pozbawić go życia, a w razie gdyby żołnierze rzucili się na ratunek, sami mogli łatwo zarżnąć dowódcę jego własną bronią. Dlatego zatrzymali się, niepewni, co robić.

–Odstąpcie – powiedziałem – to nic mu się nie stanie.

Kapitan szarpnął się, ale do porządku przywołało go ostrze. Nadcięło lekko skórę. Mogłem się o tym przekonać, bo czerwona kropla skapnęła na moją pierś.

–Nie zamierzam próbować ucieczki – rzekłem uspokajająco. – Oddam się zaraz w wasze ręce.

–Po co więc te sztuczki? – wychrypiał.

–Żebyś nabrał szacunku, panie Horn. Nie jestem alchemikiem, nie musisz mnie nienawidzić, a tym bardziej obrażać.

Czułem napięcie jego mięśni. Drżały w oczekiwaniu na okazję. Bez przerwy myślał, jak wyrwać się z pułapki. Wiedział, że nie ma szans, ale musiał spróbować. Taki już był, dlatego uczyniono go kapitanem gwardii cesarskiej i nigdy nie zostanie niczym więcej. Niedostatki rozumu nadrabiał służbistością i twardą pięścią. W regularnej armii podczas wojny raczej nie zagrzałyby miejsca w tak wysokiej szarży, bo tam trzeba myśleć, inaczej poprowadzi się podwładnych na pewną śmierć. Pod Pskowem wydawało mi się, że wachmistrz Biernacki to przykład bezrozumnego wojskowego pieńka. Jednak tamten dbał o ludzi, starał się czynić tak, aby podczas szturmów było jak najmniej ofiar. Ktoś taki jak von Horn miałby jeden sposób – pchać falę za falą, nie bacząc na straty.

–Leż spokojnie. – Przytrzymałem dłoń pełznącą powolutku ku górze. – Puszczę cię, jeśli dasz oficerskie słowo honoru, że nie spadnie mi włos z głowy.

Sapnął ze złości, napiął się cały, wreszcie zrezygnował.

–Niech ci będzie. Daję parol.

Ostrożnie oderwałem rapier od szyi. Natychmiast poderwał się na równe nogi. Nie śpieszyłem się z powstaniem, bo niby dokąd miało mi być spieszno? Za to kapitan wyraźnie się gorączkował.

–Już, panie obcy – warczał. – Wstawaj, czarniawy draniu!

–Więcej respektu, kapitanie – rzekłem groźnie. – Mam w zanadrzu jeszcze parę niespodzianek, jeśli jesteś ciekaw.

–Ciekaw jestem, dlaczego tak ci zależało, żebym cię więcej nie tknął. Boisz się bólu czy widoku własnej krwi?

–To nie ja się boję, Horn. To wy powinniście się obawiać mego bólu i posoki.

–Brednie jakieś prawisz – mruknął.

–Tak? W takim razie zrań mnie. Zobaczymy, co się stanie.

–A co się może stać? – Wzruszył ramionami. – Nie ruszę cię jednak, bom dał słowo.

Wstałem i przeciągnąłem się.

–Pod jakim zarzutem zostałem aresztowany?

–Nie moja rzecz! Staniesz przed obliczem pana Rutzkiego, on może objaśni, a może nie. To już jak mu się zachce.

Szept spadających gwiazd Cienie na niebiosach

Niech się święci, co jest święte, niech spoczywa wniebowzięte. Dusza niech do nieba pójdzie, wszystkim grzechom łącznie ujdzie. Pamiętasz, Jakubie?

Pamiętam, Blanko. Przecież to moja, a nie twoja modlitwa. To mnie wyuczyła matka prostych słów. Dzwoni mi w uszach coraz częściej. Ale to przez ciebie. Dlaczego zaczęłaś ją przywoływać każdego dnia tak wiele razy?

Potrzebujemy jej, najmilszy. Oboje potrzebujemy. Ty, żeby nie oszaleć w zamknięciu, ja z kolei, aby pomóc ci w walce z sobą samym. Nie pozwolę, byś skończył jako chory na umyśle albo nawiedzony.

Miała słuszność. Coraz gorzej czułem się w nowym więzieniu. Nie to, żeby panowały zbyt surowe warunki. Zresztą one by mi nie przeszkadzały. Trudy i niewygody nigdy nie miały dla mnie znaczenia. Po naukach w Bieczu, po oblężeniu Pskowa i pobycie w kozackiej siczy najmarniejszy nawet dach nad głową zdawał się wielkim zbytkiem. Ale teraz przebywałem cały czas w dwóch pomieszczeniach – mojej celi albo sali spotkań, gdzie przychodzili pozostali więźniowie. Nie mogłem już patrzeć na zmartwioną twarz Johna i obłudnie wykrzywione oblicze Edwarda. Męczyło mnie także ciągle trajkotanie żony Kelleya.

Pani Dee jakoś ci nie przeszkadza! Naprawdę podoba ci się ta kobieta!

Znów niepotrzebna złość, moja mila. Ile jeszcze razy będziemy o tym rozprawiać? Przecież nawet gdybym chciał zbliżenia, istnieją dwie zasadnicze przeszkody. Pierwsza to ta, że nie mogę bezkarnie dotknąć nikogo najmniejszym nawet skrawkiem skóry, a druga, że owa niewiasta jest w zaawansowanej już ciąży.

A gdyby nie to? Gdybyś mógł ją osiąść?

Gdybym nawet mógł, twoje gadanie na pewno by mi nie pozwoliło. To bezcelowe rozważania. Gdyby było inaczej niż jest, przebywalibyśmy zupełnie gdzie indziej, zapewne razem, ale w osobnych ciałach. Nie wolno tak rozmyślać, bo to prowadzi donikąd.

Właśnie jesteśmy nigdzie, więc możemy sobie na to pozwolić.

Nigdzie... Przez ostatnie lata przywykłem do swobody, szerokich stepów, lasów i pól.

Nawet nie wiedziałem, jak bardzo. Dokąd mogłem poruszać się jeszcze w podziemnych korytarzach, nie odczuwałem tak dotkliwie zamknięcia. Jednak w więzy przekonałem się, że jeśli zbyt długo przebywam w jednym miejscu, zaczynam być niespokojny, mam ochotę walić głową w ścianę. Gdyby teraz kazano mi siedzieć w ciasnej celi Akademii Katowskiej, byłbym gotów zabić za sam pomysł. Tak dziwnie czułem się wtedy, kiedy Bartosz zaprowadził mnie do ciasnego pomieszczenia, bym obejrzał najtajniejsze praktyki mistrzów. Stałem tam z drętwiejącymi od lęku łędźwiami i swędzeniem w krzyżu. Nie mogłem się poruszyć. Widziałem Mistrza Ambrożego, który przelewał do ust Mistrza Rektora duszę zbója, którego przesłuchiwaliśmy parę dni wcześniej. Widziałem poświatę, jakby ciało wchłaniające ducha świeciło własnym blaskiem, bardzo delikatnym, ale doskonale widocznym. Wtedy nie byłem pewien, czy to nie odblask ognia z kominka. Dopiero sporo później

uświadomiłem sobie, że palenisko było przecież wygaszone.

Chwycili cię wtedy, torturowali. Wszystko, co nas złego spotkało, stało się przez Bartosza. Za każdym razem robiłeś, czego chciał, i za każdym razem dopinał swego. Nawet wtedy, gdy zniszczyłeś uczelnię, wykonałeś tylko, co on sobie zaplanował.

Chwyciłem się za głowę. Przestań, Blanko! To nieprawda! Zniszczyłem uczelnię, wydałem braci katów w ręce żądnych krwi mieszczan, bo na to właśnie zasłużyli! Sprowadziłem zarazę, aby tym straszniejsza była zemsta!

Pora wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, kochany. Nie można przez całe życie uciekać, a już na pewno nie przed myślami. Przyznaj uczciwie, że mówię prawdę.

Ścisnąłem szczęki, aż zatrzęszczały zęby. Przez lata odsuwałem tę myśl, ale tkwiła uparta, czając się gdzieś w głębi, szukając okazji, aby wypełznąć, kilkakrotnie wywoływana przez Blankę, zawsze jednak spychana z powrotem w mrok rubieży świadomości. Trzeba jej w końcu stawić czoło. Nie wiem, od kiedy Bartosz wciągnął mnie w swoje kalkulacje, żeby zemścić się na luminarzach uczelni. Pewnie w chwili, gdy dostrzegł, iż mogę stać się kimś znaczącym. Nie dziwiłem się, że znenawidził mistrzów. W końcu to ich decyzją został skazany na dożywotnie uwięzienie w murach uczelni, jeśli nie liczyć krótkich wypraw do lupanaru. Często też spotykały go kary – od głodówki począwszy, na srogich torturach skończywszy. Niektóre rodzaje karni trzeba było zadawać samemu sobie. W ten sposób utrzymywano dyscyplinę wśród uczniów i doprawdy niewielu znalazło się takich, którzy by chcieli łamać żelazne reguły. Jedynie Bartosz czynił to uporczywie i ustawicznie. Podejrzewam, że lubił ból. Cudzy go podniecał, własny powodował cielesne spełnienie, doznania nie mniej intensywne od tych, których można zaznać w łożu z niewiastą. Są tacy ludzie. Kiedyś trafiłem na więźnia, który trząsał się na widok kleszczy, ale nie ze strachu wcale. Jakże byłem zdumiony, gdym ujrzał, iż im mocniejszy zadaje mu ból, tym większy osiąga wzwód. Nie było tortury, której nie przyjąłby z radością. Nawet wbijanie igieł pod paznokcie przyprawiało go o spazm rozkoszy. Zawiesiłem wtedy przesłuchanie. Sędziowie patrzyli z potępieniem na kata, który nie potrafi zadać należytej męki. Wreszcie wpadłem na

myśl, jak sobie poradzić. Tortura wodna. Skórzany wąż wepchnąłem głęboko w gardziel więźnia, a potem jałem lać wodę do wielkiego leja, zawieszzonego na drewnianej konstrukcji. W miarę jak brzuch tamtego wypełniał się płynem, coraz mniej odczuwał przyjemności. Nikt nie lubi się topić, nawet taki dziwak. A kara wody ma to do siebie, że człowiek czuje, jakby się bezustannie zachłystywał, zalewany rzeczna falą. Słaba to karni na zatwardziałych przestępców, jednak w tym przypadku okazała się trafiona. Opowiedział wszystko, byłem nie dolewał cieczy. Rzecz jasna, przy rozpytaniu takim sposobem trzeba uważać, by nie zadławić delikwenta w pierw rurą, potem naprawdę nie utopić, wpychając ją do tchawicy zamiast przełyku, wreszcie nie uszkodzić języka... Spotkałem jednego razu kata, który zaczynał służbę ód uderzenia przesłuchiwanego drewnianym kołem w twarz. Po czymś takim mało kto może złożyć należyte zeznanie. Połamana szczęka i wybite zęby nie są najlepszym pomysłem. Człowiek z reguły, nawet jeśli bardzo chce, niewiele wtedy powie. Tamten profan należał wprawdzie do pewnego cechu, ale pożał się Boże, jaki

to był cech...

Znów uciekasz od myśli o Bartoszu, znów próbujesz zatrzeć go innymi wspomnieniami. A przecież to on zaważył na naszym życiu... na twoim życiu, a mojej śmierci...

Zrobiłem, co chciałem, powiadasz? Kiedy na to patrzę teraz, mogę przyznać rację. Wszystko się we mnie buntuje, rwie z rozpacz, ale tak rzeczywiście być mogło. Nie potrafił sam zniszczyć akademii. Był zbyt słaby, nie posiadał dostatecznej wiedzy, nie dostąpił wyższych wtajemniczeń. Wiedział o nich, ale wiedział także, że nigdy mu nie będą dane. Postanowił więc ukarać mistrzów. A ja myślałem, że intryga z rzekomym spiskiem na życie księcia Radogosta to tylko zemsta skierowana w nas, bo pokochałaś mnie miast jego... Na początku oczekiwałem, że zniszczę uczelnię w akcie niepokonanego żalu i gniewu po twojej śmierci. Ale kiedy na widok twego ciała dyndającego na końcu sznura omdlałem i zapadłem w stan bliski śmierci, skorzystałem z okazji, by dodać pomście jeszcze ostrzejszego smaku. Zapragnąłem nas połączyć w jedno, ale nie tak, jakbyśmy tego chcieli i oczekiwali. To właśnie on poddał Mistrzowi Rektorowi myśl, by wlać we mnie duszę skazanej.

Zemścił się za jednym zamachem na nas dwojgu. Mnie pozbawił życia, zazdrosny o miłość, ciebie zaś pozbawił i mnie, i nadziei. A kiedy poszedłeś na nauki do Mistrza Czarnej Śmierci, był już pewien swego.

Tylko jednego nie przewidział. Że dopadnie go kostucha, zanim zdoła opuścić uczelnię. Chcąc dokończyć dzieła, uczynił jedną rzecz za dużo. Stał na mej drodze.

Nie zależało mu na życiu, Jakubie. Głos Blanki był cichy, jakby zrezygnowany. Myślę, że przede wszystkim chciał spojrzeć ci w oczy. Tu się raczej przeliczył, bo nie dostrzegł w nich głupiego triumfu z dokonanego dzieła zniszczenia. Nie mógł z czystym sumieniem zakpić, mówiąc, iż dokonałeś tego, co zamierzył, i cieszysz się, jakbyś sam wszystko wymyślił. Nie było w tobie złości i nienawiści, tylko żal. Złość i nienawiść kwitły we mnie, ale tego dostrzec nie umiał.

Nie był w stanie tego pojąć? Komuś takiemu trudno zrozumieć, że człowiek nie żyje

tylko dla pomsty... a w każdym razie nie powinien.

A ty to rozumiałeś.

Tak, Blanko, rozumiałem, ale dużo później, dopiero w chwili, gdy dopełniłem karni na Winiewskim, kiedy usiłowałaś schować się najgłębiej jak można, a twoje myśli krzyczały głośniejsze niż rozdierany kołnierz skazaniec.

Jakie to pospolite, kochany. Jakbym słyszała niedzielne kazanie. Ksiądz nakazuje wyrzec się pomsty, wybaczać krzywdy... Gotów byłbyś zapomnieć, co nam uczynili mistrzowie?

Wybaczyć tak. Ale to nie znaczy zapomnieć. Wiesz dobrze, że wspomnienia krzywd od dawna nie budzą we mnie ciemnych myśli. Jednak co innego odsunąć gniew, a co innego zabić pamięć.

Czyżby pobyt wśród ludzi zabił w tobie okrucieństwo?

Jestem katem, Blanko. Prawdziwym katem. Nigdy nie byłem okrutny. Mistrz Eustachiusz zadbał, bym nie nabrał nawyków, jakie mewają oprawcy, którym

sprawia przyjemność cierpienia skazańca. A może tym bardziej zasługuję na miano okrutnika? Nikt tego nie potrafi powiedzieć z całą pewnością.

A czy to ważne?

Nie wiem, Blanko.

* * *

Siedzieliśmy we trójkę. Dee był zamyślony, wzrok miał tęskny, daleki, jakby sforsował mocą żrenic grube ściany baszty i błądził po odległych okolicach. Kelley jak zwykle zginał i rozprostowywał palce, strzelał z kostek. Powiedziałem mu pewnego razu, że to doskonała droga, by dorobić się na stare lata artretyzmu. Spojrzał wtedy na mnie dziwnie i mruknął, że w pierw trzeba tej starości dożyć. Tu mógł mieć rację. Komuś takiemu nie warto prorokować długich lat zdrowia i pomyślności. Patrzyłem na pociągłą twarz, chuderławą grdykę i myślałem, z jaką rozkoszą ścisnąłbym żylastą szyję i patrzył na wytrzeszczone z braku powietrza oczy. Przypuszczam, iż wszyscy, którzy się z nim kiedykolwiek zetknęli, miewali podobne myśli. A przynajmniej większość. Bo John Dee zdawał się być pod jego urokiem. Przypominał człowieka zaklętego w bryle lodu. Możesz do niego przemawiać, przekonywać, a on pozostaje głuchy i obojętny.

–Niełaska cesarska równie jest ciężka, jak lekką była łaska – odezwał się Edward.
– Musimy coś teraz uczynić, aby się wyrwać z pazurów niebezpieczeństwa.

Stałem nad nim. Z początku skulił się, jakby poczuł nad głową osuwający się gład, ale zaraz opanował lęk, spojrzał zuchwale.

–Myśl zatem pilnie – rzekłem zgryźliwie. – To twoje machinacje wepchnęły wszystkich w rozpaczliwe położenie. To twoja bezmyślność sprawiła, że mistrz nie ma skąd wziąć proszku do badań. O ile brak owej ingrediencji nie wiąże się z czymś jeszcze innym, z jakąś

zagadką... a może właśnie brakiem zagadki.

–Mnie obwiniasz? – Aż podskoczył ze złości. Zapobiegliwie pominął ostatnie wypowiedziane przez mnie zdanie. – A kto wyśmiewał nasze *actions*, aż wreszcie echa doszły do pokojowców Rudolfa?

–Panie Kelley – w tej chwili nie był w stanie wytrącić mnie z równowagi – nie mogłem przypuszczać, iż twoja szanowna małżonka sypia z samym Rutzkim. Że tylko sypia, to jeszcze pół biedy, bo rogi porastają twoją głowę, a to nie moje zmartwienie. Ale że mu donosi o każdym zdarzeniu, to już naprawdę przesada.

–Oskarżasz moją żonę? – Poderwał się, jakby zamierzał potraktować mnie pięścią. Zanim zdołał wyprostować kolana, przygwoździłem go do krzesła. Klapnął ciężko, z otwartymi ustami. W zielonych oczach zapaliły się złe ognie.

–Nie oskarżam – odparłem nadal bardzo spokojnym tonem. – Stwierdzam fakty. Ja nie zwierzałem się nikomu, nie opowiadałem o komediach, które odgrywasz na seansach. Tym bardziej pan Dee. Jego małżonka zaś nigdy nie opuszcza wieży. Jedynie twoja wychodzi od czasu do czasu. Odwiedza wówczas Rutzkiego i miejmy nadzieję, że tylko jego. Nikt inny nie mógł mu o wszystkim donieść.

–To poważne oskarżenie. – Dee przerwał kontemplowanie ściany. – Jakie masz dowody?

–Z całym szacunkiem, ale nie uczestniczymy w rozprawie. Dowodów mieć nie muszę, wystarczy zdrowy rozsądek i chłodny osąd, ciąg rozsądnych skojarzeń. A ten jest nieubłagany i, niestety, obciąża właśnie panią Kelley. Idźmy po kolei według logiki zdarzeń. Pierwszym, który kazał nas zamknąć w baszcie, był Rutzky. Dopiero potem jego rozkaz potwierdził cesarz. To oznacza z kolei, iż pierwszy wiadomość otrzymał ten, kto podjął działania.

–To wszystko? – parsknął pogardliwie Kelley. – Z takich przesłanek utkałeś szalbierczą i oszczerczą sieć na moją osobę? Wyjścia mej żony to mało, by ją podejrzewać o zdradę, w dodatku z tym człowiekiem.

–Rzeczywiście – poparł go Dee. – To naprawdę mało.

–Będzie i więcej. Twoja żona, Johnie, jest w ciąży z Kelleyem. To wiemy. – Ze współczuciem patrzyłem na ściągniętą grymasem bólu i upokorzenia twarz alchemika, jednak ciągnąłem bezlitośnie. – Mielicie korzystać z żon swoich nawzajem, więc można się było czegoś podobnego spodziewać.

–Jednak i moja małżonka jest brzemienna! – zaprotestował Kelley. – Tu w gruzy wali się cała twoja argumentacja.

–Niezupełnie. Bowiem twoja żona nie mogła zajść w ciążę z panem Dee. A to dlatego, że nie obcowali ni razu. Zaś ty, drogi Edwardzie, odkąd dorwałeś się do cudzego miodu, zacząłeś zaniedbywać połowicę.

–Skąd wiesz, że nie obcowali? – zaperzył się Kelley.

–Stąd, że pan Dee od jakiegoś czasu nie jest w stanie zapłodnić kobiety. Alchemiczne eksperymenty, te wszystkie wyziewy i opary zrobiły swoje. Odebrały mu męskie siły. Za

dużo rtęci i ołowiu, za mało powietrza.

Alchemik spojrzał bystro. Sam wiedział najlepiej, że mam słusność, a jednocześnie nie mógł pojąć, skąd mam tak dokładne wieści.

–Zaniedbywana kobieta – ciągnąłem dalej – może się stać niebezpieczniejsza od zmii w zanadrzu. Nie znajdując ciepła we własnej łożnicy, poszukała go w cudzej. Trudno się jej dziwić, nieprawdaż? Trudno potępić. Jej ciąża jest najlepszym dowodem, że mam słusność.

–Nie mówiłem o mojej przypadłości nikomu – odezwał się stłumionym głosem Dee. – Czyżby moja żona okazała się aż tak niedyskretna? Zwierzyła ci się? Tak, Jakubie, wiem, że ją pociągasz. Jesteś tajemniczy, a dla na niewiasty nikt dotąd nie wynalazł lepszego lepu niżli tajemnica. Ale nie podejrzewałem...

–Słusznie nie podejrzewałeś, mistrzu. Bo to nie od niej mam wieści. Żona jest ci bezwzględnie wierna. Oczywiście wyjąwszy chwile, kiedy posiadał ją ten szalbierz. – Pogardliwym gestem wskazałem Kelleya. Znów próbował wstać i znowu posadziłem go siłą z powrotem. – Na pewno oddawała mu się obrzydzeniem, przekonana, iż wypełnia wolę Boga.

–Skąd zatem... – urwał, spojrzał z iskrą zrozumienia w oczach. – Blanka? Twoja Blanka? Ona przecież może rozmawiać...

–Tak. Duchy, jak się okazuje, bywają nie mniejszymi plotkarzami niż żywi. A że są wszędzie, mogą się dostać w każde miejsce...

–Zatem od nich dowiedziałeś się o niedyskrecji pani Edwardowej! Dlaczego więc krążysz dokoła, zamiast powiedzieć wprost? Po co te wywody i dowody?

Uśmiechnąłem się. Blanka w mym umyśle rozpieierała się zadowolona. Czułem jej radość. Moja była o wiele mniejsza, gdyż współczułem staremu alchemikowi. Niech myśli, że to duchy. Prawda była taka, że nie musiała uciekać się do pomocy duchów, które traktowały ją nieufnie, by nie rzec – wrogo. Po prostu otwarty umysł alchemika stanowił dla mej ukochanej zbyt wielką pokusę, by go wreszcie nie zaczęła ostrożnie penetrować. Biedak sam nie mógł bezpośrednio rozmawiać z istotami eterycznymi, ale dla nich był przejrzysty niby źródłana woda. Nie powinien jednak tego wiedzieć. Podobna świadomość byłaby dlań pewnie kolejnym, zupełnie niepotrzebnym ciężarem.

–Zwykłem twardo stąpać po ziemi – rzekłem. – Dlatego uważam, iż rozumowanie jest lepsze od przyjmowania na wiarę. Mogę wymyślić każdą bzdurę i powołać się na duchy. Ale bez poparcia dowodami, zawsze pozostanie wątpliwość. Gdybym rzekł słowo o głosach z tamtego świata, nasz przyjaciel Edward od razu podniósłby krzyk, posądzając mnie o matactwo. A tak... Spójrz, nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Siła logicznej argumentacji jest ogromna i niezwykle trudna do podważenia.

Zamilkłem, czekając, czy może jednak szalbierz nie zacznie ujadać. Patrzył na mnie z nienawiścią. Gdyby tylko mu pozwolić, zgładziłby mnie w jednej chwili.

–Dziwne to słowa – wykrztusił z trudem – w ustach kogoś, kto za sprawą nadnaturalnych zdolności uratował się z ognia, kogoś, kto nosi w głowie jakąś starą dziwkę, słyszy jej głos, myśli jej myślami.

–Na nic się zda obrażanie mnie. – Z trudem się pohamowałem, by nie wyciąć go w okryty mycką łeb. – Jeśli potrafisz znaleźć argumenty przeciwko mym słowom, czekam. Tyś sprawcą uwięzienia swego mentora. Twoje nieczne uczynki sprowadziły zło. Podlec z ciebie pierwszej wody. Podlec i oszust.

–Oszust?! – Uniósł się, ale usiadł, wiedząc już, iż nie pozwolę mu opuścić miejsca. – Mogę nas wszystkich ocalić. Mamy przecież jeszcze biały proszek i księgę.

–Oszust. – Kiwnąłem głową. Nieświadomym gestem przeciągnąłem dłonią po włosach. Odrosły już nieco, przypominały w dotyku gęstą szczecinę. – Łgarz najczystszej wody. Parę dni temu pan Dee pokazał mi kulę z białą substancją. Pozwoliłem sobie ukradkiem spróbować tego, co przyniosłeś jako tynkturę. Zawartość stanowi...

Rzucił się na mnie, nie bacząc już na nic. W lewej dłoni błysnął nóż. Nie próbowałem odebrać mu ostrza. Po prostu wyciąłem gada pięścią w bok głowy. Nie miałem z tym trudności, gdyż poszedł z nią do przodu bardziej niż z bronią. Taki błąd niezwykle często popełniają ludzie niewprawni w walce. Mycka odleciała w kąt, Kelley runął na podłogę, padł plackiem. Był w tej chwili podobny do wielkiego robaka rozpląszonego obcasem nieostrożnego wędrowca.

–W kuli znalazłem jedynie saletrę pomieszaną z drobno zmieloną solą – dokończyłem. – I trochę ziaren ryżu, które doskonale pochłaniają wilgoć. To sposób

zamożniejszych gospodyń, aby zapas soli się nie skawalił. Nie było nigdy białej tynktury. Czerwonej na pewno też. Proszek tej barwy bardzo łatwo sporządzić. Był w całej sprawie tylko łut nieistniejącej magii i cały cetnar uludy. Były też zręczne palce umięjące podrzucić niepostrzeżenie bryłki złota w miejsce sztabek ołowiu. Zwróciłeś uwagę, panie Dee, że Edward nie ustosunkował się przedtem do moich wątpliwości co do czerwonego proszku?

–Co też mówisz? – John Dee był blady. Nawet pełne, zawsze intensywnie czerwone wargi stały się szare. – To niemożliwe. Na własne oczy widziałem...

–Nie wiem, co widziałeś – przerwałem – za to ja doskonale widzę jeszcze coś.

Pochyliłem się nad Edwardem. Zasłonił się, oczekując następnego uderzenia. Bez trudu oderwałem jego dłoń od twarzy. Złapałem w obie ręce głowę, przekręciłem na boki.

–Piękna robota – powiedziałem. – Ten, kto przystrzygł ci uszy, był bardzo sprawny. Cięte równiutko, symetrycznie, nóż poprowadzony od góry lekko w skos, identycznie z obu stron. Mamy już wyjaśnioną tajemnicę twojego uporu w sprawie nakrycia głowy. Nie obawiałeś się przeziębień, ale demaskacji.

Dee sapał nad moją głową. Puściłem Edwarda i wyprostowałem się.

–Wiesz, co to znaczy, panie alchemiku? – spytałem. – Takie piętno odciska się za fałszerstwo. Udowodnione fałszerstwo. Twój zaufany to zwykły przestępca. Pospolity fałszerz, może także złodziej, bo to najczęściej idzie w parze. Zapewne wszystkie jego opowieści nie są warte funta kłaków, a ową magiczną księgę może nawet sam stworzył jako pułapkę na naiwnych.

–Jednak sam widziałem, jak zamieniał ołów w złoto – zamruczał alchemik. – Nijakiej w tym nie było machinacji. Wiele osób patrzyło mu na ręce... Poza tym przecież przychodzą do niego duchy. Może nie potrafi z nimi rozmawiać jak należy, ale przychodzą, to rzecz pewna... Sam mówiłeś... to znaczy twoja towarzyszka...

–Możesz wierzyć, w co chcesz. Duchy przychodzą na wezwanie pewnych ludzi chętniej niż innych. Nic w tym więc dziwnego, cudownego i nieoczekiwanego, że czynią tak w przypadku Edwarda. Ale nie jest on w stanie wykorzystać tego naprawdę, potrafi tylko wywracać oczami i bredzić o sprawach, o których nie ma pojęcia. Za to doskonale umie obrócić na swoje dobro naiwność i wiarę tych, co chcą ślepo wierzyć w jego zdolności. To zresztą w tej chwili bez znaczenia, rozmawiamy bowiem nie o pożałowania godnych seansach, ale rzeczach ważniejszych, zasadniczych. Dotykamy przyczyn naszego obecnego położenia, to znaczy podstaw nauki, którą uprawiasz, panie Dee. Musisz wiedzieć jedno. Rozmawialiśmy dużo, miałem czas na przemyślenia i własne dociekania. Wniosek wyciągnąłem tylko jeden. Dla mnie wasza alchemia, tak jak ją tutaj rozumiecie, to jedno wielkie kłamstwo.

–Dlaczego tak mówisz? Dlaczego wątpisz w naszą wiedzę?

Kelley zbierał się z podłogi, zgnębiony. Jednak ostatnie słowa mistrza nalały wyraźnie otuchy w małe, twarde serce. Odpowiadając na pytanie, patrzyłem, jak idzie po myckę, wciska ją na głowę. Jego twarz od razu nabrała pewniejszego wyrazu. Jakby zasłonięcie przyciętych uszu czyniło nieważnym całe poprzednie zajście.

–I ty, panie Dee, i Albert Łaski, wiele opowiadaliście o symbolach, o drodze do kamienia filozoficznego, o całym szeregu dwustronnych piramid, z których każdą nazywacie innym *ąaternio*. Przechodziliście od istoty doskonałej, człowieka górnego, miłego Bogu do człowieka dolnego, pełnego grzechu, a potem niżej, do węża, i jeszcze dalej, by osiągnąć wreszcie stadium *lapis*. Czy nie dostrzegasz fałszu tych rozważań? Zamiast bowiem piąć się do góry, ku doskonałości, wybieracie ścieżkę prowadzącą w drugą, mroczną stronę. Na końcu jesteście gotowi zaprzedać duszę demonom, a może i samemu diabłu, by uzyskać pożądaną wiedzę. Gdybyś uważnie czytał Biblię, alchemiku, i choć chwilę pomyślał, powinno cię przestrzec to, co się stało z pierwszymi ludźmi. I oni zapragnęli wiadomości z drzewa dobrego i złego. Jednak, tak jak i wy, nie poszli drogą trudniejszą, ku górze, nie prosili o oświecenie Stwórcy, ale zdali się na szatana, bo to o wiele prostsze. Łatwo utracić raj, o wiele trudniej go odzyskać. Prawdziwy kamień filozoficzny leży właśnie gdzieś wysoko u wrót Edenu, nie w mrokach nocnych eksperymentów, na dnie starych szybów, gdzie czai się jedynie jego zniekształcona imitacja, wielka pokusa i wielkie przekleństwo. Do tego właściwego dojść można jedynie mądrością, nie podstępem. Kelley zbliżył się ostrożnie. Tęsknie spoglądał w stronę noża. Gdyby teraz próbował po niego sięgnąć, z przyjemnością skrzyłbym mu kark.

–Bardzo mądre wygłaszasz uwagi – rzucił z krzywym uśmiechem – jak na kogoś, kto miał posłużyć jedynie jako posłuszne medium i przedmiot badań. Jednak twoja czelność jest zbyt wielka. Nie pouczaj wielkiego maga, mistrza nauk tajemnych, czym jest kamień i jakimi sposobami należy go poszukiwać.

Nie odpowiedziałem. Potraktowałem go, jakby nie istniał.

–Mnie bardziej nurtuje twoja znajomość spraw związanych z oprawianiem ludzi – ciągnął. – Kim jesteś, by oceniać katowską robotę?

Milczałem. Był dla mnie w tej chwili bardziej odległy i obojętny niż dla rozmodlonego człowieka brzęcząca pod sklepieniem katedry mucha.

–Odpowiedz – powiedział Dee. – Pytanie Edwarda zawiera pulsującą pod skórą treść, niewypowiedzianą kwestię, ogromną wątpliwość. Jeśli mnie szanujesz, odpowiedz.

Powoli odwróciłem głowę w jego stronę.

–Szanuję? – zastanowiłem się. – Szanowałem cię jeszcze godzinę temu. Jeszcze kilka chwil temu. Jednak to się skończyło. W momencie, kiedy usiłowałeś sam sobie przetłumaczyć, jakoby nasz drogi Edward nie był zwyczajnym, płaskim oszustem.

–A ty kim jesteś naprawdę?

Powiesz im? Nie wybaczą ci nigdy.

Blanko, Blanko, a na cóż mi ich wybaczenie?

–Jestem katem, panie Dee. Członkiem bractwa, z jakiego pochodził człowiek, który tak pięknie naznaczył Edwarda.

Z uśmiechem patrzyłem na panikę w ich oczach. Usiadłem na krześle, a oni patrzyli na siebie, zastygli w bezruchu. Domyślałem się, co dzieje się teraz w alchemicznych głowach. Małodobry, z którym obcowali wiele miesięcy. Brudny kat. Nie wolno go tknąć, nie wolno oddychać tym samym powietrzem.

–Ty... ty... – Kelley nie mógł znaleźć słów, by wyrazić bezmiar pogardy.

–Co chcesz powiedzieć? Psi synu? Lepiej być synem nieczystego zwierzęcia niż tobą, oszuście. Katowski synu? Po pierwsze, będzie to nieprawda, gdyż splodził mnie zwykły kmieć, a po drugie, żadna to dla mnie hańba. A może kurwi synu? Tego lepiej nie próbuj, bo bezczeszcząc pamięć mej macierzy, narażasz się na śmierć. Moja matka była cnotliwą niewiastą. Możesz to samo powiedzieć o swojej?

Widać trafiłem w czuły punkt, bo dostrzegłem, jak się w nim zagotowała żółć. Gdyby tylko mógł... Wściekłość go zamroczyła. Znów, jak kilka chwil temu, nie zastanawiał się, nie kalkulował. Skoczył do noża. Zanim zdołał przebyć pół drogi z wyciągniętą do przodu ręką, dosięgło go ciężkie krzesło, które wyrwałem spod siebie i cisnąłem z całej siły. Padł niby rażony piorunem, zaskomlał, skulił się, trzymając za stłuczone biodro. Pokręciłem głową. Chciałem trafić w głowę, jednak w ostatniej chwili palce omsknęły się na jakimś źle obrobionym sęku. Zbliżyłem się, kopnąłem nóż tak, by wpadł pod zwalistą dębową szafę. Potem stanąłem nad Edwardem. Przyglądałem się przez chwilę wykrzywionej bólem i

nienawiścią twarzy. To zestawienie wyjątkowo paskudnie zniekształca rysy. Ukląknę na jedno kolano, ująłem przy kostce nogę Edwarda, uniosłem i oparłem na swojej. Krzesło leżało na wyciągnięcie ręki. Zanim Kelley zdołał pojąć, co zamierzam, wylądowało na jego udzie. Trzasnęła kość. Nie skomlał już. Zaryczał niczym ranny łoś.

–Co mu zrobiłeś? – wykrztusił Dee. Przypadł do nas. Chciał mnie odciągnąć, jednak w porę przypomniał sobie, że jest katem, cofnął więc dłonie. – Ty oprawco!

–Złamałem mu nogę – odparłem spokojnie. – W takim miejscu, żeby przynajmniej miesiąc nie mógł się ruszyć z łoża.

–Dlaczego? Tak go nienawidzisz, że musiałeś skrzywdzić? To czyste, nieuzasadnione okrucieństwo! Uczynek godny oprawcy.

–Nie, panie Dee. Nie zrobiłem tego ani z okrucieństwa, ani tym bardziej z czystej nienawiści. Uszkodziłem mu ciało, gdyż to on tak mnie znienawidził, że nie mógłbym być pewien bezpieczeństwa. Nie zamierzam spędzić najbliższych nocy na czuwaniu.

Nasze cele nie są zamykane, a zresztą taki kuglarz i szalbierz na pewno potrafi poradzić sobie z najlepszym zamkiem.

–Mam rozumieć, żeś go nie kontuzjował, bo masz naturę kata?

–Możesz rozumieć, jak chcesz. Mnie to obojętne.

–Tak... Mówiłeś już, że straciłeś do mnie cały szacunek. Co zamierzasz?

–Pora się rozstać. Zbyt długo pozostawałem w tym miejscu. Widać taki już mój los, aby włączyć się po świecie, wszędzie niechciany, wyrzucany zewsząd.

–Jesteś przecież uwięziony wraz z nami, a mówisz tak, jakbyś mógł opuścić więź w każdej chwili.

–Na wszystko znajdzie się sposób. Nie mam już na co czekać. A co ty chcesz dalej począć? Związałeś się z tym czymś. – Wskazałem pogardliwie Kelleya. Z oczu lały mu się łzy bólu i upokorzenia. – Przecież masz w sobie niepospolite zdolności, widzisz więcej niż inni. Bez tego robaka możesz stać się kimś, o kim ludzie będą opowiadać legendy, czcić pamięć, stawiać za przykład. Naprawisz swój błąd?

–Kelley to mój zaufany przyjaciel. Jego przeszłość mnie nie obchodzi.

–Tak myślałem. Słaby jesteś, panie Dee. Wolisz tkwić w ciepłym bagnie niż wyrwać się na przestrzeń, walczyć, iść pod prąd podmuchów zimnego wiatru. Swoją drogą ciekawe, jaką opowieść wymyśli nasz przyjaciel, by wytłumaczyć dzisiejszą przypadłość. Pewnie ludzkość usłyszy, jakoby stało się to podczas bohaterskiej próby ucieczki. Lina okaże się za krótka, a wysokość zbyt duża, aby skok nie spowodował obrażeń.

–Zbyt surowo go oceniasz.

Milczałem. Ktoś, komu Kelley spaskudził żonę, oszukał przy eksperymentach, za białą tynkturę podał substancje nieobce byle kucharce czy kielbaśnikowi, a za czerwoną koniec końców zapewne coś w rodzaju zmielonej cegły, kto był świadkiem, jak zdradziecko usiłował przebić nożem nielubianego człowieka, miał okazję ujrzeć, iż pod nieodstępną czapką kryją

się uszy fałszerza, ktoś taki nie może liczyć, iż zdrowy osąd kiedyś powróci. Nawet jeśli posiada tak rozległą wiedzę jak John Dee. Nieszczęsny człowiek.

Błędne latarnie nieba

Alberta Łaskiego spotkałem w Opawie. Nie byłoby w tym nic nieoczekiwanego, bo to przecież miasteczko leżące niedaleko ważnych szlaków, a obu nam droga wypadała tamtędy, przy tym on nie mógł wrócić do Polski z uwagi na niełaskę króla, ja ze względu na daleko posuniętą samowolę jego poddanych. Obaj też nie bardzo mogliśmy pozostawać zbyt blisko Pragi. Co prawda realna władza Rudolfa tak naprawdę kończyła się na rogatkach tego miasta, jeśli nawet nie wcześniej, zaraz za Hradczanami, ale jego zawistni słudzy mieli długie ręce i twarde, wypełnione nienawiścią serca. Zaś z Opawy łatwo umknąć zarówno do Polski, jak i na teren Niemiec czy cieszący się pewną autonomią Śląsk, gdyby ktoś usilnie szukał takich jak my. Otóż, powtarzam, nie byłoby w tym nic nieoczekiwanego, gdybym go napotkał wiele miesięcy temu, jeślibym uciekł z cesarskiej gościny od razu. Ale po takim czasie...

–Myślałem, żeś już dawno zgnił w praskim lochu – przywitał mnie, gdy tylko przekroczyłem próg gospody.

–A ja myślałem, że cię poniosło w dalekie kraje, na ziemię angielską, italską lubo francuską. – Usiadłem za stołem, przysunąłem sobie dzban z piwem. – Ponoć wszędzie masz przyjaciół.

–Bez pieniędzy? – parsknął. – Rudolf kazał obrać mnie ze wszystkiego, nim wyjechałem z Pragi. Słałem o pomoc do rodziny, ale bez skutku. Może listy nie dotarły, a może boją się być posądzeni o znoszenie się z wrogiem króla? Zaś owi wszyscy przyjaciele, o których tyle powiedziałem, są mi radzi jeno wtedy, gdy zabrzęczę kieszę. Sam mi podczas wspólnej podróży powiedziałeś, iż jednej rzeczy może być człowiek pewien. Śmierci. Otóż mylisz się, Jakubie. Człowiek może być pewien jeszcze rzeczy drugiej. Że ci, którzy go najbardziej hołubią i wielbią, gdy ma pieniądze, odwrócą się z całą pewnością w godzinie próby. I tak siedzę w tej dziurze, udając wielkiego pana. Powóz zastawiłem, Prokop poszedł w służbę do jednego z miejscowych piwowarów i tyle mamy ninie pieniędzy, ile on przyniesie. Nie bardzo mogę nawet opuścić tę obskurną gościnnicę, bo wraz by się wydało, iż nie mam na zapłacenie noclegów i jadła. Zaraz by położył na mnie łapy tutejszy starosta.

–Tylko to jest powodem, żeś tu osiadł? – Zmarszczyłem brwi. Łaski nie był z tych, co się muszą przejmować długami. Wystarczy wystawić odpowiedni dokument, zobowiązać się uiszczyć należności po zdobyciu gotowizny. Wielkim panom zawsze to uchodzi. Zresztą mógłby

zastawić rodowy pierścień. Nawet tępy karczmarz łatwo pojmie, iż dla szlachcica to przedmiot bezcenny i prędzej się da pociąć na plastry niż zostawi go na dłużej w niegodnych rękach. – W to nie uwierzę, panie Albercie. Mów, co jest na rzeczy.

–Czekałem na ciebie, Jakubie – Spojrzał bystro. Zapewne oczekiwał okrzyku zdumienia, a przynajmniej poruszenia, jakiegoś znaku, żeś zaskoczony. Nie doczekał się. Już dawno przestałem się czemukolwiek dziwić, a w każdym razie okazywać to światu. Tak to właśnie wygląda – im człowiek nabiera więcej doświadczenia życiowego, tym mniej jest skłonny okazywać uczucia.

–Nie mów, jakobyś się spodziewał czegoś podobnego!

Gospodarz postawił przede mną kubek i dzban doskonałego orawskiego piwa.

–Nie mówię. Ale też i nie wprowadziłeś mnie w osłupienie.

–Czyżby duchy pana Dee uprzedziły cię o mych zamiarach? A może ujrzał twoją przyszłość w kryształowej kuli?

–Wiesz, co jest najgorsze, panie Łaski? Wierzysz w to, co mówisz. Tobie naprawdę się zdaje, że można rozmawiać z eterycznymi istotami, a one niosą objawienie.

–Nie jest tak?

–Równie objawione prawdy możesz usłyszeć od straganiarki albo własnego stangreta.

–Mówisz to po spędzeniu tak długiego czasu w towarzystwie największych luminarzy nauk tajemnych?

Roześmiałem się, pociągnąłem łyk prosto z dzbana. O właśnie. Takie rzeczy jeszcze mogą wprowadzić mnie w zdumienie – naiwność i wiara w rzeczy, w które wierzyć niepodobna. Piwo smakowało i pachniało różą. Widać w kadziach fermentowano je wraz z płatkami. A może kryła się w tym jeszcze inna cechowa tajemnica. Jeśli tak, na pewno była cenniejsza niż dzieła panów alchemików.

–Nauk tajemnych? Albercie, nie istnieją nauki tajemne. To jest prawdziwa zagadka. – Wskazałem naczynie. – Z ziaren zboża, wody i chmielu powstaje napój, któremu nie masz równych na świecie. Pożywny niczym chleb, a w smaku cudny niby sławetne nektary greckich niebios.

Uśmiechnął się z przymusem.

–Czyżbyś rozczarował się wielkimi uczonymi?

–Gdybyś przebywał z nimi dość długo, sam byłbyś rozczarowany.

–Powiedz lepiej, jak zdołałeś się wyrwać spod protekcji Rudolfa. Nieskory jest do wypuszczania takich, na których położył łapę. Bardzo nieskory.

Blanka zachichotała. Ja także się roześmiałem na wspomnienie tamtych wydarzeń.

Jakże zdumiony był pan Marcin Rutzky, gdym mu oznajmił przez von Horna, iż chcę mu przekazać ważne tajemnice. Kapitan zrazu był bardzo nieufny.

–Jak to możliwe? Chcesz zdradzić swojego mistrza? Powiedz, o co idzie, albo sam idź do diabła.

–Posłuchaj, panie Horn. Ani Dee jest moim mistrzem, ani twoja rzecz, co chcę rzec panu Rutzkiemu. Mam dość więzienia, zaś wieści, które mogę powierzyć tylko jego uszom, uturują mi drogę ku wolności. Objaśnię mu wszelkie prawdy i szalbierstwa, o jakich się wywiedziałem przez czas wspólnego życia z alchemikami.

Nie czekałem nawet dnia. Wezwał mnie w środku nocy. Nie przysłał też do eskorty von Horna, ale samego pułkownika Oldrzych Millera. Widać uznał, że nierozgarnięty kapitan może uczynić coś głupiego znieprawionemu więźniowi. Na przykład zabić go podczas próby ucieczki. Dobry był jako pies łańcuchowy, jednak na pasterskiego się nie nadawał. Szliśmy w milczeniu znanymi mi doskonale podziemiami. Znowu poczułem się jak w akademii. Kompletna cisza, świadomość, iż na dworze panuje noc, pora doby, która wszelkie odgłosy albo tłumy, albo zmienia nie do poznania.

Śpiew ptaka po północy wydaje się wydarzeniem magicznym i cudownym, choć taki sam głos o białym dniu nie zwróci nawet uwagi. Kocie łapy, bezszelestne w dzień, po zmroku potrafią nawet silnego mężczyznę przyprawić o przyspieszone bicie serca. Wyszliśmy na dziedziniec. Po raz pierwszy od miesiący odetchnąłem pełną piersią. Wczesnowiosenne powietrze. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, jak długo pozostawałem w zamknięciu.

Rutzky nie był sam. Siedział na wysokim krześle, sztywno wyprostowany. Obok rozsiadł się czarno odziany mężczyzna.

–To mój imiennik, pan Marcin Ruland – przedstawił go gospodarz. – Alchemik, jak my wszyscy tutaj.

Alchemicy! Miałem ochotę parsknąć śmiechem. Na szalonym dworze szalonego cesarza wszyscy byli alchemikami, chyba nawet kucharze i lokaje. Dla mnie znaczyło to tylko jedno. Zbiorowisko niedouków, żądnych władzy małych ludzików.

–Witam, panie Ruland – powiedziałem, nie skłaniając głowy. Pochwyciłem jego wściekłe spojrzenie.

–Mów, panie Jakubie, z czym przychodzisz.

–Nie poprosisz, bym usiadł?

–Usiądź, jeśli chcesz. To znaczy jeżeli znajdziesz jakieś miejsce.

Oczywiście poza meblami, na których siedzieli ci dwaj, nie było w pokoju nic, na czym można by spocząć.

–Mam mówić przy nich? – Wskazałem pułkownika i gwardzistów.

–Wyjdźcie – rzucił Rutzky. – Oprócz Oldrzicha. Jest wtajemniczony – wyjaśnił.

–Też zajmuje się alchemią? W Pradze to chyba jakaś choroba.

–Poprosiłeś o spotkanie, żeby nas obrażać?

–Nie poprosiłem, panie Rutzky. Zażądałem. To wy chcecie czegoś się ode mnie dowiedzieć.

–W czasie poprzedniej rozmowy zdawałeś się wręcz niezłomny.

–Przyjmijmy więc, że nie wiedziałem wówczas tego, co teraz wiem.

Patrzył mi prosto w oczy i rozważał – wierzyć czy nie. Czekałem cierpliwie.

Właściwie cierpliwość była jedyną umiejętnością wyniesiona z bieckiej uczelni, która w ostatnim czasie okazywała się przydatna. Pułkownik stał nieco za mną, z pistoletem w prawicy. Ten nie wyglądał na takiego, którego można byle czym zaskoczyć.

–Nie ufam ci – rzekł wreszcie Rutzky.

–W takim razie jest nas dwóch, bo ja tobie też nie ufam. Zanim powiem choć słowo, przysięgniesz na krzyż i księgi cesarów, że puścisz mnie wolno.

–Na krzyż i księgi cesarów? Dlaczego aż tak? Sam krucyfiks nie wystarczy?

–Może uczciwemu człowiekowi. Ale ty jesteś pogrążony po uszy we wszechobecnym tutaj bagnie. Nie wiem, zali boisz się Boga, jednak przed ciemną stroną odczuwasz wielki lęk. Dlatego zaprzysięgniesz na Dużego Alberta, Małego Alberta i Księgę Papieża Honoriusza. – Panie Marcinie – odezwał się Ruland. Miał miły, głęboki głos. Jednak poczucie, iż jest on rzeczywiście miły, zniknął, gdy mówił dłużej. Pojawiała się wtedy nieprzyjemnie syczące dźwięki. – Drogi mój panie

Marcinie, czy musimy wysłuchiwać czelnych uwag tego młodzieńca? Czyż nie możemy go wydać na spytki katu? Ten wyciągnie od niego, co trzeba, i więcej jeszcze.

–Właśnie o to chodzi – padła niecierpliwa odpowiedź. – Mocą tortur wyciągnie wszystko. Nie rozumiesz, mój drogi? Nikt poza wtajemniczonymi nie powinien wiedzieć, co nasz gość ma do powiedzenia. Chyba że nie ma nic.

Czekałem, aż skończą ten teatr. Ciekawość aż z nich biła, wyciekała każdym porcem skóry. Wreszcie zamilkli, wbili we mnie wzrok.

–Mów – powiedział Rutzky.

–Najpierw przysięgnij. – Wzruszyłem ramionami.

–A jeśli nie powiesz nic dla nas wartościowego?

–Mam dość – rzekłem zniecierpliwiony – nie jesteśmy na targu. A z ciebie wychodzi kupieckie pochodzenie, mój panie. Każcie mnie odstawić do wieży. Machnął ręką.

–Niech będzie. Przynieś księgi i krzyż, Oldrzychu.

Na to czekałem. Miller podszedł do półek po mojej lewej stronie. Aby unieść ciężkie tomy, musiał odłożyć pistolet. Odłożyć albo zatknąć za pas. Wybrał to drugie. Właśnie o to chodziło, dlatego tak upierałem się, żeby przysięgali na księgi. Ktoś musiał je dostarczyć, a przecież byłoby to poniżej godności obu szarych eminencji. Szybko uczyniłem dwa kroki do przodu. Moja prawa noga wylądowała w zgięciu kolana oficera, zagiętymi palcami lewej ugodziłem go w kość guziczną. Jednoczesne przygięcie ku ziemi wraz z siłą nadlatującego ciosu sprawiło mu tak potworny ból, że nie zdołał krzyknąć, wciągnął tylko głośno powietrze. Zanim usiadł, a potem zwałił się na bok, trzymałem już w jednej ręce rapier, w drugiej samopał. Magiczne księgi upadły, jedna otworzyła się na stronie, na której widział obrazek satyra obcującego z nimfą, wpisany w dziwaczny wzór. Skoczyłem ku krzesłom. Ruland

osunął się nieprzytomny, kiedy wyciąłem go gardą w skroń, Rutzky siedział skamieniały. – No, mój panie – rzekłem z uśmiechem, odrzucając klingę – wystarczy zabawy. Teraz zdejmiesz pasy z naszego pułkownika i skrępujesz go należycie. Następnie zwiążesz własnym pasem swojego przyjaciela i udamy się na przechadzkę, ale bez towarzystwa gwardzistów. Rozumiemy się?

–Portki mi zaczną opadać, jeśli pozbędę się pasa – warknął.

–I bardzo dobrze. Nie będziesz próbował ucieczki. Pamiętaj, pod płaszczem będę dzierzył ognistą rurę wycelowaną w twoje plecy. Możesz próbować podstępów, jednak zastanów się wpierw, czy warto stracić życie, by mnie zatrzymać.

–Trzeba było wydać cię jednak katu! – sapnął wściekle.

–Na wiele by się to nie zdało z pewnych względów.

Miał ochotę zapytać, z jakich, ale go już pchnął ku wyjściu. Gwardziści wyglądali na zdumionych, że zostawiliśmy w komnacie ich dowódcę, jednak niebezpiecznie było sprzeciwiać się Rutzkiemu, więc tylko odprowadzili nas wzrokiem.

–Reszta była łatwa, panie Albercie – zakończyłem opowieść. – Wyszliśmy za mury, korzystając z plenipotencji pana Marcina, i niech mnie diabli, jeśli nie była to jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu. A teraz ty mów, jaką masz do mnie

sprawę.

* * *

Jakubie, naprawdę chcesz się porwać na podobną awanturę?

I tak nie mam nic lepszego do roboty, Blanko. Zaś niebezpieczeństwa są mi chlebem powszednim. Po bezruchu pobytu w Pradze zapragnąłem odmiany. Cóż mogę jeszcze uczynić mniej rozsądnego od awantury na Rusi, od wypraw na Krym?

Przekonałeś się już, iż Łaski nie siedzi tu wcale przez wzgląd na przyjaźń do ciebie. Mówiąc, jakoby czekał na twoją osobę, miał raczej na myśli, że chciał znaleźć desperata, co podejmie się takiej pracy. Desperata podobnego tobie. Obiecał wrocławianom znaleźć kogoś, kto wykona zadanie, a tu mu było najdogodniej. Przy szlakach w pobliżu gór zawsze można napotkać awanturników.

Prawie się przeliczył. Może gdzieś tu mieszkają twardzi ludzie, którzy nie złęką się byle czego, ale w mieście mógł spotkać tylko złodziejasków i drobnych rzezimieszków. Ci mogą ogolić kupca albo pchnąć nożem w ciemnym zaułku. Prawdziwe niebezpieczeństwo ich nie interesuje.

Albert Łaski nie jest kimś, kto robi wszystko, by dopełnić warunków umowy. Wziął pieniądze jako baraśnik, wiedząc, że może nie wywiązać się ze zobowiązania. Wcale też cię nie szukał w Pradze, nie usiłował uwolnić, dopomóc. Najpierw zapędził w kozi róg ciebie, potem siebie samego, zaś ty zjawiałeś się nagle niby anioł.

Porównać mnie do anioła! Ukochana, to ogromne nadużycie względem niebieskich

zastępów. Ani duszę mam czystą, ani ciałem przypominam boskiego posłańca. Co więcej, stałem się bodaj jeszcze bardziej czarniawy, odkąd spłonąłem w ogniu powozu.

Proszę cię, przywołaj przyjaciół, pozwól im napić się krwi. Niech będzie jak dawniej. Niech ludzie żyją swoim życiem, a my po staremu nieśmy śmierć i zniszczenie.

Nie mam nawet fletu, Blanko. Zabrano go, zanim zaprowadzono mnie do królestwa Johna Dee. Dar polskiego króla stał się trofeum jakiegoś cesarskiego kamerdynera. A poza tym dobrze wiesz, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Nie da się zawrócić biegu rzek. Rozmawialiśmy o tym wiele razy.

Nie chcesz nawet spróbować?

Może kiedyś, nie teraz. Obecnie musimy pomyśleć, jak wywiązać się z zadania. Skoro dałem już słowo, nie będę robił z gęby cholewy.

Mnie bardziej ciekawi, ile wziął Łaski, skoro dla ciebie zapłata ma być całkiem przyzwoita.

Zapytaj duchów. One mogą wiedzieć.

Nie widzę duchów, Jakubie. Dostrzegałam je i mogłam się z nimi porozumiewać w obecności pana Dee. Bez niego przemykają się tylko niewyraźne, przerażające cienie, dochodzą mętne myśli. Widzę duszę opuszczającą ciało, mogę zgadnąć, czy jest szczęśliwa, czy skrzywdzona, ale to właściwie wszystko. Jedno, co potrafię, to, jak sam wiesz, wtargnąć w umysł tego, kogo dotkniesz. A ponieważ nikogo palcem tknąć nie możesz, a Johna Dee w pobliżu nie ma...

Ten człowiek posiada prawdziwą moc. Jednak, jak widać, mieć taki talent to mało, jeśli jest się słabym. Jeśli ulega się urokowi oszustów, samemu łatwo się stać oszustem.

Surowo go osądzasz.

Bo zasługuje na surowy osąd ten, kto nie potrafi decydować o sobie, nie podejmuje trudu i odpowiedzialności, ale zdaje się na działanie przypadkowego szalbierza. Im kto mądrzejszy, tym większa na nim spoczywa odpowiedzialność i tym surowszego powinien się spodziewać osądu.

Co zamierzasz?

Wyruszamy do Wrocławia. Tam pewnie otrzymamy dokładniejsze wskazówki. Tam też ostatecznie zdecyduję, czy podejmiemy się zadania.

Dobrze, najmilszy, jedźmy do Wrocławia. Byle nie było tam wielu nadmiernie ponętnych kobiet. Od czasu, kiedy spotkałeś panią Dee, stałam się zazdrosna.

Blanko, czy chcesz, bym się wykastrował, aby cię zadowolić, byś nie miała powodów do zazdrości?

Nawet tak nie mów! Jak możesz... To już wolę, żebyś wziął sobie kochankę. Ale na raz, Jakubie, jeden raz, abyś nie oddał serca tej, dzięki której rozlejesz nasienie.

Po co w ogóle o tym rozmawiamy? Przecież doskonale wiesz, iż to niewykonalne. Chyba żebym chciał taką niewiastę zgładzić.

Blanka nie odpowiedziała, oddaliła się gdzieś w otchłań umysłu; czułem, jak grzebie w pamięci, przerzuca wspomnienia. Nie cierpiałem tego, a jednocześnie sprawiała myszkowaniem dziwną, bolesną przyjemność.

–Jakubie – Łaski przypomniał o swojej obecności – nie odpowiedziałeś na pytanie.

Nie odpowiedziałem? Nie słyszałem go, wojewodo. Moje myśli krążą gdzie indziej, bardzo, bardzo daleko od twojej osoby.

–Pytania nie zawsze zawierają konieczność odpowiedzi – odrzekłem sentencjonalnie.

–Nie chcesz, nie mów. – Był wyraźnie urażony. Zaczęło mnie nawet ciekawić, przy okazji jakiegoś to pytania nie udzieliłem należytych wyjaśnień.

–Nie powiedziałem, że nie chcę. Ale może źle sformułowałeś kwestię? Może trzeba ją potraktować z innej strony?

Spojrzał na mnie wielkimi oczami.

–Pobyt wśród alchemików wyraźnie ci zaszkodził – orzekł. – Chyba że mi sensownie wytłumaczysz, jakże mam inaczej potraktować kwestię i jak zapytać, czy wolisz wina włoskie, czy węgierskie?

Roześmiałem się głośno, z ulgą. Łaski patrzył, kręcąc głową.

–Wolę piwo, Albercie. Dobrze uwarzone, cierpkie i chłodne. Nie masz win na świecie, które by mogły mu sprostać.

–Masz chłopski gust i chłopski smak – skrzywił się niechętnie.

–Lepszy taki niż żaden. Chcesz, pij swoje kwaśne i słodkie ciecze. Dla mnie jednak każ przynieść jeszcze jeden dzban orawskiego piwa.

Nie mogę. Blanka była zniecierpliwiona. Nie mogę!

Czego nie możesz, najmilsza?

Nie mów teraz do mnie „najmilsza”! Jestem zła! Nie mogę się dostać do pewnego wspomnienia!

Żebym chociaż wiedział, o czym mówisz. Przerzuciłaś ich już tyle, że życie przeleciało mi przed oczami podczas krótkiej rozmowy z Albertem.

Mur! Postawiłaś mur! Są rzeczy, których nie chcesz mi zdradzić!

Nie chcę? Raczej nie mogę. Może to coś, o czym zapomniałem tak dokumentnie, że nie można sobie w ogóle z tym poradzić? Odległe wspomnienia są podobne starym kościom w wilgotnej krypcie. Niby je widać, ale spróbuj tylko dotknąć, a rozsypią się w proch.

To raczej przypomina wielki kamień albo dębową kłodę wrytą w grunt. Nie można ich ruszyć, nie da rady podważyć z żadnej strony.

Tak cię to uwiera?

Tak! Jestem niewiastą. Żyję w tobie od lat, ale nie stałam się przez to ani o włos bardziej mężczyzną. Ciekawość jest moją drugą naturą.

Interesujące, czy wtajemniczeni katowscy mistrzowie także rozmawiają z tą częścią duszy, którą trzymają w niewoli.

Nie wiem i nie obchodzi mnie to w tej chwili! Pragnę poznać to wspomnienie!

Czasem zachowywała się niczym mała, rozkapryszona dziewczynka. Piłem piwo i gwarzyłem z Łaskim, czując jednocześnie, jak Blanka miota się na wszystkie strony, wściekła. Zawsze w takich chwilach przyprawiała mnie o ból głowy. Dziś jednak przykre uczucie narastało do niespotykanych rozmiarów.

–Dajże już spokój! Grzebiesz niby wiewiórka za zgubionym orzeszkiem!

Napotkałem zdumione spojrzenie wojewody. Ostatnie słowa wypowiedziałem głośno. Rozejrzałem się natychmiast. Karczmarz stał przede mną z otwartymi ustami. Rękę miał wetkniętą w zdobiony skórzany trzos. Widać zapłaciłem mu, nawet o tym nie wiedząc.

–No spójrz sam, panie Albercie – rzekłem, wskazując wásacza. – Przetrzęsa ten mieszek, jakby chciał w nim szczęście znaleźć. Wszystko uczyni, by za wiele reszty z florena nie zwrócić. A zatrzymaj go sobie, gospodarzu. W zamian jednak przynieś nam jeszcze piwa i wina, a nie od rzeczy byłoby i jakiego prosiaka pieczonego postawić na stół.

–Co tylko rozkażecie, panie – wybełkotał zdumiony moją hojnością karczmarz. – Co by się wam tylko zachciało.

Oddalił się ciężkim truchtem.

–Obdarowałaś go po królewsku – mruknął Łaski. – Za to złoto można by przemieszkać u niego ze dwie niedziele, jeśli nie miesiąc cały z wiktem i opierunkiem.

–Niech wie, żeśmy nie żebracy.

Drogo nas kosztują twoje fanaberie, moja miłości. Ten floren to było wszystko, co zostało z królewskiej nagrody.

W odpowiedzi doleciało rozjuszone prychnięcie. Siłowała się z niepokornym wspomnieniem. Sam byłem ciekaw, co to może być, skoro stawia tak wielki opór.

–Powiedz mi, panie Albercie – starałem się nie zważać na ból głowy – dlaczego

pomyślałeś właśnie o mnie. Skąd ci przyszło do głowy, że mogę sobie poradzić?

–Bo jesteś odważny, sprawny i... może się mylę, ale chyba dość trudno ci zgładzić.

–Jak każdego. Wystarczy mocno uderzyć i dobrze trafić. Z tym jest jak z grą w kości. Jednemu wypadają uparcie pojedyncze oczka, drugiemu szóstki sypią się niczym płatki śniegu w styczniowy poranek. Jeden umiera po byle pchnięciu sztyletem albo zgoła od nieszczęśliwego uderzenia w skroń czy nasadę nosa, drugiego nie dobijesz najcięższym toporem, nie poradzisz, choćbyś dźgał włócznią raz przy razie. A teraz rzeknij mi, ale całą prawdę, dlaczego tak ci na tym zależy?

Chciałem to usłyszeć, choć przecież znałem odpowiedź. Jednak wyraz konsternacji na arystokratycznym obliczu bawił mnie niezmiernie.

–Zapętlilem się. Potrzebowałem gotowizny, bo już się wierzyciele zaczęli cisnąć drzwiami i oknami – odparł cicho, jakby ze wstydem. – Wziąłem wynagrodzenie od wrocławskich rajców za sprowadzenie odpowiedniego człowieka. Jak już mówiłem, w Pradze zaufani Rudolfa obrali mnie ze wszystkiego, a do Polski wrócić nie mogłem. Chwyciłem się

więc tego. Z początku myślałem o tobie. Byłem nawet pod Hradczanami, choć groziło to więzieniem. Niestety, dopytać o ciebie było nie sposób. Postanowiłem więc czekać tutaj na jakąś okazję. Uciekinierzy jakoś zawsze wybierają Opawę na popas. Gdyby urzędnicy cesarscy byli mądrzejsi, mogliby złapać mnóstwo banitów w tych okolicach. Zaryzykowałem, jednak zacząłem tracić nadzieję. Pytałem różnych, którzy tędy przejeżdżali. Kiedy mówiłem o wysokości zapłaty, każdy chętnie słuchał, jednak gdym objaśniał, co trzeba uczynić, odmawiali stanowczo. Czasem miałem wrażenie, jakby co poniektórzy lepiej ode mnie wiedzieli, o co rzecz idzie. Żebyś wiedział, jak się ucieszyłem, ujrzawszy cię w gospodzie! Ileż mnie kosztowało wysiłku i woli, by nie rzucić ci się w objęcia z radości!

–No cóż. Napijmy się, wojewodo. Za powodzenie dla mnie i pieniądze dla nas obu.

–A potem okazało się, że w większości niedoszli bohaterowie rzeczywiście sporo wiedzieli – ciągnął Łaski. – Ci, co przybyli z tamtej strony granicy albo siedzieli tu już dłużej, miewali lepszą orientację, choć przecież powinienem zostać objaśniony we wszystkim u źródła. To paskudna sprawa, Jakubie. Mam wrażenie... Nie, przyjacielu, mam pewność, że nie powinienem cię w to wciągać.

Wyraźnie dopadły go wyrzuty sumienia. Gdyby był zwykłym kompanem przy ognisku, klepnąłbym go w ramię i rzucił lekkim tonem, by się nie martwił, tym bardziej, że już za późno. Przecież zdecydowałem się przyjąć zlecenie. Ale wojewoda to wielki pan, w dodatku ktoś, kto miał chrapkę na polską koronę, komu przepowiedzieli ją głupi wróżbici. Przepisany termin minął, ale ślad w sercu i piętno na duszy pozostały.

–Cały czas o tym myślisz? – powiedziałem, pochylając się ku niemu. – Masz nadzieję na śmierć Batorego.

Drgnął i spojrzał spłoszonym wzrokiem.

–Tak mówić się nie godzi – szepnął.

–Godzi. Jeszcze niedawno chwaliłeś się, że sam Dee to oznajmił, kiedy byłeś w

Anglii.

–A teraz mówię inaczej. Nie godzi się!

–Przeraziłeś się brzemienia? Nie każdy może być królem. To znaczy każdy może włożyć na skronie złotą obręcz, ująć berło, przywołać na twarz marsowy grymas. Jednak być królem to coś więcej niżli siedzieć na tronie, cieszyć się względami dam, używać życia i urządzać wystawne bale.

–Miałem tutaj bardzo dużo czasu na myślenie... Nie jestem godzien.

Pod ścianą przebiegł nieduży szczur. Z jakiegoś niedawnego miotu. Przystanął, spojrzął na mnie okrągłymi, czarnymi ślepiami. W sercu obudziła się straszna tęsknota.

–A gdyby w tej chwili przybyła delegacja sejmowa, szlachcice i magnaci stanęli przed tobą, złożyli pokłon i poprosili, byś zechciał zaszczyścić tron swoją osobą? Czy nadal uważałeś, żeś za mały, by ulec takiej pokusie?

Milczał. Nie było o czym mówić. Blanka sapła z wściekłości, próbowała przemóc oporne wspomnienie, znęcając się bez litości nad moim umysłem. Moim? Od dawna nie

należał tylko do mnie. Był wspólnym dobrem, jeśli to w ogóle dobrem można nazwać.

*** * ***

Był wysoki i zakapturzony. Groźny. Wyszedł z mlecznego tumanu wprost na skupionych przy ognisku ludzi.

–Stój!

Nie zatrzymał się. Szedł powoli, widać było, że nie zamierza wykonać polecenia.

–Stój! – Tym razem uniosła się lufa muszkietu. – Zastrzelę, jeśli zrobisz jeszcze krok!

Mgła wisiała nad ziemią skłębiona, poszarpana na pojedyncze pasma i srebrzyste kłaczkę, jedynie wokół samego ogniska była rzadsza, częściowo pokonana ciepłem i światłem. Przybyły zatrzymał się. Nie okazywał lęku. Siedzącym zdawało się, że widzą w głębi kaptura gorejące oczy.

–Kim jesteś? Odpowiadaj, kiedy starszy szarżę pyta.

–A ty kim jesteś? – rozległ się niski, głęboki głos, przywodzący na myśl powolne bicie ogromnego dzwonu. – Twoja szarża mnie nie dotyczy. Jakie masz prawo wypytywać?

–Prawo mam! Dowodzę tym oddziałem! Królewskim żołnierzem jestem, wachmistrzem i wystarczy tej spowiedzi.

–Widzę, żeś nie Tatar albo kupiec. Czemu zaczepiasz spokojnego wędrowca?

–Ani ja wiem, czyś spokojny, ani czy w istocie wędrowiec. Może tatarski szpieg?

–Szpieg? – zagrzmiął donośny śmiech. – Widziałeś ty ordyńców, co by mieli takich postrzegaczy?

–Nigdy nie wiadomo. Idziesz od strony, w którą poszedł czambuł. Możeś na ich usługach? Na rubieży wielu znajdziesz przeniewierców, co wysługują się jak nie Tatarom, to Wołochom, jak nie Wołochom, to Rusinom.

–I zapewne służą swoim mocodawcom właśnie tak?

Zakapturzony wykonał krótki zamach. Palec żołnierza zadrgał na spuście muszkietu. Huknęło. Chwilę przedtem dowódca przygiął lufę ku ziemi, kula uwięzła tuż przed stopami intruza. Wachmistrz patrzył ze zdumieniem na kilka związanych rzemieniem kulistych przedmiotów. Od razu poznał ludzkie głowy. Twarze o skośnych oczach, usta otwarte do krzyku.

–Sam ich pokonałeś?

Człowiek odrzucił kaptur. Ukazała się czerstwa, pobrużdżona twarz. Oczy nie były wcale gorejące, ale jasnoniebieskie, jednak o wyrazie twardym, zuchwałym i groźnym.

–Sam. Nie pokonałem jednak. Pokonać można kogoś, z kim się zażarcie walczy. Zaś w tym przypadku oni sami stali się sprawcami własnej śmierci. Urządzili na mnie polowanie. Zdawało im się, iż samotny piechur nie ostatecznie się konnym rabusiom. Zabawili się. Szarżowali po kolei, jeden po drugim. Nie miałem trudności, by ich pozbawić życia.

–Czyli pokonałeś.

–Zabiłem. To różnica.

–Dla mnie żadna.

–Boś żołnierz. Zabić to twój obowiązek i za to ci płacą. Jak małodobremu.

–Nie porównuj profesji wojskowej z katowską – odparł groźnie wachmistrz. – Moi ludzie mogą nie zdzierżyć takiej potwarzy.

Przybysz stanął nad nimi. Zdawał się wielki i mroczny na podobieństwo ciemnej burzowej chmury. Rozsunęli się, czyniąc mu miejsce.

–Kim byś nie był, siadaj z nami. Kto bije pohańców, musi być naszym druhem.

–Ale że też – mruknął któryś – dałeś radę trzem od jednego razu...

–Zarozumiali byli. Gdym pierwszego ściął od dołu ku górze przez koński łeb tak, że i jeździec, i wierzchowiec padli, powinni uchodzić czym prędzej. Lecz im się zdało, jakoby jeden od drugiego lepszym był wojownikiem.

Nasłuchiwał chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

–A cóż to za płacz? – spytał. – Jakby dziecko...

–Chłopaczka naszliśmy w spalonej zagrodzie. Ojca mu Tatarzy zarżnęły, matkę i siostry splugawiły i rozplatały. Wzięliśmy malca, choć w takiej służbie trudno z nim, skoro bez przerwy jesteśmy w drodze. Zachorzał od tego, kaszle i płacze...

–Dajcie go obejrzeć. Żleście się nim może zajmowali. Dzieci potrafią znieść wielkie trudy, jeśli odpowiednio o nie zadbać.

–Znasz się na dziatkach? A może i chorobach?

–Cośkolwiek. Na dzieciach mniej, na chorobach całkiem nieźle.

Jeden z wojaków zaprowadził mężczyznę do namiotu, a raczej płachty zatkniętej na żerdziach. Paroletni chłopiec patrzył wielkimi, rozgorączkowanymi oczami wpadniętymi w głąb wychudzonej twarzy.

–Daj rączkę – powiedział łagodnie przybysz. Kiedy mówił do dziecka, głos miał inny niż w rozmowie z żołnierzami. Stał się miękki i delikatny, budził zaufanie. Sprawił, że chłopczyk po chwili wahania spełnił prośbę. – Biedactwo. Płoniesz. Trzeba ci ziół zadać i wygrzać należycie.

–Gdzie tu wyrzucić? Wszędzie pustka – zauważył żołnierz. – Skapieje nieboraczek.

–Dajcie go mnie. Zniosę go między ludzi, nakarmię, napoję, przy ogniu ułożę.

–A co ci o niego? Twój jest albo co?

Mężczyzna nie odpowiadał. Mruczając pod nosem, badał chłopca. Malec jęknął, gdy dotknął pleców. Zadarł koszulkę. Na widok sinych i podbiegłych krwią pręg wciągnął głośno powietrze.

–Idziemy do dowódcy – rzekł. – Ale już! – warknął, widząc, że żołnierz chce zaprotestować. – Chyba że chcesz, bym ci kark skręcił.

Wojak spojrzał z respektem na potężne dłonie i szerokie bary rozmówcy.

Posłusznie

wycofał się spod namiotu. Stał, czekając, aż mężczyzna otuli dziecko własnym płaszczem. Wreszcie groźny człowiek wyszedł.

–Nie daliście małemu nawet porządnej końskiej dery – rzekł. – Co z was za ludzie?

Nie czekając na odpowiedź wyciął żołnierza w głowę pięścią. Ten padł niczym rażony gromem.

Przy ognisku panowało milczenie. Na widok nadchodzącego wachmistrza wstał.

–Co tam? Gdzie Walerek?

–Został przy namiocie – padła zgodna z prawdą odpowiedź. – A teraz ja zapytam, kto skatował chłopaka? Kto go katuje każdego dnia?

W ciszy słychać było jedynie trzask płonących gałązek. Mężczyzna zwrócił wzrok na wachmistrza.

–Nie godzi się tak psa traktować, a co dopiero ludzką istotę. Za to kara powinna być surowsza niżli za mężobójstwo. Zasłużyłeś na śmierć, panie wachmistrzu. Bo to twoja robota, niczyja inna. Bo tylko ty masz w oddziale władzę krzywdzić albo rozkazać czynić krzywdę.

–A kimże ty jesteś, by wyroki ferować? – wydał wargi dowódca.

–Tym, który je zazwyczaj wykonuje.

–Kat!

–Małodobry!

–Oprawca!

Poderwali się na równe nogi. Ten i ów spojrzał uważnie, czy przybyły nie stoi na jego cieniu, nie zważając, iż w panującej mgle nijakich cieni być nie może. Zaś potężny człowiek nie wiadomo skąd dobył wielki miecz. Być może przedtem zostawił go gdzieś w oddaleniu, a teraz, wracając do ogniska, podjął go i ukrył za plecami. Świsnęło ostrze, jęknęła stal. Wachmistrz padł z odciętą głową. Jasna krew bluznęła z tętnic. Prawie w tej samej chwili huknęły strzały. Do gęstego tumanu dołączył się równie gęsty dym, tak że przez dłuższą chwilę nic nie było widać. W miejscu, gdzie przed chwilą stał zabójca wachmistrza, było pusto. Pobiegli ku namiotowi. Ich kamrat zbierał się z ziemi z trudem. Jeszcze mu szumiało w głowie po uderzeniu. Pod płachtą było pusto.

–I dobrze – powiedział któryś. – Kłopot z głowy.

–Wachmistrz też z głowy. I bez głowy.

–I też dobrze. Podlec był, ot co. Dobrze, że mu kacisko łeb odjęło.

–Jak tak dobrze, to po coś zaraz strzelał?

–Tyś też strzelał. Wszyscyśmy wypalili. Strach mi było, że zaraz i mój czerep zleci.

–Powinniśmy go ścigać.

–Powinniśmy. Chcesz, biegnij.

–A ty?

–Ja tam rad jestem. Wachmistrza nie stało, możemy wracać do swoich. Trza by się choć raz porządnie wyspać, w łaźni wyparzyć, bo wszy na mnie więcej niż bab w kościele na

Wielkanoc.

–Ale zawsze zabił naszego.

–Powiedziałem, chcesz, goń i kto tam z tobą pójdzie. Ja zostaję. Gdyby którego z was usiekł, inaczej bym gadał, ale tej świni należało się i koniec. A kat niech idzie do diabła ze szczeniakiem. Może gdzie po drodze zdechną albo wpadną w tatarskie ręce i tak się dokona pomsta za zabicie wachmistrza.

Marudzili jeszcze chwilę przy namiocie, przestępowali niepewnie z nogi na nogę.

Mężczyzna łowił każde słowo, stojąc bez ruchu w takim oddaleniu, by tuman krył jego postać, czynił ją podobną do cieni krzaków i karłowatych drzew. Był gotów urządzić krwawą jatkę albo odejść, w zależności od tego, co postanowią. Teraz ze spokojną głową mógł uczynić to drugie.

Co to jest, Jakubie? Przecież to nie twoje wspomnienie.

Nie, kochana, nie moje.

Dlatego tak trudno się było do niego dobrać. Ten mężczyzna... Nie ma we wspomnieniu wyraźnej twarzy, ale to nie przez tamtą gęstą mgłę. Po prostu tak, jakby jej w ogóle nie było.

To Eustachiusz. Musiał opowiadać mi tę historię. Tak właśnie stałem się jego uczniem... a raczej przybranym synem. Najpierw żołnierze uratowali mnie po najeździe okrutnych Tatarów, a potem on uwolnił z rąk okrutnych żołnierzy. Gdym był dzieckiem, mawiał, że oddali mnie po dobrej woli. Nie wspominał o rozlewie krwi. Raz tylko rzekł prawdę, gdy skończyłem dwanaście lat. Dopiero teraz sobie przypomniałem. Ale wtedy nie chciałem, żeby tak było. Woląłem myśleć, iż ci, co mnie uratowali to byli szlachetni wojownicy, nie bestie. Patrz, jak głęboko upchnąłem to wspomnienie. Ale też jakie wrażenie uczyniło, skoro wydarzenia widzę, jakbym był ich świadkiem. A może sam mistrz wrył mi je w pamięć swoimi sposobami, bym kiedyś mógł doń dotrzeć? Eustachiusz był nie tylko biegłym mistrzem nauk katowskich, ale znał także wiele tajemnic umysłu.

Tak się to więc odbyło. Tak trafiłeś do katowskiego bractwa.

Jak widzisz, Blanko. Gdzieś tam zawsze towarzyszyło mi poczucie krzywdy, bólu, ale nie pamiętałem, by mnie tak okrutnie oprawiano.

Czuję, jakby było ci lżej.

Sam nie wiem dlaczego, ale tak jest w istocie. Jakbym zrzucił wielki ciężar. Skąd to poczucie? Może stąd, że dobrze jest wiedzieć o sobie jak najwięcej.

Meandry Mlecznej Drogi

Stałem na wzgórzu, zapatrzony w dal. Za plecami w niebo pięły się wieże katedry, z przodu majaczyło pasmo lesistych wypiętrzeń. Wzgórza Trzebnickie. Podobno miejsce pełne uroku, powabu, ale ostatnio także grozy. Podróż w tamtą stronę nie potrwa długo, zaledwie jeden dzień, ale właśnie dlatego nie wyruszyłem z samego rana, lecz właśnie na noc, by móc na miejscu odpocząć, nim nadejdzie jutrzejszy wieczór. Przed następną nocą muszę być w pełni sił, poza tym powinienem zlustrować okolicę przy świetle dnia, zanim zdecyduję się wejść tam po ciemku. Mógłbym oczywiście znaleźć nocleg w mieście, jednak wrocławscy rajcy nie chcieli, bym zwlekał. To był warunek uzyskania pełnego wynagrodzenia. Pewnie chodziło o to, żebym przebywając między tamtejszymi ludźmi, nie nasłuchiwał się koszmarnych opowieści, które mogłyby mnie skłonić do rezygnacji.

Boisz się, Jakubie, czuję to.

A ja czuję, że się cieszysz, Blanko. Czyżby mój strach był dla ciebie aż taką radością?

Cieszę się, bo jesteśmy znowu razem, z dala od tamtych okropnych ludzi, z dala od ich robaczywych myśli, knowań i podstępów.

Z dala, kochana? Niezupełnie.

Albert Łaski wywiózł mnie do posiadłości znajomka pod Wrocławiem, w pobliżu miejscowości Strzelin. Tam nieco wypocząłem, jednak nie mogłem pozostać dłużej. Ciągnęła się za mną nienawiść Kürbacha i Rutzkiego. Nie minęły dwa tygodnie, a pan Behrendt otrzymał listy z Pragi. Musieliśmy się wynieść czym prędzej. Intrygi dworaków przypominają ośmiornice o niezwykle długich mackach. Zanim dotarłem na dwór cesarza Rudolfa, byłem przekonany, iż najgorsi są szlachetkowie ze skłonnościami do pieniactwa, sobiepaństwa, chętnie krzywdzący słabszych. Ale świta władcy to dopiero zbiór indywiduów zdolnych do wszystkiego. Nie ma zbrodni, której by nie popełnili, aby tylko postawić na swoim, uzyskać korzyści, uszczknąć choć szczypty splendoru, jaki otacza koronę, sprawić, aby spłynął pozłocistą szatą także na nich. Przestępcy, których zdarzyło mi się oprawiać i pozbawiać życia, zasłużyli nierzadko na surowy wyrok wielokroć mniej od służalczych panów. Jednak tych się nie zwykło sądzić. Cokolwiek uczynią, pozostają bezkarni. Do czasu, aż ktoś im podobny podstawi nogę, doprowadzi do upadku.

Nie myśl już o tym, ukochany. To zostało poza nami. Teraz wyruszymy w drogę.

Lubisz podróże, Blanko. Pamiętam, ile razy powtarzałaś, że chciałabyś przemierzyć świat wzdłuż i wszerz. Leżeliśmy, mając nad głowami ciemne, okopcone belki starej powały, a tobie zdawało się, że widzisz w nich światełka gwiazd. Chciałaś wyrwać się z więzienia, jakim był lupanar, pragnęłaś swobody, świeżego powietrza. Życie w bezruchu i zamknięciu po niedługim czasie staje się bardziej zatęchłe niż zastałe powietrze na dnie zgniłych lochów. Marzyłaś, aby odwiedzić dalekie kraje, poznawać ludzi, słyszeć obce języki, próbować nieznanych potraw.

Chciałam także osiąść z tobą na bezludziu. Nie wiem, co pociągało mnie bardziej. Może okazałoby się, iż jestem nieszczęśliwa, czy to włączając się po świecie, czy prowadząc

monotonne życie na katowskim gospodarstwie, strzegąc ogniska domowego i miejscowego burdelu jak na żonę małodobrego przystało.

A może byłabyś tak samo szczęśliwa? Człowiek powinien postępować tak, jak mu serce i rozum podpowiadają.

A jeśli serce mówi co innego niż rozum?

Wtedy trzeba coś wybrać.

Serce czy rozum?

Na to nie potrafię dać odpowiedzi.

Jednak sam kierujesz się uczuciami.

Nie sam, Blanko. Z tobą. I wcale nie jestem pewien, do kogo to serce, które bije w mej piersi, w istocie należy.

To dobrze czy źle?

Nie mnie to oceniać, maleńka. Ani nawet tobie. Tylko Bóg zna odpowiedź na takie pytania.

A może diabeł?

Może obaj. Całe życie można strawić na podobnych rozmyślaniach.

Tamten patrycjusz we Wrocławiu był przerażony. Musiałeś to dostrzec.

Dostrzegłem, Blanko. Bił od niego niepokój, a raczej paniczny lęk. Można było ten strach prawie namacać.

* * *

–Nikt dotąd nie przeżył spotkania z bestią – powiedział rajca Herbert Wieneberg. – Zaś trupy, które nam przedstawiono do oczu... – Przełknął ślinę. – Trudno to opisać.

–Dobrze by było, gdybym mógł obejrzeć zwłoki. Chciałbym zobaczyć rany, które zadaje potwór.

–Wysysa krew – szepnął rajca – jakby chciał duszę wraz z nią wyssać.

–Wąpierz? – skrzywiłem się. – Znam gminne gadki o tych stworach. Ale znam też prawdę. Są ludzie, którzy cierpią na przypadłość łaknienia krwi. Sęk w tym, że są zbyt słabi, by uczynić krzywdę dorosłemu mężczyźnie, a nawet niewieście. Wyglądają ci chorzy wypisz, wymaluj jak upiory i zachowują się na ich podobieństwo. Boją się słonecznego światła i zapachu czosnku. Myślisz, panie Wieneberg, że to może być jakieś stowarzyszenie takowych?

–Nie bardzo. Wampiry mają kły w żyły zapuszczać, a nie gryźć jak popadnie i rozpruwać człeka niby stary wór, by unurzać się w posoce.

–Tak zwykły czynić z kolei strzygonie. Wierzaj mi jednak, panie Wieneberg, lasy przeróżne schodziłem za dnia i po ciemku, samopas i w towarzystwie, ale nigdzie nie spotkałem śladu tych stworzeń. Znam jednak takich, co przysięgają, że widzieli.

Milczał chwilę, patrząc za okno.

–Jest jeszcze jedno – dodał. – Wszystkim ofiarom zdarto z twarzy skórę. Zostaje w tym miejscu naga czaszka... z oczami... – Przełknął głośno ślinę.

–W takim razie to nie może być ani wampir, ani strzyga, ani inna znana z opowieści poczwara. Mamy do czynienia z czymś niespotykanym.

–Co zamierzasz?

–Wpierw obejrzeć ostatnią ofiarę.

–Jednak teraz nikt nie przywiózł do Wrocławia trupa. Od ostatniego razu minęły ponad dwa tygodnie. Ścierwo musiało już mocno zaśmierdnąć w grobie.

Uśmiechnąłem się łagodnie i zachęcająco skinąłem ręką.

–Poradzimy sobie. Dwa tygodnie to nie tak wiele.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy grabarze wydobyli trumnę. Jeden żelaznym drągiem podważył wieko, spojrzął na rajcę. Ten kiwnął głową. Mężczyzna napiął mięśnie, drewno zatrzęszczało, deski odskoczyły. Buchnął okropny smród. Nawet zaprawieni i obeznani z różnymi zapachami cmentarni kopacze odeszli dwa kroki i zasłonili chustami twarze. Pan Herbert zwymiotował. Zajrzałem do skrzyni. Ciało zalane już było trupim woskiem. Gestem kazałem przenieść zwłoki na przygotowany stół. Wyjęli je w całości, złożyli na blacie, a raczej rzucili nań, byle jak najszybciej oddalić się od koszmarnego widoku i odoru. Przywołałem tego, który miał przygotować wiadro z gorącą wodą. Zaczerpnąłem kubkiem, oblałem szyję zabitego. Spłynęło nieco brudu i wosku. Nie obmyli nawet człowieka przed pochówkiem. Bali się go dotknąć, żeby nie przyszedł którejś nocy upomnieć się o następne życie. Jednak nikt też nie miał odwagi na wszelki wypadek przebić kołkiem piersi, albo chociaż przygwoździć czaszki. Wziąłem szmatkę, przetarłem ranę. Na pewno została wyszarpana zębami. Bestia wiedziała, w którym miejscu ugryźć, żeby spłynęło jak najwięcej krwi. Pod wpływem ciepła i zabiegów poruszone ciało uwolniło jeszcze więcej fetoru. Zostałem przy marach zupełnie sam. Nie na darmo uczono katów obchodzić się ze zgniłymi zwłokami. Często zdarzało się, że właśnie małodobry był zobowiązany dokonywać ekshumacji. Trup był w taki stanie, jakby leżał w ziemi nie dwa tygodnie, ale ze dwa miesiące najmarniej.

Rana na szyi to nie było wszystko. Brzuch nieszczęśnika został rozpruty, wnętrzności wywleczone i byle jak z powrotem upakowane. To było doskonale widać. Wzdęły się i wychodziły na wierzch sinymi kłębam.

–Kto wpychał trzewia do środka? – rzuciłem w tył pytanie.

Podszedł przełożony grabarzy.

–Nie wiem. Może ten, kto znalazł ciało.

–Chcę z nim porozmawiać.

Oblewałem trupa wodą i lustrowałem dokładnie każdy fragment ciała. Ugryzienia były jeszcze na wewnętrznej stronie uda, tam, gdzie najłatwiej dostać się do głównych arterii. A po

ogłędzinach udałem się wraz z Wienebergiem do ratusza, gdzie miano doprowadzić człowieka, który natknął się na trupa. Nie czekałem długo. Wszedł niepewnym krokiem do sali posłuchań. Był wylękniony. Nie wiedziałem do końca, czy na wspomnienie przeżyć, czy też odczuwał tak wielki respekt przed władzą. Miał może trzydzieści lat, spracowane dłonie i ciemne, zmierzwione włosy.

–To Jurgen – rzekł pan Herbert. – Sługa kupca Merringera.

–Zostawcie nas samych.

Rajca Wieneberg wyszedł, zabierając dwóch ociągających się patrycjuszy. Wskazałem mężczyźnie krzesło. Przez chwilę stał niepewny. Niecierpliwym gestem nakazałem mu posłuszeństwo. Zapewne brał mnie za kogoś możniejszego od ojców

miasta, skoro odważyłem się ich wyprosić za drzwi.

–Opowiadaj.

Otarł pot z czoła.

–Opowiadać to i nie ma co. Wracalem z Trzebnicy. Wysłali mnie tam pan Merringer na prośbę Walończyków, żebym przywiózł ziół i driakwi na skaleczenia. Trza wam bowiem, panie, wiedzieć, iże pomieszkuje tam jedna wróżycha, co się na ranach wyznaje i para handlem. Terozki, wiecie, kaźden chce być ino kupcem, a jeszcze lepiej jakim cechowym. Nawet ziebraki spod kościoła swoją gildyję mają...

–Mów o sprawie – fuknąłem. – Nie mam czasu na opowiastki.

–Ano już gadam. – Ku memu niezadowoleniu okazał się jednym z tych, którym się twarz nie zamyka, a im więcej mówią, tym bardziej uciekają od tematu. – Ano gdym wracał od Hedwigi, poszedłem w bok w las niedaleko za jej chałupą. Tam ponoć moc grzybów bywa.

–Nie bałeś się? Musiałeś słyszeć o potworze.

–E tam, panie – prychnął. – Gdzie w biały dzień potwór będzie z komyszy wyłaził. Zbierałem więc grzyby, a wystawcie sobie, że i prawdziwki, i podgrzybki, i nawet pieprzniki gęsto niby zboże na polu rosły. Nimem się obejrzał, cały kosz ich miałem, oglądałem się, w co by tu jeszcze ich naładować. Wóz czekał przy gościńcu, mogłem nań wrzucić, ile strzyma, bo pakunki od baby wiele miejsca nie zajmowały. Myślę sobie, pójdę do Hedwigi, jaki kosz większy pożyczę, a może i odkupię, boć to zawsze się przyda...

–Do rzeczy – warknąłem, zły już mocno.

–Właśnie to jest do rzeczy – odparł nieco urażonym tonem. – Bom postanowił dojsć do niej przez las. Właśnie wtedy naszedłem trupa. Spoczywał pod krzem, z początku żem pomyślał, że pijany jakiś zależał się do południa. Ale gdym się zbliżył, ujrzałem muchy i poczułem ścierwny odór.

–Widziałeś jakieś ślady?

–Panie! – Wybałuszył na mnie oczy. – Kto by się tam wonczas rozglądał! Do wozu pognałem i popędziłem konia. Potem dopiero się opamiętałem, zawróciłem ku Trzebnicy. Nie wolno krześcijaninowi umarłego poniechać bez pochówku.

–A owa baba, wróżycha? Nie boi się tam mieszkać?

–To znająca – szepnął z nabożną prawie czcią. – Nijaki potwór do takiej przystępu mieć nie może. A przy tym ma chałupę w starym świętym gaju. Miejscowe duchy nie dają wstępu złemu.

Wierzył w to całym chrześcijańskim sercem. Zresztą mógł mieć słuszność. Są miejsca, do których duchy i demony nie mają przystępu, jak chociażby wnętrze świątyni. Pogańskie uroczysko podobno też może posiadać taką moc.

–Ty zrobiłeś porządek z wywleczonymi trzewiami? Upchnąłeś je z powrotem w brzuchu ofiary?

–Ależ skąd, panie! W życiu bym nie dotknął takowego obrzydlistwa!

–Jeśli nie ty, to kto?

Zadałem pytanie bez zastanowienia, może po to, żeby coś powiedzieć. Nie oczekiwałem więc odpowiedzi. Jurgen skrobał się po głowie, mruczał pod nosem,

najwyraźniej usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenie. Wreszcie rozjaśnił twarz.

–Może aniołowie ze świętego gaju?

Pokręciłem w duchu głową. Niby sługa znanego kupca, obraca się przecież na co dzień między światłymi ludźmi, a ile weń zabobonu, wiary w sprawy, które rozsądny człowiek odrzuca, nawet jeśli widział w życiu takie rzeczy jak ja.

–A skóry z twarzy nigdzie nie zauważyłeś?

–A bom to patrzył? Mówię, zarozki poleciałem ku ludziom po pomoc.

* * *

Zaraz po północy powietrze staje się bardziej przejrzyste. Tak jakby o tej porze świat przechodził jakąś niewidzialną granicę. Zacierają się różnice między snem i jawą, a gwiazdy mrugają intensywniej, sprawiając, iż człowiek, który się im zbyt długo przypatruje, może się nagle osunąć w objęcia innej rzeczywistości. Kiedyś Mistrz Eustachiusz powiedział, że to nierealna godzina. Godzina kata. Podobno wtedy najłatwiej wydobywa się prawdę z człowieka. Gościniec zaczął się więc na podobieństwo spłoszonego węża, piąć nieco pod górę, żeby potem opaść w dół. Powoli docierałem do celu. Trzebnickie Wzgórza... Gdzieś tam rośnie bukowy las, spadek po dawnych pogańskich wierzeniach. Gdzieś tam stoi dom wróżychy, ukryty pośród strzelistych pni. Gdzieś tam grasuje potwór, który potrafi wypić całą krew z człowieka, a przy tym wsączyć weń jad powodujący niesłychanie szybki rozkład zwłok. Gdzieś tam śpią teraz spokojni ludzie, ufni we własne bezpieczeństwo. Człowiek to ciekawe stworzenie. Zawsze mu się zdaje, iż nieszczęścia dosięgają innych, nie jego. Mogłem to obserwować w czas bitew, kiedy żołnierze hurmą lecieli na wroga, jeden ściskając w dłoni krzyżyk, inny wrzeszcząc wniebogłosy, by odegnać strach. Każdy przekonany, że wyjdzie cało. Tak musi być. Inaczej nikt przy zdrowych zmysłach nie ruszyłby do bitki.

Ty też biegłeś, Jakubie. A przecież wiesz to wszystko, nie liczysz na to, żeś wybrańcem Boga.

A czy można powiedzieć, że przy zdrowych zmysłach? Lata obcowania z bólem i śmiercią, straszliwe wtajemniczenia w Akademii Katowskiej... To wszystko nie sprzyja zachowaniu umysłu w należyтым stanie. W dodatku mam w głowie ciebie, moja kochana. Znałaś kogoś, kto by był taki jak ja...? Jak my, powinienem raczej rzec.

Me nadajesz się do zwyczajnego życia. Powinieneś raczej hasać po niebie, uganiać się między gwiazdami. Tam nasze miejsce. Ciężko pełzać przy ziemi.

Kto wie, Blanko. Może już jutro stanie się zadość twojemu życzeniu. Jeśli rozszarpie mnie ów tajemniczy stwór. Obiecuj, że będziesz wtedy przy mnie, przeprowadzisz kaleką duszę na drugą stronę. A czy porwie mnie wtedy diabeł, czy utuli światłość, to już obojętne. Byleś w chwili śmierci czuwała nade mną.

Obiecuję, najmilszy. Blanko była wzruszona. Gdyby miała ciało, zapewne uroniłaby kilka łez. Nie musisz pytać. Jestem cała twoja. Stałam się twą własnością od chwili, gdyś pierwszy raz spojrział mi w oczy, kiedy zobaczyłam, że nawet małodobry może mieć piękną duszę.

Choć trudno mówić o pięknych jego uczynkach. Roześmiałem się. Dusza kata...

Rzecz, której wszyscy mu odmawiają, lękają się, że może skraść cudzą.

A czy nie mają choć odrobiny racji?

Mają, Blanko. Mają wielką rację, chociaż nie wiedzą nawet, jak straszna jest prawda.

Zatrzymałem konia i zeskoczyłem na ziemię. Pora odpocząć, do dnia przespać się w szczerym polu, zanim wjadę między drzewa. Ponoć nigdy jeszcze nie znaleziono ofiary na otwartej przestrzeni. Nie wychodzi z lasu.

*** * ***

Kobieta patrzyła na mnie spod oka, mruczała z niechęcią. Nic dziwnego. O świcie wdarłem się do jej chaty, obudziłem z głębokiego snu. Porwała się na mnie z nożem, który trzymała pod poduszką. Rzecz jasna, rozbroiłem ją bez trudu, chociaż rzucała się na wszystkie strony, usiłując chociaż rozorać mi skórę na rękę. Wreszcie musiałem ją trzepnąć pięścią w czubek głowy, żeby się uspokoiła. Nie była bardzo stara, ale zaniedbana, niemyte włosy sterczały na wszystkie strony.

–Co wiesz o potworze? – powtórzyłem pytanie bodaj po raz piąty. – Mów!

Milczała uparcie. Skoro nie dała rady mnie zabić lub przynajmniej zranić, zapiekła się w ciszy.

–Cóż – westchnąłem – jak chcesz.

Rozejrzałem się po chacie. Uboga, ale – inaczej niż właścicielka – całkiem schludna. Rozpięte rzędami wzdłuż ścian pęki ziół wydawały upojny zapach. Na niewielkim palenisku dogorywały węgliki. Zerwałem najbardziej suchą wiązkę i rzuciłem żarowi na pożarcie.

Buchnął jasny płomień, rozeszła się mocna woń mięty. Wtedy wyrwałem deskę ze stołu, oparłem o ścianę, złamałem jednym uderzeniem. Ostrożnie położyłem na palenisku.

–Co robisz? – nie wytrzymała wreszcie.

–Albo zaczniesz ze mną rozmawiać, albo spalę chałupę. Razem z tobą.

–Nie odważysz się.

Stałem nad nią. Skuliła się, bo przy mej czarniawej karnacji, krótkich, odrośniętych włosach bardziej byłem podobny do tureckiego zbója niż zwyczajnego człowieka. Uczyniła palcami jakiś gest. Odgadłem, że straszy czarami.

–Odważę się, turkaweczko. Żeby zaś pokazać, iż nie boję się babskich guseł i nie mam zwyczaju uciekać przed byle czym, na początek połamię dwa twoje suche paluchy.

Chwyciłem babę za przedramię. Stawiała opór, próbowała się wyrwać, chwyciła mnie drugą ręką. Na próżno. Bez trudu wyprostowałem wskazujący palec, odgiąłem do tyłu, by założyć punkt dźwigni na środkowym stawie. To boli o wiele bardziej niż zwyczajne wygięcie, nawet bardzo mocne. Wrzasnęła.

–Jak będzie? – Puściłem ją. – Porozmawiamy?

–O czym, opryszku? – zaskrzeczała.

–O tym, o czym doskonale wiesz.

–Nie mów zagadkami. Nie dość, że nachodzisz mnie we własnym domu, sprawiasz ból, to jeszcze...

–Następnym razem naprawdę złamię palec i będziesz miała dopiero powody do narzekań. Gadaj, co wiesz o potworze.

–Nic nie wiem.

–Żyjesz w środku lasu, w którym grasuje, i nic nie wiesz? Nieładnie tak łąć.

–To święte miejsce! Przepieczna tu jestem, bo nawet owa poczwara nie odważy się grasować w gaju! A ty mnie napadasz. Powinieneś bać się kary, bo spadnie prędzej czy później.

Patrzyłem, jak deski palą się coraz mocniejszym płomieniem.

–Jeszcze chwila – rzekłem – a rzucę te żagwie na środek domu, dam ci po łbie i pójdę. Wszystko tu takie suche, łącznie z tobą, że zajmie się w mgnieniu oka.

–Bezbożnik – syknęła.

–Posłuchaj, więdmo. Ten bukowy lasek może niegdyś był świętym gajem, a może i nie. Może odprawiacie tu pogańskie obrzędy, ale nic w nim poza tym nadzwyczajnego nie znajdziesz. Ot, buki mają w sobie zawsze to, co ludzie nazywają magią. To wyjątkowe drzewa. Jednak nie wyczuwam w nich nic, co by mogło cię chronić przed zębami bestii.

Mierzyła mnie wściekłymi oczami zaciśniętymi w wąskie szparki.

–A może to ty jesteś potworem, babo? – uśmiechnąłem się. – Prawy bazyliszek z ciebie, kiedy tak patrzysz.

–Idź swoją drogą, zóju, zostaw w spokoju biedną kobietę.

–Pójdę, ale najpierw powiesz, co ci wiadomo o poczwarze, która morduje ludzi, wypija ich krew i zdiera skórę z twarzy. A zdiera ją bardzo dokładnie, ze znanstwem, jakby doświadczony cyrulik ciął ostrym nożem.

–A tyś kto? Wynajęli cię, żebyś zabił to stworzenie?

–Nietrudno chyba odgadnąć. Tak samo jak łatwo zrozumieć, iż masz z nim coś wspólnego, skoro jeszcze żyjesz.

–Żyję, ale nie dlatego. Zabierz ten ogień, opowiem wszystko. Natychmiast wyniosłem płonące deski na zewnątrz. Kiedy wróciłem, wiedźma siedziała przy stole. Zająłem miejsce naprzeciwko.

–Mów.

–Potwór pojawił się ponad rok temu. Nie wiadomo, skąd przyszedł, nie wiadomo, czym jest. Zaczęli ginąć ludzie. Wypijał ich krew, nurzał się we wnętrzościach, pozbawiał twarzy. Ale to już wiesz. Masz słuszność, ten bukowy lasek nie jest żadnym uroczyskiem i zapewne nigdy nie był. Zamieszkałam tutaj kilka lat temu, bo okolica spokojna, ludzie uczynni, a i pielgrzymów sporo zdąża do trzebnickiego sanktuarium uczcić relikwie świętej Jadwigi. Dla wróżychy i zielarki to wymarzone miejsce. Można zagrzać dłużej miejsce, bo okolica dosyć gęsto zamieszkana, zawsze znajdzie się ktoś potrzebujący usług jak nie na pęcherze nabrzmiąle po trudach podróży, to na niemoc wszelaką, a co poniektórzy możni wędrowcy łasi bywają na miłosne driakwie. Wpadał więc grosz ładny, osobliwie w ciepłej porze, gdy więcej ludzi podróżuje. To czeska dziedzina, spokojna, odkąd skończyły się husyckie zawieruchy, daleka od zgiełku świata, a zarazem leży tak blisko wielkiego miasta, że czerpać można z tego pożytki.

–Nie opowiadaj mi o kupiectwie, tylko o potworze.

–Mówiłam. Pojawił się jakiś rok temu. Zaczęli ginąć ludzie, zaraz pojawili się księżęcy żołnierze, potem wojska wrocławskich mieszczan przeczesaly lasy. Na próżno. I ja żyłam z duszą na ramieniu, bo bestia zdawała się nienasycona. I nie myśl, iżby tu nie trafiła. Sforsowała raz nawet drzwi, ale zaraz uciekła.

–Ciebie się zlekła? – roześmiałem się.

–Zapachu, człowieku – odparła poważnie. – Zapachu. Najwyraźniej nie cierpi woni suszonych ziół. To i nic dziwnego, skoro na co dzień tarza się w ludzkich smrodach. One jej pachną, zaś moja chałupa śmierdzi. Ja zresztą też. Dlatego mogę bez obaw chodzić po lesie.

–Zaś ludziom wmówiłaś, jakoby to miejsce było zaczarowane

–Pokiwałem głową. – Sprytnie. Pewnie zaraz podniosłaś ceny produktów.

–Chcesz zabić potwora? – ominęła moje pytanie.

–Po co znów pytasz? To chyba jasne od samego początku. Czyżbyś miała coś przeciw?

–Skąd! – Zamachała rękami. – Wszak jeśli się go pozbędziemy, sława miejsca i tak zostanie, a na pewno więcej ludzi zacznie tu przychodzić, skoro zniknie zagrożenie.

–Powinnaś prowadzić dom handlowy, a nie siedzieć w lesie – mruknąłem. –

Pomożesz

mi?

–Jak?

–Zaprowadzisz w to miejsce, w którym najczęściej znajduje się trupy. Na pewno wiesz, gdzie to jest.

–Wiem. Ale jeśli chcesz spotkać wroga, musisz tam być po zmroku. Przedtem poczwara chowa się gdzieś głęboko w lasach, w jakiejś kryjówce. Nie daj panie Boże temu, kto się zaplącze w okolicy po zmierzchu. Miejscowi doskonale to wiedzą, ninie chwyta więc tylko takich, co przybywają z daleka, nieświadomi niebezpieczeństwa. Tym bardziej musi być wściekła, skoro coraz dłużej głoduje.

–Sporo wiesz, jak się okazuje.

–Mieszkam tu, zbóju.

–Mam na imię Jakub.

–A ja Hedwiga.

–Wiem, mówiono mi. Ale że też nosisz imię świętej księżnej? – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. – To z pewnością tylko dla ludzi. A naprawdę?

–A naprawdę Marzena.

–Pomożesz mi?

–Pomogę.

* * *

Wieczór zapadał powoli. Nadciągał wraz z leciutkimi podmuchami wiatru po całodziennym upale, szumiał w koronach drzew kołysankę dla dziennych, a pobudkę dla nocnych zwierząt. Marzena z niepokojem spoglądała w niebo.

–Gwiazdy już widać – mruknęła. – W lesie szybko robi się ciemno. Tu, na polanie, jeszcze chwilę będzie dzień, ale tam...

–Idź. – Wskazałem dłonią kierunek, z którego przyszliśmy. – Dalej sam muszę sobie radzić.

Tak, odeślij tę babę. Nie cierpię jej. Przypomina przełożoną w lupanarze. Tamta też tak koso patrzyła. Ta jest taka sama, tyle że ze dwadzieścia lat starsza i straszliwie zaniedbana.

Nigdy nie widziałem tamtej kobiety. Znam ją jedynie z twoich opowieści. Nie pokazywała się katom.

Bo was nienawidziła. Mistrz Ambroży własną ręką ściął jej męża, skazanego za jakieś nadużycia przy dostawach dla wojska, a potem samą pojął za żonę. Dlatego tak łatwo przystała na machinacje Bartosza, z nienawiści, bo i drugiego męża nie znosiła. Bez jej pomocy nie zdołaliby oskarżyć mnie i pozostałych Bogu ducha winnych ludzi. Podobno Mistrz Rektor uczynił z niej kochankę, a może to sam Ambroży pchnął ją w jego objęcia, żeby zyskać większe wpływy. Tego nie wiem i nigdy mnie nie obchodziło. Nie lubiłam płotek.

Nie pora teraz o tym myśleć. Mamy do wykonania zadanie. Mrok już zapada.

Jak dobrze, że widzisz w ciemnościach.

Widzę, kochana, ale tylko trochę lepiej niż inni. Przede wszystkim umiem się w nich poruszać. A teraz uciszmy nieco myśli. Muszę się skupić na odgłosach płynących z lasu.

Usiadłem pośrodku polanki. Ciemno, spokojnie, ale być może dookoła unoszą się duchy ofiar bestii.

Tak, są tutaj. Blanka szeptała, by mi nie przeszkadzać w nasłuchiowaniu. Krążą sinym korowodem, niewyraźne, dalekie, ale na pewno obecne, zaciekawione.

Czegoś chcą...

Czego?

Nie wiem, Jakubie. Tylko w obecności pana Dee potrafiłam w pełni zrozumieć ich mowę. Zbliżają się i oddalają... Jeśli chcesz...

Wiem. Możesz mi to pokazać. Nie, kochana, to nie ma znaczenia. Tylko by mnie rozpraszało.

Pierwszy raz widzę coś podobnego. Widzę i słyszę. Otoczyły nas, wygląda, jakby chwyciły się za ręce. Dochodzi daleki pomruk... chór... Nie, raczej jęk. Jakby sto gardel wydawało w jednej chwili żałobny zaśpiew. Zgładziłeś wiele istnień, jednak żadne z nich nie było tak natrętne. Dusze zawsze umykały z ulgą.

Prócz Winiewskiego. Tego noszę wciąż przy sobie. Trzeba będzie i jego kiedyś wreszcie uwolnić.

Boję się, ukochany. Okropnie się boję!

Wystarczy, Blanko. Ukryj się gdzieś głęboko, znajdź wspomnienia, dzięki którym dasz radę odgrodzić się od świata.

Czułem, jak zagrzebuje się w puch przyjemnych wrażeń, wydobywa pamięć wspólnych chwil, uniesień i rozkoszy, marzeń i cichych rozmów po spełnieniu. Zazdrościłem jej. W tej chwili sam najchętniej uciekłbym w podobną krainę, omamił umysł i zmysły radosną uludą.

Mijał czas. Sierp księżycyca wzbijał się coraz wyżej, majaczył między gałęziami.

Późno już, jeszcze może godzina została do północy.

Nocą wszystko wydaje się inne, niezmiernie bliskie i odległe zarazem. Zagrożenie może się pojawić nagle, wyskoczyć tuż przed oczami albo szybować nad głową przez wieczność, niesione bezszumnymi skrzydłami sowy. Jeleń przedziera się przez zarośla gdzieś daleko, jednak zdradliwe nocne powietrze sprawia, że człowiek czuje, jakby zwierzę wręcz otarło się o niego.

Właśnie tak jak teraz! Zerwałem się, wydobyłem lewą ręką bandolet, prawą namacałem rękojeść szabli. Wziąłem tę broń, choć oferowano mi solidną, dwuręczną srebrzoną głównię. Potwór może być za szybki na ciężki miecz lub topór, a poza tym w drodze szabla była poręczniejsza. I nie zwracała uwagi ciekawskich, jakich sporo można spotkać na ruchliwym szlaku między Trzebnicą a Wrocławiem. Nie miałem ochoty na rozmowy, a w czarnym stroju brano mnie po prostu za kalwińskiego szlachcica przybyłego z Rzeczypospolitej. Zaś w

srebro na klindze i tak nie wierzyłem. Czy wampir, czy strzyga, czy nawet lykantrop, jeśli w ogóle istnieją, szczerzą tak samo dobrze od samego żelaza. A jeśli nie da się ich zabić, żadne magiczne sztuki nie pomogą.

Gdzieś z przodu zaszleściły zarośla, trzasnęła jedna i druga gałązka. To nie mogło być leśne stworzenie. One nie czynią tyle hałasu. Cień wypełził ostrożnie na skraj polany.

–Witaj – powiedziałem. – Długo kazałeś na siebie czekać.

Odpowiedziało ciche warczenie, podobne do bulgotu, jaki wydaje rozwścieczony pies. Na tym podobieństwo się kończyło. Pies wszak nie stoi na dwóch łapach i rzadko wzrostem dorównuje człowiekowi. Postać była przygarbiona, ręce zdawały się nadzwyczaj długie, jakby ciągnęły się po ziemi. Zbliżyła się ostrożnie. Uniosłem pistolet, szczerknął odciągany kurek. Tamten zmarł. A może tamta? W końcu krwiożerczy potwór może być płci odmiennej. Wszyscy mówili o tym zjawisku „on”, ale czy mieli podstawy? Nikt nie przeżył spotkania, więc nie mógł dać świadectwa.

Takie myśli przelatywały mi przez głowę na podobieństwo cwałujących koni. Ciekawe, że człowiek w niebezpieczeństwie myśli o tak nieistotnych sprawach. Więcej – potrafią zaprzętać umysł, jakby miały niezmiernie wielką wagę.

–Podejdź bliżej – mruknąłem – nie chcę cię przestraszyć zbędnym hukim, sprawiać cierpienia bez potrzeby. Kula jest litościwa, ale jedynie jeśli dobrze trafić.

W tej chwili rogalik księżycyca wyjrzał znad czubków drzew. Stwór przypadł do ziemi. Teraz przypominał wielkiego basiora, tym bardziej, że cały był pokryty skołtunioną sierścią. Jednak od wilka nie cuchnie trupem. Z potwornej twarzy o dziwnie zwisających policzkach, które wyglądały jakby miały się za moment odkleić od kości, spojrzały na mnie rozjarzone oczy. Nieco przypominały te, którymi patrzył Zborowski w głębi lochów, były jednak bodaj jeszcze bardziej przerażające. Może dlatego, że prócz złości było w nich ogromne cierpienie.

–Nie jesteś zwierzęciem – rzekłem. – Nie jesteś jednak także nieumarłym. Wilkołak, strzyga czy wampir nie czekałyby ani chwili z atakiem. Mógłbym nawet mieć trudności z dostrzeżeniem ich ruchów, tak są szybkie, rzecz jasna jeśli wierzyć opowieściom. Zaś ty ruszasz się powoli, nawet bardzo powoli.

Cofnąłem się parę kroków, zachęcając tym przeciwnika do wyjścia dalej na środek polany. Ostrożnie stąpał w moim kierunku, sztywno i niezgrabnie poruszał się na czterech łapach, najwyraźniej bardziej przyzwyczajony do wyprostowanej pozycji. Wreszcie się zatrzymał. Teraz wyraźniej widziałem twarz. Gnijące mięso, oczy wpadnięte głęboko, częściowo skryte za napuchniętymi, jakby wypuszczonymi do przodu powiekami. I smród rozkładu... Wciągnąłem głębiej powietrze.

–To nie jest twoje oblicze, przyjacielu. Ściągnąłeś skórę z twarzy ostatniej ofiary. Przystrajasz się w rysy tych, których zabijasz. Dlaczego? Przecież nie dla częściej zabawy.

Warczenie. Wstał, przygotował się do skoku. Mocniej ująłem pistolet. Sam nie wiem, czemu jeszcze nie strzeliłem. Miałem wrażenie, że zawsze zdążę, że jest zbyt powolny, by

stanować prawdziwe zagrożenie. Poza tym oczy, to, co się w nich czaiło... Wahiałem się, bo coś mi przypominały. Raczej kogoś niż coś...

–Jednego jestem pewien, nie jesteś niewiastą... samicą... Diabli wiedzą, jak to nazwać.

Był nieoczekiwanie szybki. Rozmazał się w ruchu. Wypaliłem. Kula trafiła, postać zachwiała się wyraźnie, ale nie zwolniła. Cisnąłem pistoletem, wkładając w ruch całą siłę. Błyskawiczny unik sprawił, że broń poleciała daleko. Ująłem mocniej szablę. Ustawiłem się w pozycji szermierczej z lewą nogą podaną mocno do tyłu, wpartą w grunt, w lekkim wypadzie na prawe kolano. Zamłynkowałem. Potwór zatrzymał się na chwilę. Błyszczące ostrze wyglądało o wiele groźniej niż rura samopału. Uważnie obserwowałem przeciwnika. Przyczaił się, znów przypadł do ziemi. Cofnąłem się jeszcze. Im bliżej ku mnie podejdziesz, tym łatwiej będzie go wymanewrować na wolnej przestrzeni.

–Kim jesteś, potworze?

–Twoim przeznaczeniem – rozległ się znieczeka skrzekliwy głos tuż za mną.

W tej samej chwili poczułem silne uderzenie w tył głowy. Przed oczami rozbłysły miriady gwiazd. Prawie bezwiednym ruchem poprowadziłem ostrze w tył, w stronę głosu. Czuję jak więźnie, tnie ciało. Kątem oka dostrzegłem postać wróżychy. Wróciła. Była w zмовie z mordercą... Potwór przede mną zawył, rzucił się na mnie. Nic już nie mogłem uczynić. Poczuję długie pazury wbijające się w ciało. Trysnęła krew. Moja krew. Czarna krew. Mrok spadł niespodziewanie, podobnie jak przedtem cios kobiety. Dałem się podjąć, skupiłem uwagę na poczwarze, nie zauważyłem drugiego wroga.

Witaj, ukochany.

Czekasz na mnie, Blanko. Przeprowadzisz na drugą stronę.

Teraz jesteśmy razem. Możesz zobaczyć to, co ja widzę.

Sinoblade postacie dookoła. Duchy pomordowanych. Pojąłem lęk Blanki. Nie są podobne ulotnym cieniem, nie wyglądają na zwyczajne dusze. Są rozzłoszczone, gotowe uczynić krzywdę, choć jednocześnie nie mogą nic przedsięwziąć. Zostały przykute do tego miejsca. Chyba dostrzegłem nawet nałożone na nie okowy.

Są okropne, Jakubie. Przypominają zaniedbane i przestraszone małe dzieci, ale

dzieci z wilczymi kiami i niedźwiedzimi pazurami. Nie wiem tylko, co je tu trzyma.

Nieważne. Chodźmy, zaprowadź mnie tam, gdzie jest miejsce dla nas dwojga.

Weź mnie za rękę, kochany. Znajdziemy dla siebie słoneczny, ciepły kąć.

Takiej błogości nie czułem jeszcze bodaj nigdy. Ponury świat został gdzieś w dole, daleki i obcy. Na twarzy poczułem ciepły powiew. Tchnienie dobra. Czy tak wygląda raj dla kata? Czy ten, kto całe życie siał grozę, przysparzał bólu, zasługuje na tyle spokoju? A może to twoja nagroda, Blanko, nie moja?

Nie myśl teraz o tym, Jakubie. Cóż za różnica? Najważniejsze, że możemy być razem.

Gwiazdozbiór Kata

Ból i rozpacz. To właśnie poczułem po przebudzeniu. Jednak nie były to ani mój ból, ani moja rozpacz. Leżałem na miękkim pościeliu w chałupie wróżychy. Spojrzałem w bok. Obrzydliwy stwór stał nad ciałem Marzeny, obwąchiwał je, skomląc żałościwie. Widać było, że nieuchronnie nadciąga koniec wiedzy. Pierś, rozchlastana ciosem szabli, ukazywała przerąbane żebra, bez trudu można było dostrzec bijące jeszcze serce. Chciałem powstać, byłem jednak zbyt słaby, aby poruszyć nogą czy ręką. Za oknem wstawał dzień, słoneczne zajaczki błędziły po ścianach, prześwitując przez poruszane lekkim wiatrem listowie bukowego lasu.

Wróciliśmy, Jakubie. Przywołał nas z tamtej strony potężny zew. Głos nabrzmiały strasliwym cierpieniem. Nie wolno nam odejść, zanim uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby wykonać misję.

Od kogo pochodzi ten nakaz? Kto ma tak wielką wolę, by wyrwać człowieka z objęć śmierci? Przecież byliśmy po tamtej stronie.

Nie odpowiedziała. Błądziła myślami gdzieś daleko, dotykała ulotnych wrażeń sprzed kilku chwil. Odezwała się we mnie ogromna tęsknota. Nie chciałem wracać na ten świat, nie miałem ochoty podróżować po ścieżkach życia.

Blanko, powiedz, kto nakazał nam powrót? Czy sam...?

Musimy uczynić, co do nas należy... co nakazano...

A co nakazano?

Tego nie wiem, Jakubie. Jestem tak samo zagubiona jak ty. Ale jedno wiem na pewno - skoro tylko wypełnimy zadanie, będziemy mogli udać się daleko stąd, tam, gdzie nikt już nie zdoła nas skrzywdzić.

Potwór obrócił na mnie oczy. Zgniła maska zdarta z ostatniego trupa zsunęła się na podłogę, mlasnęła, rozplaszczając się. Smród stał się jeszcze gorszy niż do tej pory. Byłem wydany na łaskę upiornej postaci. To, co się kryło pod obcą skórą, przypominało ludzkie oblicze jedynie z grubsza. Okropnie pomarszczona sina skóra, gorejące oczy o czerwonym poblasku i wąskich źrenicach, jednak nie ułożonych pionowo jak u kota, ale poziomo. Właśnie te źrenice były najgorsze, najbardziej nieludzkie, przyprawiały o dreszcz trwogi i obrzydzenia. W nocy stały się okrągłe. W ciemności, jak na ironię, patrzyły chyba bardziej ludzko. Znów spróbowałem wstać. Tym razem członki drgnęły, niechętnie zaczęły się poddawać woli. Wróżycha charczała ostatkiem sił, coraz słabsza, coraz bardziej bezradna.

–Kimże w końcu jesteś? – spytałem stwora.

Patrzył na mnie bez mrugnięcia. Zerknąłem w dół. Rana, którą mi zadał, powinna mnie zabić. I przecież zabiła... Zapewne stąd okropna słabość. W ciągu ostatniego roku umierałem już dwukrotnie. Raz w ogniu, drugi od pazurów bestii. Inna rzecz, że i potwór, i Marzena po

zetknięciu ze mną powinni skończyć w męczarniach czarnej śmierci. Rozorana skóra wypełniona była czarną, gęstą cieczą. Jej strumyki spływały w dół brzucha. Znów popatrzyłem na potwora. Położył łapę na głowie wiedzy, gładził zmierzwiłone włosy.

Widzisz, ukochany? Żyją, a przecież oboje zbryzgała twoja posoka. To musi być

przeznaczenie.

Przeznaczenie? Nie, Blanko. Powinienem się wcześniej domyślić. To oznacza jedynie, że wpięram się w płonącą kamienicę, a potem ogniu karocy zgorzał po raz drugi, dzięki czemu ogień oczyścił mnie z zarazy. Krew nadal jest czarna, jednak już nie zabójcza. Widać pierwszy raz należy posokę spalić, by stała się obojętna na czarną śmierć i można ją było zakazić, zaś drugi raz, by żyły wyjałowić.

Patrzyłem w straszne oczy poczwary i zastanawiałem się, w którym momencie zaatakuje. Właściwie było mi wszystko jedno. Tak czy siak nie dam rady się bronić. Niechże mnie zabije. Może właśnie po to zostaliśmy sprowadzeni z powrotem, aby mogła się dopełnić egzekucja?

Marzena odetchnęła głośniej, z wielkim wysiłkiem uniosła głowę. Przywołała mnie wzrokiem. Zwlokłem się z łóżka. Nie tyle przybyło mi sił, ile raczej determinacji. Podpełzałem na czworakach. Na czworakach... Jedną ręką podpierałem się o deski podłogi, drugą przytrzymywałem brzuch, ścisnąłem krawędzie skóry, by nie wylały się wnętrzności. Nie zwracałem uwagi na potwora. On zaś odsunął się nieco, by uczynić mi miejsce.

–Uratuj go – szepnęła stara sinymi wargami. – Możesz to zrobić... Uczyń, by znów stał się człowiekiem.

–Jak? – Byłem przekonany, iż bredzi w śmiertelnym widzie. – O czym mówisz?

–Możesz – wyrzęziła z wysiłkiem. Chwyciła mnie łokieć. Mało brakowało, bym runął twarzą wprost w jej rozplataną pierś. – Opowiadał mi o tobie, kiedy jeszcze mógł mówić, zanim stał się tym, czym go dzisiaj widzisz. Ninie nie ma pamięci, nie potrafi poznawać ludzi krom mnie. Ale gdy pociekła z ciebie jucha, cofnął się jak oparzony. Przeniósł nas oboje do chałupy i czuwał. Czekał na nadejście dnia, na twoje przecknięcie. A teraz, kiedy i ja widzę twą czarną krew, wiem, że możesz pomóc.

Rozkaszała się, przy tym ruchu serce załomotało gwałtowniej, po czym stanęło. Myślałem, że to już koniec, ale po krótkiej chwili podjęło pracę. Biło nierówno, z przerwami, jednak podtrzymywało życie.

–Opowiadał o mnie – mruknąłem. – O czarnej krwi. Czyli musiał przebywać w akademii w tym samym czasie co ja.

–Nie inaczej – to powiedziała samym ruchem ust.

Przyszło zrozumienie. Przebiło się przez opary bólu, przez mroczny całun oszołomienia niedawnymi wypadkami. *Mój Boże, Jakubie. Czy to możliwe?*

–Możliwe, Blanko – odparłem głośno. – To jeden z mistrzów. Do takiego więc stanu doprowadza się ten, komu zabraknie ludzkiej części duszy. Staje się potworem, krwiożerczą,

obrzydliwą bestią, mordującą każdego, kogo napotka. Zdejmuje skórę z twarzy ofiary, bo chce z powrotem stać się człowiekiem... Nie wiem tylko, którym z moich mentorów jest ten tutaj.

–To Armand – wykrztusiła Marzena.

–Nic mi to nie mówi – odparłem, wzruszając ramieniem. – Nie pamiętam takiego mistrza.

–Był rektorem – odparła. – Tak do niego mówiliście.

Wciągnąłem gwałtownie powietrze. A więc to ten, który nakazał przeprowadzić mnie przez najwyższe wtajemniczenie, kto zdecydował, by wlać we mnie duszę Blanki. Zrozumiałem też, dlaczego dusze na polanie nie mogły opuścić tego padolu. Zostały uwięzione przez moc intencji kata, jego pragnienie, by je osiąść.

–Błagam cię – powiedziała wróżyca – w godzinie śmierci zaklinam cię, uczyni wszystko, co możesz, by mu pomóc.

Spojrzałem na potwora. Otworzył usta. Owiął mnie oddech mdlący trupim odorem. Nienawiść i żal walczyły ze współczuciem. Blanko, jak sądzisz, czy to właśnie owo zadanie? Powinienem przywrócić mu ludzką powłokę? Dokonać obrzędu przelania duszy? To uwolni tamtych nieszczęśników, których zamordował. Czy przed zgonem mamy dopełnić takiego właśnie dobrego uczynku?

Myślę, że tak. Pomóż mu, pomóż tamtym duchom. Przecież możesz...

Mogę. A potem odejdziemy tam, skąd nas odwołano.

Marzę o tym, najmilszy. Pośpieszmy się.

Marzena patrzyła, jak wyjmuję złote puzderko. No, panie Winiewski, nadchodzi ciąż dalszy kary na tej ziemi. Staniesz się częścią katowskiej duszy. Może wtedy, zmuszony do obcowania z kimś takim, zrozumiesz, że doprowadziłeś się do tego stanu, wiodąc plugawy żywot, niegodny nazwania ludzką egzystencją.

Spojrzałem na potwora.

–Połóż się na plecach. Jeśli ma się powieść, musisz być posłuszny.

Nie wiedziałem, czy rozumie ludzką mowę, czy zmiany nie zaszły zbyt daleko. Pojmował jednak, co się doń mówi. Spojrzał na Marzenę. Skinęła lekko głową. Wyciągnął się z łapami ku górze. Podpełzłem do niego. Po drodze coś stuknęło o deski. Obejrzałem się. Katowska kula. Niech leży. Już na nic się nie przyda. Zrobię swoje i odejdę na zawsze.

–*Metuah gores inkлина* – rozpocząłem obrzęd. Ciało potwora zeszywniało. Właśnie tak powinno być. Dlatego kat nie może sam sobie poradzić z przyjęciem duszy. Nie może się ruszać. – *Verredis malia coellena. Im mor, im lisiss, im savla...*

Wyuczone lata temu słowa płynęły, rzekłbym – przepływały przeze mnie. Nigdy nie dopełniał misterium przelewania duszy, ale każdy wtajemniczony małodobry powinien być na to przygotowany. Mój podopieczny zamknął oczy. Ucieszyło mnie to, bo trudno było znieść ich dziwne spojrzenie. Obejrzałem się na wróżycę. Obserwowała uważnie moje poczynania.

Uczyliło się wyraźnie chłodniej. Nie czułem tego, ale mogłem dostrzec, że przy oddychaniu z ust dobywa się para. To nieomylny znak, że należy zacząć przemianę. Otworzyłem pudełeczko. Runa na dnie, wymalowana czarnym tuszem, stała się już szarawa, wyblakła. Nie byłem pewien, czy to rzeczywiście upływ czasu, czy raczej wpływ uwięzionej duszy.

–*Alish, arasz, errene* – powiedziałem, czując, jak rośnie we mnie moc. Zdałem się sobie wielkim demiurgiem. Jakbym za chwilę miał nie tylko duszę dodać do ciała, ale stworzyć nowe istnienie. – Idź, panie Winiewski, uczyni choć raz w życiu coś dobrego, zbuduj, a nie rujnuj. Może Bóg łatwiej ci wybaczy.

Przytknąłem puźderko do ust potwora. Widziałem w tej chwili zmętnienie na dnie, jakby niewyraźny zgęsteczenie nieśmiałej mgły. Cofnął się, unikając dotyku przyszłego gospodarza.

–*Virae par suem. Sitta mallaher* – rzekłem wprost do złotego pojemnika. Dusza, posłuszna nakazowi, natychmiast pomknęła ku uchylonym wargom. Język, w którym przemawiałem, był mi nieznanym. Nie wiedziałem nawet, co znaczą poszczególne słowa. Nikt już nie pamiętał, bo zaklęcie powołano do istnienia wiele wieków temu, podobnie jak runę, która potrafiła uwięzić duszę. – Spełniło się – odetchnąłem z ulgą.

Poczułem straszliwą niemoc. Obejrzałem się jeszcze na Marzenę. Cała była pokryta szronem, od stóp po czubek głowy, także zamarłe już serce w otwartej piersi stało się siwe.

Możemy odejść, Blanko. Nareszcie.

Nareszcie, najmilszy, jedyny mój. Przejdź na drugą stronę.

Upadłem na bok. Nie miałem już sił przytrzymać wypadających wnętrzności. Widziałem, jak istota obok zmienia się w oczach. Z potwornej postaci zaczął wyglądać człowiek. Skóra na twarzy wygładziła się, nabrała ludzkich rysów, potężne łapy zamieniły się w mocne dłonie, gęste owłosienie osypywało się na podobieństwo suchego piasku.

–Zegnaj, Mistrzu Rektorze – rzekłem, a może tylko chciałem rzec? Nie wiem.

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

Chodźmy, Jakubie. Wyciągam do ciebie dłoń – chwyć ją mocno, zaraz znów będziemy razem.

* * *

Czarne niebo z ognikami gwiazd wygląda wspaniale, a jeszcze bardziej jest imponujące, jeśli w obserwacjach nie przeszkadza księżyc. Cudownie byłoby podróżować między tymi światłami, mijać je, patrzeć, jak wyglądają z każdej strony. W dzieciństwie mówiono mi często, że gwiazdy to tylko dziurki w kobiercu nieba. Jednak Mistrz Eustachiusz zaraz na początku mej edukacji wyjaśnił, jakie poglądy w tym względzie mieli starożytni filozofowie, co mówił uczony kanonik Copernicus, na którego poglądy Kościół patrzy niechętnym okiem. Było to o wiele ciekawsze od rozważań alchemików, a przede wszystkim niepomiernie sensowniejsze.

–Gdzieś tam, daleko – odezwał się Mistrz Rektor... a właściwie Armand, bo wszak rektorować od dawna nie miał czemu – za tymi światłami, które widzimy, są ponoć następne i następne.

–Za takie słowa można się dostać w łapy inkwizytorów.

–Można prawdzie zaprzeczać, można ją zdusić, ale nikt nie potrafi powstrzymać myśli, nie zapobiegnie postępowi i odkryciom.

–Na przykład takim, o jakich uczono w bieckiej akademii?

–Nigdy mi tego nie wybaczysz?

–To nie jest kwestia wybaczenia, Armandzie. Jeszcze niedawno wszystko, co stało się kiedyś, było nieistotne. Przez mgnienie oka miałem pewność, że skoro tylko wleję w ciebie duszę, otrzymam łaskę. Łaskę opuszczenia tego świata. Zamiast niej...

Przywołałem wspomnienie tej okropnej chwili, kiedy ocknąłem się po niewłaściwej stronie. Ból przebudzenia był straszny, okrutniejszy od wszystkiego, czego dotąd doznałem, od najgorszej tortury. Nade mną stał Armand.

–Dobij – poprosiłem, przekonany, że to tylko uparte ciało postanowiło za wszelką cenę trzymać się życia.

–Ty mnie wróciłeś światu, wzajem odwdzięczę się, pielęgnując w chorobie ciebie. Blanko, najukochańsza moja istota. Wypełniliśmy, co trzeba, a jednak pozostaliśmy na tym padole łez...

Odpowiedziała cisza. Dopiero w tej chwili zrozumiałem, dlaczego przebudziłem się w tak wielkim cierpieniu. Poczulem pustkę. Podobną tej, która mną szarpnęła, gdy Blanka weszła do wspomnień umarłego chłopczyka, a potem lustrowała umysł starego Winiewskiego, kiedy jej cząstka wychodziła ze mnie. Pustka potworna, choć bez tamtego poczucia szaleństwa.

–Dlaczego? – jęknąłem.

Armand nie zrozumiał, o co pytam.

–Dlatego, że winienem ci wdzięczność.

–Wdzięczność? Podziękuj swojej Marzence. Gdyby nie ona...

–Szkoda, że nie zdążyłeś schwytać jej duszy. Wolałbym ją od tego, kogo mi dałeś.

Nie zdążyłem? Roześmiałem się gorzko w duchu. Nie pomyślałem, by uczynić to samo, co ty zrobiłeś ze mną. Żeby doprowadzić do tego, przed czym ty nie wzdragałeś się ani chwili, włączając we mnie Blankę. Nawet kula, która wypadła, kiedy się do ciebie wlokłem, nie dała mi do myślenia. Gdyby zresztą nawet przyszło mi do głowy schwytać duszę najwierniejszej istoty, jaką w życiu spotkałeś, i oddać ją tobie... Nie wiem, czy bym się na to zdobył. Wszak trwała przy tobie, była wierna, kiedy chodziłeś po świecie jako człowiek, nie opuściła, gdyś zaczął zamieniać się w bestię. Naganiała ci ofiary w nadziei, że którąś wreszcie zdołasz wykorzystać nie tylko jako pokarm. Patrzyła jak pijesz krew, usiłując wraz z posoką posiąść tę najważniejszą cząstkę... Jednak ty może nawet o tym nie myślisz. Mistrz małodobry powinien być zimny jak lodowa bryła i twardy niczym kawał granitu. Któż może bardziej spełniać te warunki, jeśli nie rektor Akademii Katowskiej?

Westchnąłem ciężko. Dlaczego Bóg nie pozwolił mi odejść na tamten świat? Dlaczego...

Armand kurował mnie cierpliwie. Przez ten czas liście zdążyły zżółknąć, zaczęły opadać, szarpane pierwszymi jesiennymi wiatrami.

–Plejady. – Wskazałem ukochaną gromadę gwiazd.

–Plejady – powtórzył. – Powiedz mi, Jakubie, jak to jest mieć w sobie kogoś, kto nie chce cię opuścić? Ja twojego Winiewskiego muszę pilnować z całych sił.

–Jak to jest? Raczej jak było...

Poderwał się na równe nogi, wytrzeszczył oczy.

–Co masz na myśli?

–Opuściła mnie w tej samej godzinie, kiedy wlałem w ciebie duszę, odeszła wraz z gasnącą świadomością. I ja chciałem pójść za nią, ale... – urwałem. Nie chciałem nazywać tego słowami, bo to by było coś na kształt świętokradztwa.

Milczał, rozważając znaczenie wypowiedzianych przed chwilą słów.

–Powinieneś w takim razie już zacząć odczuwać pewne symptomy zwiastujące przemianę w coś takiego, czym ja się stałem po utracie duszy... Nieomylnie symptomy. Musisz wiedzieć, że już na drugi dzień po ucieczce duszy wylem, skręcało mi wnętrzności, czułem się tak, jakby miało mi pęknąć serce. Też powinieneś to odczuwać, jeśli... – przełknął z trudem ślinę – jeśli zostałeś... sam...

–Powiniennem? Tak, zapewne. Ale, jak widzisz, podobne rzeczy nie mają miejsca. Nie czuję nic szczególnego prócz pustki po ukochanej... I strasznej tęsknoty. Zwyczajnej, ludzkiej tęsknoty. Dla mnie owo straszne słowo „sam” oznacza widać zupełnie co innego niż dla ciebie.

Blanko, moja ukochana, jakże mi brakuje twojego głosu rozbrzmiewającego w głowie. Często odzywałaś się w chwilach, kiedy sobie wcale tego nie życzyłem, paplałaś jak mała dziewczynka. Brakuje mi twojego gniewu, dąsów i naiwnych pytań. Mieliśmy wykonać zadanie, uczynić coś, co pozwoliłoby zakończyć wreszcie męczącą wędrówkę. Z jakiej przyczyny więc odeszłaś, zostawiając mnie samego? Czyżbym uczynił coś nie tak jak trzeba? A może ofiarowanie duszy Mistrzowi Rektorowi nie było tym, czego ode mnie oczekiwano? Cóż więc mogłoby to być?

–To niesłychane – rzekł Armand. – W żadnej księdze nie znalazłem wzmianki o czymś podobnym. Dusza odeszła, a kat pozostał człowiekiem.

–Jeżeli w ogóle można o nas powiedzieć, że jesteśmy istotami ludzkimi. Znów usiadł przy mnie, zapatrzył się w niebo.

–O tobie można – mruknął. – Ona cię kochała. Pewnie odchodząc, pozostawiła tę najważniejszą część siebie. Miłość nigdy zupełnie nie ginie. Tak powiadają zwykli ludzie. Może to jest sposób, aby po przemienieniu uleczyć kaleką duszę mistrza?

–Co? – prychnąłem – Zabić ukochaną kobietę i przyjąć jej ducha?

–Nie, Jakubie. Kochać. Ale kochać naprawdę, do imentu. Tak jak ty to potrafisz.

–Wtedy przestaje się być dobrym katem. Przestaje się być katem w ogóle.

–Tak, zapewne masz rację. Ty przestałeś. O wiele prościej czynić jednak tak, jak to do tej pory praktykowały pokolenia małodobrych.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem w gwiazdy. Armand ma rację. Coś mi po sobie zostawiłaś, najmilsza. Może dlatego uczucie pustki po przebudzeniu było dojmujące, ale nie przyprawiało o szaleństwo... Będę żył, Blanko. Spróbuję odnaleźć cel, dla którego przysłano mnie z powrotem na ziemię, dla którego nie skonałem, mimo iż zadano mi śmiertelne rany. Znów wyruszę w drogę, jednak tym razem samotny, osierocony. Spróbuję odnaleźć odpowiedzi na dręczące pytania.

A ty, gdzieś za tymi gwiazdami, znajdź cichy kącik dla nas dwojga. Będę o nim marzył. Znajdź go i bądź gotowa przyjąć mnie, kiedy nadejdzie czas. Na pewno odległe światelka w jakimś miejscu, do którego nie sięga ludzki wzrok, ułożyły się w kształt, któremu można nadać nazwę Gwiazdozbioru Kata. Tam zamieszkamy w ciepłych powiewach ożywczego wiatru, będziemy stąpać po rozgrzanych gwiazdnych obłokach. Zaczekasz na mnie, Blanko, prawda? A może cały czas będziesz przy mnie tą częścią, którą sprawiłaś, że ciemna, ułomna katowska dusza nie pogrążyła się w morderczym szaleństwie po twoim odejściu.

–Jutro ruszam w drogę – powiedziałem.

–Jeszcze całkiem nie wydobrażał – zaprotestował Armand.

–Poradzę sobie.

Nie chcę przebywać z tobą, mistrzu katowski, więcej niż potrzeba Jesteś mi obcy i wstrętny. Pójdę między ludzi. Oni są dobrzy i źli, szlachetni i podli. Ale są ludźmi, prawdziwymi ludźmi, mają prawdziwe dusze. Tylko między nimi mogę wypełnić tajemnicze za danie, które mi powierzono. Tylko w ich towarzystwie szukanie nie będzie czynnością zupełnie jałową. Chcę dojść do celu jak najszybciej, by móc spokojnie odejść tam, skąd tak bardzo nie chciałem wracać.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/